NAGRODY STRAŻNIKA PAMIĘCI ZA ROK 2020 – WRĘCZONE

REŻIM PRL KONTRA KOŚCIÓŁ

Kardynał Gulbinowicz i SB – odsłaniamy nieznane dokumenty

Semka zdecydowanie w sprawie polexitu

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

CENA 7,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)
NR 49/402 30 LISTOPADA–6 GRUDNIA 2020

KULISY ROZMÓW WŁADZ POLSKI Z POWSTAJĄCĄ ADMINISTRACJĄ BIDENA

Czy można ufać testom na COVID-19?

CO TYDZIEŃ FELIETON CEJROWSKIEGO

JUŻ ONE NAS NAUCZĄ!

Znane intelektualistki chcą Polaków „stworzyć od nowa”

AGNIESZKA HOLLAND OLGA TOKARCZUK KRYSTYNA JANDA

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288829
Nakład: 57 tys. egzemplarzy

Fundacja
im. Przemysława
Gintrowskiego

ZAPRASZAMY NA KONCERT

PREMIERA W NIEDZIELĘ, 13 GRUDNIA OD GODZINY 17 NA STRONIE GINTROWSKI.PL

MECENASI KONCERTU:

PGNiG ORLEN Enea

PARTNERZY:

PPL centrum historii zajezdnia INSTYTUT PAMIĘCI NARODOWEJ

PARTNER WSPIERAJĄCY:

WARS

eprasa.pl 993d4bce60

PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Szantaż i jego skuteczność

Uspokajam wszystkich, chwilowo nie będę pisał o możliwości polexitu i o zaletach tego rozwiązania – o wadach wszyscy słyszą nieustannie od 16 lat z dodatkowym nasileniem od chwili, kiedy to z Unią postanowili rozstać się Brytyjczycy. Zostawiam zatem tę kwestię na boku i spróbuję pokazać, do czego doprowadziło rozmycie kategorii państwa i suwerenności, które jest skutkiem przynależności do UE.

Mam na myśli osobliwe, szokujące, na pewno nieodpowiedzialne zachowanie dużej części polskiej opozycji. I nie chodzi tu o głupiutki wpis jednej z posłanek. „Porównywanie groźby weta Holandii do groźby polskiego weta to żart. Holandia płaci, więc wymaga" – napisała na Twitterze Kamila Gasiuk-Pihowicz, która raz po raz idzie o lepsze z paniami Spurek czy Jachirą w konkurencji na najbardziej niedorzeczną opinię miesiąca (a może roku?). Rywalizacja jest ostra i trudno przesądzić, która z pań ostatecznie wygra. Pewnie, założywszy, że pani poseł wie, co pisze, należałoby uznać, że jej zdaniem, jakby nie było zdaniem polskiej parlamentarzystki, Polska ma mniejsze prawa niż inni członkowie UE. Trudno zatem o lepszy przykład mentalności skolonizowanej czy niewolniczej.

Wszakże, i teraz dochodzę do problemu znacznie poważniejszego niż wybryki tej lub innej posłanki lub posła, nie ma wątpliwości, że w sporze między Polską a Unią, w sporze realnym i dotyczącym kwestii o znaczeniu podstawowym – czy suwerenem pozostanie Polska, czy w roli tej w stosunku do ogółu polskich obywateli zacznie występować Komisja Europejska – znacząca część opozycji zajęła stanowisko z interesami polskiego państwa sprzeczne. W gruncie rzeczy dokładnie takie, jak przedstawiła to poseł Gasiuk-Pihowicz. A więc inni mogą więcej, bierzmy, co dają, uszy po sobie i łapki w górę. Najbardziej głośnymi przejawami tego, co – używając tradycyjnego języka – można by nazwać rokoszem, a nawet zdradą stanu, była uchwała Senatu, wzywająca władze do rezygnacji z weta i przyjęcia propozycji unijnych, oraz podobne postępowanie niektórych samorządów. Praktycznym efektem takich posunięć może być tylko wzmocnienie presji na Polskę ze strony Brukseli.

Smutny to przykład zacietrzewienia i myślenia plemiennego, kiedy to nienawiść do PiS prowadzi do działań z polską racją stanu sprzecznych. Przypomina to trochę przysłowie „Na złość babci odmrożę sobie uszy" – na złość PiS pozbędę się polskiej niepodległości. Zwolennicy tych uchwał sami zakładają sobie pęta i sami na przyszłość pozbawiają się tych instrumentów, jakie przysługują władzy suwerennego państwa. Dodatkowo niektórzy próbują tłumaczyć swoje postępowanie tym, że wskutek pandemii Polska potrzebuje funduszy unijnych bardziej niż kiedykolwiek, więc tym bardziej nie ma prawa wetować. Ależ tak! Polska potrzebuje tych pieniędzy – tego nikt nie podważa. Tylko że na tym polega dokładnie mechanizm działania szantażystów. Niektórzy europejscy politycy próbują wymóc zgodę na bezprawną zmianę reguł gry i na poszerzenie kompetencji Unii, wykorzystując w perfidny sposób obecny kryzys. Zachowują się dokładnie jak porywacze, którzy wzięli zakładników i grożą konsekwencjami – a więc wyrządzeniem szkody tym, których porwali, jeśli nie spełni się ich postulatów.

Są sytuacje szczególne, w których, niezależnie od oceny rządu i jego działań, cała opozycja, dla której państwo polskie jest nadrzędną wartością, powinna zawiesić spór polityczny. To, że dzieje się dokładnie coś odwrotnego, wynika z opisywanej przeze mnie już wiele razy choroby, z narodowego nihilizmu. Z przekonania, że polskie państwo jest jedynie etapem przejściowym w drodze do państwa europejskiego, a naród polski rozmyje się i utonie w wielkim demosie europejskim. W praktyce, o czym już jednak się nie mówi, oznacza to, że Polska miałaby pogodzić się ze statusem kolonii, a Polacy z rolą posłusznych wykonawców silniejszych państw i potężniejszych graczy. ©℗

RYSUNEK TYGODNIA

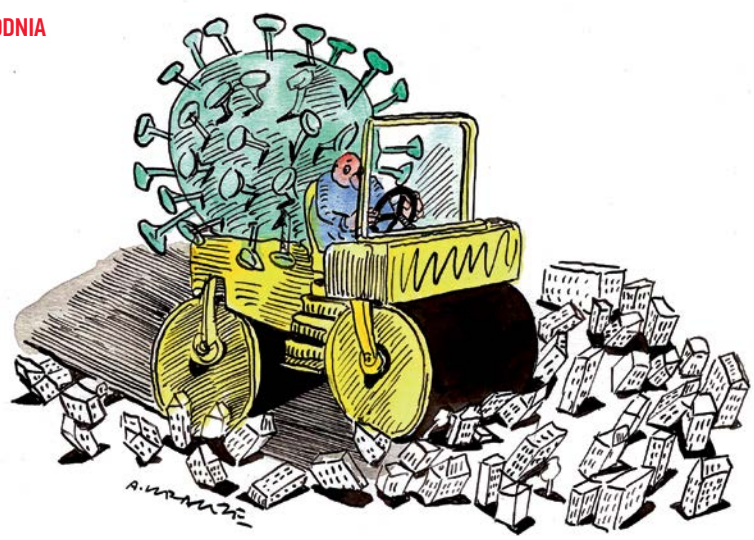

eprasa.pl 993d4bce60

TEMAT TYGODNIA

24 KRZYSZTOF MASŁOŃ
TRZY GRACJE
Artystki kontra rzeczywistość

28 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
REWOLUCJA UROJONA

KRAJ

30 MARCIN MAKOWSKI
NOWE OTWARCIE
Jak się ułoży współpraca Polski z administracją Joe Bidena?

34 KAMILA BARANOWSKA
KONFEDERACJA W OPAŁACH

36 ROZMOWA Z MARCINEM ROMANOWSKIM
PAŃSTWO MA OBOWIĄZEK CHRONIĆ RODZINĘ

38 ŁUKASZ WARZECHA
PAŁA Z ZAUFANIA

40 AGNIESZKA NIEWIŃSKA
RACHMISTRZ PANDEMII

KULTURA

42 PIOTR GOCIEK
KULTURALNE SAMOBÓJSTWO
Burza wokół Funduszu Wsparcia Kultury

44 ROZMOWA Z TOMASZEM PIECHALEM
GENIUSZE, MARZYCIELE I INNI

52 GRZEGORZ KONDRASIUK
ZABIĆ EDDY'EGO

NIE PRZEGAP

46 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

54 PIOTR SEMKA
NIE WSZYSTKO JEST TAKIE PROSTE
Polexit – mamy prawo o tym rozmawiać

58 MAREK JUREK
REDUTA WALECKIEGO

60 DR MARIUSZ BŁOCHOWIAK, PROF. KORNELIA POLOK, PROF. ROMAN ZIELIŃSKI
PANDEMIA FAŁSZYWYCH TESTÓW

62 MAŁGORZATA WOŁCZYK
FASZYZM BEZOBJAWOWY

HISTORIA

64 RAFAŁ ŁATKA
KARDYNAŁ A SB
Rozmowy Henryka Gulbinowicza z SB

68 TOMASZ ZBIGNIEW ZAPERT
POŻEGNANIE DIEGO MARADONY

ŚWIAT

72 PIOTR WŁOCZYK
GORZKI SMAK ZWYCIĘSTWA
Lewicowy przechył w Partii Demokratycznej

74 TOMASZ ROWIŃSKI
THEODORE MCCARRICK W GRZE WYWIADÓW

76 ROZMOWA Z JUDIT VARGĄ, MINISTER SPRAWIEDLIWOŚCI WĘGIER
NIE RÓBMY Z UNII ZWIĄZKU SOWIECKIEGO

EKONOMIA

80 OLIVIER BAULT
BUDŻET UNII ZAKŁADNIKIEM IDEOLOGII
Polska i Węgry kontra niemiecka prezydencja

82 RADOSŁAW WOJTAS
UGOTOWANI

O ZDROWIU

90 KATARZYNA PINKOSZ
RAKA PŁUCA MOŻNA LECZYĆ SKUTECZNIEJ
Onkologia w czasach COVID-19

FELIETONY:

SEMKA (6), ZIEMKIEWICZ, JUREK (8), KOWALCZUK (9), GMYZ, GOCIEK (20), ZYCHOWICZ, KOPER (70), PRZYBYLSKI (79), GABRYEL, WARZECHA (84), KOMUDA (94), ZALEWSKI, MAKOWSKI (96), ROSZKOWSKI (97), CEJROWSKI (98)

eprasa.pl 993d4bce60

Drodzy Czytelnicy!

Zachęcamy do przesyłania korespondencji. E-maile prosimy kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

Samobójstwo narodu na zlecenie rządu

Bardzo smutne tegoroczne Święto Niepodległości. Nie ma radosnej manifestacji ani w Warszawie, ani w Krakowie, bo wirus, bo pandemia. Świętować nie ma zresztą czego, bo po raz pierwszy od lat nie czuję wspólnoty narodowej z obecną władzą (za którą przez wiele lat optowałam). Dziś uważam, że ta władza kompletnie nie sprawdziła się w czasie epidemii. Że doprowadza codziennie przez bezsensowną politykę lockdownu do coraz głębszych pęknięć tkanki społecznej. Co do mnie – od dziewięciu miesięcy jestem w pozaprawnym, przymusowym zamknięciu w największym w Krakowie DPS (oddział artysty seniora). Jak wiele tysięcy starców (ok. 80 tys.) pozostających pod władzą zupełnie niebywałej „opiekuńczości" państwa. Od dziewięciu miesięcy nie wolno nam wychodzić poza DPS, nie ma odwiedzin (odbywały się przez kilka tygodni w lecie, obecnie od dawna zawieszone). Całkowita izolacja od życia społecznego, od jakiejkolwiek aktywności fizycznej (zawieszona jest także rehabilitacja!). Mędrcom, którzy wiedzą, co jest dla najbardziej zagrożonych starców najlepsze i którzy do niedawna zapewniali nas, że ruch na świeżym powietrzu to zdrowie, ten argument dziś wypadł całkowicie. Jesteśmy jak zombie, jeszcze niby żyjemy. Ale co to za życie pozbawione swoich elementarnych społecznych funkcji – komunikowania się z innymi, swobodnego ruchu? I kiedy słyszę kolejnego eksperta czy „nauczyciela narodu", który z teatralną troską w głosie nawołuje starców „do pozostania w domu", chętnie odbezpieczyłabym nieistniejący rewolwer. W roli zombie występujemy zresztą dziś nie tylko my, starcy, skoszarowani na łasce państwa w DPS-ach. Do roli zombie sprowadzono całe społeczeństwo, odbierając mu wszelkie atrybuty istnienia – poza biologicznym przetrwaniem. Kiedy COVID wkraczał wiosną do Polski, zakażenia były minimalne – kilkaset w kwietniu! Co nie przeszkodziło władzy odebrać nam największych świąt chrześcijaństwa, Świąt Zmartwychwstania Chrystusa. Liczbę wiernych w kościołach ograniczono do jakiegoś śmiesznego minimum. Jeszcze usiłowaliśmy to sobie rozumowo tłumaczyć, że niby nasze przeżycia religijne będą głębsze. Mój Boże, nic błędniejszego! Pozwoliliśmy władzy, aby nas całkowicie bezkarnie ogołociła z naszych obywatelskich praw. Nikt jakoś nie przypominał wtedy rządzącym, że Europę od średniowiecza nawiedzały straszliwe, wyniszczające pandemie, ze śmiertelnością nieporównanie wyższą niż COVID, ale nikt jakoś kościołów nie zamykał – przeciwnie, stawały się miejscem szczególnie żarliwych modłów. [...]

Elżbieta Morawiec

Feministki

Mój syn jest uczniem pierwszej klasy nauczania zdalnego w Szczytnie. Podczas dzisiejszej lekcji jedna z matek, która dość aktywnie włączała się w prowadzenie lekcji, stwierdziła, że rysunek do zadania (Wielka Przygoda, 1 klasa, 1 część, ćwiczenia Edukacja polonistyczna), jest seksistowski, dyskryminujący, bo – jak uznała – jest niesprawiedliwe, że na rysunku tylko chłopiec jest grzeczny, bo dziewczyny zachowały się brzydko, a to zawsze jest tak, że to chłopiec źle się zachowuje. Zareagował na to mój siedmioletni syn, który zwrócił owej pani uwagę, że to tylko rysunek i jest mowa o dzieciach. Może pani by się uspokoiła, gdyby był podpis, że są to osoby niebinarne.

Pozdrawiam serdecznie

Imię i nazwisko do wiadomości redakcji

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ADRES: Tygodnik DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**

Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Łukasz Zboralski** (II sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas**

Kolegium komentatorów:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

Stali współpracownicy i felietoniści:
Kamila Baranowska, Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski, Wiesław Chełminiak, Dominika Ćosić *(Bruksela)*, **Tomasz Cukiernik, Krzysztof Czabański, Piotr Gursztyn, Marek Jurek, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk, Marcin Makowski, Monika Małkowska, Karolina Marchlewska-Trzmiel, Gabriel Michalik, Agnieszka Niewińska, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkosz, Tomasz Rowiński, Witold Repetowicz, Wojciech Roszkowski, Agnieszka Rybak, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Tomasz P. Terlikowski, Błażej Torański, Szewach Weiss, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Małgorzata Wołczyk, Jakub Wozinski, Tomasz Wróblewski, Igor Zalewski, Tomasz Zbigniew Zapert**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zofia Magdziak** (zastępca), **Antoni Trzmiel** (zastępca, także dziennikarz Telewizji Polskiej), **Zuzanna Dąbrowska** (także Radio Maryja), **Anna M. Piotrowska, Małgorzata Puzyr, Sandra Skibniewska, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Przemysław Harczuk** (także „Super Express")

Studio graficzne: **Wojciech Niedzielko** (szef studia), **Jakub Tański, Jacek Nadratowski, Włodzimierz Zakrzewski**
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Jadwiga Marculewicz-Olaś, Anna Zalewska, Marzena Dobosz**
Rysownicy: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **Marcin Kmieciński/PAP, Radosław Nawrocki/Forum**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

PMPG POLSKIE MEDIA SA
spółka notowana na GPW
POLSKI WYDAWCA

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Piotr Piaszczyk, Robert Pstrokoński, Ewa Rykaczewska
Zarząd Spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

FIRMA RODZINNA

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel. 500 112 386

PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż); **Joanna Nowakowska** (prenumerata wydawnicza), prenumerata@pmpg.pl, tel.: 539 953 631; **Monika Doroś,** tel. : 508 040 664

ISSN 2299-8500
Nr indeksu 288829
Nakład 57 tys. egzemplarzy

NAKŁAD KONTROLOWANY
ZWIĄZEK KONTROLI DYSTRYBUCJI PRASY

DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE
Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:
Prenumerata realizowana przez RUCH SA:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Ewentualne pytania prosimy kierować na adres
e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH" pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione.

© ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/

eprasa.pl 993d4bce60

PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Platforma z plasteliny

Rezolucja w sprawie faktycznego zakazu aborcji w Polsce" została przyjęta przez większość deputowanych Parlamentu Europejskiego. Projekt opracował Robert Biedroń, a wsparły go natychmiast cztery główne kluby europarlamentu – centrolewica, liberałowie, Zieloni oraz skrajni progresiści i komuniści z bloku lewica GUE/NGL. Po trwającym pewien czas hamletyzowaniu pod projektem podpisała się również centroprawicowa frakcja Europejska Partia Ludowa. Jak donosiło Deutsche Welle: „Niektóre zapisy są trudne dla unijnych chadeków. Chodzi m.in. o wezwanie Komisji Europejskiej do »włączenia prawa do aborcji do następnej strategii UE w dziedzinie zdrowia«, zaprzężenie unijnych przepisów antydyskryminacyjnych w zabiegi o dostęp do przerywania ciąży".

Zaraz, zaraz – spytać może czytelnik – przecież w EPP są także PO i PSL. Poparły krytykę kompromisu aborcyjnego zawartą w rezolucji? A może zaprotestował przewodniczący EPP Donald Tusk?

Cisza. Media o żadnych protestach nie doniosły.

A co w kraju? Borys Budka od ponad miesiąca dokonuje cudów ekwilibrystyki w unikaniu odpowiedzi na pytanie, czy PO jest za aborcją na żądanie i popiera wszystkie postulaty Strajku Kobiet. Co więcej, w Platformie wybuchła burza, gdy Grzegorz Schetyna sprzeciwił się niedawno postulatowi aborcji na życzenie i wezwał do ratowania tzw. kompromisu aborcyjnego. WP.pl cytuje parę anonimowych reakcji jego kolegów i koleżanek klubowych: „Nikt tego powrotu (do kompromisu) dziś nie chce, a »Schet« znów miesza w szeregach"; „Schetyna nie chodzi na protesty, a my zasuwamy dzień i noc. Gdy staramy się dogadać z Lewicą i budować poparcie wśród kobiet i młodych, Grzegorz wyjeżdża z »kompromisem« twardogłowych prawicowców z lat 90. I próbuje stworzyć wrażenie, że to jest stanowisko Platformy. No nie, nie jest. Partia się zmieniła. A Schetyna gra przeciwko kierownictwu PO celowo". W relacji jest tylko jeden głos obrony Schetyny: „Grzegorz nie powiedział nic nadzwyczajnego. Wyraził to, co myśli większość Polaków i działaczy PO. Nie wszyscy, ale większość".

Jeśli reporterzy WP oddali wiernie proporcje krytyk i głosów poparcia dla polityka z Wrocławia, to jest to doskonały przykład, jak presja medialna działająca na korzyść feministek łamie kręgosłup partii, która kiedyś jeździła na klasztorne rekolekcje.

Ktoś w PO mógłby spytać: Skoro nie wiadomo, w jakim stopniu w PO nastąpiła zmiana opinii w sprawie zasad aborcji, to może przeprowadzić jakąś dyskusję czy nawet wewnątrzpartyjne referendum?

Tak teoretycznie mogłoby być, ale jak podejrzewam, tak nie będzie. Dlaczego? Ponieważ partia Borysa Budki ślepo podąża za wzorcami z Zachodu. A tam jej polityczna matka EPP poparła silnie proaborcyjną rezolucję. I dokonali tego wszyscy ludowcy. Walec urawniłowki ideologicznej walcuje równo i bez spektakularnych protestów.

Na dobrą sprawę Platforma powinna skończyć z fikcją szefowania Borysa Budki. Szefową PO winna zostać Marta Lempart w duecie z Klementyną Suchanow.

Tyle że one akurat Platformą gardzą. Kto w świecie szanuje bowiem darmowego pomagiera? ©℗

FOT. YURI SMITYUK/TASS/GETTY IMAGES

WŁADYWOSTOK JAK KRAINA LODU

Takiej zimy we Władywostoku nie widziano przynajmniej od 30 lat. Warstwa lodu o grubości nawet 2 cm pokryła karoserie samochodów, zamieniając je w lodowe rzeźby. Gołoledź spowodowała paraliż nie tylko w ruchu drogowym i lotniczym. Setki tysięcy Rosjan zostały pozbawione prądu, bo pod ciężarem lodu pozrywały się linie energetyczne. Ponad 100 tys. osób nie miało też wody ani ogrzewania. Według prognoz na początku grudnia zima – wraz z mrozem i opadami śniegu – zawita również do Polski. *(jap)* ©℗

eprasa.pl 993d4bce60

ZA TYDZIEŃ Z „DO RZECZY” FABULARYZOWANY DOKUMENT „BŁOGOSŁAWIONA WINA”

Zuchwała kradzież w Watykanie

Jest rok 1631, kiedy 50-letni Mikołaj Sapieha, poseł na sejm i deputat Trybunału Litewskiego, podupada na zdrowiu. Według niektórych źródeł powodem może być tajemnicza tropikalna choroba, według innych – „choroba duszy”, którą współcześni mogliby zdiagnozować jako depresję.

Krajowi medycy rozkładają ręce, Sapieha słucha porady, by ratunku szukać w Watykanie. Rusza w pielgrzymkę do Stolicy Apostolskiej. Papież Urban VIII odprawia mszę w intencji zdrowia magnata w kaplicy przed obrazem z wizerunkiem Matki Bożej Gregoriańskiej. Jak głosi legenda, już w trakcie modlitwy w kaplicy Sapieha zaczyna czuć się lepiej. Zachwycony efektem, postanawia, że nie wyjedzie z Watykanu bez obrazu, któremu przypisuje poprawę swojego stanu zdrowia. Wierzy, że modląc się przed nim w rodzinnych stronach, zostanie całkowicie wyleczony.

Papież nie zgadza się jednak, by obraz opuścił watykańskie mury. Jednak ani wizja spalenia na stosie, ani perspektywa ekskomuniki nie powstrzymują zdesperowanego Sapiehy, który nie zważając na konsekwencje, przekupuje jednego ze strażników i z wykradzionym płótnem wraca do kraju. Z czasem do umieszczonego w kościele w Kodniu obrazu zaczynają przybywać pielgrzymi, a wizerunek Maryi staje się znany jako Matka Boża Kodeńska.

Ile tu faktów, a ile narosłej przez lata legendy? Trudno dziś orzec. Pełni obiektywnej historycznie prawdy nie da się dziś odtworzyć, bo brakuje na to dokumentów. Traktująca o tych wydarzeniach „Błogosławiona wina” nie jest zatem filmem historycznym, ale fabularyzowaną opowieścią wypełnioną pięknymi ujęciami dokumentalnymi i fabularnymi z Polski oraz Rzymu. Przyszłotygodniowe wydanie „Do Rzeczy” z płytą DVD i książeczką dostępne będzie w punktach sprzedaży przez trzy tygodnie w cenie 29,99 zł.

Z głębokim smutkiem zawiadamiam,
że 17 listopada 2020 roku zmarł w Krakowie

ŚP.

mjr Stanisław Władysław Szuro ps. Kruk, Zamorski

urodzony 19 października 1920 roku w Krakowie.

Od stycznia 1940 roku żołnierz
Związku Walki Zbrojnej,
a następnie Armii Krajowej
w Krakowskim Okręgu ZWZ-AK.
We wrześniu 1942 roku aresztowany przez gestapo.
Więzień niemieckiego obozu w Pustkowie,
KL Sachsenhausen i KL Bergen-Belsen.
Po wojnie, podczas studiów
na Uniwersytecie Jagiellońskim,
działał w konspiracyjnej Lidze Walki z Bolszewizmem
w strukturze Narodowej Organizacji Wojskowej.
W listopadzie 1946 roku aresztowany
przez władze komunistyczne,
następnie skazany na karę śmierci, zamienioną
na mocy amnestii na 15 lat pozbawienia wolności.
Więziony w Rawiczu, we Wronkach i w Strzelcach
Opolskich.
W lipcu 1956 roku zwolniony warunkowo.

Prezes Oddziału Krakowskiego
Związku Więźniów Politycznych
Okresu Stalinowskiego.
Nauczyciel i wychowawca, zasłużony w krzewieniu
polskiej tradycji niepodległościowej.

Uhonorowany Krzyżem Oficerskim
Orderu Odrodzenia Polski,
Medalem „Pro Bono Poloniae”
oraz innymi odznaczeniami.

Niech odpoczywa w Pokoju Wiecznym!

Cześć Jego Pamięci!

Jan Józef Kasprzyk
Szef Urzędu do Spraw Kombatantów
i Osób Represjonowanych

eprasa.pl 993d4bce60

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Szczęście Szymona

Najnowsze sondaże partyjne każą przypomnieć dwa stare powiedzonka. Pierwsze, że gdzie dwóch się bije, tam trzeci korzysta, a drugie o rolniku, który nic nie musi robić, bo samo mu rośnie. Powiedziałbym nawet, że polityk, w przeciwieństwie do tego hipotetycznego rolnika, nie tylko nie musi, ale wręcz niczego robić nie powinien. Tkwiąc w zawodzie komentatora politycznego od 30 lat (tak, też mi czasem trudno w to uwierzyć), wielokrotnie już obserwowałem, jak polityk nieobecny dostaje sondażową premię za nieobecność. Inna sprawa, że nie pamiętam wypadku, by ta premia przełożyła się potem na realny wyborczy sukces.

Szczęście Szymona Hołowni, bo to on właśnie okazuje się sondażowym zwycięzcą ostatnich tygodni, może więc być szczęściem krótkotrwałym. Jednak wskazania na poziomie 20 proc. dla partii, której praktycznie nie ma, i polityka-niepolityka, który ją firmuje, choć sam do niej nie należy, jest w każdej właściwie sprawie za i przeciw oraz nie potrafi wyartykułować żadnego spójnego programu, poza ogólnym „żeby było lepiej", coś pokazuje.

Nie jest to nic nowego. Polacy, poprzez udzielanie ankieterom takich, a nie innych wskazań, dają znać, że nie życzą sobie politycznej wojny, agresji, brutalności, że są tym już zmęczeni. Że wszyscy protagoniści tej bijatyki dawno im już obrzydli i chcieliby kogoś innego. Najlepiej kogoś, kto deklaruje umiarkowanie.

Takie sygnały dostaje klasa polityczna od społeczeństwa już od dawna. Przez wiele lat po skoczeniu sobie PiS i PO do gardeł większość ankietowanych wciąż wskazywała koalicję tych dwóch partii jako wymarzoną władzę w kraju. Wcześniej deklaracje: „Chcę łączyć, a nie dzielić, kocham wszystkich" dały Aleksandrowi Kwaśniewskiemu dwie kadencje, później zaś podobne zapewnienia o „polityce miłości" pozwoliły wygrać Tuskowi, który zresztą natychmiast zajął się budowaniem polityki nienawiści i pogardy.

Klasa polityczna postanowiła jednak grać w co innego – w eskalowanie wzajemnej nienawiści i zarządzanie nią. I jakoś nikt nie umie temu położyć kresu. Na Hołownię też bym nie liczył. ©℗

MAREK JUREK

OD POCZĄTKU

Przesilenie

Minął z okładem miesiąc od początku antykonstytucyjnej rebelii, po rekapitulacji faktów czas więc – jak zapowiadałem – na wstępne wnioski z wydarzeń.

Po pierwsze – jeśli mamy w nadchodzących czasach przetrwać jako naród chrześcijański, to musimy pamiętać, że nasza tożsamość nie jest faktem „naturalnym" (nikt nie rodzi się ochrzczony), ale kulturalnym, a przede wszystkim moralnym. Wymaga osobistych decyzji dostatecznej liczby osób, by dla innych mogła pozostać „oczywista". Na aborcjonistyczną rewoltę kraj zareagował konsternacją, tymczasem na manifestacje najlepszą odpowiedzią są… manifestacje. Na czerwony maj de Gaulle odpowiedział demonstracją na Polach Elizejskich, a potem wygrał wybory.

Po drugie – opinia chrześcijańska musi mieć swoją reprezentację, politykę, a przynajmniej samodzielność sądu. Władza zrobiła dużo, żeby nas politycznie zdemobilizować. Tymczasem cywilizacja chrześcijańska potrzebuje polityki – jak wszystko. Nie wystarczy chcieć, „żeby ludziom było dobrze", by zapewnić gospodarce wzrost, nie wystarczy być „za pokojem", by zapewnić ojczyźnie bezpieczeństwo, i nie wystarczy być „pro-life", by efektywnie przeciwstawić się aborcjonizmowi. W latach 1993, 1997, 2007, walcząc o życie, potrafiliśmy uniknąć awantur, więc tę konfrontację kontrolować można, ale to jest właśnie polityka.

Po trzecie – należy uświadomić społeczeństwu, że dziś, owszem, toczy się walka w obronie chrześcijańskiej cywilizacji życia, ale przede wszystkim – w obronie cywilizacji w ogóle. Tę cenną naukę dała Polsce pani Lempart. Cywilizacja to życie wspólne, wspólne instytucje, kultura i język, to pamięć i odpowiedzialność za przyszłe pokolenia.

Tyle wniosków na razie wystarczy, bo nie chodzi o to, by je mnożyć, ale by je realizować. Coś się kończy, coś się zaczyna. Być może to koniec Polski katolicko-„bezwiednej". „Oczywistość" ma swój urok i komfort, ale to „krzepiąca wiedza" rodzi wytrwałość i siłę. ©℗

eprasa.pl 993d4bce60

PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

O narodowej amnezji

Znany włoski dziennikarz telewizyjny i pisarz Bruno Vespa, do którego kiedyś zadzwonił w czasie programu Jan Paweł II z podziękowaniami, wydał właśnie kolejną książkę pt. „Dlaczego Italia kochała Mussoliniego". Prezentował ją w telewizji publicznej RAI. Powiedział, że Mussolini cieszył się przed drugą wojną wielką popularnością w kraju i za granicą, głównie dzięki polityce społecznej: 40-godzinny tydzień pracy, stworzenie instytutu opieki społecznej, kolonie dla dzieci etc. To wystarczyło. Rozpętało się piekło. Szczególnie we włoskim Internecie: „Bruno Vespa i RAI gloryfikują Mussoliniego i faszyzm!", „Vespa i RAI tęsknią za faszyzmem", „Apologia Mussoliniego!".

Sęk w tym, że to wszystko prawda. Włosi kochali Mussoliniego. Przy czym trudno Vespie zarzucić jakiekolwiek profaszystowskie sympatie. W swoich książkach poświęconych współczesnej historii Italii (wydaje nową niemal co roku) bezlitośnie rozliczał się z mrocznymi czasami faszyzmu. Opisał, jak Mussolini zamordował demokrację, ale pisał też o tym, że naród z ogromnym entuzjazmem przyjął podbicie Abisynii (1936 r.) z użyciem gazów bojowych, a wprowadzenie haniebnych ustaw rasowych Mussoliniego (1938 r.) praktycznie nie spotkało się z żadnym protestem. O tym, że Włosi wielbili Mussoliniego do czasu pierwszych klęsk wojennych, pisał najwybitniejszy historyk faszyzmu Renzo De Felice. Naukowca atakowali za to (też fizycznie) jego studenci.

Co poraża, nawet dziś, 75 lat po śmierci Mussoliniego, za sprawą zideologizowanych fałszerzy historii, ta prawda przedziera się z ogromnym trudem. Fałszerze wygrali. Królują ignorancja i agresywna, zadowolona z siebie głupota. Przysłuchując się włoskiej ulukrowanej wersji dziejów, można pomyśleć, że w 1922 r. (wówczas odbył się marsz na Rzym) w Italii wylądowali jacyś kosmici faszyści pod wodzą Mussoliniego i zniewolili cały kraj. Natomiast 21 lat później bohaterski naród pod wodzą komunistów chwycił za broń i z drobną pomocą aliantów przegonił najeźdźców na cztery wiatry. ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

MIĘDZY TWEETAMI

Marcin Makowski

Media wolne po naszemu

Strajk Kobiet, choć na ulicach mniej liczny niż w październiku, nie przestaje dostarczać wyszukanych, twitterowych treści. Zacznijmy od wieści z frontu. „Policjanci wezwali karetkę pogotowia do jednej z osób, która tak zapalczywie usiłowała wyrwać kratę zabezpieczającą szybę w policyjnym radiowozie, że doznała urazu ręki. Pomocy lekarskiej wymaga także osoba, która przykleiła sobie dłoń szybkoschnącym klejem do bramy wejściowej budynku" – ogłosiła warszawska policja po proteście przed siedzibą Ministerstwa Edukacji Narodowej.

Gorąco zrobiło się również po tym, gdy ta sama policja zatrzymała fotoreporterkę. „Nie wpisy na TT w obronie zatrzymanej dziennikarki, tylko wielkie zbiorowe WYP.....Ć wolnych mediów w kierunku PiS chciałybyśmy zobaczyć. Koniec z zapraszaniem tych gnoi, koniec z cytowaniem ich, zero, null, niech znikną. Aż Kaczyński przeprosi. #WolneMedia" – zaapelował instynktownie Strajk Kobiet.

I gdy dziennikarze chcieli wejść na konferencję prasową, licząc na to, że hasło „Wolne media" zobowiązuje, niektórzy usłyszeli: „»Jesteście psami«. Mogę się mylić, ale tak chyba żaden polityk jeszcze do dziennikarzy nie mówił, a jeśli mówił, to na pewno podniosłoby się wielkie oburzenie" – zauważyła Kataryna. „Z tą małą różnicą, że nie jestem polityczną i akurat ktoś się włamał na bezczela do prywatnego lokalu. Psy na służbie partii" – odparła jej Klementyna Suchanow.

Na koniec kącik unijny. „Porównywanie groźby weta Holandii do groźby polskiego weta to żart. Holandia płaci, więc wymaga. Nasz kraj z unijnej kasy więcej bierze, niż dokłada – więc weto to nie jest zajmowanie stanowiska negocjacyjnego, ale strzał we własne kolano..." – zadeklarowała Kamila Gasiuk-Pihowicz. „Nie. W polityce ważny jest realizm. Tego realizmu rządowi brakuje. Ale odpowiedzią nie jest uważanie się za »tych gorszych«. Korzyści z UE są wzajemne. Fundusze unijne to nie jałmużna. Potrzebujemy polityki proeuropejskiej, dużo bliższej niż dziś współpracy. Ale nie serwilizmu" – odpisał jej przytomnie – i tutaj przyjemne zaskoczenie – Adrian Zandberg. ©℗

eprasa.pl 993d4bce60

W kategorii Twórca nagrodą Strażnik Pamięci uhonorowano prof. Wojciecha Roszkowskiego. Na zdjęciu z Pawłem Lisickim, redaktorem naczelnym „Do Rzeczy", i publicystą tygodnika Piotrem Semką

FOT. PIOTR WOŹNIAKIEWICZ/ARSLUMEN.PL(5)

Pamięć i przyszłość

Podczas uroczystej gali w pawilonie wystawowym Foksal Stowarzyszenia Architektów Polskich po raz ósmy wręczono nagrody Strażnik Pamięci

Tegoroczna gala nagrody Strażnik Pamięci była – ze względu na pandemię – wyjątkowa. Redakcja „Do Rzeczy" zrobiła jednak wszystko, by nie przerwać wieloletniej tradycji wręczania tego wyróżnienia.

Otwierający uroczystość Paweł Lisicki, redaktor naczelny „Do Rzeczy", zaznaczył, że odkąd w 2013 r. tygodnik zaczął wręczać nagrodę Strażnika Pamięci, skupiano się na podkreśleniu wagi polskiej historii i polskiej pamięci. – Wydawało się nam to rzeczą kluczową, zwłaszcza że po roku 1989 wiele innych mediów i ośrodków starało się wpoić Polakom pedagogikę wstydu – przypomniał redaktor naczelny „Do Rzeczy". – My chcieliśmy podkreślać to, co wielkie i wspaniałe. W tym roku ta nagroda nabrała jednak szczególnego wyrazu. Chcieliśmy pokazać, że Strażnik Pamięci to nie jest tylko strażnik pamięci Polski, lecz także strażnik pamięci Europy, kultury łacińskiej, naszej cywilizacji.

Rafał A. Ziemkiewicz, który prowadził tegoroczną galę, przeczytał list skierowany do uczestników spotkania przez prezydenta Andrzeja Dudę.

„Pamięć historyczna jest jednym z najważniejszych wyznaczników wspólnej tożsamości naszego narodu. To wielka zasługa licznych osób i środowisk, organizacji, instytucji, których osiągnięcia honoruje ten doroczny laur. Dzięki kreatywnym inicjatywom, wytrwałej pracy społecznej i opiece mecenasów młodzi Polacy rozróżniają, kto w naszej historii zasługuje na upamiętnienie, a kto na potępienie. Kto był bohaterem, a kto zdrajcą. Jestem przekonany, że to wspaniały kapitał społeczny, który będzie procentował dla naszego wspólnego dobra – Rzeczypospolitej" – napisał prezydent i pogratulował laureatom.

Nagrody Strażnika Pamięci 2020 przyznano w trzech kategoriach – Mecenas, Instytucja i Twórca. Wręczono także nagrodę specjalną za program „Kultura w sieci" oraz nagrodę Instytutu Felczaka przyznawaną pod patronatem „Do Rzeczy" – nagrodę dla Strażnika Wartości.

TWÓRCA

– Profesor Wojciech Roszkowski w latach 70. podjął się rzeczy, na którą nie poważyli się inni w świecie historii. Chodziło o napisanie krótkiej historii Polski w XX w. – mówił Piotr Semka w laudacji. – Odniósł ogromny sukces, bo jego dzieło przypadło na lata, w których lekką ręką przekreślano dorobek II Rzeczypospolitej, Mikołajczyk był zdrajcą, Anders – tchórzem, a powojenne podziemie uważano za „morderców". Książka prof. Roszkowskiego trafiła pod strzechy jako kompendium wiedzy niezafałszowanej. Profesor mógłby uznać, że jego zadanie zostało wypełnione. Wielu naukowców poprzestało na 1989 r., uznając, że „historia się skończyła". Być może opatrzność dobrze sprawiła, że prof.

WSPÓŁORGANIZATORZY
NARODOWE CENTRUM KULTURY
PROJEKT ZREALIZOWANY WE WSPÓŁPRACY Z NARODOWYM CENTRUM KULTURY
Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego
DOFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW MINISTRA KULTURY, DZIEDZICTWA NARODOWEGO I SPORTU
INSTYTUT WSPÓŁPRACY POLSKO-WĘGIERSKIEJ IM. WACŁAWA FELCZAKA
PARTNER STRATEGICZNY
ORLEN
MECENAS
PZU
PARTNERZY
Grupa Inwest HM Inwest S.A.
KGHM POLSKA MIEDŹ

eprasa.pl 993d4bce60

Roszkowski mógł zostać eurodeputowanym i przyjrzeć się, jak wygląda zjawisko samonienawiści kultury zachodniej wobec swoich łacińskich i chrześcijańskich korzeni – wyliczał. I dodał, że prof. Roszkowski zajął się analizą tych zjawisk w swoich książkach.

Nagrodę w kategorii Twórca laureatowi wręczył Paweł Lisicki. – Przypomina mi się takie pytanie: Co to myśmy mieli dobrego? To chyba była pamięć – mówił prof. Roszkowski. – Chyba dziś, obserwując niektóre sceny uliczne, znów możemy sobie zadać to pytanie: Czym jest w ogóle pamięć? Człowiek bez pamięci jest człowiekiem bez tożsamości. I myślę, że to jest ogromne zagrożenie dla świata współczesnego, dla Polski również – przestrzegał. Po czym zwrócił się do czytelników: – My, historycy, staramy się pamięć odświeżać. Ale problem jest z tym, żeby państwo czytali. To wy szerzycie pamięć, my jesteśmy tylko pośrednikami. To wy utrwalacie pamięć i przekazujecie z tego, co wyczytacie i sami wiecie. Jeśli tego nie będziecie robić, to będziemy mieli wyłącznie jakieś absurdalne demonstracje.

INSTYTUCJA

Laudację na cześć laureata nagrody w kategorii Instytucja wygłosił Marek Jurek, były marszałek Sejmu, publicysta „Do Rzeczy". – W jednym z największych dzieł współczesnej kultury chrześcijańskiej, w filmie „Oto jest głowa zdrajcy" Freda Zinnemanna, św. Tomasz More mówi, że kocha prawo, bo prawo jest bronią słabych. Te słowa mogłyby stać się dewizą Instytutu Ordo Iuris – powiedział Marek Jurek. – Pierwszym przedmiotem swej działalności instytut uczynił kulturę prawną, a więc przywracanie relacji między prawem stanowionym a prawem przyrodzonym, a więc między fundamentami konstytucji Rzeczypospolitej a polską legislacją, między godnością i wolnością ludzi a prawem, które ma je gwarantować. Po dziesięcioleciach panowania marksistowskiej, instrumentalnej koncepcji prawa, według której prawo miało być narzędziem kontroli społecznej w rękach totalitarnej władzy, po przejściu wyniszczonego przez komunizm społeczeństwa pod władzę liberalnej koncepcji, widzącej w prawie jedynie gwarancje prywatnych interesów, co łatwo zamienia się w samowolę wpływowych grup interesu – misja podjęta przez Instytut Ordo Iuris miała wymiar najzupełniej narodowy. Ale jej pełna wartość polegała i polega na tym, że nie zatrzymała się, choć mogła, na promocji zasad, na planie teoretycznym. Zasady te bowiem instytut urzeczywistnia w niestrudzonej pracy legislacyjnej, eksperckiej i interwencyjnej, w publikacjach i na rozprawach, w codziennej walce o prawa natury ludzkiej i prawa konkretnych ludzi. Stąd płynie jego rosnący autorytet.

Prezesowi Instytutu Ordo Iuris Jerzemu Kwaśniewskiemu nagrodę Strażnika Pamięci wręczył redaktor naczelny „Do Rzeczy". – Chciałem podziękować za ten wyraz uznania, bardzo szczególny, bo nazywający nas „instytucją", a to jest pewien dowód zapuszczenia korzeni w przestrzeni publicznej, w polskiej debacie publicznej i być może pewne świadectwo pierwszych owoców, które instytut po kilku latach swojego funkcjonowania zaczyna wydawać – mówił Jerzy Kwaśniewski. – Owoce te mają być antidotum na upadek powagi prawa. Prawa, które zawsze nam, przedstawicielom cywilizacji łacińskiej, kojarzy się z pewnością, ze stabilnością. Prawa, które nadaje sankcje normom naturalnym. Które przywołuje powagę przyrodzonych i niezmiennych norm.

MECENAS

– Istnieją dziesiątki tysięcy miejsc, które upamiętniają Polaków, którzy zginęli z rąk niemieckiego okupanta podczas drugiej wojny światowej – mówił w laudacji Piotr Gociek z „Do Rzeczy". – W samej Warszawie i jej okolicach w 1949 r. upamiętniono ponad 450 miejsc walk lub publicznych egzekucji. Znalazły się tam specjalne tablice zaprojektowane przez Karola Tchorka. Zaledwie 167 tych tablic przetrwało do dzisiejszych czasów. Oczywiście każda z tych, które zniknęły, jest wielkim wyrzutem sumienia wobec współczesnych. Ale mam dla państwa bardzo dobrą wiadomość. Te tablice, które ocalały, zyskują nowe życie. Przetrwają wykonane na nowo, poprawione tam, gdzie trzeba było zlikwidować historyczne nieścisłości, opatrzone napisami w języku polskim i angielskim, oznaczone kodem QR działającym z aplikacją mobilną. Mnóstwo informacji znajdą państwo na ten temat na stronie Tablicepamieci.pl. Jest zatem co najmniej 167 powodów, by tegoroczna nagroda Strażnik Pamięci w kategorii Mecenas trafiła do pomysłodawcy i fundatora projektu „Tablice pamięci" – Fundacji PGE.

Nagrodę odebrał prezes PGE Wojciech Dąbrowski, a wręczyła ją Urszula Hofman ze spółki JP Development działającej w ramach międzynarodowego konsorcjum Grupa Invest. – Czuję się zaszczycony przyznanym tytułem Strażnika Pamięci – mówił prezes Dąbrowski. – Słowa marszałka Piłsudskiego: „Kto nie szanuje i nie ceni swojej przeszłości, ten nie jest godzien szacunku teraźniejszości ani prawa do przyszłości", które są mottem tej nagrody, miały dla mnie zawsze szczególną wartość – mówił. I podkreślił, że jest z wielopokoleniowej rodziny z Warszawy. – Po wyzwoleniu w 1945 r. powracający do zburzonego miasta mieszkańcy spontanicznie upamiętniali miejsca, w których Niemcy dopuszczali się masowych mordów. Od lat 50. zaczęto umieszczać tablice pamiątkowe – płaskorzeźbę opartą na krzyżu maltańskim – które zaprojektował warszawski rzeźbiarz Karol Tchorek w ramach konkursu ogłoszonego przez Stowarzyszenie Architektów Polskich. Tablice Tchorka znają wszyscy warszawiacy. Dla mnie były stałym elementem miasta. Towarzyszyły mi od dzieciństwa. Z biegiem lat wiele osób zapomina, co się na nich znajduje, a każda z nich to ogrom cierpień ludzkich – dodawał prezes PGE. – Projekt „Tablice pamięci" przywraca tym pomnikom należną rangę. Nie możemy

W kategorii Instytucja nagrodzono Instytut Ordo Iuris. Nagrodę odebrał jego szef mec. Jerzy Kwaśniewski

Nagrodę w kategorii Mecenas odebrał prezes PGE Wojciech Dąbrowski

eprasa.pl 993d4bce60

pozwolić, aby świadectwo tragicznych dni warszawiaków zniknęło również z naszej pamięci. Dlatego ważny jest też edukacyjny aspekt projektu.

NAGRODA SPECJALNA

Podczas przyznawania nagrody specjalnej laudację wygłosił Karol Gac, szef portalu DoRzeczy.pl. – W 1869 r. szwajcarski badacz Fryderyk Miescher odkrył DNA. Jego struktura była tajemnicą przez blisko 100 lat. DNA jest nośnikiem informacji organizmów żywych. Dzięki DNA możemy widzieć i wiedzieć więcej. To jest bowiem tylko teoria i niedopowiedzenie. Cóż bowiem z DNA narodu? Jak to się dzieje, że mamy unikalne cechy, którymi możemy się odróżniać od innych nacji? Myślę, że wielu z nas zgodzi się, że fundamentem jest kultura – mówił Gac. Zauważył, że podczas pandemii życie wszystkich krajów zamarło, a kultura była jednym z obszarów szczególnie dotkniętych w tym czasie. Twórcy żyli w niepewności. – Jednak powstał specjalny program będący częścią rządowej tarczy antykryzysowej. Był to program „Kultura w sieci", który odpowiedział na apele twórców i odbiorców. Pod względem zasobów i wdrażania był to też program bezprecedensowy. Dzięki niemu kultura mogła przenieść się do sieci.

Nagrodę za program „Kultura w sieci" z rąk Pawła Lisickiego odebrał prof. Piotr Gliński, wicepremier i minister kultury, dziedzictwa narodowego i sportu. – Pewnie wszyscy tak mówią, ale ja naprawdę się nagrody nie spodziewałem. Bo jestem czytelnikiem państwa tygodnika, krytycznym, ale też jestem osobą krytykowaną i tak pewnie być powinno, to jest ciekawy, ważny dialog – wyznał minister Gliński. – Ale że polityk może otrzymać nagrodę od tak niezależnego, niepokornego i ważnego centrum medialnego, centrum opinii, centrum debaty o polskich sprawach, to jest rzecz z mojego punktu widzenia niespodziewana i bardzo dziękuję – dodawał. Wicepremier wyliczał, że w ramach programu Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego zrealizowanych zostało w Internecie 3,5 tys. projektów kulturalnych.

Nagrodę specjalną za program „Kultura w sieci" odebrał prof. Piotr Gliński, wicepremier i minister kultury, dziedzictwa narodowego i sportu

Na koniec gali wręczono nagrodę specjalną przyznawaną pod patronatem tygodnika „Do Rzeczy" przez Instytut Współpracy Polsko-Węgierskiej im. Wacława Felczaka.

– Mimo młodego wieku, dzięki sporemu doświadczeniu zdobytemu podczas pracy za granicą, m.in. w Parlamencie Europejskim, zabierany przez laureata głos należy w ostatnim czasie do najgłośniejszych wśród tych podejmujących problematykę Grupy Wyszehradzkiej, zgodnej z prawem praworządności, praw rodziny i dzieci – mówił w laudacji dr hab. Maciej Szymanowski, dyrektor Instytutu im. W. Felczaka.

Nagrodą instytutu wyróżniono dr Judit Vargę, minister sprawiedliwości Węgier. – Myślę, że ta nagroda wykracza poza moją osobę i stanowi uznanie wszystkiego, co nas łączy i w co wszyscy wierzymy: w opartą na suwerennych narodach, wielobarwną i silną Europę, gdzie fundamentem społeczeństwa jest rodzina, chrześcijaństwo i konserwatywne wartości – mówiła w filmowym podziękowaniu, nieobecna z powodu pandemii na uroczystości minister Varga. – To wyróżnienie jest dla mnie potwierdzeniem, że kierunek, który obrały nasze kraje, jest słuszny nawet w sytuacji, gdy wielu jest przeciwko nam. Ta nagroda to drogowskaz w tej walce, pochodnia, której światło zawsze wskazuje drogę wiodącą ku naszym wspólnym wartościom i naszym wspólnym celom.

Nagrodę dla węgierskiej minister odebrała abmasador Węgier w Polsce Orsolya Zsuzsanna Kovács. ©℗ ***Łukasz Zboralski***

Relacja wideo z gali dostępna jest na portalu DoRzeczy.pl. Tam także znaleźć można wywiady z nagrodzonymi oraz treść wystąpienia prezesa PGE Wojciecha Dąbrowskiego.

- **Wywiad z minister sprawiedliwości Węgier Judit Vargą** – s. 76
- **Comiesięczny felieton prof. Wojciecha Roszkowskiego** – s. 97

NOMINOWANI I NAGRODZENI

- **Kategoria Twórca**
  Nagrodzony: prof. Wojciech Roszkowski
  Nominowani: Jerzy i Barbara Kłaputowie, Jacek Komuda
- **Kategoria Instytucja**
  Nagrodzony: Instytut Ordo Iuris
  Nominowani: fundacja Wolność i Demokracja, wydawnictwo Biały Kruk
- **Kategoria Mecenas**
  Nagrodzony: Fundacja PGE
  Nominowani: Orlen, PGNiG
- **Nagroda specjalna**
  Ministerstwo Kultury, Dziedzictwa Narodowego i Sportu
- **Nagroda pod patronatem „Do Rzeczy" Instytutu Współpracy Polsko-Węgierskiej im. Wacława Felczaka**
  Minister sprawiedliwości Węgier dr Judit Varga

Nagrodę Instytutu im. Felczaka dla minister sprawiedliwości Węgier Judit Vargi z rąk Macieja Szymanowskiego odebrała ambasador Węgier Orsolya Zsuzsanna Kovács

eprasa.pl 993d4bce60

WYDAWNICTWO ESPRIT POLECA

Wszystkie książki ze specjalnym rabatem –40%

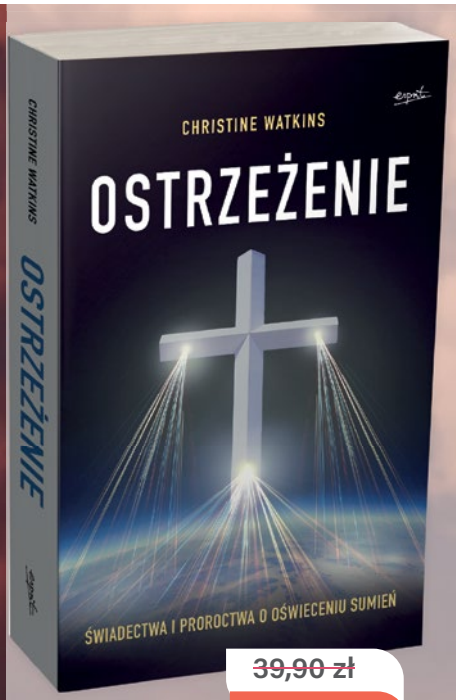

~~39,90 zł~~
23,90 zł

Christine Watkins

OSTRZEŻENIE

Poznaj proroctwa i przepowiednie świętych o zbliżającym się **ostrzeżeniu i trzech dniach ciemności, przekazane m.in. św. Faustynie.** Przeczytaj szokujące świadectwa osób, które już doświadczyły oświecenia sumienia, zwanego także małym sądem.
[416 str.]

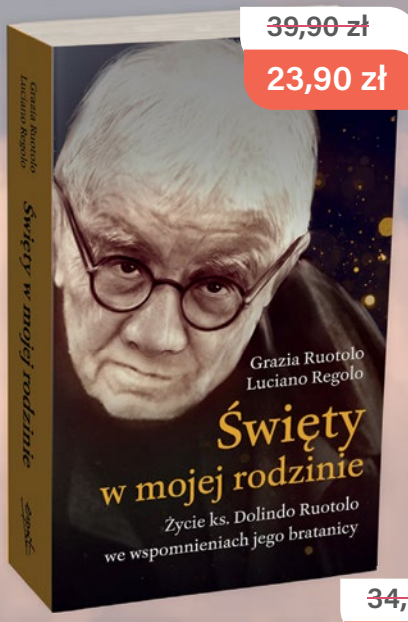

~~39,90 zł~~
23,90 zł

Grazia Ruotolo
Luciano Regolo

ŚWIĘTY W MOJEJ RODZINIE

Wzruszające wspomnienia bratanicy **ks. Dolindo Ruotolo,** mistyka i autora potężnej modlitwy *Jezu, Ty się tym zajmij!*.
[246 str. + 32 str. kolorowe]

~~34,90 zł~~
20,90 zł

Joanna Bątkiewicz-Brożek

JEZU, RATUJ!

Autorka bestsellerowej biografii **ks. Dolindo Ruotolo,** słynnego mistyka z Neapolu, pokazuje, jak potężna modlitwa *Jezu, Ty się tym zajmij!* może uratować nas w czasie największych życiowych burz i katastrof.
[336 str.]

GRATISY DO ZAMÓWIEŃ:

PREZENT! **Do każdego zamówienia powyżej 70 zł** otrzymasz wyjątkowy modlitewnik na trudne dni: ***Modlitewnik do św. Józefa***.

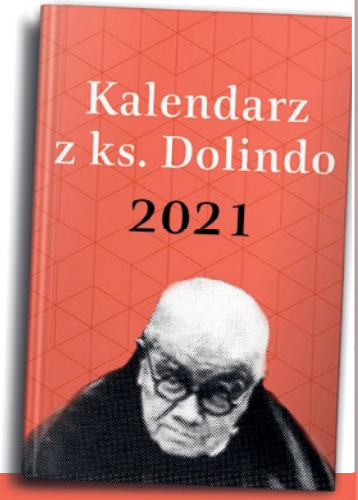

Jeśli złożysz zamówienie powyżej 70 zł i zapiszesz się do subskrypcji naszego darmowego **Katalogu Dobrych Książek** (wysyłane pocztą bezpłatne czasopismo z ciekawymi artykułami i prezentacją naszych książek), dodatkowo otrzymasz **jeszcze jeden specjalny upominek** – ***Kalendarz z ks. Dolindo*** na rok 2021.

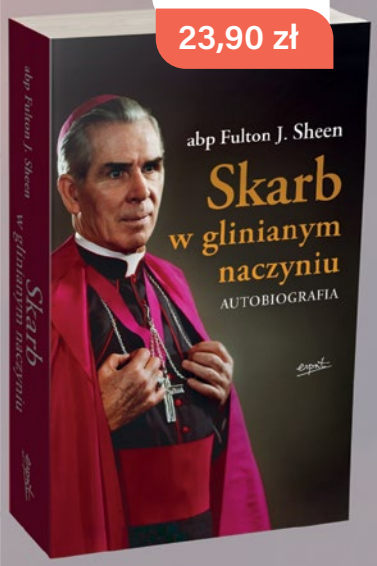

~~39,90 zł~~
23,90 zł

abp Fulton J. Sheen

SKARB W GLINIANYM NACZYNIU

Autobiografia jednego z najważniejszych ludzi Kościoła XX wieku, która stanowi jego prawdziwy testament duchowy. Poznaj niezwykłe życie legendarnego **abpa Fultona Sheena** – pasterza, który nawrócił miliony.
[496 str.]

Przy zamówieniu internetowym oferujemy dodatkową promocję: zaloguj się, kupuj i zbieraj złotówki na kolejne zakupy. Sprawdź!
Zamów na **www.esprit.com.pl** lub telefonicznie: **12 267 05 69**.
Przy zamówieniach powyżej 49 zł darmowa dostawa!

eprasa.pl 993d4bce60

System, który pomoże Polakom. Branże przyszłości już czekają

eprasa.pl 993d4bce60

Praca w jednym zakładzie aż do emerytury to już dziś pieśń przeszłości. Przyszłość to nie tylko zmiana miejsca pracy, lecz także branży. I to nawet częsta. Jak przetrwać na tak dynamicznym rynku pracy?

Stabilny przez dekady rynek pracy znają już tylko polscy seniorzy – ci, którzy pracowali jeszcze w czasach, kiedy gospodarka nie była rynkowa. Nowe pokolenia zderzały się już ze wszystkim, co niesie urynkowienie i rozwój, a oznacza to o wiele większe szanse na lepsze życie i zawodowy rozwój. Pod jednym warunkiem – że rozumie się elastyczność zmieniającego się świata i stawia się na te kompetencje, które pozwalają na szybkie przystosowanie się do zmian.

Rynek pracy zmienia się w szybkim tempie. Wpływ na to ma wiele czynników, m.in. wciąż postępujące automatyzacja i cyfryzacja, zmiany nawyków konsumenckich. Dołóżmy do tego jeszcze jeden czynnik, obecny także w Polsce, czyli starzenie się populacji. To nie tylko kurczący się zasób pracowników, lecz także coraz starsi pracownicy. Czy automatyzacja i robotyzacja rozwiną się tak szybko, by masowo odciążać pracowników z zadań wymagających siły fizycznej? A czy coraz starsi ludzie będą mogli wciąż rozwijać swoje umiejętności, głównie w ramach pracy intelektualnej?

RYNEK PRACY PRZYSZŁOŚCI

Wspólny raport firmy edukacyjnej Pearson, eksperta z Oxford Martin School oraz fundacji Nesta („Future of Skills. Employment in 2030") wskazuje, że obecnie zaledwie 10 proc. osób pracuje w zawodzie, na który w najbliższych latach będzie rosło zapotrzebowanie, 20 proc. wykonuje mechaniczną pracę, którą w ciągu dekady przejmą roboty, a 70 proc. nadal będzie pracować w dotychczasowych zawodach, ale one same się zmienią.

Raport wymienia perspektywiczne branże w kontekście kolejnej dekady. Według jego autorów należy brać pod uwagę trendy, które będą się nasilać, oraz społeczne determinanty. Są to: idea zrównoważonego rozwoju („zielony sektor" oraz „zielone miejsca pracy"); urbanizacja (nowe miejsca pracy poprzez uprzemysłowienie); nierówności społeczne (narastanie dysproporcji), zmiany polityczne (niepewność wpływająca na zatrudnienie w finansach, budownictwie, inżynierii, opiece zdrowotnej); nowe technologie (wraz z automatyzacją pojawi się wiele nowych miejsc pracy); globalizacja (rynki pracy będą coraz bardziej zintegrowane, ale nie zmniejszy to ryzyka krachów finansowych); zmiany demograficzne (pojawią się inwestycje w nowych branżach).

Według raportu „Future of Skills. Employment in 2030" w najbliższej dekadzie najlepszą perspektywę na rynku pracy mają następujące obszary: logika, matematyka, fizyka; biologia i chemia; geografia, historia i archeologia; języki obce; procedury administracyjne i zarządcze; budownictwo i konstrukcje; produkcja i komunikacja medialna; informatyka i elektronika; ekonomia i rachunkowość; edukacja i szkolenie; medycyna i stomatologia; psychologia, terapia i poradnictwo; socjologia i antropologia; sprzedaż i marketing; inżynieria i technologia; mechanika; produkcja żywności i przetwórstwo; bezpieczeństwo publiczne i telekomunikacja; transport.

ZMIEŃ NAWYKI I SKORZYSTAJ Z ZSK

– Mówi się – i to jest prawdziwe – że o naszej przyszłości na rynku pracy będzie decydowało to, w jakim stopniu jesteśmy elastyczni. Jak szybko jesteśmy w stanie porzucić dotychczasowe nawyki i przestawić się, poznawać nowe procesy – wskazuje Małgorzata Osowska z Instytutu Badań Edukacyjnych. – Trzeba się uczyć przez całe życie – zaznacza.

Narzędziem, które w przyszłości pomoże w szybkich zmianach na rynku pracy, jest rozwijany w krajach UE, w tym w Polsce, Zintegrowany System Kwalifikacji. Na rynku istnieje bowiem wiele kursów i szkoleń zakończonych certyfikatami. Tylko – niestety – nie wszystkie z nich przedstawiają realną wartość dla pracodawców.

Prowadzony przez Instytut Badań Edukacyjnych Zintegrowany System Kwalifikacji skupił ekspertów wielu branż, którzy mieli wpływ na przedstawienie wiedzy i kompetencji w wielu sektorach. Dzięki temu za pomocą ZSK można łatwo sprawdzić wymagania i przystąpić do certyfikacji własnych umiejętności i wiedzy. Ponieważ rozwijamy się przez całe życie i zdobywamy nowe umiejętności, czasem wystarczy jedynie nabycie cząstkowych kompetencji składających się na kwalifikację, którą chce się formalnie potwierdzić.

WIARYGODNY DOKUMENT W UE

– Nie każdy ma świadomość, że zdobywa nowe kwalifikacje, podejmując nową pracę, realizując nowe projekty czy prywatne pasje. Dzięki wdrażanemu przez IBE Zintegrowanemu Systemowi Kwalifikacji można tak zdobyte umiejętności potwierdzać i przedstawiać pracodawcom – wyjaśnia Małgorzata Osowska.

Certyfikat zdobyty za pośrednictwem walidacji w Zintegrowanym Systemie Kwalifikacji to wiarygodny dokument nie tylko dla pracodawców w Polsce. Ponieważ narzędzie funkcjonuje w wielu państwach UE, Polska Rama Kwalifikacji pozwala porównywać kwalifikacje istniejące w systemach innych krajów, a zatem łatwiej je będzie przedstawić potencjalnemu pracodawcy czy kontrahentowi z zagranicy.

ZSK to również dobre narzędzie dla pracodawców. Dzięki kompletnie opisanym kwalifikacjom dla każdego pracodawcy będzie jednoznaczne, jakimi umiejętnościami i jaką wiedzą dysponuje potencjalny pracownik.

Fundusze Europejskie Wiedza Edukacja Rozwój
Rzeczpospolita Polska
IBE kwalifikacje dla każdego
Unia Europejska Europejski Fundusz Społeczny

eprasa.pl 993d4bce60

Rośnie napięcie wokół weta

– Stanowisko Polski i Węgier jest „twarde jak beton” – oświadczył w piątek na antenie Radia Kossuth szef węgierskiego rządu Viktor Orbán.

Dzień wcześniej Orbán spotkał się w Budapeszcie z premierem Mateuszem Morawieckim. Rozmowy dotyczyły propozycji powiązania wypłat z unijnego budżetu z przestrzeganiem tzw. praworządności. – Tak sformułowana warunkowość to kij na każde państwo. Dzisiaj na to, jutro może być na kogoś innego – zauważył Mateusz Morawiecki podczas konferencji w Budapeszcie. – To jest droga do rozbicia Unii Europejskiej i my bronimy tej Unii przed rozbiciem – zaznaczył polski premier. – Podpisaliśmy wspólne oświadczenie, odnoszące się do negocjacji budżetu Unii. Węgry nie przyjmą żadnych propozycji, które byłyby nie do przyjęcia dla Polski. Razem będziemy walczyć – zapowiedział Viktor Orbán.

FOT. KRYSTIAN MAJ/KPRM

Napięcie w kwestii weta zgłoszonego przez Polskę i Węgry stale rośnie. Przewodniczący frakcji EPL w Parlamencie Europejskim, Niemiec Manfred Weber, uznał zachowanie władz w Budapeszcie i w Warszawie za „nieodpowiedzialne” i zaapelował do Polski i Węgier o zniesienie weta. – Kiedy Weber mówi, że nie mamy się czego obawiać, jeśli niczego nie ukrywamy, przypomina mi, że gestapo i węgierska tajna policja AVH miały ten sam slogan – odpowiedział na to eurodeputowany Fideszu i jeden z jej założycieli, Tamás Deutsch.

Polskę i Węgry w sprawie weta wspiera premier Słowenii Janez Janša. – Próba ominięcia Polski i Węgier może zrodzić obawy innych: do diabła, a jeśli pewnego dnia stanie się to z moim krajem i ja stracę moje prawo głosu, a jak się nie zgodzę, to będą dalej procedować beze mnie? – oznajmił z kolei były szef MSZ Portugalii Paulo Portas w telewizji TVI24. Portas przewiduje, że władze Portugalii, która od 1 stycznia przejmuje prezydencję w UE, będą bardziej pragmatyczne. ©℗ ***(jap)***

REKLAMA

CZAS NA NOWE HORYZONTY

W jesienno-zimowej aurze CITIZEN obfituje w nowości, wśród których wybija się kilka jaśniejszych „gwiazd”. Jedna z nich to zupełna nowość, stworzona z okazji celebrowania okrągłego jubileuszu - 50 lat istnienia i rozwijania technologii, dzięki której CITIZEN zaproponował światu innowacyjny materiał, z którego wykonywane są koperty oraz bransolety zegarków. Super Titanium™ to efekt opatentowanej przez CITIZEN obróbki tytanu połączonej z wyjątkową technologią utwardzania jego powierzchni. Dzięki temu zegarki wykonane z Super Titanium™ są o wiele bardziej odporne za zarysowania i zniszczenia codziennej eksploatacji niż podobne wykonane ze stali szlachetnej. Dodatkowo są odporne na korozję, ultra lekkie i super delikatne dla skóry (hipoalergiczne). Model występuje w dwóch wariantach z granatową i czarną tarczą, którą otacza unikalnie „cięty” bezel z oznaczeniami miast stref czasowych. Standardowo dla zegarków CITIZEN z Eco-Drive, źródłem zasilania jest światło, które przetwarzane przez mini panele fotowoltaiczne znajdujące się pod tarczą zasila działanie zegarka i wszystkich jego funkcji, a nawet magazynuje się w akumulatorze. Zegarek jest również automatycznie raz na dobę synchronizowany z wzorcem czasu z zegara atomowego co zapewnia niebywałą precyzję (Radio-Controlled). Jak dodamy do tego 10 atmosfer wodoszczelności oraz szafirowe szkło, stoper, i datownik z wiecznym kalendarzem - mamy idealne niezawodne narzędzie do zmagań z czasem.

AT8218-81L
Sugerowana cena detaliczna: 2 980 PLN

citizen.pl

eprasa.pl 993d4bce60

Opłatek z limitem

FOT. ADOBE STOCK

W czwartek w Dzienniku Ustaw opublikowano rozporządzenie, które określa m.in. limity osób na świątecznych spotkaniach, w tym na wigilijnej wieczerzy. W rozporządzeniu czytamy, że do 27 grudnia zakazuje się organizowania imprez, spotkań i zebrań z wyłączeniem m.in. „imprez i spotkań do 5 osób, które odbywają się w lokalu lub budynku wskazanym jako adres miejsca zamieszkania lub pobytu osoby, która organizuje imprezę lub spotkanie". Dalej wyjaśniono, że do tego limitu nie wliczają się organizatorzy spotkań i ich współdomownicy. A zatem do wigilijnego stołu będziemy mogli w tym roku legalnie zaprosić maksymalnie pięć osób mieszkających poza miejscem, w którym organizowana jest wieczerza. Jak powiedział rzecznik Ministerstwa Zdrowia Wojciech Andrusiewicz: „Oczywiście, nikt nie wyśle policji czy wojska na wigilijną kolację, ale jest to twarde wskazanie dla naszych obywateli, to jasna deklaracja, jak powinniśmy spędzać święta". Pytany o ewentualne sankcje, jakie groziłyby za organizację większego spotkania, odpowiadał, że w jednostkowych przypadkach policja może nałożyć mandat karny. ***(raw)*** ©℗

NIE ŻYJE PROF. MARCIN KRÓL

FOT. WŁODZIMIERZ WASYLUK/FORUM

W wieku 76 lat zmarł filozof, publicysta i historyk idei politycznych prof. Marcin Król. W 1968 r. brał udział w studenckich protestach, za co trafił do więzienia. W latach 70. pracował w Polskiej Akademii Nauk. Później związał się z Uniwersytetem Warszawskim, na którym pełnił funkcję dziekana Wydziału Stosowanych Nauk Społecznych i Resocjalizacji. W roku 1978 założył opozycyjne pismo „Res Publica", był też jego redaktorem naczelnym. Pisał również m.in. dla paryskiej „Kultury", „Aneksu" i „Tygodnika Powszechnego". Autor wielu książek, m.in.: „Style politycznego myślenia", „Józef Piłsudski. Ewolucja myśli politycznej", „Ład utajony", „Konserwatyści a niepodległość", „Bezradność liberałów", „Czego nas uczy Leszek Kołakowski", „Europa w obliczu końca", „Klęska rozumu". Był też członkiem Komitetu Obywatelskiego przy Lechu Wałęsie i uczestniczył w obradach Okrągłego Stołu. W 2011 r. został odznaczony przez prezydenta Komorowskiego Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski. ***(jap)*** ©℗

REKLAMA

ODKRYJ SEKRETY WIZERUNKU Z GUADALUPE

KSIĄŻKA DO KUPIENIA W: WWW.XLM.PL

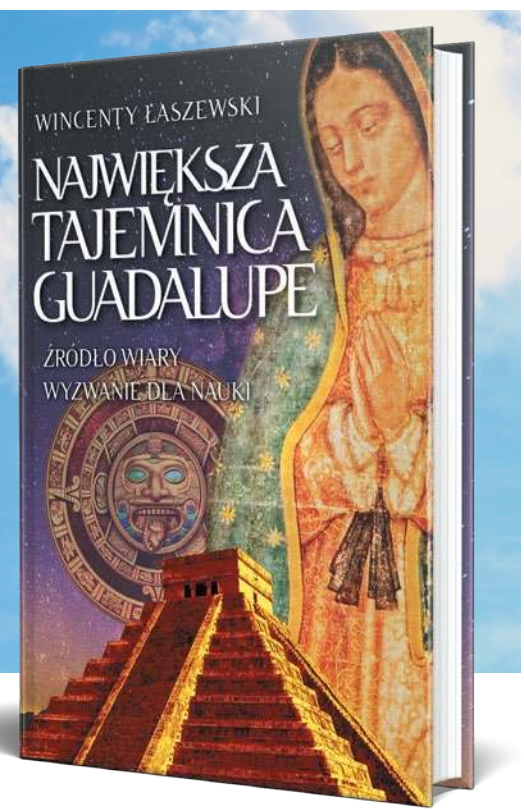

PATRONAT MEDIALNY:

GOŚĆ NIEDZIELNY · RADIO Warszawa · SIÓDMA 9 PORANEK ROZGŁOŚNI KATOLICKICH · krp · podlasie24.pl REGIONALNY PORTAL INFORMACYJNY

eprasa.pl 993d4bce60

FOT. PAWEŁ GROMADA

DOMATORKA Z PRZYMUSU

Już dawno celebrytki odkryły, że czasem trzeba trochę poudawać, że nie jest się taką bywalczynią salonów, jakby się mogło wydawać, lecz że ceni się spokój domowego zacisza. Tym tropem postanowiła pójść także Blanka Lipińska, celebrytka, autorka powieści erotycznych i do niedawna dziewczyna innego celebryty-muzyka. „Kocham siedzieć w domu pod kocem, pić wino, czytać książki, oglądać filmy... Tak! Wiem! Jestem nudna" – pisze skromna Blanka. „Uwielbiam sobie pomieszkać. Wbrew pozorom nie lubię wychodzić wieczorami, łazić po klubach, szukać rozrywki... teraz to i tak nigdzie nie pójdę" – dodała. To ostatnie jest chyba najbardziej szczerą odpowiedzią na to nagłe umiłowanie domatorstwa.

PODWÓJNA ŻENADA

TVN zaliczył megawpadkę. Okazało się, że jeden z uczestników, ba!, finalistów nawet, flagowego show „Top Model" został w przeszłości skazany przez amerykański sąd za kontakty seksualne z nieletnią. Co więcej, jak poinformował serwis Pudelek, jedna z amerykańskich fundacji, która działa na rzecz ofiar przestępstw, miała informować produkcję programu o przeszłości uczestnika show, ale pozostało to bez odzewu. Tuż przed finałem wskutek afery, która wybuchła w mediach, TVN zdecydował o wykluczeniu Dominica D'Angeliki z programu. Nie umniejszyło to jednak skali skandalu. Wszyscy zastanawiają się, jak to możliwe, że taki człowiek wziął udział w show i zaszedł tak daleko. Podczas gdy TVN próbuje gasić pożar, wiadomo gdzie, jego gwiazdy nie bardzo chcą w tym pomagać. Usuniętego finalistę show wzięli w obronę m.in. prowadzący program Michał Piróg oraz jeden z jurorów Dawid Woliński. „Emocje są bardzo złym doradcą, więc radzę ochłonąć. Poczekać i dać możliwość obrony. Wieszanie na szubienicy i palenie na stosach pochłonęły tysiące niewinnych osób" – napisał Michał Piróg. Zastanawiamy się, czy zaprezentowana tu hipokryzja nie pochłonie i Piroga. Przynajmniej byłby jakiś pozytyw tej żenującej historii.

ROZGWIAZDA TEŻ CZŁOWIEK!

Celebrytka Julia Wieniawa wybrała się na egzotyczne wakacje na Zanzibar. Dokumentuje je oczywiście cały czas na swoim Instagramie. Ostatnio wrzuciła fotki z rozgwiazdami. Zapozowała z nimi na... pupie i piersiach, myśląc, że zachwytom nie będzie końca. Nic z tego. Wrażliwi internauci oburzyli się, że Wieniawa na potrzeby zdjęć męczy biedne rozgwiazdy. „Oto »ekologiczne« działania Julii Wieniawy, która w świetle reflektorów niezwykle szanuje prawa zwierząt, zaś prywatnie znęca się nad nimi tylko po to, by mieć zabawne zdjęcia" – napisała jedna z fanek. Celebrytka tłumaczyła, że miała dobre intencje, bo przewodnik zapewnił ją, że rozgwiazdom nie dzieje się krzywda. Fani jednak nie kupili tych tłumaczeń. W efekcie Wieniawa usunęła zdjęcia z rozgwiazdami. Nie ma lekko w show-biznesie, oj nie!

NATURALNA, ŻE AŻ STRACH

FOT. MATERIAŁY PRASOWE TVN

Sonia Szklanowska, jedna z uczestniczek drugiej edycji koszmarnego programu „Hotel Paradise", bardzo pragnie zaistnieć w show-biznesie. Nie za bardzo wie jak, więc na czuja robi, co może. Uznała, że pomogą jej w tym szczere wywiady. I zaczęła ich udzielać. I tak w rozmowie z jednym z portali opowiedziała o swoich operacjach plastycznych i dramatach, jakie teraz w związku z nimi przeżywa.

– Pozaciskałam szczękę, zrobiłam sobie botoks i teraz nie mogę się szeroko uśmiechać – żali się kandydatka na celebrytkę. – Wolałam siebie naturalną i uważam, że ta naturalność to w dzisiejszym świecie bardzo duży atut. Mało już mamy osób, które nie ingerują w ten sposób w wygląd – dodała. Zwolenniczka naturalności, która tak „ostrzyknęła" się cała botoksem, że nie może się uśmiechnąć. Nas przekonała! ©℗

eprasa.pl 993d4bce60

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, jesteśmy bardzo zdenerwowani zapowiedzią rządu, iż na świeckiej kolacji z okazji Winter Holidays będzie mogło przebywać tylko pięć osób.

To oznacza, iż jeśli mielibyśmy uszanować prawo, to nie wszyscy z naszego kolektywu mogliby wziąć udział w takim spotkaniu. W tej sytuacji czujemy się postawieni w sytuacji zmuszania nas do wykluczenia. A my, po pierwsze, nie mamy zamiaru nikogo wykluczać, a po drugie, nasz kolektyw jest na tyle różnorodny, iż wykluczenie kogokolwiek równałoby się prześladowaniom mniejszości.

Nie mamy więc innego wyjścia niż całkiem zrezygnować z Winter Holidays albo złamać prawo. Pierwsza opcja nie wchodzi w grę, iż zbyt się cieszymy i radośnie oczekujemy, oczywiście w świecki sposób, na nadchodzące ubieranie choinki i wybieranie prezentów. Druga nie wchodzi w grę, iż obawiamy się donosu ze strony złośliwego Nowego z Tarnowa, przez co mogliby nas odwiedzić policjanci w przebraniu kolędników i Kuronia, a tego byśmy woleli jednak uniknąć.

Kochani, ulga. Okazało się, iż decyzją kapituły słowo „julka", oznaczające lewicowo-liberalną bojowniczkę z Twittera o prawa kobiet, w tym of kors o prawo do wyboru, nie będzie brane pod uwagę w plebiscycie na młodzieżowe słowo roku. Na tej zasadzie widzimy potwierdzenie dawno już zgłaszanego problemu, mianowicie – mieszkańcy tego kraju nie dorośli do demokracji, ale na szczęście istnieją autorytety, które podjęte błędnie demokratycznie decyzje są w stanie naprostować.

Teraz idealnie byłoby, gdyby kapituła, w ogóle nie kierując się liczbą zgłoszeń, sama zadecydowała, jakie słowo zasługuje na tytuł „młodzieżowego słowa roku". Jeszcze zaprośmy do uczestnictwa w kapitule Boniego, Środę czy Nowacką, iżby wpuścić do niej trochę młodej krwi i świeżego spojrzenia.

Wtedy może wygra słowo „wporzo" lub „spoczko", „hajs", a może nawet „dziena". Chociaż jednak coś nam się zdaje, iż obecnie największe szanse ma, kiedy tak patrzymy na zdjęcia profilowe kapituły na fejsiku, słowo „wypierdalać". ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

Twardym trzeba być

No, Zbyszek, moje gratulacje, z tym miękiszonem to trafiłeś.

Dzięki, Beata, jasne, że trafiłem. Ale w jakim sensie?

Że to się przebiło. Wiesz, Jarek miał zawsze talent do takich... Jak o ZOMO powiedział albo o zdradzieckich mordach. Z tym że to raczej takie negatywne przesłania były. A twoje – negatywne, ale wiadomo dla kogo, a generalnie to pozytywne. Że twardym trzeba być.

No a nie?

Ależ jasne, że tak. Ale że tobie to tak natychmiast do głowy przyszło, tak na poczekaniu, a takie zgrabne...

A nie, no co ty? Tu nie ma przypadków.

Ale że jak to?

Ja siedziałem przed tą konferencją pół nocy z Sebkiem i wymyślaliśmy, jakiego tu słowa użyć. Z pięćdziesiąt kanałów na jutubie sprawdziliśmy, młodzieżowych takich, z pięć słowników mieliśmy, a na koniec zrobiliśmy listę trzech propozycji, jak to nazwać.

I co? Losowałeś?

Nie. Wzięliśmy najsłabsze. Pozostałe mam zapisane. Przydadzą się. ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Popieram Władysława Kosiniaka-Kamysza, aby członkostwo w UE wpisać do konstytucji"

RADOSŁAW SIKORSKI, *europoseł PO, były szef MSZ i MON, były marszałek Sejmu, na Twitterze*

eprasa.pl 993d4bce60

dwaj panowie g

No więc jest tak: słychać ostatnio w Warszawie bardzo dziwny dźwięk. Takie chrobotanie. Są to tarcia. I – o dziwo – nie jest to odgłos Eine Totalopposition szorującej o dno moralne, lecz tarć między premierem Mateuszem a szeregowym wicepremierem Jarosławem Kaczyńskim (SWP). Chodzi o tempo zmian w czasach zarazy i w ogóle o nowe projekty.

Już wyjaśniamy. Jarosław Kaczyński SWP wszedł, jak wiadomo, do rządu, żeby przyspieszać. Stąd ostatnie przecieki w mediach, że lada moment będzie dekoncentracja mediów, podział województwa mazowieckiego, nowa „piątka dla zwierząt" itd. Premier Mateusz uważa, że można jeszcze trochę poczekać, bo po pierwsze wciąż kipi w koalicji, po drugie – w najczarniejszych snach widzi obok demonstracji KOZ (Komitet Obrony Zabijania zwany dla niepoznaki Strajkiem Kobiet) jednoczesne demonstracje rolników oraz obrońców mazowieckiego.

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

A pandemia przecież nie odpuszcza, policja zaś jest, jaka jest.

Jarosław Kaczyński SWP próbuje więc dyscyplinować premiera w sposób nieoczywisty. Na przykład zaprosił na spotkanie Jarosława Gowina, żeby konsultować z nim kandydaturę Mariusza Błaszczaka na premiera. Oczywiście nie po to, żeby wymienić Mateusza na Mariusza, ale po to, żeby się rozniosło i dotarło do kancelarii premiera. Rozniosło się, dotarło, efektów na razie brak.

Apropos Gowina – chwalony jest ostatnio za to, że bronił otwarcia stoków narciarskich jak niepodległości, ale domniemania, jakoby padł ofiarą lobbingu wiceministra Guta-Mostowego, nie do końca są prawdziwe. Otóż źli ludzie opowiadają, że po decyzji o zamknięciu stoków interweniować miał osobiście prezydent Andrzej Sebastian, który wyczulony jest na problemy swego wiernego elektoratu. No i jeździ na nartach.

Przypominamy, że w popularnym kurorcie Wisła rekordy poparcia i sympatii bił Bronisław I Wąsaty Komorowski. Może więc tam należałoby te stoki jednak zamknąć? No i demonstracje pod zamkiem prezydenta w Wiśle byłyby na takim zadupiu, że niebezpieczeństwa epidemicznego raczej brak.

U prezydenta Andrzeja Sebastiana w kancelarii kotłuje się tymczasem i kotłuje, i na razie jakoś nie wyłania się nowy kształt lepszej przyszłości, to znaczy zrekonstruowanej kancelarii. Ci, którzy mieli polecieć, nadal pracują, ci, którzy mieli przyjść, nie przychodzą i nikt nic nie wie. Taka polska polityka w pigułce, choć byliśmy do tego przyzwyczajeni raczej w zamierzchłych czasach sprzed roku 2015.

W sumie to trochę nam żal zdymisjonowanej szefowej kancelarii Andrzeja Sebastiana, bo została wraz z prezydentem ograna przez Nowogrodzką. Halina Szymańska naprawdę miała iść do Europejskiego Trybunału Obrachunkowego zamiast Janusza Wojciechowskiego. I była na to zgoda jeszcze przed wyborami prezydenckimi. Po wyborach okazało się jednak, że Halina tym kandydatem nie będzie.

Z kronikarskiego obowiązku – przypominamy, że owym kandydatem jest Marek Opioła, o czym pisaliśmy kilka tygodni temu, żeby potem jakieś dziecię z Interii mogło to odkryć jako swojego newsa. Oficjane przesłuchanie Opioły ma nastąpić 2 grudnia. Najwyższy czas, bo na stanowisku jest wakat od roku. Trochę siara.

Jeszcze w kwestiach europejskich: z zadumą odnotowaliśmy, że europosłowie w PeŁo w całości zagłosowali za rezolucją europarlamentu wzywającą do aborcji na życzenie w Polsce. A jeszcze w roku 2013 wspólnymi siłami Europejskiej Partii Ludowej (w tym PeŁo) oraz Europejskich Konserwatystów i Reformatorów (w tym PiS) udało się odrzucić wściekle proaborcyjny raport jednej z hiszpańskich posłanek. Tyle zostało z legendarnego konserwatyzmu PeŁo, który zresztą zawsze był największym białym jednorożcem polskiej polityki.

Wracamy do Polski – to prawda, Paweł Kukiz, naczelny kukiz polskich kukistów wyrzuconych właśnie z Koalicji Polskiej przez Peezel, konferuje ostatnimi czasy z Jarosławem Kaczyńskim SWP. Czyni to jednak jak wytrawny polityk. Znaczy wcale się do Zjednoczonej Prawicy nie wybiera, ale pozostaje na pozycjach zewnętrznych, z których to będzie targował się o różne ważne dla kukistów postulaty, oferując w zamian wsparcie w krytycznych momentach. Czyli jednak czegoś można się nauczyć od Peezelu.

Wyjaśniamy, o co chodzi ze ściganiem córki Giertycha przez policjantów. Otóż mecenas zwany Koniem natychmiast po tym, jak sąd wstrzymał środki zapobiegawcze (w tym zakaz opuszczania kraju), poczuł się na tyle dobrze, że natychmiast czmychnął z kraju do słonecznej Italii, gdzie ma dom. A po co? Nie wiemy. Nie śmielibyśmy przypuszczać, że gwiazda palestry stosuje brudne sztuczki, by nie odbierać wezwań i unikać spotkania z prokuratorem. Dlaczego zaś córka robiła wszystko, by nie wziąć do ręki papieru od policji? Tutaj też nie śmiemy przypuszczać, że została przeszkolona.

Jak mawiają mądrzy ludzie: nie ma przypadków, są tylko znaki. Zastanawiamy się zatem, czego znakiem jest to, że w sprawie wstrzymania środków zapobiegawczych wobec Giertycha orzekał sędzia Sławomir Jęksa. Już wcześniej zasłynął z tego, że swego czasu uniewinnił swoją koleżankę z aplikacji – niejaką panią Jaśkowiak. Zazwyczaj sędziowie powinni się wyłączać z orzekania w sprawach swoich znajomych. A, zapomnielibyśmy dodać (a nie jest to wiedza powszechna), że – cóż za przypadek – prezydent Jaśkowiak jest znajomym Romana Giertycha. ©℗

eprasa.pl 993d4bce60

RYNEK UBEZPIECZEŃ:

PZU UMACNIA POZYCJĘ LIDERA

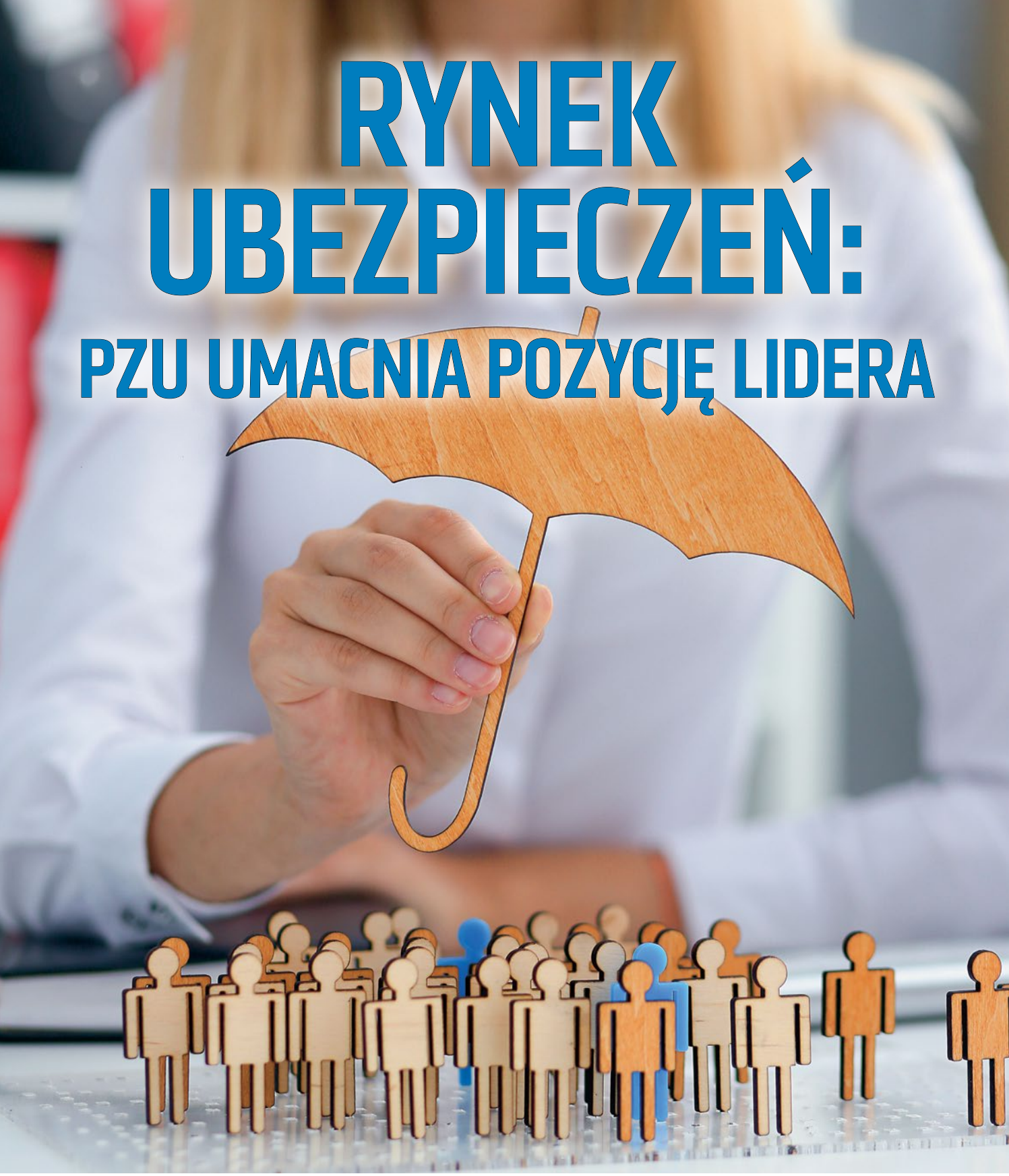

PARTNER RAPORTU

eprasa.pl 993d4bce60

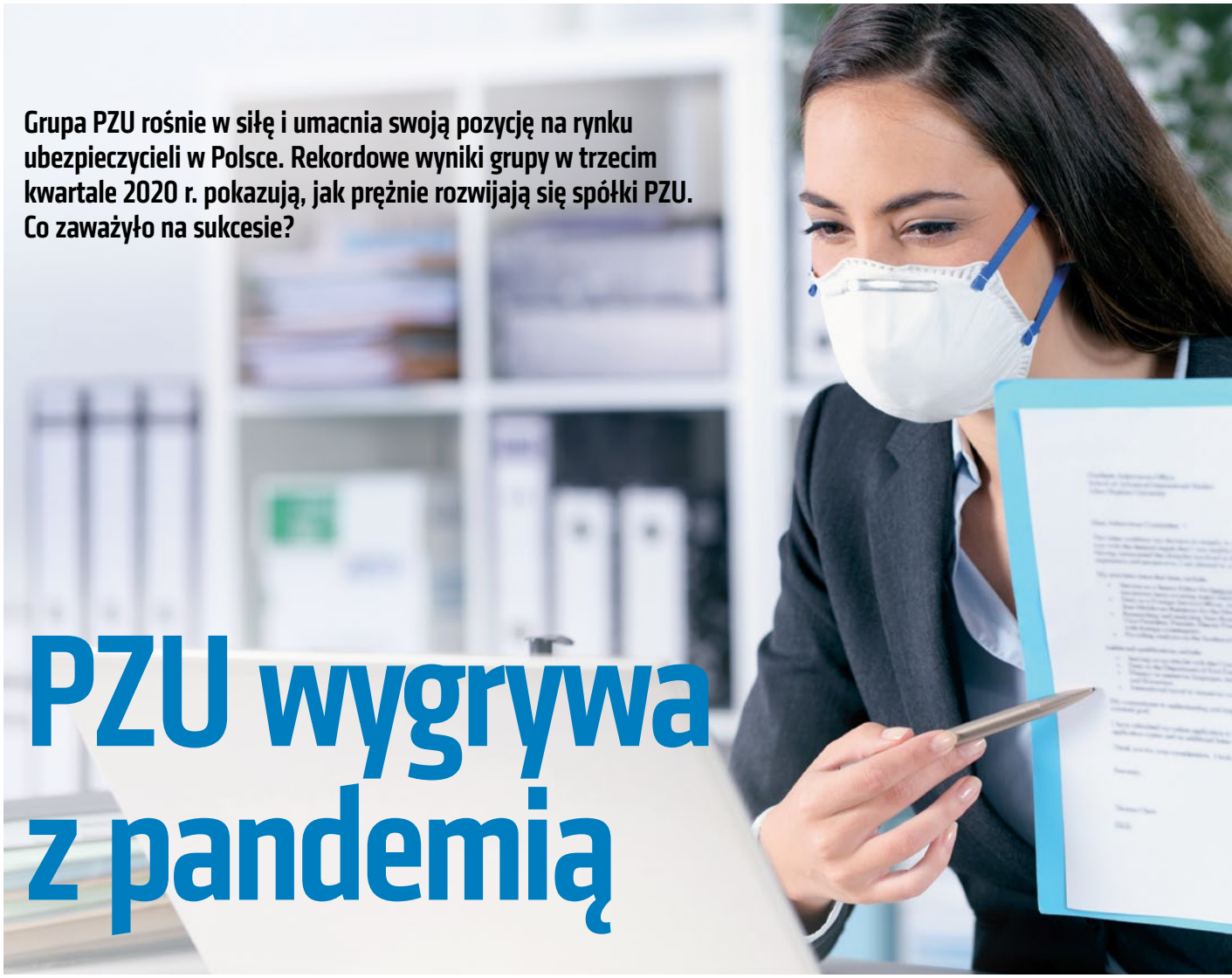

Grupa PZU rośnie w siłę i umacnia swoją pozycję na rynku ubezpieczycieli w Polsce. Rekordowe wyniki grupy w trzecim kwartale 2020 r. pokazują, jak prężnie rozwijają się spółki PZU. Co zaważyło na sukcesie?

PZU wygrywa z pandemią

Tąpnięcia w światowej gospodarce wywołane przez epidemię koronawirusa i związane z nią lockdowny tylko potwierdziły wysoką odporność Grupy PZU. Jak się okazało, w III kwartale 2020 r. przypis składki wyniósł 5,6 mld zł, a zysk netto przypisany jednostce dominującej – 890 mln zł (wzrost o 1 proc. r/r). Natomiast wynik samej działalności ubezpieczeniowej wyniósł 785 mln zł (wzrost o 12 proc. r/r).

WZROST SPRZEDAŻY POLIS

Prezes PZU SA przyznaje otwarcie, że to dywersyfikacja biznesu Grupy przełożyła się na spektakularne wyniki. Wprawdzie, jak mówi dr hab. Beata Kozłowska-Chyła, mimo że nastąpił spadek w sprzedaży ubezpieczeń komunikacyjnych (spowolnienie na rynku sprzedaży samochodów), znacznie wzrosła sprzedaż ubezpieczeń na życie – między innymi z uwagi na większe zapotrzebowanie na ubezpieczenia ochronne.

Z danych po II kwartale wynika, że udział PZU w rynku ubezpieczeń na życie sięgnął 42,4 proc. (wzrost o 2,9 p.p., r/r). Grupa może pochwalić się też rekordowym przypisem składki z ubezpieczeń indywidualnych (476 mln zł w III kwartale 2020 r.). Tu filar stanowią ubezpieczenia ochronne na życie (wzrost przypisu składki +33 proc. r/r).

– W efekcie niższe wpływy na rynku majątkowym zostały zrekompensowane większymi przepływami z biznesu życiowego. Wyniki sprzedażowe w III kwartale 2020 r. ukształtowały się na poziomie porównywalnym do III kwartału ubiegłego roku, kiedy to sytuacja gospodarcza wyglądała zupełnie inaczej – tłumaczy prezes.

Dodaje, że specyfika struktury Grupy pozwoliła na zrównoważenie negatywnych zmian popytowych w różnych liniach produktowych, nawet w tak trudnych, pandemicznych warunkach.

– Ponadto elastyczne struktury dystrybucji oraz możliwość dynamicznego dostosowania ofert w oparciu o modele cyfrowe pozwalają nam efektywnie wykorzystywać tę przewagę na poziomie generowanego zysku netto. Rentowność mierzona wskaźnikiem ROE w III kwartale wyniosła 20,4 proc., co jest ponadprzeciętnym wynikiem na rynku polskim i europejskim – przekonuje prezes PZU SA.

PZU WALCZY Z EPIDEMIĄ

Dlaczego Grupie PZU udało się umocnić w czasie galopującej pandemii COVID-19 i poprawić ubiegłoroczne wyniki? Tomasz Kulik, CFO Grupy PZU, przyznaje, że z wyłączeniem odpisu z tytułu utraty wartości związanego z aktywami bankowymi oraz dodatkowych rezerw utworzonych przez banki w związku z pandemią, udało się wygenerować w pierwszych trzech kwartałach wynik netto na

eprasa.pl 993d4bce60

poziomie 2,8 mld zł, a więc o 17 proc. więcej rok do roku. Co więcej, dynamika wyniku na działalności ubezpieczeniowej i inwestycyjnej była jeszcze wyższa – wyniosła 24 proc. r/r. – Jest to efekt rozwoju biznesu, ścisłej kontroli kosztów oraz działań na rzecz efektywności m.in. w obszarze cyfryzacji – podkreśla Tomasz Kulik.

Nie bez znaczenia jest też to, że PZU jest jednym z największych operatorów medycznych w kraju, a wraz z końcem trzeciego kwartału 2020 r. PZU Zdrowie mogło się pochwalić aż 2,7 mln podpisanych umów. W praktyce klienci mogli korzystać z 2,2 tys współpracujących partnerów, 130 placówek Grupy PZU, 48 szpitali i 2,2 tys lekarzy.

ZDROWIE NA TOPIE

Zysk netto grupy PZU wzrósł w III kwartale o 1 proc. (12 proc. na działalności ubezpieczeniowej i inwestycyjnej) pomimo panującej recesji w kraju. Jak to oceniają analitycy? Michał Konarski z Domu Maklerskiego mBanku wskazuje, że to właśnie segment odpowiedzialny za ubezpieczenia na życie i zdrowie radzi sobie wyjątkowo dobrze w tym roku.

– Obecnie trwająca pandemia spowodowała, że część Polaków zaczęła się ubezpieczać na życie, co wyraźnie widać we wzroście składek ubezpieczeniowych. To, co było przez lata bolączką ubezpieczycieli, czyli niska penetracja ubezpieczeń na życie, teraz procentuje. Z pewnością pandemia spowoduje, że ten segment będzie przyspieszał. Koronawirus uświadomił wielu, że ubezpieczenie na życie to już nie jest produkt luksusowy, ale może okazać się bardzo istotny z punktu widzenia członków rodziny, zabezpieczenia ich na wypadek choroby, leczenia szpitalnego – tłumaczy Konarski.

Jednocześnie – jak zauważa – wzrost śmiertelności nie przekłada się na znaczący wzrost odszkodowań w tym segmencie. Bo – jak tłumaczy – paradoksalnie w czasie epidemii ludzie rzadziej chodzą do lekarza, jest mniej zabiegów szpitalnych.

Inwestowanie w PZU Zdrowie to perspektywiczny biznes. Obrazuje to wzrost przychodów PZU Zdrowie aż do 685 mln zł w pierwszych trzech kwartałach 2020 r., czyli o 23 proc. r/r. – Posiadając odpowiednią bazę danych klientów, które zgromadziła Grupa, można lepiej szacować polisy na życie i ryzyko – mówi analityk.

Wyniki PZU Zdrowie przełożyły się na rozszerzenie oferty dla klientów. Aleksandra Agatowska, która pełni obowiązki prezesa PZU Życie, tłumaczy, że dźwignią była sprzedaż kolejnych dodatków zdrowotnych do produktów ochronnych, umożliwiających m.in. dostęp do lekarzy specjalistów, rehabilitacji ambulatoryjnej, wybranych badań i zabiegów.

– Z uwagi na rozwój pandemii sukcesywnie zwiększamy także skalę zdalnych usług medycznych, co jest obecnie ważnym elementem budowy przewagi konkurencyjnej – akcentuje Aleksandra Agatowska.

20 MLN NA WALKĘ Z KORONAWIRUSEM

Ubezpieczyciel włączył się do pomocy w walce ze skutkami koronawirusa, przekazując ponad 20 mln zł na walkę ze skutkami epidemii. Co za to kupiono? Środki przeznaczono m.in. na zakup aparatury dla szpitali, środki ochronne dla personelu medycznego, straży granicznej, a także policji. Oprócz tego do szpitali zakaźnych dostarczono niemal tysiąc urządzeń monitorujących parametry życiowe chorych.

Wśród kluczowych dokonań Grupy są także osiągnięcia TFI PZU – jest jednym z liderów sprzedaży funduszy i wzrostu aktywów pod zarządzaniem, osiągając 0,6 mld zł.

– PZU tłumaczy wzrost przez wdrożenie nowych produktów, a także sukces platformy dystrybucyjnej inPZU. Nie bez znaczenia jest także współpraca z Alior Bankiem oraz Bankiem Pekao, które oferują produkty ubezpieczyciela wśród swoich klientów. Jednocześnie warto zauważyć, że skorygowany wynik netto z zarządzania aktywami zewnętrznymi po III kwartale tego roku znajduje się praktycznie na poziomie celu strategicznego – 200 mln. Na początku 2021 r. PZU powinno przedstawić nowe cele dla Grupy, a w tym dla swoich funduszy inwestycyjnych – podsumowuje ekspert.

DOBRY OKRES DLA UBEZPIECZYCIELI

Pozycja kapitałowa PZU pozostaje silna. Wskaźnik wypłacalność II (Solvency II) na koniec II kwartału 2020 r. wyniósł 258 proc. i był zauważalnie wyższy od średniej dla europejskich ubezpieczycieli. W sierpniu 2020 r. agencja S&P Global Services podtrzymała rating „A–" z perspektywą „stabilną".

– Na wynik Grupy PZU składa się kilka czynników. Mimo że w 2020 r. pojawiła się większa konkurencja cenowa, to ogólnie cały czas trwa dobry okres dla ubezpieczycieli po tym, jak kilka lat temu wzrosły ceny ubezpieczeń komunikacyjnych i poprawiła się rentowność tego segmentu. Tak więc cykliczność w ubezpieczeniach komunikacyjnych ciągle działa na plus i sprzyja Grupie, z drugiej strony ma ona niezagrożoną pozycję w ubezpieczeniach życiowych. Czwarty kwartał – ze względu na bezprecedensowy wzrost śmiertelności – będzie pewnie trudniejszy dla Grupy PZU. Wyniki ubezpieczyciela w kolejnych kwartałach będą zależeć od tego, w jakim stopniu w dłuższym okresie wzrośnie śmiertelność z powodu utrudnionego dostępu do służby zdrowia w czasie pandemii – mówi Andrzej Powierża, analityk DM Citi Handlowego.

ARTYKUŁ PROMOCYJNY

eprasa.pl 993d4bce60

Krzysztof Masłoń

Krystyna Janda przyzwyczaiła nas do histerycznych diagnoz rzeczywistości. Agnieszce Holland śmierdzi tu bąkami. A Olga Tokarczuk zajęta jest remontem

FOT. TOMASZ PACZOS/FOTONOVA

Trzy gracje

Pierwsza nowa książka Olgi Tokarczuk po otrzymaniu przez nią Nagrody Nobla powinna stać się wydarzeniem kulturalnym, i to wielkiej wagi. Byłoby tak zapewne, gdyby nasza noblistka była zgoła inną pisarką, a ludzi tworzących tzw. środowisko kulturalne interesowało coś więcej niż polityka i pieniądze. Że jest jednak tak właśnie, a nie inaczej, świadczy to, iż z trudem do opinii publicznej przebiła się wiadomość o tomie esejów „Czuły narrator" i jego zawartości (tuzin esejów, dość przypadkowo dobranych), za to na okrągło cytowano wypowiedź Tokarczuk, która przy tej okazji podzieliła się ze światem swoim oburzeniem z powodu wyroku Trybunału Konstytucyjnego, nazwanego Trybunałem Julii Przyłębskiej, w kwestii dokonywania aborcji. „Chciało mi się kląć" – wyznała autorka „Ksiąg Jakubowych", piętnując „cynizm rządu".

Odnośnie do protestów ruchu nazwanego Strajkiem Kobiet Olga Tokarczuk poparła je, choć sama w manifestacjach udziału nie wzięła, a to z powodu poddania się „samoizolacji". Do jakże chwytliwego i mającego głęboki literacki podtekst hasła Strajku: „Wyp……." mistrzyni polskiego słowa podeszła ze zrozumieniem, bo choć ponoć z początku z lekka ją bulwersowało, to – mówiła – „szybko się przyzwyczaiła, uznawszy, że tych emocji inaczej wypowiedzieć się nie da". Dała też wyraz pisarka swemu dobremu samopoczuciu, utrzymując: „Dzięki protestom po raz pierwszy od dłuższego czasu poczułam się dobrze we własnym kraju, bo ta nieznośna sytuacja, w której rząd i ludzie PiS-u mogą zrobić wszystko, nie bacząc na jakiekolwiek zasady i dobro całego społeczeństwa, była już nie do zniesienia".

A co poza tym słychać u najsławniejszej (?) Polki? Otóż, remontuje. Jak wiadomo, prezydent Wrocławia Jacek Sutryk na potrzeby jej natychmiast

eprasa.pl 993d4bce60

FOT. RADOSŁAW NAWROCKI/FORUM

założonej fundacji przekazał willę przy ul. Krzyckiej 29, po Tymoteuszu Karpowiczu, zmarłym w Ameryce w 2005 r. twórcy poezji lingwistycznej, niezwykle ważnej postaci literackiego Wrocławia. W radzie Fundacji Olgi Tokarczuk znaleźli się – oczywiście – kierujący Wrocławskim Domem Literatury średnio utalentowany autor Irek Grin oraz uważana za najwybitniejszą polską reżyserkę filmową Agnieszka Holland, realizatorka wiekopomnego dzieła noblistki pt. „Prowadź swój pług przez kości umarłych", którego filmowa wersja zatytułowana „Pokot" wprawiła widzów w osłupienie. Pod auspicjami tak znakomitych person wspierane mają być polska kultura, literatura i jej twórcy, bronione prawa człowieka oraz chronione środowisko, ze szczególnym uwzględnieniem praw zwierząt. Na wszystkie te szczytne cele Olga Tokarczuk przeznaczyła 350 tys. zł, czyli mniej więcej dziesiątą część pieniędzy otrzymanych z tytułu Nagrody Nobla. Nie przypominam tego, by wypominać noblistce skąpstwo, lecz by przypomnieć, o czym pisano wprawdzie i mówiono, ale jakby półgębkiem, że laureatka Literackiej Nagrody Nobla za rok 2018 (przyznano ją rok później) zwolniona została przez ministra finansów Jacka Kwiecińskiego z podatku, który – gdyby został wyegzekwowany – przekraczałby 1 mln zł (wartość Nobla to 9 mln koron). Przypomniano przy okazji, że swego czasu podobnie postąpił minister Kołodko wobec uhonorowanej Noblem Wisławy Szymborskiej; ks. prof. Michała Hellera po otrzymaniu Nagrody Templetona w 2008 r. zwolniono z podatku od 800 tys. funtów, które laureat w całości przeznaczył na krakowskie Centrum Kopernika.

STAWY DLA ŻAB

Sądząc po reakcji internautów, zarówno podatkowy prezent dla Olgi Tokarczuk, jak i przede wszystkim dar miasta dla jej fundacji nie spotkały się z aplauzem wrocławian, którzy przy tej okazji wypomnieli włodarzom grodu dziury w bruku, rozbabrane inwestycje i inne grzechy rzucające się w oczy nad Odrą. Wiadomo, zawistnicy!

Tymczasem Olga Tokarczuk, jako się rzekło, remontuje. To znaczy, remontuje miasto, ale i ona. I mocno to przeżywa: „W remontowanym domu postanowiłam »zafundować« sobie, a także przyszłym rezydentom, bibliotekę z prawdziwego zdarzenia, skrupulatnie więc doglądam wszystkich prac. Założyłam fundację i to dodało mi, nam, mnóstwo nowych obowiązków. Działamy też lokalnie. Z pomocą inżynierów z Uniwersytetu Przyrodniczego w Lublinie zbudowaliśmy ultranowoczesną i ekologiczną hydrofitową oczyszczalnię ścieków, której funkcjonowanie mnie fascynuje. Teraz chciałabym przywrócić naturalne zniszczone stawy i zaprosić do nich żaby i inne żywe »stawopławne« istoty. Z pomocą specjalisty udało się nam rozmnożyć stare, ledwie żywe poniemieckie jabłonie. Dużo się dzieje".

W ogóle o domostwach pisarki słyszymy ostatnio więcej niż o jej książkach, bo to albo ją okradną, albo entuzjazmuje

eprasa.pl 993d4bce60

się remontem niczym Krystyna Janda, gdy przerabiała stare warszawskie kino Polonia na swój teatr i zanudzała naród opowieściami o cenach cementu. Ale było to 15 la temu, zanim olśniła widzów swoimi inscenizacjami dzieł w rodzaju „Koza albo kim jest Sylwia", tyleż o miłości homoseksualnej, ileż zoofilii. Spektaklami, które – grane w obu teatrach Jandy, bo i w Och-Teatrze powstałym na gruzach innego stołecznego iluzjonu, Ochoty – wicepremier i minister kultury Piotr Gliński wsparł ledwie 1,8 mln zł, a sławna Agnieszka z „Człowieka z marmuru" winszowała sobie 5,8 mln. Użaliła się więc publicznie, ale nie do końca, gdyż przytomnie zauważyła, że Gliński mógł ją skreślić.

O ministrze Glińskim swoją autorytatywną opinię wydała już dawno temu Agnieszka Holland, przyrównując go do emerytowanego prof. Sieriebriakowa z „Wujaszka Wani" Czechowa. „Przy okazji komentowania osoby i twórczości Olgi Tokarczuk przed przyznaniem jej Nobla – komentowała, dyskretnie manipulując wypowiedzią wicepremiera – wyszła cała małoduszność tego polityka. Przecież mógł się spodziewać tej nagrody, ale nie mógł się powstrzymać, by jej nie zrugać, a następnie nie pochwalić się, że on – minister kultury – nie przeczytał żadnej książki tej największej obecnie polskiej pisarki. To jednak kuriozalne".

Kuriozalne jest co innego: narzucanie przez Holland swojej opinii jako wiążącej. Jej zdaniem wszyscy mamy czytać Tokarczuk i zachwycać się jej prozą. Swoją drogą, nie ustosunkowała się do, być może nieoczekiwanego, wyznania Jarosława Kaczyńskiego, że czyta właśnie „Księgi Jakubowe". Co prawda, prezes PiS nie wydał oświadczenia, że to monumentalne dzieło przeczytał do końca i co o nim sądzi, ale to i tak niewygodna informacja dla artystki uważającej, że generalnie PiS zachowuje się jak „ekonom folwarczny".

Nawiasem mówiąc, nie natknąłem się na ani jedną (!) recenzję „Ksiąg Jakubowych", która by wychodziła poza sferę banałów i zaklinań rzeczywistości. Bo tego, że w ponad 900-stronicowym mistycznym (?) dziele chodzi o potępienie oskarżeń Żydów o mordy rytualne i spostponowanie bp. Kajetana Sołtyka, polskiego patrioty i hierarchy Kościoła katolickiego, świadomi jesteśmy niemal od początku lektury owej księgi nad księgami. A w przeświadczeniu, że noblowskie laury dla Olgi Tokarczuk są dla naszego narodu podarunkiem od losu, umacnia nas Agnieszka Holland, przekonując, że „w czasach zarazy i wielkiego zamętu, które są dziś naszym udziałem, jej wyobraźnia, przenikliwość, głos są bardzo ważne, otwierają nowe perspektywy i mogą być prawdziwą inspiracją dla świata. Ważne więc, by głos ten był najszerzej słyszalny". O to ostatnie zadbają już media, te same, które z nieopisaną dumą donosiły niedawno o tym, że list do przewodniczącej Komisji Europejskiej, Ursuli von der Leyen, w obronie nieprzestrzeganych w Polsce praw osób LGBT i prześladowanego/prześladowanej „Margot" podpisał poza Olgą Tokarczuk i Agnieszką Holland sam Pedro Almodóvar.

Oto jaka jest siła wielkich nazwisk i ile znaczy w środowisku filmowym córka Henryka Hollanda i Ireny Rybczyńskiej, siostra Magdaleny Łazarkiewicz i matka Kasi Adamik. Nie bez kozery mówiono, że gdyby nie ona, nie byłoby Oscara dla Andrzeja Wajdy.

JAWNA APOTEOZA

Nie przywiązywałbym się zbytnio do tej ostatniej opinii, a to po pierwsze: z powodu animozji między reżyserem i scenarzystką „Korczaka", która nie kryła, że gdyby Wajda nie zrezygnował z licznie rozsianych przez nią w tekście przykładów polskiego antysemityzmu, przyjęcie filmu na Zachodzie, a zwłaszcza we Francji, gdzie nie posiadał się z oburzenia na tę deformację „prawdy historycznej" sam Claude Lanzmann, byłoby zupełnie inne; po drugie zaś, że pomimo trzech nominacji do Oscara – za „Gorzkie żniwa", „Europa, Europa" i „W ciemności" – nagrody tej, jak dotąd, się nie doczekała.

Nakręciła całą masę filmów w różnych krajach, bo i w Stanach Zjednoczonych, i we Francji, w Niemczech, w Czechach i oczywiście w Polsce. Które z nich zapisały się we wdzięcznej pamięci kinomanów? Osobiście najwyżej cenię jej samodzielny debiut z 1978 r. – „Aktorów prowincjonalnych" z Łabonarską i Hukiem, adaptację klasycznego dzieła literatury dziecięcej – „Tajemniczego ogrodu" z 1993 r. i o cztery lata późniejszą ekranizację prozy Henry'ego Jamesa „Plac Waszyngtona". Znakomicie opowiedziała też o czeskim bohaterze Janie Palachu w „Gorejącym krzewie" (2013). Ale karierę jej znaczyły również porażki; sukcesu finansowego nie osiągnął, w istocie, żaden z jej filmów. W 1995 r. jej „Całkowitemu zaćmieniu", filmowi o skandalicznym związku poetów Rimbauda i Verlaine'a, nie pomógł nawet Leonardo DiCaprio w roli tego pierwszego. W 1988 r. nakręciła obraz „Zabić księdza", w którym skupiła się jednak nie na ofierze, błogosławionym i męczenniku ks. Jerzym Popiełuszce, lecz na jego oprawcy. Klęskę poniosły jej filmy o kryzysie małżeństwa polskich emigrantów („Jula wraca do domu", 2001), o Beethovenie („Kopia mistrza", 2006), nie zachwyciła też nakręcona dla telewizji „Historia Gwen Araujo" o spotykającym się z ostracyzmem otoczenia transseksualnym nastolatku, który w końcu zostaje zamordowany.

A skoro o telewizji mowa, to nie od rzeczy przypomnieć chyba najgorszy w dziejach polskiego szklanego ekranu serial „Ekipa" (2007), do którego rękę przyłożyła obok Agnieszki Holland jej córka, Kasia Adamik, oraz inny pupil filmowego salonu, Borys Lankosz. Była to jawna apoteoza Platformy Obywatelskiej, na domiar złego nudna, co zważywszy, że zapowiadano sensacyjne political fiction, było zadziwiające. W tej sytuacji największym osiągnięciem telewizyjnym twórczyni „Prawdziwej historii Janosika" (2009), gniota też zrealizowanego do spółki z latoroślą, pozostają cztery odcinki „House of Cards" (2015/2017).

Najnowsze dzieło reżyserki to „Szarlatan". Będzie to jej czwarta nominacja do Oscara, o co tym razem zadbali nasi południowi sąsiedzi, film będzie bowiem reprezentował kinematografię czeską. Opowiada o Janie Mikolaszku, cudotwórcy i znachorze, który uratował całą masę ludzi za okupacji niemieckiej i za komuny, dorabiając się przy tym niemałego majątku. Tę niejednoznaczną postać świetnie zagraną przez doskonałego aktora, pamiętnego z „Gorejącego krzewu" Ivana Trojana, wikła Holland – jakżeby inaczej – w homoseksualny romans z jego asystentem.

ŚWIAT WIDZIAŁ NIE TAKIE RZECZY

Trudno nie skonstatować, że w ostatnich latach Agnieszka Holland zdecydowanie mocniej angażuje się w propagandę LGBT, a odkąd jej córka w 2012 r. upubliczniła informację o swoim lesbijstwie, czyni to już bez umiaru. Co gorsze, wypowiada sądy polityczne bez znajomości rzeczy i spraw, o których mówi, wprowadzając w błąd słuchaczy i czytelników, tak jak wtedy, gdy perorowała: „Powinniśmy wybrać władzę, która nie tylko potrafi rozdawać pieniądze, wyczuwać lęki Polaków i grać na jak najgorszych instynktach. Kaczyński oraz jego propagandyści świetnie opanowali

eprasa.pl 993d4bce60

metodę dziel i rządź. Wykluczania z obywatelskości, z polskości. Nie mówiąc o robieniu kozła ofiarnego z kolejnych grup, ostatnio z LGBT, czy wprowadzania stref wolnych od tych środowisk – co jednoznacznie kojarzy się z faszyzmem. Z uchodźcami było podobnie".

Urodzona w komunistycznej rodzinie, wychowywała się poza Kościołem, co nie przeszkadza jej dokonywać „głębokich analiz" życia religijnego. „Religia jest ludziom potrzebna – przyznaje. – Niestety, polski katolicyzm i w ogóle wszelkie monoteizmy ewoluują w stronę wykluczającego fundamentalizmu, agresji wobec niewiernych czy inaczej wierzących. Polski Kościół katolicki, jak gdyby zazdroszcząc islamskim talibom, odwraca się od personalizmu, ducha Soboru Watykańskiego, zapomina o miłosierdziu bożym i nauce Chrystusa. To zostawia potrzebę dobra w ludziach zupełnie osamotnioną".

Niewątpliwie po drodze byłoby Agnieszce Holland z Jackiem Dehnelem, pisarzem, który przed rokiem dokonał wprawdzie apostazji, oprotestowując postawę Kościoła wobec, powiedzmy, kochających inaczej, ale nie przeszkadza mu to wypowiadać się obecnie jako katolik LGBT. Cokolwiek by to miało znaczyć. Swoją drogą, pomyślałem, że gdyby w przyszłym roku literat Dehnel dostał – świat nie takie rzeczy widział – Nobla, też byłby zwolniony z podatku, ponieważ szczodrość ministra Kwiecińskiego rozciągnięta jest w stosownym rozporządzeniu jeszcze na rok przyszły.

A gęsto tu cytowane złote myśli Agnieszki Holland podsumujmy cytatem jeszcze z 2013 r., kiedy to w rozmowie z Moniką Olejnik w Radiu Zet raczyła ona zauważyć: „W Polsce uderza mnie fala niedobrego powietrza. Jakby ktoś puszczał bąki". To oczywiste, że stale mieszkająca we Francji Holland pierdzi bezwonnie.

NIE POPADAJMY W ROZPACZ

Z tą wyrafinowaną opinią rywalizować może jedynie przypominana aż nazbyt często impresja artystki dramatycznej Krystyny Jandy z 2017 r.: „Czuję się, jakby ktoś srał na mnie cały czas". W ten sposób na antenie tego samego Radia Zet skomentowała ówczesną sytuację polityczną, jak również wiersz Jarosława Marka Rymkiewicza „Do Jarosława Kaczyńskiego", w którym szczególnie nie spodobały się jej słowa:

To, co nas podzieliło, – to już się nie sklei
Nie można oddać Polski w ręce jej złodziei.

Cóż tak bulwersującego odkryła Janda w tym – jak się zdaje – oczywistym dystychu? Doprawdy nie wiem, ale aktorka, a także wzięta pisarka, diarystka, felietonistka, pieśniarka, działaczka na rzecz kultury (oczywiście za pośrednictwem fundacji swego imienia), słowem – kobieta renesansu przyzwyczaiła już nas do – rzekłbym – nieco histerycznych diagnoz współczesności, którymi dzieli się z nami przy każdej okazji. Jak np. w trakcie ostatniej kampanii prezydenckiej, kiedy orzekła, że „jeżeli pan Duda zostałby prezydentem na kolejną kadencję, to nadziei nie ma żadnej. To byłby tunel bez światełka".

Nie popadajmy jednak w skrajną rozpacz. Zdarzają się na szczęście w tej bezdennej ciemności iskierki nadziei, choćby w postaci filmowej kreacji Krystyny Jandy w „Słodkim końcu dnia" (2019) wyreżyserowanym przez Jacka Borcucha, którą to rolą nasza niezrównana artystka powróciła po dłuższej przerwie na ekrany kin. Przybytki X muzy przeżywają wprawdzie głęboki kryzys i w większości są zamknięte, ale to naprawdę nie za sprawą Jandy, a pandemii. A wybitny scenariusz napisany przez reżysera filmu do spółki, oczywiście, ze Szczepanem Twardochem był dla pamiętnej z „Przesłuchania" (1982) gwiazdy wręcz wymarzony. Wcieliła się w postać poetki Marii, laureatki – uwaga! – Nagrody Nobla, polskiej Żydówki, zmuszonej w stanie wojennym do emigracji i od tamtej pory żyjącej w Toskanii, w urokliwej miejscowości Volterra. Tam starzeje się ze względną godnością do momentu, gdy zakochuje się, z wzajemnością, w mogącym być jej synem Egipcjaninie. Czym zauroczyła owego Kopta, trudno wyczuć, ale nie czepiajmy się drobiazgów. Noblistka rodem z Polski jest dumą miasteczka, do czasu jednak, ponieważ wywołuje skandal na lokalnej uroczystości, obraża miejscowych notablów, by następnie zarzucić i im, i zadowolonym z siebie Europejczykom hipokryzję oraz ksenofobię, wziąć w obronę uchodźców, a nawet wesprzeć terrorystów dopuszczających się zamachów, w których giną niewinni ludzie, ale i sami zamachowcy. Ponieważ koniec musi wieńczyć dzieło, bezkompromisowa poetka ostatecznie decyduje się zwrócić Nagrodę Nobla, co już jest aktem bohaterstwa wprost nie do wyobrażenia.

Świat nie padł przed Krystyną Jandą na kolana, ale dostrzeżono ją na firmowanym przez Roberta Redforda festiwalu „kina niezależnego" Sundance, nagradzając za tę właśnie rolę, 60-letniej pisarki, która rozumie, że to na artystach spoczywa dzisiaj ciężar bycia moralnymi autorytetami. A w terroryzmie, którym jest wyraźnie zafascynowana, widzi rodzaj najwyższej sztuki, tej, która dotyka prawd ostatecznych. Tym czytelnikom, którzy pukają się w tym miejscu w głowę, przypomnę „Utraconą cześć Katarzyny Blum" (1974) niemieckiego noblisty Heinricha Bölla, który też zakochał się w terrorystach, dokładnie w sławnej wtedy anarchistycznej Frakcji Czerwonej Armii, lewackiej grupie Baader-Meinhof. No właśnie.

Po drodze byłoby Agnieszce Holland z Jackiem Dehnelem, który dokonał apostazji, ale wypowiada się jako katolik LGBT

Rola Marii ze „Słodkiego końca dnia" nie będzie jednak raczej wymieniana jednym tchem w podsumowaniach dorobku artystycznego Jandy obok Tosi Dziwisz z „Przesłuchania" czy Agnieszki z „Człowieka z marmuru" (1976) i „Człowieka z żelaza" (1981). Trudno, zawsze jednak dowiodła, że niekoniecznie musi być skazana na granie scenicznych monodramów, w których głównie zwraca uwagę a to szlafrokiem, a to znów przydeptanymi kapciami. Co do mnie wciąż za najwybitniejszą jej kreację uważam tę z „Bez znieczulenia" Andrzeja Wajdy (1978), gdzie nie odezwała się ani słowem. A cóż może być bardziej wymownego niż cisza? Okazuje się, że wulgaryzmy.

„W chwili, gdy zrywa się w społeczeństwie komunikacja między dwiema stronami konfliktu i ludzie nie słyszą się i nie rozumieją, kiedy wręcz nie chcą usłyszeć i zrozumieć, co do siebie wzajemnie mówią, a ich słowa pochodzą z zupełnie różnych idiolektów – wtedy – stwierdza dobitnie Olga Tokarczuk, nasza noblistka, na razie z Dolnego Śląska, nie ze słonecznej Toskanii – pozostają tylko przekleństwa". No i ch..!

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 993d4bce60

Rewolucja urojona

Demonstracja pod hasłem „Nigdy nie będziesz szła sama" w Krakowie, 24 listopada 2020 r.

FOT. DAMIAN KLAMKA/EAST NEWS

Rafał A. Ziemkiewicz

Opozycja wciąż się łudzi, że niszowe radykalne postulaty popiera większość. I że zamiast słuchać wyborców, należy im mówić, że mają myśleć tak jak „elity". Efekt? Wszystkie antyrządowe ruchy gasną tak samo

Stare przysłowie powiada: „Do trzech razy sztuka", ale dla naszej lewicowo-liberalnej opozycji nawet trzykrotne wdepnięcie w tę samą pułapkę to zdecydowanie za mało, żeby się czegoś nauczyć. Przynajmniej jeśli chodzi o nauki, które każdy racjonalny polityk wyciągnąłby z nieustannie ponawianych prób wywołania w Polsce wielkich zamieszek, które zmuszą PiS do oddania władzy.

Zależnie od tego, czy liczyć pomniejsze wzmożenia, czy tylko te główne, Strajk Kobiet jest już trzecią właśnie albo nawet piątą taką próbą i na naszych oczach powtarza los poprzednich, różniąc się od nich tylko większym niż wcześniej przyzwoleniem na agresję i wulgarność.

Owe próby rozpoczęły się natychmiast po wyborczym zwycięstwie PiS w roku 2015. Najpierw opozycja chciała wymusić „impeachment" nowo wybranego prezydenta Dudy pod pretekstem „utraty moralnego prawa do sprawowania urzędu" po tym, jak media Axel Springer, wspierane przez zgodnie grające wtedy w tej samej orkiestrze telewizje prywatne i państwowe, oskarżyły go o „kilometrówki" (w istocie chodziło w tej absurdalnej „aferze" o to, że jako poseł Andrzej Duda korzystał z darmowych biletów kolejowych i lotniczych, co jest przywilejem wszystkich posłów od czasów międzywojennych). To właśnie na użytek tej akcji – wbrew legendzie wiążącej go ze sprawą Trybunału Konstytucyjnego – założony został KOD.

Następnie pojawił się pomysł doprowadzenia do nowych wyborów pod wymyślonym przez Romana Giertycha pretekstem „oszustwa wyborczego", które miało polegać na tym, że Zjednoczona Prawica startowała jako komitet wyborczy PiS goszczący na swych listach przedstawicieli innych partii, a nie jako koalicja. Trudno powiedzieć, na ile poważnie brano pod uwagę pomysł Giertycha, ponieważ wkrótce PiS dał, jak się wydało opozycji, dużo lepszy powód do wyprowadzenia ludzi na ulicę, unieważniając mandat wszystkich pięciu wybranych w poprzedniej kadencji sędziów Trybunału Konstytucyjnego i wybierając zamiast nich pięciu nowych.

Protesty przeciw temu posunięciu przyniosły pierwszy wybuch nadziei opozycji, że zaraz, jak to ujął Lech Wałęsa, „PiS-owcy będą z okien skakać". Tomasz Lis zapowiadał: „Niebawem przyjdą tu setki tysięcy", inni oczekiwali milionów (wspomniany już Wałęsa milion protestujących wyznaczył jako granicę, po której osiągnięciu da się uprosić i stanie na czele rewolucji). W szczytowym momencie udało się na warszawskie ulice wyprowadzić – jak ogłosiła PO – „ćwierć miliona ludzi", czyli w istocie, według obliczenia portalu Gazeta.pl, 55 tys. protestujących. Jak na Polskę to sporo, ale daleko mniej od oczekiwań. Z 8 mln, które głosowały na Bronisława Komorowskiego, a w wyborach parlamentarnych w niewiele mniejszej liczbie poparły PO, Nowoczesną i partie lewicy, lwia część okazała się zupełnie nie podzielać rewolucyjnego zapału swoich politycznych przywódców.

CIAMAJDAN I RESZTA

Scenariusz, który odegrała wtedy opozycja po raz pierwszy, powtarzany jest od tamtego czasu regularnie. Niekiedy na mniejszą skalę – jak w wypadku bloko-

eprasa.pl 993d4bce60

wania i okupowania Sejmu „w obronie wolności mediów", które zapisało się w historii III RP pod szyderczym mianem „ciamajdanu", czy intensywnych w pierwszej chwili, ale bardzo krótkich „czarnych protestów" – a niekiedy na większą, gdy spore tłumy pojawiły się na protestach przeciwko zmianom w sądach. Protesty Strajku Kobiet rozmiarami przypominały raczej te ostatnie.

Bez względu jednak na to, ile osób udawało się wyprowadzić na ulicę w pierwszej chwili, szybko one znikały, zostawiając na ulicy żelazną gwardię kolejnych mutacji KOD, bojówek anarchistów i LGBT oraz aktywistek feministycznych, wspartych przez parlamentarzystów PO i Lewicy. Kilka tysięcy od lat tych samych osób, atakujących budynki rządu i parlamentu, biura posłów PiS, a od pewnego czasu także kościoły, i brylujących w lewicowych mediach jako „ofiary prześladowania".

Dlaczego tak trudno jest opozycji utrzymać przy sobie „normalsów"? Odpowiedź, jakiej udziela sobie na to pytanie ona sama, jest niezmienna: widocznie nasze protesty były zbyt grzeczne. Trzeba ostrzej, trzeba mocniej, nie patyczkować się, wywołać prawdziwą wojnę! Każdy kolejny zryw jest więc bardziej radykalny w hasłach i żądaniach – w czym ostatnie, koordynowane przez Ogólnopolski Strajk Kobiet, doprawdy trudno już będzie przelicytować.

POLACY NIE SĄ RADYKAŁAMI

Tymczasem, i tu właśnie tkwi jedna z głównych przyczyn kolejnych porażek opozycji, Polacy wcale radykałami nie są. Jeśli nawet z różnych powodów uważają się za przeciwników PiS i nie podobają im się styl działania tej partii oraz jej politycy, to nie jest to aż taka nienawiść, by tak jak ich polityczni i medialni liderzy roili o krwawej zemście, o wyrzucaniu z okien czy bodaj tylko wsadzaniu do więzień. Jeśli ktoś wzywa ich na ulice hasłem „To jest wojna", to może być pewien, że go nie posłuchają – większość Polaków wojną zainteresowana nie jest.

Czy to jakaś tajemna wiedza? Bynajmniej, niechęć do skrajności jest stałą cechą polskiego społeczeństwa, a brak poparcia dla radykałów, zarówno z umownej lewej, jak i z prawej strony, widać w każdym partyjnym sondażu i każdym badaniu opinii publicznej. Skąd więc ta bezbrzeżna wiara opozycji, że, wręcz przeciwnie, polskie społeczeństwo dyszy nienawiścią i marzy o stawianiu szubienic – wiara, na której opiera ona całą swoją strategię?

Nie umiem wyjaśnić tego inaczej niż szczelnym zamknięciem się lewicowo-liberalnych elit w medialnej bańce. Odbiorca, do którego kierują one swój przekaz – boleśnie przeżywający kompleks niższości, zapatrzony w obyczajowe nowinki z Zachodu, nienawistnie odnoszący się do polskiej tradycji, patriotyzmu i uważanego za główną przyczynę uwięzienia w polskości i zacofaniu Kościoła katolickiego – uważany jest przez polityków za reprezentatywny obraz statystycznego Polaka.

Gdyby tak było, PiS i Andrzej Duda nigdy przecież nie wygraliby wyborów, i to przy tak wysokiej frekwencji. Postępowaniem opozycji kieruje jednak klasyczne wańkowiczowskie „chciejstwo". Na dodatek lewicowo-liberalne media, dla swoich interesów, uporczywie opozycję w tej kwestii dezinformują, na przykład budując fałszywy obraz masowości protestów i powszechnego poparcia dla nich. Zawyżanie poparcia dla swojego obozu to oczywiście abecadło propagandy, ale do tegoż abecadła należy również zasada, że propagandę robi się po to, by oszukiwać innych, nie samych siebie.

Tymczasem – czy to w wypadku KOD, czy Strajku Kobiet – lewicowo-liberalne salony i ich politycy bezkrytycznie poddają się telewizyjnym mirażom ogromnych tłumów, stworzonym dzięki profesjonalnemu kadrowaniu i powszechnie znanym PR-owskim sztuczkom (nocne manifestacje ze światełkami, dzienne z wielkimi horyzontalnymi flagami etc.). Tymczasem elementarny rozsądek przypomina, że nawet 100 tys. ludzi – też, nawiasem mówiąc, poza zasięgiem opozycji – to tłum na ulicy, ale w polityce tyle co nic. Gdyby było inaczej, Polską od dawna rządziłoby stowarzyszenie Marsz Niepodległości.

Dzięki udziałowi młodzieży, która potraktowała aborcyjne protesty w mniejszej części jako okazje do zadymy, w większej jako piknik, manifestacje wypadły okazale – ale przecież ideą było, jak sama nazwa Strajk Kobiet wskazuje, sparaliżowanie kraju właśnie przez strajk, a nie uliczne pokrzykiwania i bazgrolenie błyskawic. Tymczasem chyba żadna kobieta, poza „socjolożkami i politolożkami" występującymi jako „gościnie" lewicowych mediów, na wezwanie do porzucenia pracy nie odpowiedziała. W dniu największych protestów byłem w jednej z głównych warszawskich galerii handlowych. Nie zauważyłem ani jednego sklepu, w którym ekspedientki porzuciłyby pracę. Albo przynajmniej się oflagowały.

NISZOWE POPARCIE

Tefałenowski miraż ogromnych tłumów skłania opozycję do przekonania, że jej postulaty cieszą się wielkim poparciem – gdy w istocie są one niszowe. Tak, Polacy czasami mają dość rządów PiS i chcą im pokazać swe niezadowolenie. Ale tak samo, jak wcale nie chcą ci Polacy wojny domowej, tak przyczyną ich niezadowolenia nie jest brak aborcji na życzenie, chęć niszczenia kościołów czy rugowania religii z życia publicznego. Ich oczekiwania są zupełnie inne i opozycja choć odrobinę profesjonalna zaczęłaby od zainteresowania się, co myślą zwykli ludzie, zamiast wmawiać im, że powinni myśleć to, co „oświecone" elity.

W każdej z kolejnych antypisowskich rewolucji widać kompletne rozejście się radykalnych przywódców – oszalałych ze szczęścia, że „nareszcie" – z nastrojami większości. A gdy jeszcze wśród protestujących pojawią się ci sami co zawsze, po wielokroć skompromitowani politycy… Faktycznym zakończeniem masowości protestów sądowych było pojawienie się na nich Wałęsy (wszystko mówi fakt, że TVP Info pokazywała jego przemówienie na żywo, gdy TVN w ogóle je przemilczało). Faktycznym końcem protestów przeciwko orzeczeniu TK w sprawie aborcji było ogłoszenie przez panie Lempart i Suchanow składu „rady konsultacyjnej" oraz listy radykalnych postulatów, w części w ogóle absurdalnych, a w części kompletnie przeciętnego Polaka nieinteresujących. Według statystyk „polityki w sieci" w obu wypadkach – Wałęsy i konferencji prasowej Strajku Kobiet – zainteresowanie internautów protestami spadło do poziomu sprzed ich początku.

Pointa? Zasłużony skądinąd dla kolejnych klęsk swego obozu Tomasz Lis zdobył się na rozsądną uwagę pod adresem działaczek Strajku Kobiet, żeby nie obrażały ludzi, bo nie ma innego sposobu zdobycia władzy niż wygranie wyborów. Odpowiedziała mu ze śmiertelną powagą rzecznik prasowa Lewicy, Anna Maria Żukowska, że „jest inny sposób: rewolucja". Widać więc, że miraż rewolucji jest zbyt piękny, by pozwolić go zniweczyć faktom.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 993d4bce60

Nowe otwarcie

Marcin Makowski

Co zmiana władzy u naszego najważniejszego sojusznika oznacza dla Polski? Jak wyglądają kulisy rozmów z politykami demokratów? I czy sam Biden, do tej pory krytycznie wypowiadający się o sytuacji politycznej w naszym kraju, zamierza zmienić amerykański kurs w Europie, a może – wbrew obawom – umocni militarną i energetyczną obecność w Polsce?

We wtorek 24 listopada po godz. 1 polskiego czasu na koncie Donalda Trumpa pojawił się tweet, który mimo zapowiedzi dalszej walki prawnej zapalił zielone światło dla rozpoczęcia procesu prezydenckiej tranzycji. Tym samym blokowana przed dostępem do funduszy federalnych oraz informacji niejawnych przyszła administracja Joe Bidena – trzy tygodnie po wyborach w USA – mogła rozpocząć działania zmierzające do skonstruowania nowego gabinetu, który po 20 stycznia rozgości się w Białym Domu. Co zmiana władzy u naszego najważniejszego sojusznika oznacza dla Polski? Jak wyglądają kulisy rozmów z politykami demokratów? Czym zajmują się MSZ oraz polska dyplomacja – punktowana przez opozycję za zbytnią opieszałość względem nowego prezydenta? I czy sam Biden, do tej pory krytycznie wypowiadający się o sytuacji politycznej w naszym kraju, zamierza zmienić amerykański kurs w Europie, a może – wbrew obawom – umocni militarną i energetyczną obecność w Polsce?

RELACJE KURTUAZYJNE

Chociaż z wielu kręgów politycznych słyszy się zarzuty „nieprzygotowania do zmiany prezydenta w USA" kierowane w stronę polskiej dyplomacji, to są one tylko po części prawdziwe. Skomplikowana rzeczywistość amerykańskiego prawa wyborczego narzuca bowiem restrykcje w kwestii kontaktowania się przedstawicieli obcych państw z politykami, którzy oficjalnie nie pełnią jeszcze funkcji w administracji rządowej. A właśnie w takiej sytuacji przez dłuższy czas znajdował się przyszły gabinet prezydenta elekta, który ze względu na kwestionowanie wyni-

eprasa.pl 993d4bce60

Trudno udawać, że nie było wypowiedzi Bidena zestawiających Polskę z reżimami autorytarnymi czy krytykowania „stref wolnych od LGBT"

FOT. JOE RAEDLE/GETTY IMAGES

ków wyborów przez Donalda Trumpa tkwił w swoistym zawieszeniu. Na ten fakt w rozmowie z „Do Rzeczy" zwraca uwagę wiceszef MSZ Marcin Przydacz. – Działamy w rzeczywistości, w której jeszcze przez prawie dwa miesiące kontaktujemy się z administracją aktualnie urzędującego prezydenta Donalda Trumpa, a sam formalny proces tranzycji zaczął się kilka dni temu. Musimy mieć na uwadze tzw. Logan Act, który zabrania oficjalnych kontaktów międzypaństwowych z politykami, którzy nie pełnią funkcji w rządzie. Dlatego w tej chwili działamy na zasadzie rozmów kurtuazyjnych – mówi wiceszef MSZ, odnosząc się do dokumentu, który wszedł w życie już pod koniec XVIII w.

Jak przekonuje minister Paweł Jabłoński, kontakty robocze zostały jednak podjęte z otoczeniem Joe Bidena zaraz po ogłoszeniu wstępnego wyniku wyborów. – Musimy jednak pamiętać, że działamy w obrębie amerykańskiego prawa. Jego obchodzenie sprawiłoby, że moglibyśmy się narazić na zarzuty, które w 2016 r. wysuwano wobec administracji Donalda Trumpa, która podjęła kontakty z Rosjanami jeszcze przed rozpoczęciem procesu tranzycji – twierdzi.

Moi inni rozmówcy z kręgów dyplomatycznych, którzy pragną zachować anonimowość, zwracają jednak uwagę, że proces nawiązywania relacji dyplomatycznych, nawet jeśli mowa o tak dużych dysproporcjach sił, musi mieć znamiona dwustronności. – Ludzie prezydenta elekta też muszą szukać z nami kontaktu, przecież Ameryka ma w Polsce realne i ciągłe interesy energetyczno-zbrojeniowe – słyszę. Trudno powiedzieć, czy wobec braku jednoznacznych gratulacji wysłanych ze strony pałacu prezydenckiego w kierunku Joe Bidena dojdzie w najbliższym czasie do rozmowy telefonicznej dwóch polityków, ale – jak przekonują mnie osoby odpowiedzialne za to zadanie – „trwają intensywne prace" nad zaaranżowaniem takiego telefonu.

O to, co robić w czasie między tranzycją a zaprzysiężeniem nowego prezydenta, pytam również ambasadora Polski w USA. – Jeszcze przez ponad dwa miesiące będzie funkcjonować obecna administracja, z którą utrzymujemy kontakty w różnych sprawach związanych ze współpracą dwustronną – mówi prof. Piotr Wilczek. – Jeśli chodzi o współpracę z przyszłą administracją, to przez ostatnie cztery lata utrzymywałem regularne i dobre kontakty z politykami i ekspertami związanymi z Partią Demokratyczną: senatorami i członkami Izby Reprezentantów, ich doradcami oraz z czołowymi ekspertami ośrodków analitycznych, którzy zasilą nową administrację demokratyczną, czasami na wysokich stanowiskach. Liczę, że te kontakty będą procentować – dodaje dyplomata. Z innych kręgów słyszę jednak, że panuje pewien zawód postawą rządu oraz jego ciał doradczych, które – poza nielicznymi przypadkami indywidualnych działań – nie przygotowały większej analizy scenariusza zwycięstwa Bidena i jego konsekwencji dla Polski, przez co pierwsze dni po wyborach upłynęły na milczeniu bądź asekuracyjnych komunikatach. – Polski Instytut Spraw Międzynarodowych nie przedstawił mapy drogowej, Krzysztof Szczerski, do tej pory czołowy „amerykanista" u prezydenta, nagle zamilkł. Trudno jednak oczekiwać, żebyśmy zachowywali się jak Niemcy czy Francja, które są bardzo aktywne i ze zmianą władzy w Ameryce wiążą nadzieje na ocieplenie własnych relacji – mówi mi jeden z polityków zajmujący się sprawami międzynarodowymi.

KTO JEST KIM W ADMINISTRACJI BIDENA?

Z takim punktem widzenia polemizuje jednak Marcin Przydacz. Gdy pytam go o to, czy nie zmarnowano lat prezydentury Donalda Trumpa, zaniedbując kontakty z demokratami, którzy mogli przecież wrócić do władzy, słyszę, że to nie są dla polskiego rządu „anonimowi ludzie". – W latach 2015–2016 współpracowaliśmy z administracją Baracka Obamy, gdzie wiele osób z obecnego otoczenia Joe Bidena działało na wysokich stanowiskach. To np. Antony Blinken, który ma relacje rodzinne z Polską, a wcześniej był zastępcą sekretarza stanu. Warto wymienić również Michèle Flournoy – dobrze wspominamy naszą współpracę w kontekście warszawskiego szczytu NATO – która ma kierować Pentagonem, czy Jake'a Sullivana, który będzie piastować funkcję głównego doradcy ds. bezpieczeństwa – właśnie te trzy osoby, zdaniem ministra, są dzisiaj dyplomatycznie „rozpoznane" i będą kluczowe w relacjach bilateralnych. Więcej niż znany jest również były demokratyczny kandydat na prezydenta, będący w amerykańskiej polityce od dekad, John Kerry, który zajmie się sprawami klimatu.

Z tego grona na uwagę zasługuje zwłaszcza Blinken, przyszły sekretarz stanu, który w Polsce bywał, a na niedawnej konferencji prasowej przypomniał, że jego rodzina pochodzi znad Wisły. Mówił o ojczymie z Białegostoku, który jako jedyny z 900 dzieci chodzących do jego szkoły przeżył Holokaust, a następnie wyemigrował do Ameryki. Nie jest przypadkiem, że oficjalne gratulacje po nominacji na stanowisko przesłali mu na Twitterze szef MSZ Zbigniew Rau oraz szef gabinetu prezydenta Krzysztof Szczerski. Antony Blinken może jednak nie być wymarzonym z perspektywy Prawa i Sprawiedliwości partnerem, bo jeszcze jako urzędnik w gabinecie Baracka Obamy zgłaszał swoje zastrzeżenia do stanu praworządności w Polsce, odwołując się do konfliktu o Trybunał Konstytucyjny oraz Komisję Wenecką.

Rozmówcy „Do Rzeczy" twierdzą jednak, że nasze relacje z demokratami zaangażowanymi w sprawy polskie nie kończą się na jednym nazwisku czy dwóch. Jako przykład wymieniają choćby spotkanie

eprasa.pl 993d4bce60

Andrzeja Dudy z jednym z kandydatów na sekretarza stanu, senatorem Chrisem Murphym z Connecticut, z którym prezydent rozmawiał i wystąpił na wspólnej konferencji podczas spotkania z Polonią w New Britain. Murphy działający w polskim klubie w amerykańskim Kongresie nadal może trafić do administracji Bidena.

Innym kierunkiem nawiązywania relacji z nową administracją jest kontakt z amerykańskimi think tankami oraz ekspertami zewnętrznymi. – Przez lata zorganizowaliśmy wiele wspólnych inicjatyw z Atlantic Council, German Marshall Fund czy Center for Strategic and International Studies. Nie jest tajemnicą, że wiele z pracujących tam osób wejdzie w różnych rolach do nowego gabinetu prezydenta Bidena. Często te najważniejsze dyskusje i rekomendacje odbywają się przecież na poziomie zastępców lub doradców czołowych urzędników – ich też musimy mieć „rozpoznanych" – tłumaczy minister Przydacz. – Na razie osoby współpracujące blisko z Joe Bidenem, zwłaszcza te, które mają zająć ważne stanowiska w administracji, skupiają się na procesie przejmowania administracji i unikają bezpośrednich kontaktów z zagranicznymi dyplomatami. Niemniej ze względu na nawiązane wcześniej kontakty i dobre relacje z wieloma politykami i ekspertami Partii Demokratycznej liczymy na kontynuację sojuszniczych relacji. Jesteśmy też obecnie w stałym kontakcie z ośrodkami analitycznymi, które organizują wirtualne konsultacje i briefingi na temat perspektyw polityki amerykańskiej w najbliższych latach – dodaje ambasador Piotr Wilczek.

TRÓJMORZE, WOJSKOWOŚĆ I PRAWORZĄDNOŚĆ

Skoro, jak twierdzą dyplomaci, mimo nieformalności rozmowy z przyszłym gabinetem Joe Bidena trwają, jakie tematy stanowią ich priorytet? Jaka jest temperatura rodzących się relacji? Czy w związku z momentami wręcz ostentacyjnym wspieraniem Donalda Trumpa da się w nich wyczuć dystans albo chłód? Przedstawiciele Ministerstwa Spraw Zagranicznych przekonują, że na obecnym etapie nie da się postawić takiej tezy, a na wyciąganie wniosków o hipotetycznym resecie relacji Polska-USA jest zdecydowanie za wcześnie. – Rozmawiamy głównie o kwestii Trójmorza oraz energetyce, a także o obecności wojsk USA na flance wschodniej NATO. Nie mamy sygnałów, aby coś w tych obszarach miało się zmienić – twierdzi minister Paweł Jabłoński. Trudno udawać jednak, że wypowiedzi prezydenta elekta zestawiających Polskę z reżimami autorytarnymi pokroju Białorusi czy krytykowania „stref wolnych od LGBT" nie było.

One z pewnością, zwłaszcza podczas wizyt amerykańskich urzędników w naszym kraju, wrócą, ale w tej chwili nie stanowią priorytetu formującej się administracji. – Biden nie został prezydentem USA, aby walczyć o praworządność w Polsce. To dla nich sprawa dziesiątorzędna. W tej chwili wszystkie siły idą w kierunku walki z koronawirusem, utrzymaniem miejsc pracy, służbą zdrowia – mówi mi jeden z polityków Zjednoczonej Prawicy. Dodaje jednak, że niepokoi go postawa prezydenta, który wybrał wariant najgorszy z możliwych, gratulując kandydatowi demokratów „udanej kampanii", a nie wygranych wyborów. Jak twierdzi, taka forma nikogo nie zadowoliła, zraziła obydwie strony i nie jest przypadkiem, że Polska, która miała być czołowym sojusznikiem Ameryki w Europie, w rozmowach Joe Bidena z głowami państw jest na razie pomijana.

Nic nie wskazuje na zmianę planów związanych z obecnością wojsk amerykańskich w Polsce

– Czekamy na oficjalny wynik wyborów, wtedy zostaną również wysłane z Polski noty dyplomatyczne i gratulacje. O ile się coś niesamowitego nie wydarzy, o tyle nikt się nie spodziewa, aby sytuacja się odwróciła. Szanse na to, że Donald Trump decyzją sądów jednak zostanie prezydentem, są niezwykle niskie – broni decyzji MSZ oraz zachowania Andrzeja Dudy Paweł Jabłoński. Trudno jednak nie zauważyć wspomnianej już niekonsekwencji w postaci oficjalnych gratulacji przesłanych przyszłemu sekretarzowi stanu, przy ich braku wobec jego przełożonego. Wracając do priorytetów nowego prezydenta, w polskiej optyce zwraca się uwagę na następujące punkty. To przede wszystkim deklarowana chęć odnowienia globalnego przywództwa USA, skupienie się na rywalizacji z Chinami, powrót do instytucji międzynarodowych, np. WHO, wzmocnienie roli Ameryki w NATO oraz ożywienie współpracy z Unią Europejską. – Czym administracja Bidena odróżni się od Trumpa? – pytam w takim razie. – Na pewno intensyfikacją współpracy multilaterlanej. To sprawy akcentowania zmian klimatycznych oraz polityki opartej na wartościach – praworządności oraz demokracji liberalnej. Na pewno część agendy będzie również lewicowa, bo wśród demokratów rośnie od pewnego czasu skrzydło bardzo progresywne, choć sam Biden pozostaje klasycznym centrystą – odpowiada Marcin Przydacz.

Równocześnie zarówno on, jak i inni moi rozmówcy zaznaczają, że nic nie wskazuje na zmianę planów związanych z obecnością wojsk amerykańskich w Polsce, część komentatorów za oceanem dodaje nawet, że Michèle Flournoy może utrzymać część kontyngentu europejskiego, którego wycofanie z Niemiec zapowiedział Donald Trump.

– Nie wyczuwam niechęci ze strony dyplomatów i urzędników Bidena, z którymi rozmawiamy. Pamiętajmy, że to profesjonaliści, a długofalowa strategia Stanów Zjednoczonych opiera się nie na personalnych animozjach czy sympatiach, ale ocenie priorytetów geopolityczno-finansowych. Jesteśmy społeczeństwem proamerykańskim, trudno robić nam zarzut, że współpracowaliśmy blisko z Donaldem Trumpem, skoro to on był legalnie wybranym prezydentem USA. Uważam, że raczej ci, którzy w polskiej opozycji odrzucali wybór Trumpa, zachowywali się nieodpowiedzialnie – mówi wiceszef MSZ. Jak dodaje, polska dyplomacja będzie się opierała na akcentowaniu tych długofalowych interesów, przy jednoczesnym „przekazywaniu pełnego obrazu sytuacji politycznej w Polsce". To wycieczka do cytowanych już słów Bidena w kwestii mniejszości LGBT oraz autorytaryzmu. – Odnośnie do praworządności i reform wymiaru sprawiedliwości mamy zamiar tłumaczyć naszym partnerom, że to suwerenne decyzje rządu, które cieszą się poparciem większości obywateli i są zgodne z prawem. Jestem przekonany, że nowa administracja wyrobi sobie zdanie o Polsce w oparciu o własną analizę i wiele źródeł, a nie tylko o to, co mogą suflować środowiska nam nieprzychylne – kończy minister. Wydaje się jednak pewne, że to właśnie te zagadnienia – praworządnościowo-ideowe – a nie wojskowość, energetyka czy relacje biznesowe będą największym wyzwaniem dla Zjednoczonej Prawicy. Takim, na rozwiązanie którego – na razie – sugestywnych pomysłów nie widać.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 993d4bce60

Ubezpieczenia, które **sprawdzają się w życiu**

Od wielu lat pomagamy naszym klientom.

Nasze ubezpieczenia **PZU Gwarantowane Jutro i PZU Ochrona Każdego Dnia** wspierają Ciebie i Twoją rodzinę w trudnych sytuacjach życiowych. Otrzymasz od nas wsparcie jeśli zachorujesz na nowotwór, znajdziesz się w szpitalu (także z powodu Covid-19), przejdziesz operację lub utracisz sprawność.

Umów się z naszym agentem.
Zadzwoń 801 102 102* lub wejdź na pzu.pl
*Opłata zgodna z taryfą operatora

Zakładem ubezpieczeń jest PZU Życie SA. Ten materiał nie stanowi oferty handlowej w rozumieniu art. 66 Kodeksu cywilnego i ma charakter wyłącznie informacyjny. Szczegółowe informacje o zakresie ubezpieczenia, w tym o wyłączeniach i ograniczeniach odpowiedzialności, znajdziesz w aktualnych ogólnych warunkach (OWU) indywidualnego ubezpieczenia na życie i dożycie PZU Gwarantowane Jutro oraz indywidualnego ubezpieczenia na życie PZU Ochrona Każdego Dnia, dostępnych na stronie pzu.pl,w naszych oddziałach i u naszych agentów

eprasa.pl 993d4bce60

FOT. MAREK M. BERĘZOWSKI/REPORTER

Konfederacja w opałach

Kamila Baranowska

Konfederacja przypomina dziś dziwną hybrydę, w której głowa nie pasuje do reszty. Liderzy partii są dużo bardziej konserwatywni niż jej wyborcy. To zwiastuje kłopoty

Wydarzeniem, które jak na dłoni pokazało rozjazd między czołowymi politykami Konfederacji a jej wyborcami, był Strajk Kobiet po wyroku Trybunału Konstytucyjnego w sprawie aborcji.

Liderzy Konfederacji w ostatnich latach wielokrotnie otwarcie oskarżali PiS o tchórzostwo w sprawie ochrony życia poczętego. – Czas potrząsnąć PiS-owskimi nominatami, którzy przejęli TK i przyzwalają na mordowanie najbardziej bezbronnych wyłącznie na podstawie posądzeń o jakieś wady. Barbarzyńcy! – nawoływał Krzysztof Bosak rok temu. Temat ten wielokrotnie wracał zresztą także w jego kampanii prezydenckiej. – Przepisy zdejmujące sankcje karne za zabicie dzieci nienarodzonych to barbarzyństwo – mówił w marcu tego roku, podkreślając, że „jedyny możliwy do zdiagnozowania przez naukę moment, wyróżniający początek życia, to moment poczęcia". Trzeba przyznać, że w tej kwestii Bosak, podobnie jak inni liderzy Konfederacji, jest konsekwentny.

KOBIECY WYŁOM

Tym większym wydaje się kłopotem to, że tego stanowiska w kluczowej z punktu widzenia wyznawanych przez nich wartości sprawie nie podzielają wyborcy. IBRiS na zlecenie Wirtualnej Polski zbadał, jaki wpływ na poparcie dla niedawnych protestów kobiet w sprawie aborcji mają sympatie polityczne. Wyszło na to, że radykalnymi przeciwnikami protestów są wyborcy PiS (86 proc. jest przeciw protestom) i Andrzeja Dudy (80 proc. przeciw). Największymi zaś zwolennikami są wyborcy Koalicji Obywatelskiej (86 proc. jest za tym, by protesty kontynuować, pomimo trwającej pandemii) oraz… Konfederacji (81 proc. za kontynuacją protestów).

Poniekąd taki wynik to pewnie efekt wolnościowych poglądów wyborców Konfederacji, którzy – co wynika choćby z badań CBOS – uważają, że obostrzenia nakładane przez rząd ze względu na pandemię są zbyt rygorystyczne. Zapytani więc, czy protesty powinny trwać nadal pomimo pandemii, nie widzą w tym żadnego problemu. To jednak tylko część odpowiedzi. Ciekawsze jest to, że nie widzą także problemu w przedmiocie protestu.

Profesor Rafał Chwedoruk, politolog z Uniwersytetu Warszawskiego, przyznaje w rozmowie z „Do Rzeczy", że ten fakt niespecjalnie go zaskakuje. – Od samego początku dostrzegałem pewną dychotomię, jeśli chodzi o kręgi liderów Konfederacji i jej elektorat. Liderzy tej formacji wywodzą się ze starego porządku politycznego, nawet jeśli są to politycy młodszego pokolenia, to odwołują się do świata dawnych socjopolitycznych podziałów. Natomiast jeśli chodzi o wyborców Konfederacji, to jest to zupełnie nowe pokolenie młodych ludzi, którzy

eprasa.pl 993d4bce60

kwestionują dawne podziały. Na naszych oczach dokonuje się pewna strukturalna zmiana, za którą także Konfederacji trudno będzie nadążyć – mówi ekspert.

Ta strukturalna zmiana, najkrócej rzecz ujmując, polega na tym, że nowe pokolenie prezentuje zupełnie inny sposób myślenia, odwołuje się do innych kategorii społeczno-politycznych. – W przypadku wyborców głosujących na Konfederację istotne były dwa czynniki: pokoleniowy oraz libertariański. Z tym że libertarianizm dotyczy nie tylko kwestii ekonomicznych, dotyczy wszystkiego. Ta specyficznie czy wręcz skrajnie pojmowana wolność, indywidualizm i chęć decydowania o wszystkim samemu dotyczy także świata wartości, stąd poparcie dla Strajku Kobiet, który odwoływał się do możliwości wyboru i decydowania o sobie – wskazuje prof. Chwedoruk, który od dawna już przygląda się temu zjawisku.

Krzysztof Bosak przyznaje, że zdaje sobie sprawę z różnic w poglądach liderów Konfederacji i przynajmniej części wyborców. Jego zdaniem jednak to, że popierają oni Konfederację, świadczy o tym, iż nie jest to dla nich czynnik najważniejszy. – Wyborcy bardziej umiarkowani, centrowi są w stanie zaakceptować bardzo wyraziście konserwatywnych polityków i taki typ przywództwa, bo ważniejsze są dla nich inne kwestie, np. spojrzenie na gospodarkę czy na politykę wobec Unii Europejskiej – wskazuje. – Nasze poglądy na kwestie aborcji postrzegają po prostu jako jedne z wielu dopuszczalnych w debacie i nie determinują one ich wyborów politycznych, nawet jeśli mają całkiem inne zdanie w tej kwestii.

PRZYPADKOWI I NIEPRZEWIDYWALNI

Liberalno-lewicowi komentatorzy często ulegają złudzeniu, że Konfederacja – zarówno jej politycy, jak i wyborcy – to naturalny sojusznik PiS. To bowiem prawica, bo konserwatyści, bo deklarują patriotyzm i przywiązanie do wartości narodowych. Gdy jednak sięgnie się do badań, a do tego spojrzy głębiej na wyniki ostatnich wyborów parlamentarnych i prezydenckich, widać, jak błędne jest takie postrzeganie sprawy. Elektorat Konfederacji jest nastawiony bardzo antypisowsko, pod tym względem nie odstaje zbyt mocno od wyborców Koalicji Obywatelskiej czy Lewicy. Według badania CBOS z końca października rząd krytycznie oceniało 75 proc. wyborców Konfederacji. Co ciekawe, mniej krytyczni wobec rządu PiS są chociażby wyborcy Szymona Hołowni (tu mamy 72 proc. przeciwników rządu).

W drugiej turze wyborów prezydenckich głosujący na kandydata Konfederacji Krzysztofa Bosaka podzielili się niemal po równo – 51,5 proc. oddało swój głos na kandydata PiS Andrzeja Dudę, a 48,5 proc. na kandydata Koalicji Obywatelskiej Rafała Trzaskowskiego. – Jedyną regułą, jaką posługuje się elektorat Konfederacji, jest brak reguły – śmieje się prof. Chwedoruk. I przypomina, jak w wyborach prezydenckich 2010 r., pomimo apelu Janusza Korwin-Mikkego, który wezwał do głosowania na Jarosława Kaczyńskiego, większość jego sympatyków oddała głos na Bronisława Komorowskiego.

– Stosunek wyborców Konfederacji do PiS wynika po części z tego, że ulegają narracji, iż są konkurencją PiS, jedyną prawdziwą prawicą, a po części z tego, że duża część tych młodych ludzi dorastała w czasach, gdy rządził PiS. Nimb antyelitaryzmu ważny dla wyborców prawicy nie dotyczy w ich przekonaniu PiS – wskazuje prof. Chwedoruk. – Do tego dochodzi jeszcze fakt, że PiS swoją polityką społeczną uderza w najczulsze nuty wolnościowców, czyli w liberalizm ekonomiczny – dodaje.

– Część naszych wyborców uważa PiS za plagę, którą należy zwalczyć. Oni uznaliby jakiekolwiek nasze porozumienie z PiS za zdradę konserwatywnych wartości – potwierdza Krzysztof Bosak. Do tego dochodzi zapewne jeszcze czynnik czysto pragmatyczny. Konfederacja dobrze pamięta, jak skończyła LPR, wchodząc w sojusz z PiS, i zapewne nikt tam nie chce powtórki tego scenariusza.

Wychodzi na to, że wyborcy Konfederacji to grono dość przypadkowe i nieprzewidywalne. W ostatnich wyborach prezydenckich, mając w pierwszej turze do wyboru kandydata Konfederacji Krzysztofa Bosaka, aż 15 proc. wyborców Konfederacji z wyborów parlamentarnych, które odbyły się raptem rok wcześniej, zagłosowało na Szymona Hołownię. A 9 proc. oddało swój głos na Rafała Trzaskowskiego.

Trudno na podstawie tak chybotliwego elektoratu zbudować coś trwałego, formację, która przetrwałaby dłużej niż jedną kadencję. Jeszcze trudniej wymyślić długofalową strategię polityczną i sposób, by zatrzymać wyborców przy sobie. Dlatego nie dziwią porównania Konfederacji do partii takich jak Ruch Palikota czy Kukiz'15, które przebojem weszły do Sejmu właśnie dzięki młodym wyborcom o skrajnie liberalnym spojrzeniu na wszystko. Sęk w tym, że wyborcy ci szybko od tych partii odpłynęli.

DWA ZŁE WYJŚCIA

Profesor Chwedoruk wróży, że Konfederacja lada chwila stanie przed trudnym wyborem: czy pójść drogą węgierskiego Jobbiku i pozycjonować się jako siła polityczna na prawo od PiS, czy wybrać polityczny pragmatyzm i wyjść naprzeciw oczekiwaniom większości wyborców, rezygnując z konserwatywnej agendy światopoglądowej, zostawiając te kwestie w sferze indywidualnych decyzji każdego człowieka. To drugie rozwiązanie wydaje się politycznie bardziej opłacalne i perspektywiczne, choć oznacza narażenie się na zarzut hipokryzji i braku wiarygodności. To pierwsze jednak ma więcej głośnych i widocznych w przestrzeni publicznej zwolenników. Nie wolno bowiem zapominać, że wyborcy Konfederacji to także ci, którzy chodzą na Marsze Niepodległości i którzy podczas strajków kobiet pilnowali kościołów. To przez ich pryzmat postrzegani są cała Konfederacja i jej zwolennicy, co nieco zaburza obraz całości tego elektoratu. – Nie mamy zamiaru zmieniać poglądów ani rezygnować z pryncypialności w kluczowych dla nas tematach – deklaruje Bosak.

Kiedy jednak Robert Winnicki, poseł Konfederacji i prezes Ruchu Narodowego, apelował 11 listopada do młodzieży o „słuszny bunt w imię odpowiedzialności, w imię wartości, w imię wspólnoty narodowej", by za chwilę mówić, że współczesna lewica oferuje „wolność polegającą na tym, że macie tylko pić, ćpać, palić i macie wolny seks, to jest cała wolność, jaką ma do zaproponowania lewica", to spora część wyborców Konfederacji mogła nie zrozumieć, w czym właściwie problem, co jest złego w takiej wolności. – Trudno być twardym libertarianinem, który odmienia wolność przez wszystkie przypadki, i jednocześnie bronić tradycyjnych wartości, Kościoła, polskości czy patriotyzmu. To na dłuższą metę nie może się udać – konkluduje prof. Chwedoruk.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 993d4bce60

FOT. HUBERT MATHIS/ZUMA PRESS/FORUM

Z Marcinem Romanowskim, podsekretarzem stanu w Ministerstwie Sprawiedliwości
rozmawia Maciej Pieczyński

Państwo ma obowiązek chronić rodzinę

MACIEJ PIECZYŃSKI: „Dzięki tym przepisom policja otrzyma realne narzędzia, aby skutecznie przeciwdziałać przemocy domowej, a Polska dołączy do grupy krajów, w których osoby pokrzywdzone uzyskują najlepszą ochronę" – tymi słowami przedstawiał pan w Sejmie projekt tzw. ustawy antyprzemocowej, która 30 listopada wchodzi w życie. Chyba najostrzejszym z tych narzędzi jest przepis pozwalający na eksmisję sprawcy przemocy domowej?

MARCIN ROMANOWSKI: Rzeczywiście z punktu widzenia walki z przemocą domową przyznanie uprawnienia policji do wydania wobec osoby stosującej przemoc nakazu natychmiastowego opuszczenia wspólnie zajmowanego mieszkania i jego bezpośredniego otoczenia jest instrumentem nowym i o fundamentalnym znaczeniu dla walki z przemocą domową. Od teraz to sprawca przemocy będzie musiał szukać schronienia, co najmniej na 14 dni, a nie jego ofiara, nawet jeśli to on jest wyłącznym właścicielem nieruchomości. Zawsze trzeba mieć na uwadze hierarchię dóbr. Kwestia uprawnień właścicielskich sprawcy przemocy nie może być stawiana wyżej niż konstytucyjnie chronione prawa przysługujące jego ofierze, takie jak chociażby prawo do ochrony życia, zakaz poniżającego traktowania czy gwarancja nietykalności i wolności osobistej. Zwłaszcza że nie chodzi tutaj o pozbawienie własności sprawcy, lecz o czasowe ograniczenie korzystania z niej.

Nakaz opuszczenia mieszkania lub zakaz zbliżania się policjant będzie mógł wydać podczas interwencji lub „w związku z powzięciem informacji o stosowaniu przemocy w rodzinie". Pierwsza opcja nie budzi kontrowersji, ale „powzięta informacja" chyba nie zawsze musi być prawdziwa. Jak policjant będzie ją weryfikował?

Oczywiście nie można wykluczyć, że znajdą się osoby, które podejmą działania mające na celu sfingowanie dowodów co do rzekomo stosowanej wobec nich przemocy. Osoby te będą jednak przesłuchiwane pod rygorem odpowiedzialności karnej za złożenie fałszywych zeznań. Nie oznacza to jednak, że policja powinna obawiać się realizacji przysługujących jej uprawnień oraz nałożonych na nią obowiązków. Chcemy też oprzeć się na wiedzy, doświadczeniu i wieloletniej praktyce policjantów, dla których samo przeprowadzenie interwencji domowej oraz dokonanie właściwej oceny zastanej sytuacji nie jest niczym nadzwyczajnym. Nie bez znaczenia jest bowiem okoliczność, że do wspomnianych interwencji często dochodzi w rodzinach dobrze znanych policji.

Nakaz lub zakaz mają obowiązywać 14 dni, a o ich przedłużeniu będzie decydować sąd. Wychodzi na to, że przez dwa tygodnie sprawca przemocy, na podstawie decyzji policjanta, będzie, bez wyroku sądu, pozbawiony dachu nad głową?

Przez 14 dni ofiara przemocy będzie bezpieczna. Zresztą wydanie nakazu lub zakazu nie będzie stanowiło arbitralnej decyzji funkcjonariusza policji. Wymagane jest zgromadzenie przez policjanta należytych dowodów w postaci zeznań świadków – przede wszystkim członków rodziny, ale też i osób obcych – sąsiadów, kuratorów sądowych, pracowników opieki społecznej bądź dokumentacji medycznej, m.in. obdukcji lekarskiej. Jeśli chodzi o sprawcę, to policja będzie miała obowiązek przekazania aktualnej listy placówek, w których taka osoba może znaleźć schronienie bądź uzyskać pomoc psychologiczną. Gdyby sprawca przemocy po powrocie do domu w dalszym ciągu zachowywał się agresywnie, nakaz lub zakaz mogą zostać wydane ponownie. W celu zapewnienia respektowania orzeczenia sądu i decyzji policji penalizacji poddano zachowania polegające na niezastosowaniu się do orzeczenia sądu lub nałożonego nakazu lub zakazu, ma-

eprasa.pl 993d4bce60

jącego stanowić wykroczenie, a postępowanie w tym zakresie objęto trybem przyspieszonym.

Wiele sytuacji tego typu jest oczywistych, ale zapewne często trudno jest ustalić czyjąś winę bez wyroku sądu. Konflikty rodzinne nie zawsze są jednoznaczne. Nie obawia się pan, że może dochodzić do nadużyć, pomówień?

Wprowadzana regulacja ma jednak na celu prewencję generalną: uświadomienie społeczeństwu, że działania lub zaniechania związane z przemocą w rodzinie nie pozostaną bezkarne, lecz spotkają się z natychmiastową i nieuchronną reakcją organów państwa. Tego typu przepisy funkcjonują na świecie. W Austrii policyjny nakaz opuszczenia mieszkania przez sprawcę przemocy fizycznej obowiązuje już ponad 20 lat i nie był nadużywany.

Przeciwko ustawie głosowali politycy Konfederacji. „Policja może przyjść i wyeksmitować kogoś z jego własnego domu na podstawie pomówienia" – komentował Dobromir Sośnierz.

Przewidzieliśmy wiele narzędzi, które mają zapobiec ewentualnym błędom czy wręcz nielegalnym działaniom. Zdobyliśmy doświadczenie międzynarodowe, kiedy badaliśmy, jak funkcjonuje nakaz we wspomnianej już Austrii czy w Czechach – tam ten problem błędów czy złego zastosowania nakazu jest czymś marginalnym. Wspólnie z policją i Żandarmerią Wojskową przygotowaliśmy specjalistyczne szkolenia, nie tylko o charakterze typowo prawnym, lecz także prowadzone przez psychologów i psychoterapeutów. Oczywiście bardzo szeroko rozbudowane są gwarancje w samej regulacji, jak wspomniana możliwość złożenia zażalenia i obowiązek sądu, aby rozstrzygnął to zażalenie w ciągu trzech dni.

Sośnierz argumentuje, że w ustawie nie ma żadnej ścieżki sądowej, która pozwalałaby uniknąć eksmisji na podstawie pomówienia.

Tak jak powiedziałem, to sąd sprawuje kontrolę nad stosowaniem znowelizowanych przepisów. Jest więc zupełnie odwrotnie. Ustawa antyprzemocowa zakłada kontrolę sądową nad stosowaniem tego nowego środka. Pozwoli ona zapobiec nadużyciom i fałszywym pomówieniom wobec niewinnych osób. Sąd może też w uzasadnionych przypadkach uwzględnić zażalenie sprawcy przemocy i uchylić nakaz lub zakaz. Nadal istnieć będzie możliwość złożenia do sądu wniosku o opuszczenie lokalu przez stosującego przemoc. Ustawa przewiduje również usprawnienie przebiegu postępowania. Szybka procedura będzie możliwa m.in. dzięki temu, że pisma procesowe będzie mogła doręczać policja, a nie jedynie poczta. Policja będzie też zobowiązana do udzielania sądowi wszelkiej pomocy, niezbędnej do szybkiego zakończenia sprawy, np. przy ustaleniu adresu świadka. W pewnych przypadkach sąd będzie mieć trzy dni na rozpatrzenie wniosku ofiary przemocy, natomiast całą sprawę będzie musiał rozpoznać w ciągu miesiąca od złożenia wniosku. Orzeczenia sądu zobowiązujące sprawcę przemocy do opuszczenia mieszkania oraz zakazu zbliżania się do mieszkania będą wykonywane już od momentu ich ogłoszenia. Ponadto osoby domagające się zastosowania takich środków zostaną zwolnione z kosztów sądowych.

Premier Morawiecki, odsyłając konwencję stambulską do Trybunału Konstytucyjnego, argumentował, że polski rząd skutecznie walczy z przemocą domową, czego dowodem jest przygotowana przez resort sprawiedliwości ustawa. Może więc wprowadzanie własnych rozwiązań da Polsce alibi i pozwoli uniknąć implementacji bardziej problematycznych przepisów, narzucanych z zewnątrz?

Konwencja stambulska ideologizuje przemoc wobec kobiet, sprowadzając ją do rzekomej dominacji mężczyzn nad kobietami. Skupia się na promocji ideologii gender zamiast na problemie przemocy. Lekceważone są w niej prawdziwe przyczyny tej przemocy, takie jak: rozpad rodziny, alkoholizm czy narkomania. Konwencja to napisany kiepskim językiem neomarksistowski manifest, który nie tylko jest sprzeczny z polską konstytucją, lecz także próbuje narzucić pseudowartości nieakceptowalne dla większości Polaków. Promowanie czy wręcz narzucanie genderowej ideologii to nie jest lek na przemoc domową. Nasze rozwiązania dają natomiast realne i skuteczne narzędzia pomocy ofiarom.

Środowiska na prawo od PiS zarzucają wam, że tą ustawą wprowadzacie lewicowe rozwiązania, że pozwalacie, by państwo nadmiernie ingerowało w życie rodzinne.

Państwo ma obowiązek chronić rodzinę. Tak wynika z konstytucji. Przypadki przemocy domowej są jednak w zdecydowanej mierze efektem rozbicia rodziny i bardzo często sprawcą przemocy jest konkubent lub konkubentka. Stajemy po stronie rodziny, wyzwalając ją od oprawcy. Jednocześnie jako Zjednoczona Prawica prowadzimy politykę prorodzinną, której fundamentem jest program „500+". To komplementarne narzędzia, które eliminują zjawiska degradujące rodzinę.

Ustawę poparła Lewica. Poseł Gdula nazwał jej uchwalenie „historycznym momentem"...

To prawda, choć zaskakuje fakt, że lewicowe rządy nie dążyły do wprowadzenia takich rozwiązań. Dopiero rząd Zjednoczonej Prawicy stworzył narzędzia, które chronią kobiety. I nie chodzi tylko o ustawę antyprzemocową. Wprowadziliśmy też surowsze kary za przestępstwa seksualne.

Niezależnie od złośliwości konfederatów, którzy przypisują wam lewicowe sympatie, faktem jest, że programowo walczące z przemocą lewicowe rządy nigdy nie wprowadzały tego typu antyprzemocowych rozwiązań. Dlaczego?

Bo lewica realizuje agendę ideologiczną, która jest motorem jej polityki. Pod płaszczykiem walki o prawa kobiet czy mniejszości neomarksiści dokonują przewrotu kulturowego wymierzonego w rodzinę jako fundament zdrowego społeczeństwa. Gwałt na rodzinie jest gwałtem na porządku konstytucyjnym. Gdyby lewicy zależało na losie krzywdzonych kobiet, dawno by doprowadziła do uchwalenia podobnych przepisów.

Uchwalona ponad pół roku temu ustawa, wymierzona w sprawców przemocy domowej, wchodzi w życie właśnie teraz, w czasie trwających od tygodni protestów środowisk skrajnie lewicowych. Nie słychać, by lewica wychwalała obóz władzy za ulżenie w cierpieniach kobiet. Właściwie to wasze starania przechodzą trochę bez echa. Dlaczego?

Dlatego przypominajmy panom i paniom posłankom Lewicy, że to właśnie oni apelowali do prezydenta o podpisanie ustawy i ogłaszali, że wejście w życie ustawy to historyczna chwila i wielki sukces środowisk kobiecych od wielu lat walczących o te przepisy. Przy okazji zapytajmy głośno, czy demolowanie kościołów, ataki na księży, lżenie policjantów to właśnie skuteczne narzędzia walki z tak piętnowaną przez lewicę przemocą.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 993d4bce60

FOT. JULIAN SOJKA/EAST NEWS

Pała z zaufania

Łukasz Warzecha

Nie ma wątpliwości, że policja zalicza wizerunkowy dół, by nie rzec: katastrofę. A społeczne zaufanie jest narzędziem jej pracy. Problem w tym, że plemienność i kalizm w ocenach działania policji wskazują, iż żadna siła polityczna nie jest zainteresowana naprawą sytuacji w tej formacji

Policja utraciła ogromną część zaufania – tak wynika z najnowszego sondażu IBRiS dla Interii. Podobne badanie przeprowadził ten sam ośrodek trzy lata temu. Od tego czasu poziom zaufania spadł o 20 pkt do 44 proc., poziom nieufności wzrósł o 14 – do 33 proc., a obojętność – o 6 pkt do 19 proc.

Inne, systematycznie przeprowadzane badania zaufania do instytucji publicznych przywoływałem w swoim majowym tekście o policji. Przeprowadza je co kilka lat CBOS. Ostatnie robiono w lutym, czyli zanim wybuchła epidemia i długo przed wydarzeniami związanymi ze Strajkiem Kobiet i Marszem Niepodległości. Wówczas zaufanie do policji było na poziomie 71 proc., z 11 proc. deklarującymi zaufanie zdecydowane, nieufność zaś deklarowało 21 proc., ale w rankingu nastąpił spadek o dwa miejsca w stosunku do 2012 r.

Nie ma wątpliwości, że policja zalicza wizerunkowy dół, by nie rzec: katastrofę. A trzeba rozumieć, że nie jest to jedynie kwestia dobrego samopoczucia jej dowódców czy ministra spraw wewnętrznych. Dla policji społeczne zaufanie jest narzędziem pracy. Bez tego zaufania funkcjonariusze nie mogą liczyć na pomoc obywateli, co z kolei sprawia, że wszelkie działania stają się trudniejsze.

PRZESTAWIONA WAJCHA

Przyjrzyjmy się chronologii zdarzeń działań policji. Podczas wiosennego lockdownu policja zajęła się gonitwami za staruszkami w parkach, rowerzystami na bulwarach albo kontrolą tego, ile i czego kupiło się w sklepie (aby ustalić, czy zgodnie z rozporządzeniem zakupy wypełniają przesłanki „niezbędnej potrzeby", czy może zawierają zbędne i „luksusowe" towary). Posypały się mandaty, później masowo uchylane przez sądy. Z kolei sądy administracyjne nie pozostawiały suchej nitki na notatkach, które policja sporządzała dla sanepidu, a ten na ich podstawie wymierzał skandalicznie wysokie kary administracyjne. Internet zalały absurdalne sceny, takie jak ta, kiedy funkcjonariusz wypytywał ludzi w kolejce do baru, co zamówili, i decydował, czy mogą zamówienie odebrać.

Następnie w okolicy wyborów prezydenckich policja po raz pierwszy od bardzo dawna interweniowała relatywnie brutalnie podczas tzw. protestów przedsiębiorców, organizowanych przez kandydata na prezydenta Pawła Tanajnę. Pomijając ocenę samego protestu, była to wyraźna zmiana w stosunku do wcześniejszej praktyki, gdy nawet duże antyrządowe demonstracje były traktowane z uprzedzającą wręcz wstrzemięźliwością – by wspomnieć choćby sceny delikatnego wynoszenia z Krakowskiego Przedmieścia Władysława Frasyniuka. Ba, nawet podczas okupowania sali sejmowej przez opozycję na przełomie lat 2016 i 2017 policja zachowywała się łagodnie wobec protestujących przed parlamentem, zwłaszcza wziąwszy pod uwagę ich nastawienie. Tymczasem wobec zgromadzonych przez Tanajnę ludzi użyto m.in. gazu łzawiącego, choć sytuacja tego nie uzasadniała.

Jesienią, po wyroku Trybunału Konstytucyjnego, zaczęły się demonstracje przeciwników władzy. Policja traktowała je z wyjątkową wyrozumiałością, również wtedy, gdy dochodziło tam do agresji. Symboliczna stała się scena, kiedy to lewacki chuligan Michał Szutowicz ps. Margot demolował pod nosem policjantów samochód na placu Trzech Krzyży przy całkowitej bierności funkcjonariuszy. Jednocześnie zaczęły się utarczki pomiędzy szefem MSWiA Mariuszem Kamińskim i komendantem głównym generalnym inspektorem Jarosławem Szymczykiem a Jarosławem Kaczyńskim, który nie był zadowolony z postawy policjantów. Pojawiły się pytania, czy przyczyną łagodnego podejścia do protestów lewicy nie są osobiste poglądy wielu funkcjonariuszy.

Potem przyszedł 11 listopada i szokująca zmiana nastawienia policji. Dla każdego uważnego obserwatora musiało być jasne, że – niezależnie od faktycznie agresywnych grup chuliganów, którzy również dali o sobie znać – została przestawiona wajcha. Policjanci – zresztą sprowadzeni na tę okazję również z odległych miejsc Polski – zachowywali się tak, jakby mieli się odegrać za wymuszoną bierność podczas wcześniejszych protestów. Na nagraniach utrwalono wiele sytuacji bezzasadnej agresji, w tym rzucanie w dziennikarzy granatem hukowym czy poganianie ich pałkami. Takich scen 11 listopada nie było nawet za PO. Nagranie z ronda de Gaulle'a, pokazujące moment postrzelenia fotoreportera

eprasa.pl 993d4bce60

„Tygodnika Solidarność" Tomasza Gutrego, które opublikowała sama policja, paradoksalnie pokazuje prawdopodobne złamanie prawa przez strzelającego funkcjonariusza. Strzał z broni gładkolufowej został bowiem oddany w kierunku wcześniej rzucającego racą napastnika, który – już się oddalając – przebiegał obok fotoreportera. Ustawa o środkach przymusu bezpośredniego i broni palnej bardzo wyraźnie zakazuje użycia broni, gdy zagrożenie dla funkcjonariusza minęło – a tak było w tym przypadku.

Tydzień potem doszło do starć z policją podczas kolejnych demonstracji Strajku Kobiet. Teza o agresji policji wydawała się tym razem naciągana, ale nie została wyjaśniona sprawa połamania legitymacji poselskiej Moniki Wielichowskiej z Koalicji Obywatelskiej, a starcie Włodzimierza Czarzastego z policjantem, w wyniku którego ten ostatni miał mieć nogę w gipsie, sprawia wrażenie, jakby policja chciała zrobić z posła Lewicy Chucka Norrisa.

Wreszcie doszło do zatrzymania fotoreporterki Agaty Grzybowskiej i postawienia jej zarzutów. Wbrew twierdzeniom policji na opublikowanych filmach nie widać, żeby dziennikarka wymierzała policjantowi kopniaka, a błyśnięcie z bliska fleszem, gdy próbuje się zrobić zdjęcie w czasie zamieszania, może się zdarzyć. Nawet jeśli policja uznała, że jest powód do interwencji, to powinna była dziennikarkę po identyfikacji wypuścić. Nie zmienia tego fakt, że Grzybowska w swoich wypowiedziach jednoznacznie protest popiera (czym, nawiasem mówiąc, przekracza granicę tego, na co może sobie pozwolić dziennikarz – ale tę granicę przekraczało już wcześniej mnóstwo osób po obu stronach medialnej barykady).

POWRÓT DO FATALNYCH METOD

To nieco przydługie zestawienie zdarzeń było konieczne, aby pokazać, że nie mamy tu do czynienia z jednostkowym wydarzeniem. Niestety, w ramach namiętnie uprawianej plemienności uczestnicy życia publicznego nie chcą tego dostrzec. Gdy niektórzy – w tym autor tego tekstu – wskazywali wiosną, że policja staje się służbą dręczącą obywateli, tematu nie podjęła nie tylko żadna strona politycznego sporu, lecz także największe media. Nie było też dzwonków alarmowych, gdy brutalnie rozganiano ludzi Tanajny. Po 11 listopada opozycja nabrała wody w usta, powtarzając mantrę o „faszystach", którym się przecież należało. Po 18 listopada sytuacja się odwróciła. Przedstawiciele Strajku Kobiet byli oburzeni tym, jak sami zostali potraktowani, ale nie widzieli związku z wydarzeniami sprzed tygodnia. Z kolei politycy Konfederacji twierdzili, że działania wobec protestujących, a także wobec Agaty Grzybowskiej, były słuszne, ale te podjęte 11 listopada – oczywiście nie.

Tymczasem problem z policją przekracza partyjne podziały. Jego pierwsza warstwa to polityczny nacisk i uzależnienie policji, w tym gra o to, kto miałby zastąpić krytykowanego przez najważniejsze partyjne czynniki komendanta głównego. Tak można by interpretować działania z 11 listopada, których bezpośrednim nadzorcą był komendant stołeczny policji nadinsp. Paweł Dobrodziej. Inspektor generalny Jarosław Szymczyk na razie jednak posadę uratował, głównie dzięki poparciu ministra Kamińskiego.

Druga warstwa to fatalny poziom szkolenia policjantów. Nie tylko go nie wydłużono – wbrew zapowiedziom inspektora Szymczyka – lecz także w niektórych przypadkach wręcz skrócono.

Najbardziej jednak niepokojące jest to, że policja wydaje się wracać do fatalnych metod stosowanych przed 2015 r. Jedną z nich było wysyłanie w tłum funkcjonariuszy w cywilu, wielokrotnie oskarżanych przez obecnie rządzących, wtedy w opozycji, o prowokowanie starć. O tej taktyce nie było słychać od momentu objęcia władzy przez PiS – aż do tego roku.

Zapytałem o to rzecznika Komendy Stołecznej Policji nadkom. Sylwestra Marczaka. Jakie było zadanie nieumundurowanych funkcjonariuszy? Czy mieli oni jedynie wskazywać agresywne osoby w tłumie, czy też na podstawie rozkazów dowódcy mogli podejmować czynną interwencję wobec nich? Do jakiej jednostki należeli? Czy funkcjonariusze ci mieli przeszkolenie w zakresie postępowania z tłumem i zabezpieczania demonstracji? Na jakiej podstawie prawnej posługiwali się opaskami z napisem „Policja"? Czy podejmując interwencję, funkcjonariusze każdorazowo dokonywali identyfikacji, a więc okazywali legitymację służbową lub przynajmniej informowali, że są funkcjonariuszami policji, zgodnie z art. 61 Ustawy o policji? Jeśli zaś takiej informacji nie było, to w jaki sposób uczestnicy zgromadzenia mieli się zorientować, że mają do czynienia z funkcjonariuszami policji?

Odpowiedź brzmiała: „Najważniejsze zadania każdego z policjantów biorących udział w zabezpieczeniach to zapewnienie bezpieczeństwa. To samo dotyczy policjantów umundurowanych, jak i nieumundurowanych. Działając w tłumie, policjanci podejmują działania wobec prowokatorów, osób najbardziej agresywnych. [...] Tam, gdzie mamy do czynienia z sytuacją dynamiczną, tam również szybkie muszą być działania policjantów, a te uzależnione są od występujących okoliczności. Funkcjonariusze biorący udział w działaniach należą do wszystkich pionów policji od logistyki do prewencji czy pionu kryminalnego. Dlatego, że wśród występujących zagrożeń musimy uwzględnić zarówno warianty pozytywne, jak również te najbardziej skrajne, takie jak te o charakterze terrorystycznym. Nie wskazujemy jednak na to, jakie komórki brały udział w naszym zabezpieczeniu. Funkcjonariusze chociażby okrzykiem wskazywali, z jakiej są służby. Wystarczy zapoznać się z nagraniami, które krążą po sieci. Usłyszymy m.in. hasło »Policja«. Następnie w trakcie czynności zakładano także opaski z napisem »Policja«". Nawet przy maksimum dobrej woli trudno to uznać za wyczerpujące wyjaśnienia.

Problem w tym, że plemienność i kalizm w ocenach działania policji wskazują, iż żadna siła polityczna nie jest zainteresowana naprawą sytuacji w tej formacji. Po ewentualnej zmianie władzy zmieniłyby się po prostu kadry w budynku przy ul. Puławskiej w Warszawie – i tyle. A to oznaczałoby dalszy wizerunkowy zjazd policji ze wszystkimi tego konsekwencjami, włącznie z tym, że coraz trudniej będzie znaleźć chętnych do służby niecieszącej się społecznym prestiżem.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 993d4bce60

Agnieszka Niewińska

Od kiedy w Polsce pojawił się pierwszy przypadek COVID-19, maturzysta z Torunia zaczął zbierać dane o zakażeniach. Urzędnikom wytknął zgubienie w statystykach tysięcy przypadków zachorowań. Dzisiaj z jego tabel korzystają ośrodki badawcze i naukowcy

FOT. JULIAN SOJKA/EAST NEWS

Rachmistrz pandemii

Wystarczy otworzyć odpowiednią tabelę arkusza kalkulacyjnego, by sprawdzić, jak dzień po dniu w naszym powiecie albo tym na drugim końcu Polski rozwijała się pandemia koronawirusa. Możemy zweryfikować, ile dzień po dniu robiono testów w każdym z województw, jaki ich odsetek był pozytywny. Widać, w jakim województwie zmarło na COVID najwięcej osób i jaka jest w nim zapadalność na tę chorobę. Nie jest to jednak oficjalna rządowa strona z danymi, ale projekt 19-letniego Michała Rogalskiego, który dane o pandemii zaczął zbierać hobbystycznie. Dzisiaj nazywany jest w mediach „19-latkiem, który policzył pandemię" czy „człowiekiem, który zastępuje państwo".

MOTYWACJĄ BYŁ CHAOS

O sobie mówi, że „upaja się danymi". – Zbieram dane o śnie, liczbie zrobionych kroków, temperaturze w domu, domowym budżecie. Pandemię uznałem za zjawisko mierzalne, które możemy analizować i przewidywać jego dalszy przebieg na podstawie liczb. Bazę danych zacząłem tworzyć dla siebie, bo nie mogłem odnaleźć się w chaosie informacyjnym. Teraz zrobił się z tego ogromny obywatelski projekt, bo okazało się, że nie tylko ja potrzebuję dostępu do danych, lecz także dziesiątki tysięcy osób, które z bazy korzystają – mówi nam Rogalski.

Od początku pandemii oficjalne dane były rozproszone. Poza tym, co każdego dnia podawało Ministerstwo Zdrowia, swoje statystyki publikowały urzędy wojewódzkie oraz powiatowe stacje sanitarno-epidemiologiczne. Dane do arkusza Michał Rogalski musiał spisywać ręcznie z wielu źródeł. – Większość była ogólnodostępna, podawana na facebookowych czy twitterowych kontach urzędów i instytucji, na ich stronach internetowych. Czasami trzeba było o nie prosić w trybie dostępu do informacji publicznej albo wyciągać za pomocą mediów – opowiada. Aby móc realizować projekt i codziennie aktualizować dane dla 308 powiatów, na Twitterze poprosił o wsparcie. Do projektu zgłosiło się sześciu wolontariuszy. Razem na aktualizowanie danych poświęcali kilka godzin dziennie.

– Inni nosili maseczki, a ja wpisywałem dane do tabelek – mówi Rogalski. Jest zdania, że jego praca ma realny

eprasa.pl 993d4bce60

wpływ na podejmowane przez ludzi decyzje. – Dostaję informacje o tym, że dzięki mojej bazie ktoś zdecydował o tym, jak często robić zakupy, jaki region odwiedzić w wakacje.

Twórca projektu zaznacza, że od początku pandemii notorycznie pojawiały się niezgodności w danych podawanych przez powiatowe i wojewódzkie stacje sanepidu. Chodziło jednak o pomyłki o kilka czy kilkanaście przypadków. Nie miały one dużego wpływ na ogólnokrajowe statystyki. Na początku listopada twórcy obywatelskiej bazy zauważyli jednak, że dane zaczęły się mocno rozjeżdżać.

– Różnice między tym, co podawały wojewódzkie stacje sanitarno-epidemiologiczne, a danymi z powiatowych stacji sanitarno-epidemiologicznych zaczęły sięgać najpierw kilku, a następnie kilkunastu tysięcy. W pierwszej kolejności zweryfikowaliśmy, czy błędu nie ma po naszej stronie, ale okazało się, że dane w naszym arkuszu były prawidłowe. Nagłośniłem sprawę i rzeczywiście okazało się, że doszło do ogromnego zaniżenia liczby przypadków COVID-19 – mówi Rogalski.

Doliczył się 18 tys. „zgubionych" chorych. Wywołane do tablicy Ministerstwo Zdrowia oraz GIS znalazły ich jeszcze więcej – 22,5 tys. Najwięcej na Mazowszu, gdzie w statystykach zabrakło ponad 11 tys. chorych. MZ i GIS w ubiegłym tygodniu zorganizowały konferencję prasową w tej sprawie. Izabela Kucharska, zastępca szefa GIS, tłumaczyła, że problem z danymi wynikał z ręcznego ich wprowadzania. – W połowie października nastąpił wzrost liczby przypadków. Duże miasta miały tyle raportowanych przypadków, że osoby fizycznie nie nadążały z bieżącym wprowadzeniem – stwierdziła. GIS tłumaczył się także falą zachorowań pracowników stacji sanepidowskich.

22,5 tys. zachorowań urzędnicy dopisali do ogólnej liczby chorych i zapewnili, że to zachorowania z dłuższego czasu, więc nie miały wpływu na przebieg epidemii. Michał Rogalski jest jednak innego zdania. Zwraca uwagę, że w rzeczywistości najwyższa dotąd liczba nowych zachorowań – uwzględniając zgubione przypadki z powiatowych stacji sanepidu – była 7 listopada, kiedy wykryto 30,4 tys. zachorowań (MZ podało liczbę 27,8 tys. zakażeń). Obliczył też, że gdyby trzymać się rządowych wskaźników, to 11 listopada przekroczyliśmy średnio przez siedem dni próg 70 nowych przypadków na 100 tys. mieszkańców, po którym rząd powinien ogłosić narodową kwarantannę. Według Michała Rogalskiego tego dnia wskaźnik ten wyniósł 71,5.

ODCIĘCI OD DANYCH

Po ujawnieniu błędów w raportach doszło do zmian w GIS. Ze stanowiska zrezygnowała szefowa mazowieckiego GIS, gdzie było najwięcej „zagubionych" przypadków. Krzysztof Saczka (zastępuje szefa GIS Jarosława Pinkasa, który podał się do dymisji) już zapowiedział wyciągnięcie konsekwencji wobec pracowników odpowiedzialnych za błędy.

Niespodziewanie jednak wykrycie „zagubionych" przypadków przez wolontariuszy obróciło się przeciw nim. GIS ogłosił, że powiatowe stacje sanitarno-epidemiologiczne nie będą już udostępniać swoich danych. Informowanie o pandemii zostało zcentralizowane. Ministerstwo uruchomiło specjalną stronę internetową ze statystykami zakażeń, ale na razie jest ona nader uboga i nie znajdziemy tam archiwalnych danych.

– GIS jedną decyzją w pewien sposób nas zwolnił. Zakazując powiatowym stacjom publikowania danych, odciął nas od źródła informacji. W tej chwili nie mamy możliwości jakiejkolwiek kontroli danych podawanych przez Ministerstwo Zdrowia, a okazało się przecież, że społeczna kontrola danych jest potrzebna – mówi Rogalski. Od urzędników oczekuje, że „zagubione" przypadki przyporządkują do konkretnych dni i powiatów. – Ruch polegający na dopisaniu tych 22,5 tys. przypadków do ogólnej puli chorych jest absurdem. To uderza w wiarygodność tych danych jako całości. Przecież naukowcom do analizy, prognozowania epidemii potrzebne są rzetelne i prawidłowe dane – podkreśla.

Projektu jednak nie zarzuca. W dalszym ciągu arkusz będzie aktualizował o ogólnokrajowe dane. Dzisiaj za pracę dziękują mu badacze i naukowcy. Na arkusz 19-latka powołuje się m.in. Interdyscyplinarne Centrum Modelowania Matematycznego i Komputerowego Uniwersytetu Warszawskiego (z jego prognoz korzysta rząd). Naukowcy chcąc analizować dane od początku pandemii, bez arkuszy Rogalskiego musieliby ręcznie spisywać je dzień po dniu z konta na Twitterze Ministerstwa Zdrowia. – Mam dużo zaproszeń na spotkania z naukowcami, na poniedziałek jestem zaproszony do Collegium Medicum Uniwersytetu Jagiellońskiego. Zaskoczyło mnie to, co z tego projektu wyrosło, ale czuję, że spoczywa na mnie ogromna odpowiedzialność – mówi 19-latek.

Zaznacza, że dane zbiera hobbystycznie. Zawodowo zajmuje się grafiką komputerową i w tym kierunku chce się dalej rozwijać. Po zdanej maturze przeniósł się do Łodzi, ale na studia jeszcze się nie zdecydował. – Zrobiłem sobie rok przerwy, potrzebowałem czasu na rozwój. Nie chciałem wybierać kierunku studiów pod presją. Chcę pójść na takie studia, które pozwolą mi zdobyć nowe umiejętności.

Propozycji pracy ze strony GIS czy Ministerstwa Zdrowia nie dostał. – Na Twitterze ciągle czytam uwagi o tym, że już dawno powinni mnie zatrudnić, ale gdyby nawet padła taka propozycja, to powiedziałbym, żeby do pracy wzięli ekspertów, bo ja nie jestem analitykiem danych i zbieram je hobbystycznie. Kiedy czytam w mediach, że jestem „analitykiem pandemii", to myślę, że to już za daleko zaszło – śmieje się Michał Rogalski. Na razie kontakt z Ministerstwem Zdrowia miał tylko na Twitterze.

ZRÓBMY MIEJSCE MŁODYM

Rafał Flis z fundacji Zwolnieni z Teorii, organizatora pierwszej praktycznej olimpiady dla uczniów i studentów, w ramach której młodzież realizuje projekty społeczne, mówi, że COVID-owa baza Michała Rogalskiego to „wspaniały i inspirujący przykład". – Gdybyśmy dawali młodym ludziom więcej przestrzeni, więcej możliwości do realizacji własnych pomysłów, powstałoby wiele tego typu projektów. Młodzi ludzie w porównaniu ze starszymi pokoleniami mają więcej kompetencji cyfrowych, lepiej rozumieją współczesny świat, swobodnie wykorzystują dostępne narzędzia i to zanim jeszcze skończą studia czy zdadzą państwowe egzaminy – podkreśla Flis.

19-latka, który zaczął zbierać dane, spotkało też sporo lekceważących komentarzy. Portale grzmiały, że rząd wprowadzi lockdown na podstawie wyliczeń 19-letniego internauty.

Flis podkreśla, że drażni go tego rodzaju argumentacja, np. krytyka rządu za młody wiek wiceministrów. – Zróbmy miejsce młodym ludziom, korzystajmy z ich talentów – zachęca. – To, że ktoś jest młody, wcale nie znaczy, że nie ma kompetencji i zdolności do zaproponowania innowacyjnych rozwiązań, z których wszyscy skorzystamy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 993d4bce60

Piotr Gociek

Nienawiść do PiS zaślepia sporą część polskich artystów nie od dziś. Nigdy jednak nie było to tak widoczne jak podczas sporu o działania Funduszu Wsparcia Kultury

Wicepremier, minister kultury Piotr Gliński wyjaśniał, że o podziale środków z Funduszu Wsparcia Kultury decydował algorytm

FOT. MATEUSZ WŁODARCZYK/FORUM

Kulturalne samobójstwo

Za złe uczynki zostaniemy ukarani po śmierci, karanie za uczynki dobre rozpoczyna się od razu – chyba tylko taką maksymą można wytłumaczyć burzę, jaka wybuchła w ostatnich tygodniach wokół Funduszu Wsparcia Kultury. Festiwalu hipokryzji, głupoty i złej woli nie wytłumaczy jednak żadna maksyma, trzeba się więc nad sprawą pochylić.

Pandemia koronawirusa łupnęła w sektor kultury potężnie, symbolem kryzysu stał się solowy występ śpiewaka Andrei Bocellego w pustej mediolańskiej katedrze. Był 12 kwietnia, Niedziela Wielkanocna, a Europa zmagała się właśnie z pierwszą falą pandemii. Odwołane koncerty i festiwale, zamknięte filharmonie, teatry i kina, zamknięte księgarnie i sklepy muzyczne. Bocelli zrobił, co mógł – swoim koncertem dodał wszystkim otuchy, tchnął nadzieję w dniu Zmartwychwstania Pańskiego. Wielu artystów na miarę swoich możliwości czyniło podobnie – dla fanów, dla sąsiadów i dla siebie (żeby w zamknięciu nie zwariować). Koncertowali więc czy konferowali w mediach społecznościowych, na balkonach. Ale jako że kultura to także biznes, wiadomo było, że wszystko to działania symboliczne, a nie rozwiązanie problemu. A problem zamyka się w zdaniu, które kiedyś uczynił słynnym pewien zrujnowany przez nawałnice hodowca papryki, mówiąc do ówczesnego premiera Tuska: „Jak żyć, panie premierze?".

KAZIK PÓJDZIE PIESZO?

Media podawały niedawno, że jedna trzecia pracowników sektora hotelarskiego może stracić pracę. Dużo? Niestety, brutalnie odpowiem: niewiele. Już w kwietniu w USA szacowano bowiem, że w przemyśle rozrywkowym z dnia na dzień bez pracy zostało 80 proc. zatrudnionych. Widzowie czy dziennikarze znają nawiska reżyserów, aktorów, scenarzystów. Każda zamknięta lub wstrzymana produkcja filmowa, telewizyjna, teatralna, to jednak także bezrobocie dla makijażystek, operatorów, montażystów, kostiumografów, kierowców – krótko mówiąc, dla wszystkich tych, na których nazwiska nie zwracacie uwagi, kiedy na koniec filmu w kinie przez ekran płyną niekończące się plansze drobnego druczku, podsumowujące wysiłek setek ludzi. I nikt w amerykańskim ministerstwie kultury nie mrugnął okiem – gdyż nie ma tam ministerstwa kultury.

W takich krajach, gdzie odpowiednie resorty są, w tym w Polsce, wołanie: „Niech ministerstwo coś zrobi!" stało się jednak słyszalne. I Ministerstwo Kultury, Dziedzictwa Narodowego i Sportu pomoc przygotowało, choć wcale nie musiało. Przecież mogło po prostu stworzyć listę instytucji kluczowych dla polskiej kultury: muzeów, teatrów, filharmonii, może kin studyjnych, zapewnić im pełne finansowanie, a reszcie powiedzieć: „Bardzo nam przykro, czasy są ciężkie, a mamy przecież wolny rynek, proszę zacisnąć zęby i czekać, aż koniunktura wróci".

Pieniądze trafiły więc do pisarzy choćby poprzez Instytut Literatury, który dotował niekomercyjne książki oraz prowadził, przepraszam za sformułowanie, „interwencyjny skup utworów literackich", czyli wypłacając honoraria za utwory publikowane w Internecie. Narodowe Centrum Kultury skupiło się na pomocy dla niewielkich instytucji, wspomagając placówki i artystów z całego kraju. Instytut Teatralny wsparł teatry. I tak dalej. Stosowne środki, i to niemałe, zostały na to wszystko przygotowane i wydane. W odpowiedzi – skupię się na

eprasa.pl 993d4bce60

najgłośniejszych ostatnio wypowiedziach – artysta Kazik Staszewski poinformował fanów, że on i jego koledzy nie chcą „tych ukradzionych wam pieniędzy". Wam, czyli nam, czyli podatnikom, gdyż w trudnych czasach z Kazika wyszedł zaciekły korwinista, uważający podatki za złodziejstwo.

Rozumiem, że oświadczenie Kazika oznacza, iż będzie odtąd odrzucał wszelkie zaproszenia na koncerty w ramach Dnia Grudziądza albo Święta Rzeszowa, gdyż tak się składa, że imprezy te organizowane są za „ukradzione" mieszkańcom tych miast przez władze samorządowe pieniądze. Oczekiwałbym także, że po wejściu do metra Kazik uświadomi sobie, iż opłaty za bilety nie wystarczają na utrzymanie miejskiej komunikacji, dotowanej w związku z tym z miejskiego budżetu, czyli z podatków, czyli z „ukradzionych pieniędzy", więc natychmiast z odrazą opuści wagonik i pójdzie dalej pieszo. Chodnikami, które powinny tonąć w śmieciach, gdyż należałoby wstrzymać ich sprzatanie – wszak i na ten niecny proceder wydawane są „ukradzione" pieniądze.

W dodatku diabeł ubrał się w ornat i ogonem na mszę dzwoni, bo Kazik domaga się, żeby zamiast artystom dać pieniądze lekarzom i pielęgniarkom. Akurat służba zdrowia nie ma w tej chwili problemów z otrzymywaniem dodatkowych pieniędzy, za to mnóstwo ludzi, którzy pracują w innych branżach, nie ma za co żyć, o czym sam Kazik wie dobrze, bo pisał: „[...] sytuacja w Kulcie daleka jest od choćby różowej. Niektórzy koledzy już zarabiają w inny sposób, dzieląc swój czas na pracę i próby. Właściwie wróciliśmy do czasów, gdy zaczynaliśmy". Od pełnej pogardy wypowiedzi Kazika zdążyli się już odciąć niektórzy współpracujący z nim fachowcy, a muzyk Fisz (Bartosz Waglewski) odpowiedział, że Kazik „skrzywdził trochę uczciwych ludzi, którzy starają się ratować swoje firmy", i ironizował, mocno dodając: „Panu Kazikowi dziękuje też nasz wspólny kierowca, świetlik Tworzywa, znajomi muzycy i nasi tworzywowi, zaprzyjaźnieni właściciele małych genialnych miejsc koncertowych, księgarni i galerii. No i zdolni młodzi, na których wylewa się kubeł szamba w mediach społecznościowych. Smutne czasy".

ELEKTRYK JANDY, ELEKTRYK ŚWIERZYŃSKIEGO

Całą tę burzę wywołało wyciągnięcie przez media faktu, że na liście beneficjentów Funduszu Wsparcia Kultury są także artyści popularni i dobrze zarabiający. Na przykład Bajm albo Bayer Full. Cóż, byłoby dobrze pamiętać, że wsparcie dla kogokolwiek z listy nie odbywa się poprzez, powiedzmy, urzędnika ministerstwa z wiadrem pieniędzy, który przychodzi do Beaty Kozidrak i pyta: „A nie potrzebuje pani czasem kasy w tych trudnych czasach?", po czym wielką chochlą nakłada jej do michy banknoty. Za każdym Bajmem czy Bayer Fullem, tak samo jak za Kazikiem albo produkcją filmu z Tomem Cruise'em, stoją dziesiątki i setki pracowników, dzięki których pracy ich trasy koncertowe, sesje nagraniowe, premiery kinowe etc. dochodzą do skutku. Pomoc ministerstwa to pomoc w utrzymaniu tych ludzi i ich rodzin. Tak się składa, że ich pracodawcami są na przykład Beata Kozidrak albo Bayer Full (albo Kazik), a pieniędzy chochlą bezpośrednio przekazać się nie da.

Nie jesteśmy w punkcie, w którym odbywa się dyskusja na temat „Czy państwo powinno łożyć na kulturę?", bo przyjęty w III RP model mówi, że powinno, i to sporo (słusznie, niesłusznie, w jakim wymiarze – temat na osobne rozważania). Skoro łoży, to rozmowa powinna się odbywać nie na temat „czy", lecz „jak". Tutaj odpowiedzią zamykającą tak naprawdę dyskusję było wielokrotne przypominanie przez ministra kultury i wicepremiera Piotra Glińskiego, że nie rozdawano po uważaniu. „O tym, kto dostał wsparcie, nie decydowały sympatie, ale algorytm pokazujący, kto stracił przychody w wyniku pandemii" – tłumaczył Gliński. No bo jak niby inaczej miało się to stać? Tak jak w przypadku każdego innego programu publicznego muszą być kryteria, tryb naboru, składanie wniosków – kto spełnia warunki brzegowe, ten dostaje. Koniec, kropka. Nie jest rolą ministra transportu decydować, czy pieniądze na ratowanie miejsc pracy dostaną przewoźnicy, którzy mają wygodne autobusy, czy ci, którzy mają niewygodne. Nie jest rolą ministra edukacji decydować, czy szkolne dotacje dostaną jedynie szkoły, w których pracują sami mądrzy nauczyciele, czy może takie, w których znajdzie się paru idiotów. „W Funduszu Wsparcia Kultury nie oceniamy, czy ktoś jest blondynem, czy brunetem, czy jest bogaty, czy biedny" – mówił w innym wywiadzie Gliński.

Ministerstwo dało? Źle, bo „kradzione". Ale także źle, bo „za mało". Całkiem jak w dowcipie „Fatalnie tu karmią – tak, i w dodatku jakie małe porcje". Oto Krystyna Janda lamentuje, że chciała 6 mln, a dostała 2 mln. Więc pewnie albo ją prześladują złe PiS-owskie władze, albo kasa poszła na Bayer Full. Szczerze? Mam to w nosie. Uważam, że elektryk obsługujący koncerty Sławomira Świerzyńskiego zasługuje tak samo na ratowanie jego miejsca pracy jak elektryk w teatrach Jandy. Aktorce zaś przypominam, jak nie tak dawno temu wyszydzała Polaków wyciągających ręce po państwowe pieniądze (którymi niby PiS przekupił wyborców). To dlaczego dziś sama wyciąga? A jeśli już wyciąga, to może niech dopyta swego stałego sponsora, platformerskie władze miasta Warszawy, co takiego zrobił dla niej i innych ludzi kultury w czasach pandemii. Ile to milionów dał Trzaskowski na ratowanie miejsc pracy w tym sektorze?

WSTRZYMANA POMOC

Nie dość, że „kradzione", nie dość, że „za mało", to jeszcze nie tym, co trzeba – i tu oburza się także chórek domorosłych Katonów z prawej strony: Jak to, to dobra zmiana daje pieniądze Jandzie? I innym wrogom władzy? Nie chce mi się przeklejać akapitu o tym, że po to są procedury, by obejmowały wszystkich. Bez różnicy, czy władze lubią, czy nie. Resort kultury nie jest od pełnienia funkcji Wielkiego Cenzora. W regulaminach przyznawania dotacji na nowoczesne piece też nie ma adnotacji: „Dawać tylko wnioskodawcom z gmin głosujących na PiS". Trudno więc oczekiwać, by resort Glińskiego do swoich algorytmów wpisał podobny warunek.

„Na złość mamie odmrożę sobie uszy" – to hasło nie od dziś przyświeca opozycji totalnej, w tym opozycji mieniącej się ludźmi kultury (choć jeśli posłuchacie języka publicznych wypowiedzi Suchanow, Saramonowicza czy Twardocha, to odkryjecie, że to raczej ludzie antykultury). Jedynym efektem całej burzy (g....burzy – w języku zrozumiałym dla Kazika i Jandy) okazało się wstrzymanie wypłat z Funduszu Wsparcia Kultury. Jestem pewien, że Kazikowi i Jandzie na święta nie zabraknie. A co z tymi pracującymi dla tysięcy podmiotów, które miały otrzymać wsparcie funduszu? To już jaśnie państwa artystów nie interesuje.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 993d4bce60

Z Tomaszem Piechalem, dyrektorem TVP Dokument
rozmawia
Tomasz Zbigniew Zapert

Geniusze, marzyciele i inni

TOMASZ ZBIGNIEW ZAPERT: Jakie cele stawia kanałowi TVP Dokument, który debiutował na ekranach 19 listopada, jego szef?

TOMASZ PIECHAL: Chciałbym, aby ta antena stała się telewizyjnym punktem odniesienia dla wszystkich widzów zainteresowanych światem i drugim człowiekiem. Przede wszystkim będzie to kanał dynamiczny, zróżnicowany, zarówno z produkcjami popularnonaukowymi, przyrodniczymi, jak i z pełnokrwistymi, wielokrotnie nagradzanymi na międzynarodowych festiwalach, dokumentami. To ma być miejsce, w którym dominuje pogłębione podejście do opisywania rzeczywistości i dokąd trafią najlepsze przykłady krajowego i międzynarodowego reportażu filmowego. Obecnie coraz częściej telewizje z segmentu dokumentu idą w stronę factual entertainmentu, czyli „rozrywki opartej na faktach". My chcemy przedstawić alternatywne, bardziej klasyczne podejście.

W repertuarze zauważyłem dużo tytułów BBC. To rezultat dobrej relacji tego potentata z Woronicza 17?

Od lat produkcje BBC, które pokazujemy na antenach TVP, cieszą się niezmienną popularnością wśród naszych widzów. Niedzielne pasmo „BBC w Jedynce" o godz. 13 dla wielu widzów stało się wręcz nieodłączną częścią ich weekendu. Idąc tym tropem, postanowiliśmy w weekendy stworzyć specjalne popołudniowe pasma, w których od godz. 14.30 do 18.30 emitowane będą filmy od BBC Studios – nie tylko przyrodnicze, lecz także popularnonaukowe czy podróżnicze. Liczę na to, że dla części widzów stanie się to integralną częścią ich weekendowego odpoczynku.

A co „własnego wyrobu" pan szczególnie rekomenduje na dzień dobry?

Dobrych, często wybitnych filmów, które mamy w planach emisyjnych, jest na tyle dużo, że nie chciałbym w tym kontekście faworyzować poszczególnych tytułów – codziennie będzie okazja do zapoznania się z co najmniej kilkoma dobrymi polskimi produkcjami dokumentalnymi. TVP od lat jest jednym z głównych producentów i koproducentów filmów dokumentalnych w kraju. Rok 2020 to rok premier blisko 40 dokumentów, przy których powstaniu swój udział miała Telewizja Polska. W roku 2021 planujemy z kolei ok. 50 premier produkcji z udziałem TVP. Warto zaznaczyć, że w tych rachunkach nie liczę produkcji TVP Historia, TVP Kultura czy lokalnych ośrodków. Ta skala jest więc jeszcze większa. TVP Dokument pokaże wiele produkcji z ostatnich lat, które cieszyły się zarówno uznaniem widzów, jak i krytyków oraz jury wielu prestiżowych konkursów. Naszą ambicją jest zapisanie obrazu współczesnej Polski właśnie poprzez produkcje własnych serii. W przeciwieństwie do większości obecnych na rynku dokumentów będą to klasyczne seriale dokumentalne, oferujące pogłębione spojrzenie na poruszaną tematykę, z silnym podłożem obserwacyjnym. Mamy obecnie kilka takich projektów w zaawansowanej fazie realizacji i liczę, że już od początku przyszłego roku będziemy mogli je zaprezentować telewidzom.

Zainteresował mnie program dotyczący odkrywania granic II Rzeczypospolitej.

To dobry przykład tego, na co również chcielibyśmy stawiać w ramach funkcjonowania nowej anteny, czyli na korzystanie z zasobów i twórczości re-

eprasa.pl 993d4bce60

Na antenie TVP Dokument prezentowane są filmy polskie i zagraniczne. Kadr z dokumentu „Arktyka. Niezidentyfikowany podwodny świat"

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

gionalnych ośrodków Telewizji Polskiej. Pracuje tam wielu niezwykle doświadczonych twórców i powstają niezwykle interesujące projekty, które zasługują na dodatkową ekspozycję. Jednym z nich jest właśnie program Tomasza Grzywaczewskiego. We współpracy z OTV Łódź stworzył on cykl, w którym udaje się w podróż wzdłuż granic dawnej II Rzeczypospolitej – odwiedził Litwę, Ukrainę, Białoruś, tropiąc pozostałości dawnego pogranicza. Myślę, że dla wielu widzów będzie to bardzo ciekawa wyprawa.

Gdzie będą szukać „polskich śladów" twórcy tego cyklu?

Tutaj z kolei mamy do czynienia z produkcją, którą emitowaliśmy nie tak dawno na antenie TVP1, ale uznaliśmy, że warto ją powtórzyć również na TVP Dokument, bo dobrze oddaje ten nieco podróżniczy rys całej anteny. Krzysztof Puternicki przejechał kawał Europy, od jej północnego krańca – Nordkappu, do południowego – Gibraltar, szukając nieoczywistych miejsc, noszących w sobie tytułowy „polski ślad". I odnajduje go nie tylko w Wilnie czy we Lwowie, lecz także na Bałkanach albo w Barcelonie.

„Geniusze i marzyciele". Czyli kto?

Czyli niezwykli Polacy, wynalazcy i artyści, wpływający na życie każdego z nas, całego świata. Naprawdę niezwykłe jednostki, o których – niestety – dzisiaj mało kto pamięta, nie stały się częścią naszej zbiorowej pamięci. A powinny, bo ich dokonania są naprawdę niesamowite. Cykl jest autorskim pomysłem pani Anny Ferens, która poświęciła na ten projekt wiele lat i zbierając grupę zdolnych twórców, stworzyła niezwykły cykl przedstawiający sylwetki takich osób jak np. Henryk Magnuski, twórca walkie-talkie, Ludwik Hirszfeld, który wprowadził oznaczenia grup krwi, czy Jan Czochralski, odkrywca w obszarze krystalizacji krzemu, kładący podwaliny pod rozwój dzisiejszych technologii – to m.in. dzięki jego metodzie korzystamy z komputerów czy telefonów komórkowych! Pani Ferens stworzyła projekt będący kunsztownym dziełem współczesnej dokumentalistyki i – jestem przekonany – odbije się on szerokim echem.

Kogo zamierza zapraszać do swego magazynu Barbara Włodarczyk?

Przede wszystkim twórców filmów current affairs oraz ekspertów w danym temacie. To będzie studio wprowadzające, które pozwoli widzom poznać jeszcze przed emisją szerszy kontekst przedstawianego tematu. Warto w tym miejscu zaznaczyć, że od ponad roku mocno rozwijamy segment produkcji własnych, opisujących najciekawsze procesy społeczne i polityczne we współczesnym świecie. W ramach poniedziałkowego pasma TVP1 „Świat bez fikcji" miały miejsce już premiery filmów dokumentalnych TVP na temat m.in. Syrii, Kuby, Hiszpanii, Czech.
Z kolei Barbara Włodarczyk od lat przybliża widzom Telewizji Polskiej Europę Wschodnią, jest ikoną telewizyjnej szkoły reportażu i dokumentalistyki. Naturalnym krokiem było więc zaproszenie jej do współpracy przy TVP Dokument.

Cieszę się, że będę mógł sobie przypomnieć klasykę naszego dokumentu. Na dodatek po technicznej modernizacji.

Wszyscy kojarzą filmy pt. „Niepodległość" czy „Wojna światów", dzięki którym historia ożyła na naszych oczach. Rekonstrukcja cyfrowa to obecnie jedna z najdynamiczniej rozwijających się gałęzi filmowych. Sama Telewizja Polska od lat podejmuje gigantyczny wysiłek w tym obszarze. Dysponuje najlepszym sprzętem do rekonstrukcji w regionie i de facto systematycznie „odzyskuje" nasze materiały archiwalne, wśród których kryją się prawdziwe perełki. Dlatego też postanowiliśmy przeznaczyć specjalne pasmo, w którym – od poniedziałku do piątku – emitowane będą odrestaurowane materiały z ośrodków regionalnych TVP. Zapewniam, że to będzie niezapomniana podróż w czasie, a efekt prac rekonstrukcji cyfrowej TVP jest niesamowity.

Istnieje szansa na wznowienie nader odkrywczej „Erraty do biografii"? Po pisarzach można by się zająć reprezentantami innych dziedzin kultury. Albo sportu czy polityki...

„Errata do biografii" to już klasyka i będzie powtarzana także na TVP Dokument. Co do kolejnej edycji – nie wykluczamy takiego wariantu. Obecnie pracujemy nad naprawdę dużą liczbą nowych formatów, nie tylko dla TVP Dokument, które będą poruszać najróżniejsze tematy. Jedno jest pewne – sektor dokumentalny w Telewizji Polskiej jest obecnie w fazie bardzo dynamicznego rozwoju.

Na koniec. Gdzie TVP Dokument jest dostępny?

Startujemy z naprawdę mocnego pułapu, jeżeli chodzi o zasięg kanału. Jesteśmy dostępni na satelicie, u wielu operatorów kablowych, a także w naziemnej telewizji cyfrowej w ramach testów nowego multipleksu w największych miastach Polski. Jednocześnie możliwość odbioru będzie systematycznie rosła, o czym na bieżąco poinformujemy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Tomasz Piechal – dziennikarz. Od roku 2018 związany z TVP, początkowo jako kierownik Działu Dokumentu, od roku 2020 dyrektor kanału TVP Dokument. Wcześniej m.in. analityk w Ośrodku Studiów Wschodnich im. Marka Karpia i dziennikarz działu Opinie w „Super Expressie" oraz współpracownik serii TVP „Czytajmy!".

eprasa.pl 993d4bce60

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

Dolina śmierci

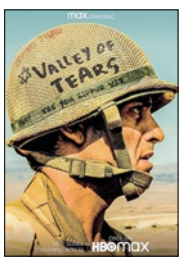

★★★★☆☆

REŻ. YARON ZILBERMAN
„DOLINA ŁEZ" („SH'AT NE'ILA")
IZRAEL 2020

wyst. Aviv Alush, Shahar Taboch, Maor Schwizer

„Doliną łez" nazwano część Wzgórz Golan, gdzie w 1973 r. toczyły się najcięższe walki w wojnie Jom Kippur. Wielokrotnie silniejsza armia syryjska została powstrzymana przez niewielkie izraelskie siły pancerne, które poniosły straszliwe straty – niemal 80 proc. stanu. Izrael w ogóle był w tamtych dniach o krok od katastrofy, atakowany z dwóch stron (drugie uderzenie od strony Egiptu), ocalał, wysyłając na front w ostatnich dniach niemal każdego, kto był w stanie unieść broń, w tym lekko rannych. Wedle izraelskiego historyka wojskowości Martina van Crevelda jego kraj ocalał tylko dlatego, że zagroził Syrii uderzeniem atomowym.

Serial Yarona Zilbermana to opowieść o tamtych trudnych dniach łącząca hołd dla wysiłku izraelskich żołnierzy z ostrą krytyką ówczesnego dowództwa oraz rządu, któremu zarzucano (słusznie) zlekceważenie sygnałów o nadchodzącej inwazji. „Wierzyliśmy i ufaliśmy naszym przywódcom" – słyszymy w scenach otwierających pierwszy odcinek. „Myliliśmy się". Po wojnie zresztą rząd Goldy Meir podał się do dymisji.

Kwestie polityczne są z kolei w tej opowieści powiązane ze społecznymi, bo rzecz jest także o nierównościach i rasizmie. Na początku lat 70. Izraelem wstrząsały wystąpienia organizacji Izraelskie Czarne Pantery, walczącej o prawa mizrachijczyków (Żydów, którzy przybyli do Izraela z krajów muzułmańskich), traktowanych przez aszkenazyjczyków jak obywatele drugiej kategorii. Na ekranie pojawia się także ważna figura partii komunistycznej, mówiąc jednemu z bohaterów serialu, że gdyby to zależało od niego, to nie zostałby z tego kraju kamień na kamieniu.

„Dolina łez" to opowieść o mało znanym w Polsce kawałku współczesnej historii, dobrze napisana i dobrze zagrana, a dzięki dynamicznej narracji i montażowi maskująca także brak rozmachu (czasem trzy czołgi na wzgórzu muszą wystarczyć, by dać widzowi poczucie, że znalazł się w środku pancernej bitwy). I tak jednak okazało się, że każdy odcinek kosztował około miliona dolarów (w kolejnych epizodach widać, że sporo trzeba było wydać na efekty specjalne). Dodatkowym atutem jest wykorzystanie autentycznych plenerów. Cała opowieść liczyć ma 10 odcinków – pierwsze pięć to opowieść o froncie syryjskim, kolejne pięć ma przenieść nas na front egipski. ©℗

NOWE SERIALE: „ŚWIĄTECZNE FILMY NASZEJ MŁODOŚCI"

Chwyt sprawdził się już przy okazji opowieści o kultowych zabawkach oraz kultowych (no, może nie zawsze) filmach, tym razem sprawdza się w wersji specjalnej. Poznajemy kulisy powstania nietypowych świątecznych przebojów, którymi były animowany „Koszmar przed świętami" Tima Burtona oraz „Elf" Jona Favreau z Willem Ferrellem w roli głównej. Filmy miały długą i niełatwą drogę na ekrany. Kto jest ciekaw historii filmu „Kevin sam w domu", ten może się zaś cofnąć do serii „Filmy naszej młodości". ©℗ ***Piotr Gociek***

- ***Sezon 1 „Świąteczne filmy naszej młodości" („The Holiday Movies That Made Us"), USA 2020***

NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

- *reż. Roxann Dawson* ***„Przypływ wiary" („Breakthrough"),*** *USA 2019*
- *reż. Pietro Marcello* ***„Martin Eden",*** *Włochy 2019*
- *reż. Ron Howard* ***„Elegia dla bidoków" („Hillbilly Elegy"),*** *USA 2020*

eprasa.pl 993d4bce60

Dusza Bałkanów

Serbowie przegrali wszystko, co mieli do przegrania, i teraz mogą już tylko wspominać czasy, gdy prawie cały świat ich podziwiał. A było to podczas pierwszej wojny światowej, gdy pod symbolicznym dowództwem starego króla Piotra I Karadziordziewicia bronili ojczyzny przed atakami wielokroć liczniejszych i lepiej uzbrojonych wrogów. Epopeja, której tragicznym zwieńczeniem był odwrót resztek armii do Grecji, urosła do rangi narodowego mitu. Film wyreżyserowany przez Petara Ristovskiego, który jest także współautorem scenariusza, nie jest próbą rewizji tego mitu. Kulisy zamachu w Sarajewie tudzież okoliczności, w jakich Piotr Wybawiciel wstąpił na tron, pomija się tu milczeniem. Ekranowy monarcha to wzór chrześcijanina i demokraty, intelektualista, mąż stanu, wytrawny dyplomata oraz pacyfista przekonany, że „wojna zabija duszę". Serbowie są tu heroiczni i nie mają żadnych wad (oprócz tego, że palą papierosy). Ich przeciwnicy, nazywani „przeklętymi Szwabami", mordują kobiety i dzieci. Mimo plakatowości rzecz łapie za serce, zgrabnie łącząc epickość z dramatem jednostek – choćby owych wieśniaków, którzy obiecali wrócić z wojaczki przed zimą. Bez tamtej jatki nie byłoby Jugosławii. Dzisiaj Jugosławia leży w gruzach i nic dziwnego, że do głowy przychodzi pytanie: Czy było warto? ©℗

Wiesław Chełminiak

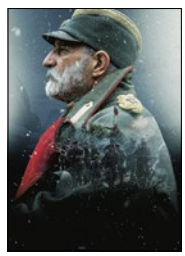

★★★★☆☆

REŻ. PETAR RISTOVSKI
„KRÓL PETAR I" („KRALJ PETAR I")
SERBIA/GRECJA 2018

wyst. Lazar Ristovski, Milan Kolak, Radovan Vujović

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

ZUZANNA I STARCY

MOJEKINO.PL

★★★★☆☆

REŻ. PAOLO SORRENTINO
„MŁODOŚĆ" („LA GIOVINEZZA")
WŁOCHY/FRANCJA/SZWAJCARIA/WIELKA BRYTANIA 2015

wyst. Michael Caine, Harvey Keitel, Rachel Weisz

Historia z czasów, gdy sanatoria były jeszcze otwarte. W szwajcarskim kurorcie spotykają się dwaj tetrycy. Zgorzkniały kompozytor sądzi, że jego życie i twórczość już się skończyły. Nie chce nawet pisać pamiętników, ale gdy nikt nie patrzy, dyryguje krowami na pastwisku. Reżyser, nafaszerowany lekami jak pieczony kapłon kaszą, przeciwnie: rwie się do pracy. Planuje film, który będzie jego artystycznym testamentem. Trudno o bardziej trafiony temat: powszechne, obsesyjne wypieranie starości jest zmorą naszej epoki. Sorrentino, swoim zwyczajem, utkał fabułę z pozornie błahych epizodów, mnoży byty bez wyraźnej potrzeby, popada w zbędne efekciarstwo (koncept z Hitlerem), a gdy przekonuje, że młodość to zaledwie stan umysłu, nie wiadomo, czy kpi, czy o drogę pyta. Aktorski pojedynek Caine'a i Keitela ogląda się jednak z przyjemnością. Przerost formy nad treścią? Zapewne, lecz ja to kupuję.

MIŁOŚĆ W ZAKOPANEM

★★★★☆☆

REŻ. MIECZYSŁAW KRAWICZ
„SPORTOWIEC MIMO WOLI"
POLSKA 1940

wyst. Adolf Dymsza, Aleksander Żabczyński, Ina Benita

Beztroskie oblicze przedwojennej Polski w odrestaurowanej krasie. Mistrz Wajda z całych sił nienawidził tego rozśpiewanego kina o baronach ociekających brylantyną, służących o imieniu Jan i jaśnie panienkach, przekonanych, że wyjdą za mąż tylko z miłości. Film Krawicza jest salonową komedią pomyłek ożenioną z reklamą Tatr, góralszczyzny i kolejki na Kasprowy. Żabczyński, ostatni amant II RP, i platynowa blondynka Benita tworzą wdzięczną parę, lecz każdą scenę kradnie im „dziedzicznie obciążony sportem" Dymsza. Mieszkańcy Generalnego Gubernatorstwa mieli się z czego śmiać, bo premiera wypadła dopiero wiosną 1940 r. Porucznik Żabczyński był wtedy w Anglii. Krawicz i grający fabrykanta Józef Orwid zginęli cztery lata później podczas powstania warszawskiego. Benita straciła głowę dla Niemca. Tylko zadeptane Zakopane wyszło z wojny bez szwanku. ©℗

recenzuje Wiesław Chełminiak

GRA TYGODNIA: „HYRULE WARRIORS: AGE OF CALAMITY"

★★★★★☆

„Zelda: Breath of the Wild", czyli RPG w otwartym świecie jednego z najbardziej znanych uniwersów Nintendo, przypieczętował sukces konsoli japońskiego giganta. Switch zaoferował graczom na starcie nie tylko przygody hydraulika Maria, lecz także pełnokrwistą wyprawę w poszukiwaniu sekretu katastrofy, która zniszczyła królestwo Hyrule. „Age of Calamity" to kolejna część, a zarazem prequel tamtej historii, oparty na widowiskowych walkach z hordami przeciwników w formule Dynasty Warriors. Dla fanów Zeldy to jak powrót do dobrze znanych regionów, ale z nowym zestawem bohaterów oraz nowym arsenałem broni. Warto. ©℗

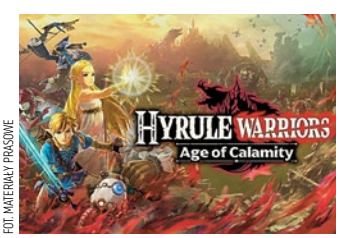

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Marcin Makowski

- ***Gatunek:*** *RPG*
- ***Platforma:*** *Switch*
- ***Producent, dystrybutor:*** *Omega Force/Nintendo*
- ***PEGI:*** *12+*

eprasa.pl 993d4bce60

MOJA PÓŁKA

Mocny głos Jacka Pałkiewicza

KRZYSZTOF MASŁOŃ

Wyprawy Jacka Pałkiewicza kojarzą nam się z egzotyką, dżunglami, lodami północy, wszelkimi możliwymi ekstremizmami. Ale równie interesująco przedstawia nam świat, wydawałoby się, całkiem dobrze znany, ten, który mamy przyswojony i rozpoznany. Ot, choćby Wenecję, o której szkic rozpoczyna jego najnowszą książkę, a o której pisząc, zwraca też uwagę na jej imitacje, a jest ich co niemiara. W samej Ameryce nazwę tę nosi 27 miast, w Brazylii niewiele mniej, a w Wenezueli takie miano nadano jednemu ze stanów. W Polsce też mamy Wenecję, tę oficjalną – w województwie kujawsko-pomorskim, ale i Pułtusk nazywany jest Wenecją, wprawdzie tylko „Wenecją Mazowsza", ale to zawsze coś. Z podobnego porównania chętnie korzystają mieszkańcy Petersburga, Brugii, Amsterdamu, Sztokholmu, Hamburga i portugalskiego Aveiro. Jednak, oczywiście, kudy im wszystkim do tego zadziwiającego miasta w Italii, skąd – czytamy – „wyruszył w świat osiemnastoletni Marco Polo, by przebyć Azję, poznać Chiny i zapisać się w naszej pamięci jako jeden z najsłynniejszych eksploratorów". „I to właśnie stąd również i ja wyruszałem na odległe szlaki" – dopowiada Jacek Pałkiewicz, obywatel Włoch i Polski.

Czy wszystko udało się w życiu autorowi książki „Palkiewicz.com"? Na pewno nie. Ze skruchą przyznaje na przykład, że mógłby być lepszym ojcem, i choć dumny jest z synów, boleje nad tym, że nie mówią po polsku. Coś tam jeszcze zaniedbał, coś mu nie wyszło, nie rozpamiętuje jednak tego, skupiając się na osiągnięciach, na sukcesach, opowiadając o urokach świata, które odkrył dla siebie, a po części i dla innych. Dla nas.

Jacek Pałkiewicz™

Żyłem bez granic i nieraz myślę, że moje istnienie można zaliczyć do arcydzieła sztuki, które stawia mnie w szeregu obłędnie uprzywilejowanych. Niczego nie dostałem w spadku, byłem menedżerem własnego sukcesu, osobiście kreśliłem scenariusz mojej egzystencji. Twierdzę, że życie daje każdemu tyle, ile sam ma odwagi sobie wziąć, a ja nie zamierzam zrezygnować z niczego, co mi się należy.

pałkiewicz.com

Świat Książki

★★★★★★

JACEK PAŁKIEWICZ „PALKIEWICZ.COM" ŚWIAT KSIĄŻKI, WARSZAWA 2020

FOT. RAFAŁ GUZ/FORUM

Trudno nie spostrzec, jak często przemawia Pałkiewicz do czytelników niczym nauczyciel, mentor, tak jak do kursantów w jednej ze swoich szkół przetrwania. Wspomina, jak kiedyś na Borneo ostrzegał ich, „że w drodze będą poddani nieustannej presji. Moja prawa ręka, Alberto Giustetto, dodawał: »Dobrniecie do bram piekła, aby stać się silniejszymi. A potem musicie stamtąd jeszcze wrócić«. I miał całkowitą rację, bo dzisiaj życie nie wymaga, tak jak niegdyś, niezniszczalnej siły przetrwania, a to z kolei przyczyniło się do tego, że współcześni ludzie wydelikatnieli, stracili pazury, gubią się przy pierwszej przeciwności losu". Sam namawia do odwagi i dążenia do tego, by być pierwszym, najlepszym, liderem. Kto pamięta – pyta retorycznie – kto drugi postawił stopę na Księżycu, wspiął się na Mount Everest, dopłynął do Ameryki po Kolumbie?

Swoją drogą, niewykluczone, że nasze wnuki nie będą już wiedziały, kim był Kolumb, a to za sprawą poprawności politycznej, która ostatnio przybrała karykaturalne, groteskowe, ale i odrażające formy. Protestuje przeciw nim Jacek Pałkiewicz, używając mocnych słów, bo też zachowania, z którymi mamy do czynienia, nie zasługują na inne. Najdobitniej jednak rozbrzmiewa jego rozczarowanie Europą czy, szerzej, światem zachodnim, bo przecież szaleństwo politycznej poprawności do granic absurdu doprowadzono nie gdzie indziej, tylko w Stanach Zjednoczonych. Oddaje przy tym sprawiedliwość Orianie Fallaci, odsądzanej od czci i wiary za to, że głośno ostrzegała przed islamem, apelując: „Obudź się, Europo!". I powtarza za nią, że Stary Kontynent staje się na naszych oczach coraz bardziej prowincją i kolonią religii Mahometa.

Ustosunkowuje się też do licznych wypowiedzi gloryfikowanego u nas Ryszarda Kapuścińskiego utrzymanych w duchu pochwały globalizmu i przekonania o niekonfliktowości świata. Ten „lewicowo wrażliwy dziennikarz – pisze – zaliczał się do rzeszy zagorzałych, poprawnych politycznie i nieraz manifestował swoje poparcie dla skrzywdzonych w Europie muzułmanów. W książce »Kapuściński: nie ogarniam świata« obwieścił: »Terroryzm nie był pokaźnym zagrożeniem dla wszystkich«. Nie zauważając, co przyniósł nam 11 września, dyplomatycznie odciąga uwagę od tego globalnego dzisiaj problemu. Powiem więcej, żalił się na »tragiczną dyskryminację«, jakiej doświadczają muzułmanie w Polsce".

No cóż, powie ktoś, mamy do czynienia z wojną kulturową. „Przepraszam – powiada Jacek Pałkiewicz – to nie wojna kulturowa między islamem a chrześcijaństwem, to prawdziwa III wojna światowa, którą wypowiedzieli fanatyczni islamscy ekstremiści". ©℗

eprasa.pl 993d4bce60

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

W kleszczach lęku

Wielkie porządki w bezcennych archiwach Państwowego Instytutu Wydawniczego przynoszą piękne efekty. Znane już wcześniej czytelnikom wybory klasycznej prozy niesamowitej (rosyjskiej, francuskiej i niemieckiej) pojawiły się na rynku w nowej szacie graficznej, teraz zaś przyszła pora na rozszerzenie cyklu o kompilacje premierowe. Za „Opowieści niesamowite z języka angielskiego" odpowiada tłumacz, krytyk i pisarz Maciej Płaza, nagrodzony w 2012 r. przez „Literaturę na Świecie" za nowy przekład opowiadań Lovecrafta. Płaza wyrasta na czołowego polskiego specjalistę od anglosaskiej fantastyki grozy: tłumaczy, omawia, doradza, a najnowszy zbiór opatrzył też ciekawym wstępem „Gawędziarze i fataliści".

Wznawiane dotąd w serii pozycje przywracały do obiegu wydawniczego wybory dokonane kilkadziesiąt lat temu, w których nadreprezentowana była proza XIX stulecia. Płaza zaczyna od absolutnej klasyki („Wampir" Johna Williama Polidoriego i „Zagłada domu Usherów" Edgara Allana Poego), proponuje nowe przekłady znanych już tekstów (Jerzy Jarniewicz odpowiada za nową wersję „Carmilli" Josepha Sheridana Le Fanu), ale sięga także do ważnych postaci literatury grozy XX stulecia. Nie mogło więc zabraknąć H.P. Lovecrafta, Arthura Machena czy Algernona Blackwooda.

Mamy wreszcie zupełnie nowe w języku polskim propozycje: opowiadania „Znamię" Nathaniela Hawthorne'a, „Prawdziwa powinność" Henry'ego Jamesa czy „Żółta tapeta" Charlotte Perkins Gilman. Ta ostatnia jest pierwszym przekładem dokonań amerykańskiej pisarki na nasz język. W kilku miejscach Maciej Płaza przygotował także specjalnie na potrzeby antologii nowe, poprawione przekłady opowiadań już znanych (Lovecraft, Machen).

Książki tej nie mogą przegapić ani miłośnicy niesamowitości w literaturze, ani po prostu czytelnicy spragnieni dobrej anglosaskiej klasyki. Nawet jeśli nie mają wielkiego doświadczenia z tego typu prozą, szybko odkryją, że z tego podglebia wyrosło mnóstwo zjawisk tworzących współczesną popkulturę. A także że jest to wspaniały wielobarwny list z czasów, kiedy literatura nie trafiła jeszcze do piekła gatunków, więc niczego zdrożnego w fantazjowaniu nie widzieli choćby i tacy giganci jak Dickens. A ja czekam na kolejne tomy, bo wydawnictwo zdradziło, że będą – w tym wybór prozy polskiej. ©℗

★★★★★☆
AUTORZY RÓŻNI „OPOWIEŚCI NIESAMOWITE Z JĘZYKA ANGIELSKIEGO" PIW 2020

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Autorzy kontynuują serię, w której opisywali już Lwów oraz Wilno, tym razem skupiając się na życiu mniejszych ośrodków. Ramy czasowe szerokie, od początku XX stulecia do walk z bolszewikami u progu drugiej wojny światowej.

SŁAWOMIR KOPER, TOMASZ STAŃCZYK „OSTATNIE LATA POLSKICH KRESÓW" FRONDA

Stalinowska czy socrealistyczna? Tylko narzucona czy odpowiadająca poglądom części twórców? Szczególnie ciekawe są analizy kultury popularnej (w tym fantastyki) oraz obrazu Zachodu w twórczości tego smutnego okresu.

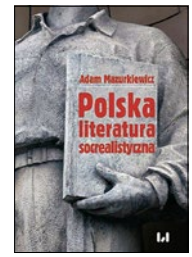

ADAM MAZURKIEWICZ „POLSKA LITERATURA SOCREALISTYCZNA" WYDAWNICTWO UŁ

Zbiór nieco surrealistycznych, zwodniczo lekkich, lecz głębokich i poważnych opowiadań. Izraelski pisarz misternie skomponował tom, łącząc motywami i metaforami kolejne teksty. Lot i upadek są wśród nich najważniejsze.

ETGAR KERET „USTERKA NA SKRAJU GALAKTYKI" WYDAWNICTWO LITERACKIE

Przeciw państwu opiekuńczemu, biurokracji i niesprawiedliwym podatkom. Są tu rys historyczny, przegląd zagadnień oraz dokonana ku nauce polskiego czytelnika analiza wolnorynkowych dokonań zagranicznych. ©℗

poleca Piotr Gociek

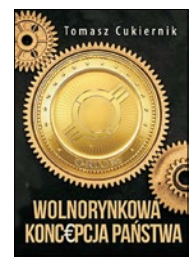

TOMASZ CUKIERNIK „WOLNORYNKOWA KONCEPCJA PAŃSTWA" WYDAWNICTWO CAPITAL

KOMIKS TYGODNIA: „SZNINKIEL"

Jak przywrócić pokój planecie Daar? Musi stać się cud, musi dojść do zjednoczenia zwalczających się bezlitośnie potęg. Oto zadanie dla bożego wybrańca. Długo wyczekiwane wznowienie (teraz w twardej oprawie) komiksu, który zajmuje w dorobku duetu Rosiński-Van Hamme miejsce szczególne. Nasycona odniesieniami religijnymi i nawiązaniami do klasyki opowieść science fantasy to arcydzieło fantastyki i komiksu. A tytułowy bohater, istota niepozorna, lecz o wielkim sercu, zajmuje w galerii postaci popkultury godne miejsce obok Froda Bagginsa z „Władcy Pierścieni". ©℗

poleca Piotr Gociek

GRZEGORZ ROSIŃSKI, JEAN VAN HAMME „SZNINKIEL" EGMONT 2020

eprasa.pl 993d4bce60

Zespół Älskar. Od lewej Piotr Paduszyński, Zuzanna Wasielewska, Aleksandra Batycka, Mikołaj Lisowski

FOT. MARCIN BARAN/FORSTORY

Melancholijna młodzież

„Ten piątek zakończy wejście na bardzo ważny szczyt, na który postanowiłem się wdrapać samemu, bez wytwórni i bez menedżera!" – napisał na kilka dni przed wydaniem debiutanckiej płyty Piotr Paduszyński. Młody pianista i kompozytor właśnie wydał album z autorskimi kompozycjami. „Przedświt" otwiera nagrane na dzwonkach koshi „Powietrze". Pozostałe 11 kompozycji, które znalazły się na płycie, wykonane zostały na fortepianie. „Inspiracją do stworzenia utworów była wola – czy to wola życia, czy walki – czasami z przeciwnościami losu, a czasami z własnymi słabościami i ze swoim wyobrażeniem o świecie" – mówi pianista. Piotr Paduszyński pochodzi z Żar. Kształcił się w zakresie muzyki klasycznej oraz rozrywkowej, ma też dyplom inżyniera matematyki stosowanej. Od kilku lat związany jest z Wrocławiem, gdzie oprócz solowej działalności (jest laureatem V Międzynarodowego Konkursu Pianistycznego WroClavile) udziela się w zespole Älskar tworzącym muzykę z pogranicza indie folku, alternatywy i poezji śpiewanej, czerpiącym inspiracje z baśniowych motywów Skandynawii i „melancholijnych opowieści". Melancholią przesiąknięte są muzyka i teksty Älskar. W utworze „Ciszę śnij" Aleksandra Batycka śpiewa: „Masz takie oczy smutne / A ja tonę w nich / Masz takie serce puste / A ja mieszkam w nim [...] / Masz takie myśli czarne / Jak piekielny pył / Ja Twoje myśli karmię / Żebyś przy mnie był / A Twoje puste słowa / Dla mnie wszystkim są".
Sporo z tego klimatu zabrał na „Przedświt" jego autor. Może to dlatego, że – jak mówi Piotr Paduszyński – gra „o emocjach, ale nie tych, które chcemy pokazać światu – gram o takich, do których trudno się przyznać, które zakorzeniają się w człowieku gdzieś głęboko i wracają w chwilach intymności, samotności i konfrontacji ze sobą samym". ©℗

Radosław Wojtas

GRZEGORZ BRZOZOWICZ

NA SŁUCH

Pośladki niebios

To nie jest jazz dla purystów. To jazz nowej, barbarzyńskiej wrażliwości, dzięki której młoda publiczność z całego świata nie tylko odkryła pradawny kierunek muzyczny, lecz także uznała go za swój głos.

Dzięki oparciu rytmiki na elektronicznych lub hip-hopowych podziałach brytyjski nu-jazz zyskał poklask krytyków i szeroką popularność. Pink Freud startował 22 lata temu od innych, choć pokrewnych założeń. W swej muzyce połączył punkową bezczelność z jazzową wolnością. Dzisiaj muzyka grupy wpisuje się w światowy trend.

Dziesiąty album grupy rozpoczyna piekielny bas wspomagany przez perkusyjną nawałnicę i syntezatorowe odloty. Po tym niespełna dwuminutowym ciosie w splot słoneczny następuje, jakby nigdy nic, słoneczna ballada „Pink Porto". W „Green Grass" prym znów wodzi bas lidera, Wojciecha Mazolewskiego, ale reszta kwartetu sunie za nim z niebywałą siłą i precyzją. Potem mamy góry i doliny, skoki na bungee i wspinaczki bez asekuracji na strome szczyty. Pink Freud przypomina czterogłowy organizm, którym targają skrajne, ale niewątpliwie namiętne emocje. Bas rozrywa trzewia, by po chwili koić słowiańską czułością. Saksofon barytonowy atakuje z intensywnością godną Shabaki Hutchingsa. Trąbka co rusz wzrusza liryzmem. Klawisze przyprawiają o zimny pot na plecach, a bębny podsycają ogień z niebywałą intensywnością. „Pośladki niebios", tytuł jednego z utworów, najlepiej opisuje to muzyczne przeżycie. ©℗

★★★★★★

PINK FREUD
„PIANO FORTE BRUTTO NETTO"
MYSTIC

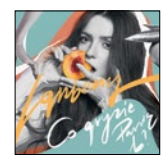

★★★★☆☆

LANBERRY
„CO GRYZIE PANIĄ L?"
UNIVERSAL

We wrześniu wygrała z piosenką „Plan awaryjny" konkurs premier w Opolu. Na trzecim albumie śpiewa: „Dobrze bawię się, póki robię to, co chcę" i staje w szranki z życiowymi problemami. Na tle uśmiechniętych bitów optymizm miesza się z melancholią.

★★★☆☆☆

BUDKA SUFLERA & FELICJAN ANDRZEJCZAK
„10 LAT SAMOTNOŚCI"
AGORA

Trzynaście piosenek skomponowanych jeszcze przez śp. Romualda Lipko z tekstami przyjaciół (Hołdys, Olewicz, Cygan, Dutkiewicz). Felicjan, po 40 latach od pamiętnej „Jolki", w końcu zaśpiewał całą płytę Budki. Wyszło staromodnie, a i wielkiego hitu próżno szukać. ©℗

eprasa.pl 993d4bce60

Pobierz i czytaj za darmo dodatek w wersji elektronicznej!

www.dorzeczy.pl/dodatki

WSPÓŁFINANSOWANE ZE ŚRODKÓW FUNDUSZU SPRAWIEDLIWOŚCI, KTÓREGO DYSPONENTEM JEST MINISTER SPRAWIEDLIWOŚCI

MINISTERSTWO SPRAWIEDLIWOŚCI
www.ms.gov.pl

FUNDUSZ SPRAWIEDLIWOŚCI

eprasa.pl 993d4bce60

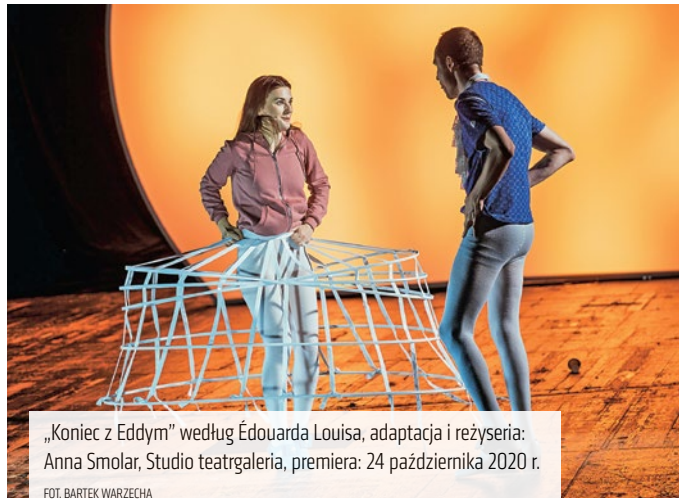

„Koniec z Eddym" według Édouarda Louisa, adaptacja i reżyseria: Anna Smolar, Studio teatrgaleria, premiera: 24 października 2020 r.

FOT. BARTEK WARZECHA

Zabić Eddy'ego

Grzegorz Kondrasiuk

Dopowiadając historię zaczerpniętą z powieści Édouarda Louisa, Smolar pokazuje dorastanie widziane z perspektywy skrzywdzonego, zbuntowanego nastolatka, z którego za chwilę wykluje się gejowski superman

Mógłby to być pierwszy odcinek cyklu pt. „Paradoksy internetowych premier teatralnych". Usadowiony wygodnie na prowincji, mogę oglądać premiery nadawane wprost z najmodniejszych warszawskich teatrów, lekce sobie ważąc głosy, że teatr przez Internet jest to, panie, nie to samo, że lizanie cukierka przez szybę itd. Jednak w miejscu, w którym przebywam (nazwijmy je miasteczkiem X), tych cukierków – już bez szyby – bym nie dostał w normalnych, czyli bezcovidowych okolicznościach… To jednak jeszcze nie jest paradoks, najwyżej niewielki paradoksik. Perwersja zaczyna się w momencie, kiedy okazuje się, że jedna z tych premier opowiada historię ucieczki młodego człowieka z prowincji do metropolii, gdzie młodzieniec ów – poprzez zmianę imienia oraz wybór orientacji seksualnej – symbolicznie pozbywa się bagażu niewątpliwie trudnego dzieciństwa. Jednak to nie wszystko. Cała rzecz jest opowiedziana w sposób zapośredniczony, poprzez literaturę francuską. Prowincja to robotnicze przedmieścia, a stolica – zdaje się – Paryż? Mowa bowiem o adaptacji powieści Édouarda Louisa „Koniec z Eddym" w reżyserii Anny Smolar, pokazanej przez teatr Studio.

Oto na scenę wkraczają zdeformowane ludzkie sylwetki. Rodzącego się na naszych oczach młodzieńca otaczają groteskowe figury, a każda z nich – zaczynając od ojca i matki – to marionetki występujące w szopce na temat patriarchalnego, przemocowego wychowania. Na zasadzie pars pro toto, część zamiast całości, teatr stawia tu przenikliwe diagnozy społeczne. Jeśli ojciec, to zapity typ chrząkający i bełkoczący w kółko te swoje sto wyrazów, którego niepokoją „pedały" (Rob Wasiewicz). Matka? Uległa, cierpiąca, przytakująca ojcu, wyżywająca się na dzieciach, utrwalająca ten chory kołowrotek (Ewelina Żak). Znacie? To nic – posłuchajcie jeszcze raz, niechże się utrwali. I tak, z podejrzaną łatwością, w konwencji prostego komiksowego rozwiązania rozwija się tu sceniczny świat. Prawo do zniuansowanej psychologii postaci ma tylko Eddy, nadwrażliwiec odgrywany na zmianę przez Sonię Roszczuk i Daniela Dobosza. Matka, ojciec, siostra, nauczyciel są istotami pozbawionymi złożonej motywacji, bez prawa do uczuć i własnego systemu wartości. Chwytem maskującym te uproszczenia i ogrywanie stereotypów jest, monotonnie stosowany, teatralny dystansik. To komentarze aktorów („Niechże ta scena się już skończy"), wychodzenie z roli, żeby opowiedzieć, jak bardzo jest niewygodnie opowiadać te troglodyckie historie (solówa Roba Wasiewicza na temat „swojego nieheteronormatywnego ciała" ciemiężonego przez reżyserską decyzję obsadową czy Daniel Dobosz opowiadający o przemocowej Magdzie Gessler).

Dopowiadając historię zaczerpniętą z powieści Édouarda Louisa, Smolar pokazuje dorastanie widziane z perspektywy skrzywdzonego, zbuntowanego nastolatka, z którego za chwilę wykluje się gejowski superman. Oto bowiem Eddy na naszych oczach przeobraża się w Édouarda, wziętego pisarza. A ponieważ teatralna scena ma w sobie patetyczną moc symbolizacji, opowiedziana na niej historia ma zapewne skłonić widzów do utożsamienia się z tym, konkretnym, a zarazem typowym wariantem historii osobistej. Czyżby więc Annie Smolar chodziło o stworzenie spektaklu-manifestu, adresowanego do konkretnej grupy społecznej, która – oglądając przygody Eddy'ego po raz enty – będzie wraz z nim wykluwała się z heteroseksualnej poczwarki, zawsze na tych samych scenach ocierając łzy? Może tak, może nie.

Ci, którzy nie są skłonni do pochopnego ocierania łez, mogą zasmakować w finalnej scenie pojedynku Soni Roszczuk i Daniela Dobosza. Ten spektakl mógłby składać się z tej jednej sceny, obrazującej codzienny tragizm wewnętrznej walki tego, co odziedziczone po rodzicach i miejscu urodzenia (a często jest to dziedzictwo wstydliwe i niechciane), z kreacją, marzeniami, fantazmatami wolności. I tak rozmawiają sobie Édouard i Eddy: Dobosz, przygarbiony, wtulający głowę w ramiona, spazmujący przez zaciśnięte gardło, i Roszczuk, wyglądająca jak milion dolarów, z nienaganną figurą i beznamiętną twarzą modelki. „Co ja mam z tobą zrobić?" – pyta Édouard Eddy'ego. I dopiero wtedy pojawia się szansa na autentyczną diagnozę, bo ów zakompleksiony prowincjusz odzywa się pełnym głosem. „Życie w ubóstwie nie jest wyborem" – odpowiada, a nieszczęśliwi, niekochani, przepracowani ludzie z przedmieść stworzą kolejne pokolenie nieszczęśliwych ludzi. Jednak za tym rozpoznaniem nie idą żadne sensowne wnioski. Aby żyć dalej, należy zabić w sobie Eddy'ego, zmienić imię, nazwisko, orientację seksualną, wskoczyć w nowe, dobrze zaprojektowane ciuszki, mieć wielu kochanków i sączyć winko z przyjaciółmi. I tak kończy się krótka i złudna szansa na wielogłos. W tak zmontowanej i zainscenizowanej tezie gubi się głębszy wymiar tej prozy: Édouard zawdzięcza Eddy'emu swoją pojedynczość, pisarską wrażliwość, dzięki niemu jest istotą nieprzynależną, jest kimś „wetkniętym" w społeczeństwo.

Czy istnieje szansa, by – klik, klik – ten warszawski teatr obejrzała sobie polska prowincja, zamiast, dajmy na to, kolejnego odcinka „Rancza"? ©℗

eprasa.pl 993d4bce60

HISTORIA DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!

TYLKO U NAS!

Jacek Bartosiak o strategicznym znaczeniu Bramy Smoleńskiej!

Paul Kengor – **Jak Reagan wyzwolił Polskę**
Piotr Włoczyk – **Kulisy zamachu na prezydenta**
Arkadiusz Karbowiak – **CIA i mudżahedini**
Tomasz Stańczyk – **Jak na Litwie wynaradawiano Polaków**
Tony Booth – **Horror na okręcie podwodnym**
Nikołaj Iwanow – **Zdrajca u boku Lenina**
Sławomir Cenckiewicz – **Nowa Mitteleuropa**

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl 993d4bce60

Nie wszystko jest takie proste

Piotr Semka

O to, aby Unia była demokratyczna, trzeba walczyć tak długo, jak tylko się da. Uważam, że nie ma teraz lepszej opcji dla Polski niż Unia Europejska

Przyznam, że okładka „Do Rzeczy" z dużym tytułem: „Unii trzeba powiedzieć: dość. Polexit – mamy prawo o tym rozmawiać" była dwuznaczna. To oczywiście prawo redaktora naczelnego decydować o pierwszej stronie i starać się, aby okładka przyciągała uwagę, jednak wrażenie wezwania do polexitu było. Inna sprawa to skala histerii, którą wokół niej wykreowano.

Uważam, że nie ma teraz lepszej opcji dla Polski niż Unia Europejska. Dlatego chcę zabrać głos zarówno w sprawie wstępniaka Pawła Lisickiego, jak i tekstu Rafała A. Ziemkiewicza pt. „Chcesz pozostać w Unii, szykuj polexit". Spokojnej dyskusji na ten temat nie ułatwiają neurotyczne reakcje redaktorów od Bartosza Węglarczyka do Tomasza Lisa. Zabawne były też zygzaki, które musieli wykonywać, aby uzasadnić swoją tezę – okładka „Do Rzeczy" to sygnał, że PiS szykuje się do polexitu. Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki zamilkli tym razem spece z „Rzeczpospolitej", Wirtualnej Polski i Onetu, którzy zawsze chwalą się insiderskimi informacjami z kręgów czołówki PiS. Nie mieli zbyt wiele do powiedzenia, bo nawet oni nie ośmielili się twierdzić, że ktokolwiek takie pomysły na szczycie PiS ma. A skoro nikt na Nowogrodzkiej polexitu nie szykuje, to jest to najlepszy dowód na to, że „Do Rzeczy" żadnym narzędziem rządzącej partii nie jest. Ale tego oczywiście media proopozycyjne nie są w stanie przyznać.

W tej sytuacji wymyślono jeszcze bardziej skomplikowany zawijas. Oto na

eprasa.pl 993d4bce60

łamach „Gazety Wyborczej” Witold Mrozek stawia tezę, że nasze pismo bywa „bardziej otwarte na polityczną konkurencję PiS-u: w poprzedniej kadencji Sejmu na polityków ze środowiska Pawła Kukiza, a obecnej – Konfederacji”. Z kolei publicyści sympatyzujący z Konfederacją złośliwie pytali, jak „Do Rzeczy” czuje się w roli „ruskiej onucy”.

CZEGO DZIŚ NIE WIDAĆ

Zostawmy na boku te publicystyczne wygibasy, które pokazują, jak trudno dyskutować o sensie obecności Polski w Unii Europejskiej. W atmosferze histerii, gdy każda krytyka Brukseli powoduje oskarżenia o bycie agentem Putina, trudno jest też dyskutować, jaki powinien być stosunek prawicy do naszej obecności w Unii.

Wróćmy do tekstów Pawła Lisickiego i Rafała A. Ziemkiewicza. Zgadzam się z Lisickim, gdy pisze, że hasłu polexitu przyznano status „myślozbrodni”. Ma też rację, kiedy pisze, że jeśli komuś w Polsce przychodzi taki koncept do głowy, to jest to naturalna psychologiczna reakcja na – jak pisze Lisicki – „coraz bardziej bezczelne próby narzucenia Polsce ideologii LGBTQ [...] i na arbitralne rozszerzenie praw Komisji Europejskiej, która chce być sędzią oceniającym stopień przestrzegania praworządności w poszczególnych państwach”. Lisicki ma rację, wskazując, że to nie Polska szuka awantury i to nie Warszawa wymyśla kolejne projekty równościowe. I słusznie wskazuje, że nie ma żadnego powodu, dlaczego mamy to akceptować. Tu zgoda.

Bardziej ostrożny jestem wobec sformułowania, że w „sytuacji, kiedy to szaleńcy dorwali się do władzy i wpływów w Unii”, jeśli się nie da inaczej, trzeba będzie ją opuścić.

Cała istota sporu między mną a Pawłem kryje się w określeniu „jeśli nie da się inaczej”. Otóż ja twierdzę, że na razie taka sytuacja, choć obecna jest irytująca, wciąż nie istnieje. Mój szef zapewne odpowie na to, że przecież on na razie nie wzywa do polexitu, ale chce jedynie, żeby nasi politycy mieli w tyle głowy taką opcję. Problem w tym, że w polityce między słowami a faktem politycznym jest niewielka odległość. Wrócę do tego w dalszej części tekstu.

Teraz drugi argument Lisickiego, jak przyznaje, „emocjonalnie ważniejszy”. Redaktor naczelny „Do Rzeczy” pisze: „Czy wyjście Polski z Unii naraża nasze bezpieczeństwo i oddaje nas w ręce Rosji?”. I odpowiada: „Po pierwsze wyjście z Unii w żadnym razie nie pociąga za sobą wyjścia z NATO, a to sojusz północnoatlantycki i przynależność do niego zabezpieczają militarnie Polskę. Wyjście z Unii, gdyby do niego doszło, nie zmienia podobnie prostego faktu, że na terenie Polski stacjonują amerykańscy żołnierze”. Lisicki pyta: „Na czym konkretnie polega to rosyjskie zagrożenie? Jeśli chodzi o groźbę militarną, to sprawa jest jasna. Ale przed nią chroni nas właśnie NATO. Zagrożenie gospodarcze? Wolne żarty. Wystarczy spojrzeć na poziom wymiany handlowej, na udział kapitału rosyjskiego, na znaczenie rosyjskiego biznesu w Polsce, by zauważyć, że nie jest to coś, co spędzać nam może sen z oczu”. I jeszcze jedno. Lisicki pyta też, czy grozi nam jakieś zagrożenie ze strony Rosji na polu cywilizacyjnym czy kulturowym. I odpowiada: „W Polsce nie ma, na szczęście, żadnych sił politycznych, które odwołują się do putinowskiego systemu władzy, które w Polsce widzą punkt odniesienia”.

Czytam ten wywód i myślę, że przynależność do Unii jest istotna w sensie naszego położenia geostrategicznego. Nie rzuca się to teraz w oczy, gdy jesteśmy w Unii i na nią sarkamy albo gdy ją idealizujemy. Ale cała różnica mogłaby stać się wyczuwalna w momencie wystąpienia z Unii.

Na razie w Europie Zachodniej można wskazać dwa przykłady państw, które mogły być w Unii, ale same podjęły decyzję, żeby do niej nie wchodzić – Szwajcaria i Norwegia – oraz jeden przykład państwa, które podjęło decyzję o wyjściu z Unii – Wielka Brytania. Wszystkie te państwa łączą dwie cechy: pierwsza to stosunkowo wygodne położenie geopolityczne. Norwegia jest na skraju Europy oddzielona od najbardziej nieprzewidywalnego państwa kontynentu – Rosji – Szwecją i Finlandią. Owszem, graniczy z Rosją na samej północy, ale Norwegia nigdy nie była państwem na linii ataku

TEMAT TYGODNIA

Chcesz pozostać w Unii, szykuj polexit

FOT. JAN

Rafał A. Ziemkiewicz

Starożytni mówili, że kto chce pokoju, ten musi przygotowywać się do wojny. W sporze, którego osią jest fundamentalna dla Polski sprawa zachowania suwerenności, istotnym czynnikiem jest przekonanie przeciwnika, że potrafimy w razie potrzeby zrobić coś więcej, niż tylko narzekać, iż dzieje się nam krzywda i bezprawie

16

SUWERENNOŚĆ A „KONTROLA PRAWORZĄDNOŚCI”

DWIE PRĘDKOŚCI

17

eprasa.pl 993d4bce60

rosyjskiego. Nigdy w swojej ponadtysiącletniej historii. Szwajcaria dla odmiany jest otoczona krajami stosunkowo przyjaznymi. W swojej tysiącletniej historii oprócz krótkiej epoki Napoleona nigdy nie była obiektem okupacji sąsiadów. I wreszcie Wielka Brytania i jej „splendid isolation". Wyspiarski status krainy Brytów sprawił, że oprócz zamierzchłych inwazji Sasów i Normanów od tysiąca lat nie była poddawana obcej władzy. Polska jest w zupełnie innym miejscu geostrategicznym.

Owszem, wiele już zrozumieliśmy od 1989 r. i wiemy, że prozachodniość może oznaczać nacisk na daleko idące zmiany kulturowe i obyczajowe. Ale jednocześnie zbyt łatwo zapominamy, że integracja unijna przyniosła nam bardzo wiele pozytywnych zmian w dziedzinie standardów państwa. A odbudowa rosyjskich wpływów w Polsce nie jest niemożliwa. Dzisiaj wydaje się to niemożliwe, ale też jeszcze dwie dekady temu nikomu nie wydawały się w Polsce możliwe ataki na kościoły.

Co do argumentu, że skoro mamy NATO, to nie ma się co martwić o bezpieczeństwo, to bardzo szybko mogłoby się okazać, że samodzielność gospodarcza po wyjściu z Unii mogłaby rzucać cień na stan bezpieczeństwa. Tym bardziej że za chwilę będziemy mieli w Białym Domu Joe Bidena, który już daje do zrozumienia, że swoją politykę w Europie, a więc także politykę wojskową, będzie koordynował największymi krajami unijnymi: Niemcami i Francją.

Wspominałem już o tym, dlaczego Norwegia, Szwajcaria i Wielka Brytania z powodów geopolitycznych mogą sobie pozwolić na pozostawanie poza Unią Europejską. Te trzy kraje mają też o wiele lepszą jakość elit politycznych. W Norwegii i Szwajcarii nie toczy się polityczna zimna wojna domowa, a w Wielkiej Brytanii, nawet jeżeli były i są spory o brexit, w końcu zarówno torysi, jak i laburzyści zaakceptowali wyjście z Unii.

Polska jest dziś politycznie i emocjonalnie podzielona przynajmniej w podobnym stopniu jak w epoce saskiej. To zawsze dla innych sił dobry punkt wyjścia do interwencji. Wścibianie nosa przez Brukselę jest dla nas dolegliwe, ale nieformalne interwencje rosyjskie byłyby bardziej dolegliwe. Nie dziwię się więc tym, którzy tak daleko idący skok w nieznane traktują nerwowo.

POCAŁUNEK ŚMIERCI

Nie jest łatwo wybrnąć z łamańca między Unią, która narzuca unifikację ideową i polityczną, a poczuciem suwerenności, które w polskiej psychice narodowej jest wyjątkowo silne. Jeśli Paweł Lisicki sięga po porównanie między Unią a Związkiem Sowieckim, to ma rację i jednocześnie jej nie ma. Otóż imperium rządzone z Kremla było brutalne, nieefektywne ekonomicznie i niedające zamożności. Z kolei aksamitny zamordyzm lewicy w Unii to oferta: poddaj się naszej ideologii w zamian za poczucie wolności i obietnicę wysokiego gwarantowanego poziomu życia. I nieprzypadkowo politycy PO wykrzykują dziś pytanie: „Czy chcemy poświęcić miliony euro za polityczne mrzonki PiS?!".

Ten argument niestety działa na wyobraźnię wyborców. Ci bardziej świadomi politycznie oczywiście nie chcieliby, aby tej zamożności towarzyszyło podmiotowe traktowanie członków Unii. Sam piętnowałem wszystkie tendencje do zamordyzmu – czy to spółki Berlin-Paryż, czy to Komisji Europejskiej. Nie spieszę się jednak z łatwym pobrzękiwaniem polexitową szabelką. Uważam, że taki trend spowodowałby rosnącą przepaść między dużą częścią Polaków a obozem konserwatywnym.

Dlatego rozumiem nerwowe reakcje części publicystów dobrze życzących dobrej zmianie, którzy wskazują, że w okresie niesłychanie silnego naporu na rząd ze strony czy to Brukseli, czy to krajowych sił antypisowskiej rewolucji przyklejenie ekipie Morawieckiego etykietki zwolenników polexitu może być jak pocałunek śmierci.

Wiem, że czym innym jest dyskusja publicystyczna, a czym innym wielka polityka. Tyle że w propagandowym zgiełku takie rozróżnienia często stają się mało widoczne.

I jeszcze jedno. Spokojniej rozmawiałbym o opcji polexitu, gdybym mógł dowiedzieć się, np. od Rafała A. Ziemkiewicza, jak wyglądać miałby stosunek między Polską, która wyszła z Unii, a jej geopolitycznym otoczeniem. Bo o tym w jego tekście jest najmniej. 70 proc. jego artykułu to słuszne przypominanie, jak bardzo Unia Europejska odeszła od założeń powstałych u jej początku – ograniczenia się do swobodnego przepływu między krajami kapitału, pracy, towarów i usług. I jak usilnie Bruksela stara się wytworzyć w poszczególnych krajach całkowicie posłuszną sobie eurooligarchię, która ma rządzić bez politycznej konkurencji ze strony tożsamościowców. W tych wszystkich kwestiach jest pełna zgoda.

GRA JESZCZE SIĘ TOCZY

Jednak jeśli Rafał pisze, że „musimy potrafić w razie potrzeby zrobić coś więcej, niż tylko narzekać, że dzieje się nam krzywda i bezprawie, aż do całkowitego przebudowania architektury naszych sojuszy włącznie", to chciałbym wiedzieć, jak ta architektura miałaby wyglądać. I tu dochodzimy do słabości tego typu rozważań, które są zresztą przekleństwem Europy Środkowej od paru stuleci. Nie ma dobrego scenariusza. Dwa duże mocarstwa flankujące nas z obu stron – Niemcy i Rosja – bywają na zmianę silniejsze i bardziej przemożne niż zdolność do kooperacji grupy państw między Estonią a Bułgarią. Nawet najbardziej zaangażowany projekt, który ma na celu przełamanie tego historycznego fatum – trójkąt wyszehradzki – co rusz chwieje się czy to pod perswazją Berlina, czy to pod atrakcyjnymi propozycjami Rosji.

Nie będę udawał geniusza i snuł wizji, co w miejsce Unii. Ale z tym większym zdecydowaniem powtarzam, że o to, aby Unia była demokratyczna, trzeba walczyć tak długo, jak tylko się da. Być może mają rację ci, którzy wskazują, że UE zmierza w kierunku, w którym zacznie być niereformowalna. Jednak na razie jeszcze gra się toczy. I dlatego na hasło „polexit" stawiane już dzisiaj, choćby w ramach bardzo odległej możliwości, reaguję bez entuzjazmu.

To wszystko nie jest takie proste.

Polska jest dziś politycznie i emocjonalnie podzielona przynajmniej w podobnym stopniu jak w epoce saskiej. To zawsze dla innych sił dobry punkt wyjścia do interwencji

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 993d4bce60

REPUBLIKA

DZISIAJ
GŁÓWNE WYDANIE INFORMACJI

oglądaj również na www.telewizjarepublika.pl

eprasa.pl 993d4bce60

Marek Jurek

Historię należy pamiętać nie dlatego, by naiwnie wierzyć, że ciągle się powtarza, lecz jedynie po to, byśmy nie żywili jeszcze bardziej naiwnego, a na dodatek aroganckiego przekonania, że nikt przed nami nie doświadczył problemów takich jak nasze

Reduta Waleckiego

Poważnie przemyślana historia uczy roztropności, ale i odwagi, chroni przed paniką. Gdy dyskutujemy dziś, czy przeżywamy definitywne załamanie polskiej kultury katolickiej, warto przypomnieć sobie poprzednie podobne kryzysy. Dzisiaj chcę napisać tylko o jednym – pozytywizmie warszawskim.

Stanisław Cat-Mackiewicz uważał, że wszystkie powieści są historyczne, oprócz powieści historycznych. Niewątpliwie takim historycznym dokumentem są „Syzyfowe prace", z ich opisem szkoły apuchtinowskiej, o której Dmowski czy Piłsudski myśleli jako o koszmarze gorszym od więzienia. W powieści można napisać więcej niż w pamiętniku, można w niej – pisząc o swoich czasach – dokonać syntezy doświadczeń pokolenia. Posłuchajmy więc Stefana Żeromskiego, świadka nieuprzedzonego, być może najpierwszego patrona Polski postępowej, w żaden sposób niepodejrzanego o szczególne przywiązanie do tradycji katolickiej.

„DOPEŁNIENIA" PROFESORA KOSTRIULEWA

Tomasz Walecki, jeden z bohaterów „Syzyfowych prac", zwany Figą, „miał dopiero lat siedemnaście. Był to chłopczyna tak małego wzrostu, że, ku jego śmiertelnej męce, uważano go za trzecioklasistę. Uczył się wybornie i tylko »dzięki złemu sprawowaniu« figurował na liście jako drugi uczeń z kolei, ustępując pierwszeństwa Szlamie Goldbaumowi. Złe sprawowanie, czyli czwórkę zamiast piątki, Walecki zdobywał sobie nadzwyczajną hardością. Nie było tygodnia, żeby ten prześliczny chłopak nie skakał do oczu któremu z belfrów. Na każdą uwagę musiał odpowiedzieć jeśli nie dowcipnym sarkazmem, to przynajmniej znamiennym chrząknięciem albo piorunującym spojrzeniem oczu, podobnych do pary diamentów. Całe stronnictwo literacko-buckle'owskie starało się o pozyskanie »Figi«, ale on uchylał się od rozmów bezbożnych. Miał kilka sióstr, a był jedynakiem u matki, właścicielki niedużego sklepu z materiałami piśmiennymi, katoliczki".

W szkole, do której chodził, historyk Kostriulew, „rusyfikator w najbardziej wulgarnym znaczeniu tego wyrazu", bez przerwy prowokował młodzież nie tylko regularnymi opowieściami o marności dziejów Polski, lecz także przynoszonymi do szkoły pamfletami, które przedstawiał jako atrakcyjne „dopełnienia" nauczania oficjalnego, niemal bibułę. Razu pewnego przyniósł taki materiał „dopełniający", opisujący rozpustę seksualną i masowe mordy noworodków w żeńskich klasztorach Wilna. Klasa słuchała w milczeniu, dla młodych pozytywistów i materialistów temat był trudny, bo Kościół był ostatnią sprawą, której mieliby ochotę bronić. Podniósł się jedynie mały Walecki, by zaprotestować: „Ja jestem katolikiem i nie mam prawa słuchać tego, co pan czytasz", a gdy Kostriulew zaczął na bezczelnego ucznia wrzeszczeć, powtórzył: „Ja nie chcę słyszeć tego, co pan czytasz! Tego nie ma w kursie, a zresztą jest to potwarz i nędzny fałsz! Nędzny fałsz! Ja w imieniu całej klasy…". Zadeklarowanego, choć milczącego, buntu „całej klasy" rusyfikatorowi było już za wiele. Wściekły wybiegł, przyprowadził dyrektora, któremu Tomasz jeszcze raz powtórzył „w imieniu całej klasy", że przecież „chodzimy do spowiedzi, wyznajemy naszą religię". Zaczęło się więc przesłuchanie, czy Walecki rzeczywiście zorgani-

eprasa.pl 993d4bce60

Aleksander Kiriłłow jako profesor Kostriulew (z lewej) i Marcin Przybylski jako Walecki w ekranizacji „Syzyfowych prac" z 2000 r.
FOT. MATERIAŁY PRASOWE

zował katolicki bunt wszystkich uczniów. Prymus, Szlama Goldbaum, nie chcąc robić kłopotów koledze, oświadczył, że w ogóle z nikim dziś nie rozmawiał, a poza tym jest Żydem. Za to lider klasowych „niepokornych", Marcin Borowicz, przeciwnie; najpierw złośliwie syknął do kolegi: „To ci ognisty katolik", a potem już oficjalnie, ku wielkiej uldze reszty klasy, oświadczył dyrektorowi:

„Ja nie mogłem do wystąpienia namawiać kolegi Waleckiego, gdyż uważam za bardzo użyteczne te »dopełnienia«, które nam właśnie czytał profesor Kostriulew. Był to krytyczny rzut oka na machinacje jezuitów w upadającej i upadłej Polsce. Mnie się zdaje, że my wszyscy z przyjemnością słuchaliśmy uwag nadprogramowych, i muszę wyznać, że Walecki protestował tylko we własnym swoim imieniu".

Koledzy „z natężoną ciekawością chwytali słowa odpowiedzi Borowicza, gdyż wyprowadzały ich one z ciężkiego kłopotu. Wszyscy doznali tego wrażenia, że Marcin, zwalając winę całą na barki Waleckiego, niszczy podejrzenie o bunt, a co ważniejsza, samemu winowajcy zmniejsza stopień kary. Toteż kiedy inspektor dawał im pytania z kolei, odpowiadali prawie słowo w słowo to samo, co rzekł Borowicz. Walecki, mówiono, zapalił się niesłusznie, gdyż nauczyciel nie czytał nic zdrożnego. Mówił to samo, co stoi w kursie, tylko ilustrował rzecz odpowiednimi przykładami. W całej klasie znalazł się jeden tylko »pomidorowiec« [czyli katolik], niejaki Rutecki, który na zapytanie, czy zmawiał się z Waleckim, wbrew powszechnemu oczekiwaniu nauczycieli i kolegów rzekł:

– Tak".

Gdy zabrano obu katolickich buntowników, reszta kolegów skonfundowana zbiła się w kupkę, ale Borowicz był nieugięty: „Co do mnie, to utrzymuję stanowczo, że Kostriulew miał zupełną słuszność. W nauce historii chodzi o prawdę, o prawdę i jeszcze raz o prawdę. Należy mieć jakieś zdanie. Albo się je ma i w takim razie nie można bronić polsko-jezuickich morderczyń nieprawych dzieci, albo się jest trąbą klechów…

– A naturalnie! – zawtórowano ze wszech stron".

RELIGIJNE ODRODZENIE

Tak to 150 lat temu wyglądało duchowe imaginarium Niepokornych, tak się przedstawiał duchowy nastrój bynajmniej nie tylko luminarzy, lecz także szeregowych adeptów pozytywizmu warszawskiego. W każdym razie tak go zapamiętał Stefan Żeromski w powieści, którą dla uwiecznienia własnego pokolenia napisał z zachętą swego ówczesnego przyjaciela, Romana Dmowskiego. Książka, szczególnie słynna „Reduta Ordona" (gdzie Tomasz Walecki też odgrywa nie najważniejszą, ale jedną z głównych ról), dostarcza wzruszeń kolejnym pokoleniom młodych Polaków od przeszło stu lat. Sam jeszcze czuję dreszcze, z jakimi najpierw czytałem w wypisach „Redutę Ordona" (tę z „Syzyfowych prac" oczywiście), a potem już, podczas lektury całej książki, również tę małą – Redutę Waleckiego.

Minęły lata. Pokolenie bohaterów „Syzyfowych prac", młodzieży urodzonej w połowie lat 60. XIX w., stanęło na czele walki o niepodległość. Jednym młodzieńczy „materializm" przeszedł szybko, jak późniejszemu abp. Teodorowiczowi. Inni – jak Dmowski – prawie równie szybko nauczyli się cenić religię, ale nawrócili się pod koniec życia. Z jeszcze innymi, jak z Piłsudskim, sprawa jest bardziej skomplikowana.

W każdym razie, gdy zebrał się w 1919 r. Sejm Ustawodawczy, większość z nich (bo nie wszyscy) głosowała za katolicką konstytucją odrodzonej Rzeczypospolitej. Nie dlatego, by zawsze mieli taką osobistą „wrażliwość", ale uważali przecież, że są katolikami, w każdym razie przez całe życie mieli dość czasu, by sobie (w większości właśnie) o tym przypomnieć. Później, w wolnej Polsce, przyszło już kolejne pokolenie i zaczęło się odrodzenie religijne, które rozkwitło – jak płomień – w czasie okupacji. Potem zapadła noc stalinizmu, a po niej nowy kryzys, gdy dużej części inteligencji wydawało się – jak tamtym niepokornym – że choć komunizm przyniesiono na sowieckich bagnetach, socjalizm to jednak „duch czasu" i tylko w jego imię można walczyć o wolność. Jednak lud (we własnej większości) za wiele o tym nie wiedział. Chodził do kościoła, podziwiał prymasa, a msza odprawiała się po staremu.

KRÓTKI ŻYWOT NOWOŚCI

Taka to przypowieść o Reducie Waleckiego. Czy ten kryzys, który przeżywamy, też się podobnie skończy? Bóg raczy wiedzieć, ale – wszystko możliwe. Jeśli nie, to przede wszystkim dlatego, że pojawił się czynnik naprawdę nowy, o którym mniej piszą społeczni katastrofiści, a na który (w tym kontekście) zwrócił mi ostatnio uwagę Łukasz Warzecha: kryzys Kościoła, najpewniejszego szańca porządku naturalnego. Jeśli coś przejmuje grozą, to wspomnienie Hiszpanii, Irlandii czy wcześniej tego, w jaki sposób przeprowadzono reformację w wielu katolickich krajach.

Jedno jest pewne – jeśli ten kryzys się skończy, jeśli nawet przyjdzie w ojczyźnie czy w całym chrześcijaństwie jakieś nowe katolickie odrodzenie, jeśli objawią się nowi Wyszyńscy, Popiełuszkowie i papieże, to i tak potem mogą przyjść kolejne społeczne kryzysy. Nowość jest bardzo starym zjawiskiem. Historia składa się z nowości, które szybko (w tym samym mniej więcej tempie co my) – się starzeją. A Polska jest ciągle.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Wcześniej w tej sprawie głos zabrali:

Mariusz Dzierżawski
„Jak przegrać wojnę cywilizacji"
(„Do Rzeczy" nr 39, 21 września 2020 r.)
Tomasz P. Terlikowski
„Istotniejsze jest zbawienie"
(„Do Rzeczy" nr 41, 5 października 2020 r.)
Krystian Kratiuk
„Czy nasza walka ma sens?"
(„Do Rzeczy" nr 43, 19 października 2020 r.)
Tomasz P. Terlikowski
„Miłość, a nie kontrrewolucja"
(„Do Rzeczy" nr 46, 9 listopada 2020 r.)

eprasa.pl 993d4bce60

FOT. ADOBE STOCK

Pandemia fałszywych testów

dr Mariusz Błochowiak prof. Kornelia Polok prof. Roman Zieliński

Ministerstwo Zdrowia codziennie straszy komunikatami dotyczącymi liczby osób rzekomo zakażonych SARS-CoV-2, bazując na badaniach wymazów z nosogardzieli metodą PCR, czyli łańcuchowej reakcji polimerazy (ang. polymerase chain reaction). Problem w tym, że tą metodą stosowaną na masową skalę w laboratoriach diagnostycznych w Polsce i na świecie nie da się w żadnym razie potwierdzić zakażenia koronawirusem!

Pani doktor, internista w miejscowym centrum medycznym zmagała się z przewlekłym kaszlem, który niepokoił zarówno ją, jak i jej współpracowników. W połowie kwietnia podobne objawy, tj. kaszel, gorączka i trudności w oddychaniu, zaobserwowano u pozostałych pracowników szpitala. Wkrótce blisko tysiąc pracowników szpitala zostało poddanych testom i odsuniętych od pracy do momentu uzyskania wyników. Spośród testowanych u 142 osób, w tym u wspomnianej pani doktor, stwierdzono poważną chorobę dróg oddechowych. Szpital prewencyjnie zamknięto i ogłoszono epidemię. Wdrożono środki bezpieczeństwa. Zainfekowani zostali odsunięci od pracy na kilka miesięcy na podstawie wyników testów PCR, które wskazywały na niebezpieczny patogen. Podobne objawy oraz początek epidemii zaobserwowano w innych miastach. Jaka choroba wystąpiła w opisywanych przypadkach? Odpowiedź wydaje się oczywista: COVID-19 wywołany przez koronawirusa.

A jednak to nie COVID-19, to nie koronawirus, to nawet nie jest rok 2020. Prezentowana sytuacja miała miejsce w Dartmouth oraz w Bostonie przeszło 10 lat temu (rok 2007). Po ośmiu miesiącach od wykonania testów PCR szpital przyznał się, że był to fałszywy alarm. Pracownicy cierpieli na zwykłe przeziębienie, które na podstawie testów PCR zostało błędnie zakwalifikowane jako choroba spowodowana pałeczką krztuśca, groźnym patogenem. Zdarzenie zostało opisane w „The New York Times" w artykule pod znamiennym tytułem: „Wiara w szybki test prowadzi do epidemii, której nie było" (Kolata Gina, 2007, „Faith in Quick Test Leads to Epidemic that Wasn't"), jako przestroga przed zbytnim poleganiem na testach molekularnych. Niestety, w 2020 r. zapomniano o tej przestrodze i na podstawie niewiarygodnych metodycznie testów zamknięto gospodarki, a z ludzi uczyniono niewolników.

„KŁĘBOWISKO" NICI DNA I RNA

Infekcja, czyli zakażenie, jest to wniknięcie jakiegoś patogenu (zarazka), a więc np. koronawirusa, do organizmu (a mówiąc bardziej precyzyjnie – do komórek) i namnażanie się go. Innymi słowy, aby doszło do zakażenia, nie wystarczy, żeby wirus wniknął do organizmu (mówimy wtedy o obecności wirusa), ale warunkiem koniecznym zakażenia jest proces namnażania się. Testy PCR mogą jedynie stwierdzić OBECNOŚĆ materiału genetycznego, który może, ale nie musi należeć do SARS-CoV-2. Co więcej, testy te nie są w stanie nawet stwierdzić obecności całego wirusa, ponieważ w zastosowanej procedurze powielane są jedynie fragmenty o długości ok. 100–500 nukleotydów. Powielenie polega na uzyskaniu bardzo dużej liczby kopii (nawet 1 mln kopii) dokładnie tego samego fragmentu materiału genetycznego. Bez powielenia materiału genetycznego jest go za mało, by móc go

eprasa.pl 993d4bce60

następnie zanalizować i orzec o wyniku pozytywnym bądź negatywnym.

Nukleotyd to podstawowa, mała cząstka, z której składają się zarówno wirusy, jak i ludzki materiał genetyczny (DNA). Koronawirus ma ok. 30 tys. nukleotydów. Wymaz z nosogardzieli jest mieszaniną różnych materiałów genetycznych – człowieka oraz różnego rodzaju wirusów i bakterii. Nie mamy zatem do czynienia z czystym materiałem genetycznym koronawirusa (jeśli się on tam znajduje), który moglibyśmy powielić do dalszej analizy, ale „kłębowiskiem" całej masy różnych nici DNA i RNA (koronawirus składa właśnie z RNA). Aby powielić materiał genetyczny do dalszej diagnostyki, stosuje się tzw. startery, które są tak zaprojektowane, żeby wykryć fragment (wspomniane 100–500 nukleotydów) koronawirusa i go powielić. Jednak z powodu tego, że pobrany od człowieka wymaz zawiera całą masę różnego pochodzenia fragmentów materiału genetycznego, które mogą być podobne do fragmentów koronawirusa, to metoda PCR może powielić również fragmenty, które nie należą do SARS-CoV-2!

I tak też się dzieje, co potwierdziło amerykańskie Centrum Kontroli i Prewencji Chorób (ang. CDC – agencja rządu federalnego Stanów Zjednoczonych wchodząca w skład Departamentu Zdrowia i Opieki Społecznej), które sprawdzając wiarygodność tej metody, określiło, że z tych wyników, które były pozytywne (co oznacza w praktyce, że nasze Ministerstwo Zdrowia ogłasza, że dana osoba jest zakażona), aż 65 proc. było fałszywie pozytywnych, czyli de facto ci ludzie nie mieli koronawirusa! CDC, żeby określić, czy faktycznie obecny był cały wirus, a nie jedynie jego fragment, użyło tzw. metody sekwencjonowania, której się nie stosuje rutynowo w diagnostyce. Dlatego też nie można testami PCR potwierdzić obecności całego wirusa. A cały, aktywny wirus jest konieczny do spowodowania ewentualnego zakażenia.

Niemożność potwierdzenia lub wykluczenia zakażenia SARS-CoV-2 przy zastosowaniu testów PCR potwierdziła także podczas posiedzenia niemieckiej komisji ds. koronawirusa prof. Ulrike Kämmerer, immunolog i wirusolog: „RNA tego wirusa znajduje się praktycznie na powierzchni wymazywanej nosogardzieli, ale to nie znaczy, że wirus wniknął już do komórek. Nie jest to również tożsame z tym, że mamy do czynienia z obecnością nienaruszonego, żywego (to złe słowo, ponieważ wirusy właściwie nie są żywe), zdolnego do namnażania się wirusa. Nie można tego wykazać przy użyciu testu PCR". Zapis posiedzenia tej komisji właśnie w sprawie testów PCR został zamieszczony w drugim tomie „Fałszywej pandemii. Krytyki naukowców i lekarzy".

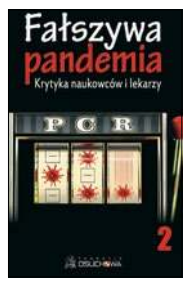

PRACA ZBIOROWA „FAŁSZYWA PANDEMIA. KRYTYKA NAUKOWCÓW I LEKARZY" FUNDACJA OSUCHOWA 2020

DESTRUKCJA SŁUŻBY ZDROWIA

Co jednak w praktyce oznacza, że 65 proc. wyników jest fałszywie pozytywnych? W Polsce przeprowadzono (stan na 17 listopada) 5 687 216 testów, z czego 752 940 wyników było pozytywnych, co dla Ministerstwa Zdrowia oznacza 752 940 zakażonych osób. Biorąc pod uwagę dane CDC, spośród zakażonych 65 proc., czyli aż 489 411 badanych, nie miało wirusa, mimo iż test wskazał jego obecność! U pozostałych 236 529 osób wirus był wprawdzie obecny, ale nie wiadomo, u ilu z nich doszło do zakażenia. A nawet gdyby doszło do zakażenia, to większość nie będzie miała objawów albo objawy będą skąpe. Nie należy bowiem mylić zakażenia z zachorowaniem, które w sposób konieczny związane jest z objawami. Straszenie zakażeniami to jedna z wielu wielkich manipulacji podczas tej fałszywej pandemii.

Stosowanie testu, który nie dość, że nie wykrywa zakażenia, to jeszcze jest dodatkowo błędny w 65 proc. przypadków (i to nawet nie w kwestii zakażenia, ale wyłącznie OBECNOŚCI koronawirusa), jest ponurym żartem i kpiną. Testy PCR wykrywające SARS-CoV-2 są jedynie olbrzymim marnowaniem pieniędzy podatnika, a zarazem narzędziem służącym do wzbudzania nieuzasadnionego lęku. Nie dość, że obywatel płaci za te testy (w postaci podatków), to jeszcze jest straszony za swoje pieniądze i zamykany w areszcie domowym na tzw. kwarantannie. Oczywiście korzystają na tym produkujące testy firmy oraz producenci bardzo kosztownych urządzeń do ich przeprowadzania.

Niemiecka komisja ds. koronawirusa składająca się z prawników, która przeprowadziła już wiele przesłuchań naukowców i lekarzy, będzie wytaczać procesy w Niemczech i USA, bazując właśnie na naukowych, medycznych ustaleniach, że testy PCR wykrywające SARS-CoV-2 są zupełnie niewiarygodne i dlatego nie powinny być w ogóle stosowane w diagnostyce COVID-19. Miejmy nadzieję, że polscy prawnicy dojdą w końcu do tego samego wniosku i również będą wytaczać procesy przeciwko rządzącym za sianie nieuzasadnionego terroru i wprowadzanie niepotrzebnych i szkodliwych obostrzeń, które powodują wiele nadmiarowych zgonów w ostatnim czasie. Nie są to zgony spowodowane COVID-19, ale są skutkiem destrukcji służby zdrowia przez rząd, nieodbytych i poprzesuwanych operacji oraz braku należytego leczenia i diagnozowania przez ostatnie miesiące pacjentów niecovidowych, zwłaszcza z podejrzeniem nowotworów. O zgonach spowodowanych wyłącznie lockdownem czy – jak się ostatnio eufemistycznie mówi – narodową kwarantanną powstały już publikacje naukowe. Profesor medycyny John Ioannidis, epidemiolog, jeden z najczęściej cytowanych naukowców świata, stwierdził w swojej publikacji („Global perspective of COVID-19 epidemiology for a full-cycle pandemic"), że „sumując wszystkie przewidywania, nadmiarowe zgony z powodu wprowadzonych obostrzeń będą zapewne dużo większe od zgonów z powodu COVID-19". Natomiast autorzy artykułu „An Improved Measure of Deaths Due to COVID-19 in England and Wales" doszli do wniosku, że „lockdown w Wielkiej Brytanii spowodował więcej, a nie mniej zgonów". Miejmy nadzieję, że tak jak po czasie stało się powszechnie znane, że zadeklarowana przez WHO pandemia świńskiej grypy była całkowicie fałszywa, tak też stanie się w przypadku aktualnej „pandemii".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

dr Mariusz Błochowiak *– doktor fizyki, pracował naukowo w Instytucie Maxa Plancka w Moguncji oraz instytucie badawczym SINTEF w Oslo.*

prof. Kornelia Polok i prof. Roman Zieliński *– genetycy i biolodzy ewolucyjni, eksperci od metody PCR, którą posługują się od blisko 30 lat.*

eprasa.pl 993d4bce60

Zwolennicy skrajnej prawicy podczas wiecu w rocznicę śmierci założyciela Falangi, Madryt, 20 listopada 2020 r. FOT. MARCOS DEL MAZO/LIGHTROCKET/GETTY IMAGES

Faszyzm bezobjawowy

Małgorzata Wołczyk

W Polsce wiele mówi się o faszyzmie, ale w porównaniu z Hiszpanią jest on prawie niedostrzegalny

Faszyzm bezobjawowy odkryto, jeszcze zanim poznaliśmy bezobjawowe zakażenie koronawirusem. Pionierską metodologię badań nad faszyzmem bezobjawowym rozwija się nad Wisłą z pomocą uznanej tu metody zwanej „gołym okiem widać". Stąd też, jak wiemy, faszystami bezobjawowymi byli już: Zbigniew Herbert, paulini na Jasnej Górze (zdaniem prof. M. Smoczyńskiej), prof. Legutko dla lewicowych bojówek w Middlebury College oraz moi najbardziej elokwentni i aktywni koledzy z redakcji „Do Rzeczy". Nie ukrywam, że zazdroszczę, bo jeśli ktoś wreszcie sporządzi wykaz międzynarodowych faszystów bezobjawowych, to znajdą się w nim również ogłoszeni nimi pośmiertnie: królowie katoliccy i Don Pelayo (za sprzeciw wobec imigracji z krajów muzułmańskich). Któżby nie chciał należeć do takiej Champions League?

Jak od lat nam się wmawia, na święto 11 Listopada wylegają na ulice „naziole i faszyści". No, chyba że trwają „pokojowe manifestacje" Strajku Kobiet, wtedy też naziole bronią kościołów. Faszystami dyżurnymi są oczywiście posłowie PiS, choć jeszcze bardziej ci z Konfederacji. Można dostać zawrotu głowy, bo tylu faszystów to nawet Sowieci nie byli w stanie namierzyć.

Nie zazdroszczę nikomu, kto bierze udział w debatach ideowych, bo trudno o pojęcie bardziej pojemne niż ów legendarny „faszyzm". I podczas gdy historycy idei głowią się i troją, aby wytyczyć tzw. minima faszystowskie, aby można było potwierdzić, że dany ruch czy ideologia są faszystowskie, niżej podpisana nauczyła się rozpoznawać autentycznych faszystów z wielką wprawą za sprawą Hiszpanii i jej dziedzictwa w tej materii.

RATUNEK DLA KATOLIKÓW

Hiszpania, obok Włoch czy Niemiec, uległa czarowi totalitarnego projektu pod wpływem anarchii, jaką zaprowadzili na Półwyspie rzekomi demokraci wespół z masonami i adeptami komunizmu. I, co ciekawe, tylko w Hiszpanii rozpowszechnianie symboli faszystowskich czy nazistowskich nie jest objęte kodeksem karnym, a istnienie grup neonazistowskich i neofaszystowskich nie jest zbyt mocno ścigane z urzędu, choć właśnie zaczyna się to zmieniać. Dlaczego tak się stało – to temat na odrębny artykuł, dość powiedzieć, że specyficzny faszyzm w wydaniu hiszpańskim był raczej krucjatą powstańczą i religijną przeciwko tym, którzy chcieli przeobrazić Hiszpanię w satelicki wobec Sowietów kraj rad. Nie miał też nic wspólnego ani z rasizmem, ani z antyslawizmem czy antysemityzmem (faszystowska Hiszpania przyjęła ponad 30 tys. uciekających Żydów). José Antonio Primo de Rivera – założyciel Falangi – czczony jest do dziś niczym męczennik, bo też ledwie rozpoczął flirt z modną wówczas ideologią, a już został stracony przez komunistów. Mało też miał wspólnego faszyzm jego formacji z apologią przemocy, o czym świadczą ostatnie słowa przed śmiercią: „Niechaj moja krew będzie ostatnią prze-

eprasa.pl 993d4bce60

laną w niezgodzie społecznej". Nic też nie miał z imperializmu tak ważnego dla faszystowskich Niemiec czy Włochów. Niestety ze smutkiem trzeba dodać, że Hiszpania schroniła wielu nazistów po wojnie, mimo że przecież do końca zachowała neutralność i nie poszła na ustępstwa, których domagał się Hitler.

HISZPAŃSKI FASZYZM

Dla wielu Hiszpanów faszyzm jest pamięcią ich bohaterów, którzy ratowali katolików przed prześladowaniami i przywrócili porządek w ogarniętej rewolucją marksistowską Hiszpanii. Trzeba też jednak otwarcie powiedzieć, że wciąż można spotkać wyznawców tej ideologii, którzy przyjmują ją w całym niemal oryginalnym pakiecie. Spotkać „faszystę w stanie czystym" w Hiszpanii lub podejrzeć w mediach społecznościowych jest czymś niezmiernie łatwym. I dlatego, prawdę mówiąc, brakuje mi wiary w obecność prawdziwych faszystów na polskiej ziemi, i to z wielu powodów, o których poniżej. Istnieją radykałowie z ONR, Falangi? Oczywiście. Chociaż liczebnie to ledwie garstka (wedle danych mniej niż tysiąc członków) w porównaniu z masą melancholijnych spadkobierców faszyzmu we Włoszech, w Hiszpanii czy Niemczech, którzy tysiącami śledzą profile faszystowskie. Faszyzm jest po prostu ciałem obcym dla Polaków, bo za dużo w nim… marksizmu jego fundatora Mussoliniego.

Aby zrozumieć, czym jest faszyzm, również ten aktualny, ukradkowo pielęgnowany, trzeba przejrzeć zawartość stron, kont hiszpańskich czy włoskich użytkowników z tzw. skrajnej prawicy. Gdy trzy lata temu po raz pierwszy zanurzyłam się w posty Falangi, doznałam niemałego wstrząsu. Wystarczyło bowiem poczytać hasła i nagle tajemniczy wehikuł czasu przenosił mnie wprost w socjalizm sprzed dekad: „Trzeba walczyć o sprawiedliwość społeczną i chleb dla robotnika!", „Klasa uciskana kontra klasa wyzyskiwaczy kapitalistów", „Bogaci żerują na twojej biedzie". Ba! Ze zdumieniem odkryłam nawet plakaty z niedobrym Wujkiem Samem, tym samym, który majaczy nam w pamięci z plakatów propagandy sowieckiej. Od pierwszej chwili uderza antykapitalistyczny, antyliberalny, antydemokratyczny i antyamerykański rys neofaszystowskich profili społecznościowych. Pragnienie państwa etatystycznego, syndykalizm rewolucyjny i szowinizm to prawdziwe oblicze faszyzmu. Biedny Jan Śpiewak, który posty o „faszystach i naziolach" warszawskich wypuszcza z regularnością cyklu miesiączkowego, nie umie, zdaje się, odróżnić faszyzmu od fashion szalikowego i chuliganerii.

„Ojczyzna, chleb, sprawiedliwość" – głoszą hasła na koszulkach w sklepikach Falangi. A cóż za imponujący wybór lektur, obok dziesiątek książek o założycielach Falangi, Błękitnej Dywizji, Mussolinim, Leni Riefenstahl i oczywiście Léona Degrelle – nazisty, który schronił się w słonecznej Hiszpanii i do śmierci współorganizował tam ruchy neofaszystowskie. Konia z rzędem i całe królestwo temu, kto odkryje w Polsce popyt na tego typu lektury, pamiątki i wskaże partie neonazistowskie albo chociaż popularne portale neofaszystowskie. To w Hiszpanii powstała i rozwinęła się jedna z najważniejszych organizacji nazistowskich po drugiej wojnie światowej: Hiszpańskie Koło Przyjaciół Europy (CEDADE), które prawie przez 30 lat rozpowszechniało nazistowską propagandę i teksty negujące Holokaust. Była to szkoła paru ideologów hiszpańskiego neofaszyzmu czy też neonazizmu, którzy swoją działalność zdołali rozpowszechnić w Argentynie, Boliwii, Ekwadorze i we Francji. Przez 24 lata otwarta była w Barcelonie księgarnia Pedro Vareli, jednego z liderów nazistowskiej partii, i dopiero w 2016 r. zamknięto jej podwoje, rekwirując 15 tys. książek gloryfikujących Hitlera i faszyzm.

WYNURZYĆ GŁOWY

Wpajać Polakom, że nad Wisłą czai się faszyzm i „naziolizm" tylko dlatego, że to na rękę opozycji, coraz silniejszej młodej lewicy i wszystkim zakompleksionym spoglądającym na Zachód w bezwiednym zauroczeniu, to nic innego jak – proszę wybaczyć – wielka ściema. Być może Madeleine Albright właśnie po to popełniła bardzo oczekiwaną książeczkę „Faszyzm. Ostrzeżenie", aby imadło socjaldemokratów mogło maltretować dysydentów niepoprawnych politycznie, tak jak znajdujące się teraz pod pręgieżem Polska i Węgry. Faszyzm, jaki obserwuję na przykładzie Hiszpanów, jest przede wszystkim socjalizmem w wydaniu nacjonalistycznym. To francuski filozof Jean-François Revel w książce „Wielka Parada. Esej o przetrwaniu socjalistycznej utopii" ujął to precyzyjnie: „Marksistowskiemu antyliberalizmowi w latach dwudziestych wyłoni się nieoczekiwany konkurent: faszystowski antyliberalizm. Vladimir Tismăneanu z finezją przeanalizował w książce »Diabeł w historii« subtelny związek miłości i nienawiści między dwoma totalitaryzmami: to, co nazywa »ich negatywną wzajemną intymnością«". Wolny rynek i motyw zysku są intensywnie pogardzane zarówno przez komunistów, jak i faszystów, ale podobieństw między nimi jest znacznie więcej. Gdy pytam Hiszpanów, jak to możliwe, że najbardziej falangistowska strona na Facebooku i jednocześnie najbardziej komunistyczna nazywa się tak samo – „En Marcha", są zdziwieni zbiegiem okoliczności, który dla mnie bynajmniej nim nie jest. Pamięć socjalizmu pozwala mi z jednakowym obrzydzeniem przewijać posty w obu miejscach. Ja i miliony Polaków jesteśmy zaszczepieni przeciw obu tym plagom. A jednak ignorancja postępuje, skoro okładka „Do Rzeczy" sprzed dwóch lat z Hitlerem, uzupełniona podpisem: „Wbrew komunistycznej propagandzie, hitlerowcy nie mieli nic wspólnego z prawicą", wywołała falę oburzenia. Jedyne, co mogę doradzić tropicielom faszyzmu dziś, to aby wynurzyli głowy z lektur, a zanurzyli się ukradkiem między ludzi, którym te idee wciąż są bliskie – czy to we Włoszech, czy w Hiszpanii, a zwłaszcza w Niemczech. Ursula von der Leyen może nam dziś udzielać lekcji tylko dlatego, że jako minister obrony zmęczona aferami w Bundeswerze, śledztwem w sprawie neonazistów w armii i licznymi znaleziskami „dewocjonaliów nazistowskich" wolała prawdopodobnie udać się na wyższy stołek, niż stawiać czoła nieprawidłowościom na własnym podwórku.

Znajoma Hiszpanka, która do śmierci ojca nie mogła mu wybaczyć zaciągu do Błękitnej Dywizji, mówi mi: „Drążysz temat faszyzmu, rozumiem twoją ciekawość, ale pamiętaj, że nawet najświeższa historia Hiszpanii usłana jest trupami lewicowego terroryzmu: to ETA, FRAP, agresywni lewicowi anarchiści z Katalonii i Kraju Basków. Zrujnowany przez lewicę kraj, hegemonia ideologii gender, odebranie rodzicom władzy rodzicielskiej, usunięcie hiszpańskiego jako oficjalnego języka nauczania, a ludzie wciąż tropią faszystów, którzy zupełnie na nic nie mają wpływu, ani nie mają reprezentacji w Kongresie i tylko uprawiają tą swoją muzealną melancholię za porządkiem i ładem. To nie faszyzm jest problemem Hiszpanii, tylko neokomunizm". I zdaje się, że dotyczy to nie tylko Hiszpanii, lecz także całej Europy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 993d4bce60

Kardynał a SB

Metropolita wrocławski abp Henryk Gulbinowicz podczas mszy polowej we Wrocławiu w 1981 r.

FOT. ADAM HAWAŁEJ/PAP

Rafał Łatka

Kontakty Henryka Gulbinowicza z SB trwały aż 16 lat. Hierarcha przerwał je dopiero wtedy, gdy uznał, że nie odniesie już z nich żadnych osobistych korzyści

Kardynał Henryk Gulbinowicz zapisał się trwale w historii Wrocławia, a szerzej patrząc – najnowszych dziejów Polski. Był i jest postrzegany jako jeden z niewielu hierarchów kościelnych, który wspierał działalność antykomunistycznej opozycji w latach 80. XX w. To jednak – jak wynika z moich badań – tylko część prawdy. Wspomniany hierarcha równocześnie bowiem od listopada 1969 r. do października 1985 r. prowadził rozmowy z wysokimi rangą funkcjonariuszami Departamentu IV MSW, w czasie których jego postawa była bardzo daleka od antykomunizmu. Wspomniane kontakty zostały przeze mnie pierwszy raz opisane w tekście opublikowanym w czerwcu br. na łamach „Glaukopisu". Pora spróbować odpowiedzieć na pytanie: Dlaczego kontakty biskupa z SB trwały tak długo i jakie przyniosły rezultaty dla obu stron dialogu?

eprasa.pl 993d4bce60

18 listopada 1969 r. kontakt z ks. Gulbinowiczem nawiązał ppłk Józef Maj, inspektor w Departamencie IV MSW. Funkcjonariusz SB, przedstawiając się, powiedział, że jest oficerem MSW. Pierwsza faza spotkania dotyczyła postaw kleryków i wykładowców w Wyższym Seminarium Duchownym i ich oceny działalności rektora. W drugiej części rozmowy ppłk Maj przeszedł do właściwego tematu i poinformował ks. Gulbinowicza, że prawdopodobnie otrzyma sakrę biskupią i nominację na administratora apostolskiego w Białymstoku. Przekazując wspomnianą informację, wyraźnie zaznaczył: „Możemy oczywiście pomóc w załatwieniu niektórych spraw, ale to będzie zależne od dobrej woli księdza i stosunku do nas. Wiadomo bowiem, kogo władze przed wyrażeniem zgody pytają o ocenę lub opinię w określonej sprawie. Rozmówca pilnie słuchał moich wypowiedzi, wykazując zainteresowanie". W odpowiedzi ks. Gulbinowicz zaznaczył, że zdaje sobie sprawę, z jakimi obowiązkami wiąże się funkcja, o której mówił jego rozmówca, ale dopiero czas pokaże, czy przekazywane informacje są prawdziwe. Równocześnie jednak dość jasno zadeklarował swoją wolę utrzymania dobrych relacji z władzami i podkreślił: „[...] ja nie jestem taki, jak mnie większość księży ocenia. Jestem człowiekiem patrzącym realnie na zachodzące zjawiska społeczne. Wiem, że tylko realna i obiektywna ocena faktów i dialog z władzami może być podstawą do pracy na takim stanowisku. Skoro już o tym mowa, to muszę panu powiedzieć, że chętnie utrzymam nawiązany z panem kontakt".

Wydaje się, że zgoda ks. Gulbinowicza na kontakty z SB wynikała z dwóch zasadniczych czynników: chęci bezkonfliktowego ułożenia relacji z władzami wojewódzkimi (jako przyszłego administratora diecezji) oraz podejrzeń wskazujących na prowadzenie przez duchownego niemoralnego życia w okresie pracy w Białymstoku i Olsztynie. Chodziło o utrzymywanie kontaktów homoseksualnych z osobami pełnoletnimi w młodym wieku (o których SB posiadała informacje ze źródeł agenturalnych). Funkcjonariusze SB, jak wynika z zachowanej dokumentacji, nie podejmowali tego tematu, nie chcąc zrażać do siebie swojego rozmówcy. O chęci podtrzymywania „pozytywnych" kontaktów z władzami bp Gulbinowicz kilkukrotnie wspominał w czasie kolejnych rozmów z ppłk. Majem. Hierarcha liczył także, że dzięki rozmowom z aparatem bezpieczeństwa uzyska ułatwienia w zakresie budownictwa sakralnego.

Motywacje bezpieki były oczywiście o wiele bardziej rozbudowane. Planem minimum było, jak się wydaje, doprowadzenie do pozyskania lojalności bp. Gulbinowicza i uzyskiwanie od niego cennych informacji, maksimum zaś – pozyskanie go do pełnej współpracy agenturalnej, szczególnie jako potencjalnego agenta wpływu. W uwagach z pierwszego spotkania ppłk Maj, oceniając postawę duchownego, wskazywał: „Rozmówca jest człowiekiem komunikatywnym. W rozmowie wykazuje dużą swobodę – dużo mówi. [...] Z posiadanych informacji i rozmowy wynika, że jest oddany Kościołowi, ale przy umiejętnie prowadzonej rozmowie można uzyskać określone informacje i sugerować określone jego zachowanie się. Można też wnioskować, że jeżeli zobowiąże się do czegoś, to zobowiązania dotrzyma". Aparat bezpieczeństwa liczył na to, że bp Gulbinowicz będzie na forum episkopatu zajmował „pozytywne" wobec władz stanowisko, a być może nawet stanie się agentem wpływu na innych biskupów. W tym celu starano się na niego wpływać poprzez zaprzyjaźnionego z nim ks. Edwarda Pietkiewicza, tajnego współpracownika ps. Orion. Zgodnie z zadaniami wyznaczonymi mu przez SB wspomniany duchowny miał sugerować bp. Gulbinowiczowi, by myślał „niezależnie" i nie realizował linii działania kard. Stefana Wyszyńskiego, którą władze PRL oceniały negatywnie.

PIERWSZE LATA

W latach 1970–1975 odbyło się kilkanaście rozmów bp. Gulbinowicza z ppłk. Majem – z dwuletnią przerwą, która trwała od 19 sierpnia 1970 do 23 sierpnia 1972 r. (to nie hierarcha przerwał kontakty). Toczyły się one w miłej atmosferze, zaś administrator diecezji białostockiej zachowywał się w ich czasie z dużą swobodą. Większość spotkań w tym okresie dotyczyła sytuacji w diecezji białostockiej, ze szczególnym uwzględnieniem budownictwa sakralnego, które dla bp. Gulbinowicza było najważniejszym tematem rozmów. Hierarcha starał się wykorzystywać te kontakty do uzyskiwania pozwoleń na budowy kościołów i kaplic, które były w jego przekonaniu niezbędne dla pracy duszpasterskiej. Swoje oczekiwania przedstawiał w łagodny sposób, wskazując, w jakim miejscu powinien otrzymać zgodę na postawienie nowej świątyni. Rezultaty, które w tym zakresie osiągnął, były dość mizerne. Administracja apostolska, którą zarządzał, otrzymała dość niewielką liczbę pozwoleń na budowę, a ponadto także tam, gdzie je otrzymał, aparat bezpieczeństwa i struktury

eprasa.pl 993d4bce60

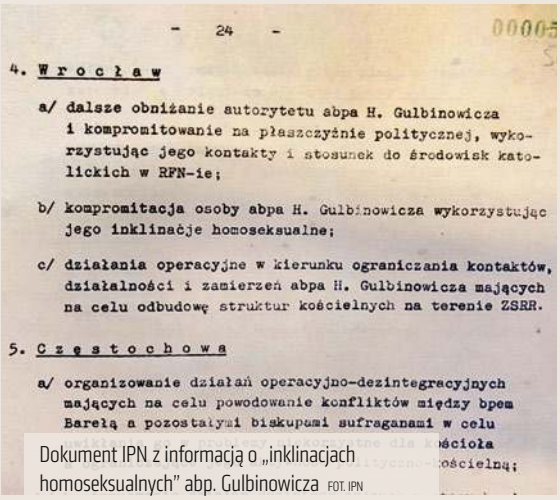
- 24 -

4. Wrocław

a/ dalsze obniżanie autorytetu abpa H. Gulbinowicza i kompromitowanie na płaszczyźnie politycznej, wykorzystując jego kontakty i stosunek do środowisk katolickich w RFN-ie;

b/ kompromitacja osoby abpa H. Gulbinowicza wykorzystując jego inklinacje homoseksualne;

c/ działania operacyjne w kierunku ograniczania kontaktów, działalności i zamierzeń abpa H. Gulbinowicza mających na celu odbudowę struktur kościelnych na terenie ZSRR.

5. Częstochowa

a/ organizowanie działań operacyjno-dezintegracyjnych mających na celu powodowanie konfliktów między bpem Barełą a pozostałymi biskupami sufraganami w celu

Dokument IPN z informacją o „inklinacjach homoseksualnych" abp. Gulbinowicza FOT. IPN

Spotkanie kard. Gulbinowicza z szefem wrocławskiej bezpieki płk. Czesławem Błażejewskim FOT. IPN

PZPR stwarzały różnego rodzaju utrudnienia w budowie. Zniecierpliwiony takim podejściem władz bp Gulbinowicz poruszył ten problem w czasie rozmowy z ppłk. Majem 13 lutego 1974 r. Opisując swój wyjazd na wizytę ad limina do Stolicy Apostolskiej, skarżył się, że musiał w Watykanie przekazać informację o złych warunkach dla kleryków w diecezji, gdyż WSD nie posiada własnego budynku. W odpowiedzi ppłk Maj zaznaczył, że władze wojewódzkie mają pozytywny stosunek do bp. Gulbinowicza.

METROPOLITA I GEN. STRASZEWSKI

W 1975 r. kontakt z bp. Gulbinowiczem został przekazany innemu wysokiemu rangą funkcjonariuszowi Deptartamentu IV MSW, ppłk. Czesławowi Wiejakowi. Było to związane z przejściem na emeryturę ppłk. Maja. Rozmowy z kolejnym agentem otworzyły nowy etap dialogu hierarchy z SB. Od pierwszej rozmowy ppłk. Wiejak starał się przekonać duchownego, by spotkał się z jego przełożonym – Konradem Straszewskim, dyrektorem antykościelnego Departamentu IV MSW. Mimo początkowego oporu bp. Gulbinowicza, związanego z miejscem przyszłej rozmowy (ze względów konspiracyjnych hierarcha nie chciał jechać do Warszawy), udało się doprowadzić do ich spotkania. Odbyło się ono 19 października w Białymstoku. Jego przebiegu nie znamy.

Silny nacisk ppłk. Wiejaka na spotkanie z gen. Straszewskim, zaznaczenie, że miałoby się odbyć „za wiedzą czynników politycznych", oraz tajemniczość oficera SB prowadzącego rozmowy z hierarchą prowadzą do przypuszczenia, że za rozmową z szefem antykościelnej struktury MSW stało coś znacznie więcej aniżeli dalsza „lojalizacja" bp. Gulbinowicza. Można przypuszczać, ze względu na koincydencję czasową i późniejsze wydarzenia, że tematem spotkania była zgoda władz na ewentualną nominację tego hierarchy na metropolitę wrocławskiego. Dla władz był on osobą do zaakceptowania, ze względu na trwające od ponad sześciu lat rozmowy z SB, które bp. Gulbinowicz ukrywał przed kard. Wyszyńskim i episkopatem, oraz umiarkowane stanowisko w zakresie relacji państwo-Kościół. W przeciwieństwie do kandydatów wysuwanych wcześniej przez stronę kościelną nie był także oceniany jako człowiek lojalny wobec prymasa.

Ostatecznie władze PRL wyraziły zgodę na nominację bp. Gulbinowicza na metropolitę wrocławskiego 2 grudnia 1975 r. Wątpliwości co do tej decyzji miała jednakże Stolica Apostolska, która zaaprobowała kandydaturę hierarchy dopiero po zobowiązaniu kard. Wyszyńskiego, że bierze on na siebie odpowiedzialność za nominata. Prymas zakomunikował decyzję Watykanu bp. Gulbinowiczowi 30 grudnia i uzyskał od niego wówczas konsens kanoniczny.

Świeżo nominowany metropolita wrocławski w latach 1976–1977 spotykał się jeszcze przynajmniej trzykrotnie z gen. Straszewskim. Nie jest znany przebieg rozmowy, która miała miejsce 9 stycznia 1976 r. Drugie, trwające trzy godziny spotkanie odbyło się 20 stycznia u abp. Gulbinowicza w Białymstoku, przebiegało w bardzo przyjaznej atmosferze (uczestniczył w nim również ppłk Wiejak), z zachowaniem zasad konspiracji. Jak odnotowano w raporcie: „Rozmowa, podobnie jak poprzednio, była bardzo swobodna i nie wyczuwało się, by nominacja spowodowała zmianę stosunku do nas". O tym, jak swobodnie czuł się abp Gulbinowicz, świadczą słowa, jakie – pół żartem, pół serio – wypowiedział, odnosząc się do swojej nominacji: „Dobrze, że chociaż wiem, komu i jakiej instytucji to zawdzięczam". Arcybiskup miał również wznieść toast, w którym zaznaczył, iż „cieszy się, że może gościć przedstawicieli władz, wizyta nasza sprawia mu dużą satysfakcję, cieszy go fakt, że przy stole, przy którym przyjmowani byli arcybiskupi i kardynałowie, może dzisiaj gościć generała – jest człowiekiem dialogu i będzie się starał działać w duchu wzajemnego zrozumienia i poszanowania władz, jest Polakiem i patriotą, widzi wiele problemów, w których rozwiązywaniu Państwo i Kościół mogą ściśle współdziałać".

W moim przekonaniu sekwencja zdarzeń i charakter spotkań bp. Gulbinowicza z gen. Straszewskim pokazują dość jasno, że miały one kluczowy wpływ na zgodę władz PRL na nominację tego hierarchy na arcybiskupa metropolitę wrocławskiego. Przyznał to zresztą poniekąd sam zainteresowany. To w moim przekonaniu największa korzyść, jaką z rozmów z SB wyniósł Henryk Gulbinowicz.

LATA 1976–1980

Dwie pierwsze rozmowy z ppłk. Wiejakiem po objęciu przez abp. Gulbinowicza funkcji metropolity wrocławskiego – w październiku 1976 r. oraz styczniu kolejnego roku – zdominowała kwestia ponownego spotkania

eprasa.pl 993d4bce60

z gen. Straszewskim. Toczyły się one w przyjaznej atmosferze. Hierarcha powtarzał swoje deklaracje z okresu białostockiego o chęci współdziałania i bezkonfliktowego ułożenia stosunków z władzami. Po kolejnym spotkaniu z kwietnia 1977 r. nastąpiła przerwa w kontaktach aż do października 1979 r. W analizowanej dokumentacji brakuje informacji wskazującej, czym była ona spowodowana. Następna rozmowa – z 19 października 1979 r. – miała wyraźnie interwencyjny charakter i była, jak się wydaje, dość krótka. Nie była ona efektywna, gdyż ppłk. Wiejakowi nie udało się przekonać arcybiskupa, by zrezygnował z udziału osób związanych z opozycją w wydarzeniach tygodnia kultury chrześcijańskiej. Równie mało skuteczne było spotkanie z sierpnia 1981 r. Arcybiskup Gulbinowicz krytykował działalność propagandy władz mówiącej stale, że „jest źle, będzie gorzej", i wskazywał, że społeczeństwa nie można ciągle straszyć interwencją sowiecką. Równocześnie jednak stwierdził, że nie rozumie sensu manifestacji Solidarności regionu Mazowsze i uważał, że jej działacze „chcieli się po prostu popisać, by było o nich równie głośno, jak o Wybrzeżu czy Śląsku".

ZERWANIE KONTAKTÓW

W lutym 1982 r. z abp. Gulbinowiczem spotkał się szef SB we Wrocławiu płk Czesław Błażejewski. W czasie rozmowy omawiano dwie zasadnicze kwestie: sytuację społeczno-polityczną oraz stosunek Kościoła do wydarzeń z początku stanu wojennego. W czasie spotkania hierarcha odciął się od znanego ze współpracy z opozycją kapłana ks. Gustawa Tyburczego. Metropolita dodawał, że Kościół wszystkim potrzebującym udziela pomocy, ale w żadnym razie nie daje wskazówek do działalności opozycyjnej. Ponadto, jak zaznaczał we wnioskach szef SB we Wrocławiu, abp Gulbinowicz dawał do zrozumienia, że „dialog na tym szczeblu może być kontynuowany, a nawet aluzyjnie do tego zachęcał".

W marcu 1983 r. odbyło się kolejne spotkanie, tym razem jednak przebiegało w mniej przyjaznej atmosferze, gdyż dotyczyło kwestii przechowywania przez metropolitę wrocławskiego środków finansowych dolnośląskiej Solidarności. Arcybiskup Gulbinowicz w czasie rozmowy zdecydowanie zaprzeczał, jakoby sławne 80 mln znajdowało się w pałacu arcybiskupim. Szef SB we Wrocławiu przedstawił jako pośredni dowód pokwitowanie wystawione przez hierarchę opiewające na 10 mln zł, które w 1981 r. metropolita wrocławski przyjął od Solidarności. Hierarcha stwierdził, że była to pożyczka na budowę kościoła, którą pożyczkodawcom osobiście zwróci. Czesław Błażejewski w swoim raporcie skierowanym do min. Czesława Kiszczaka zaznaczył, że ordynariusz „odmówił pisemnego sformułowania przytoczonych wyżej wyjaśnień, wyraził jednak gotowość zaprotokołowania ich w oficjalnym postępowaniu, powadzonym przez upoważniony organ państwowy. […] W czasie rozmowy na powyższy temat arcybiskup sprawiał wrażenie zaskoczonego i nieprzygotowanego do składania wyjaśnień w tym względzie".

Niewątpliwie opisane wyżej spotkanie znacząco pogorszyło kontakty aparatu bezpieczeństwa z metropolitą wrocławskim i ochłodziło jego stosunek do rozmówców wywodzących się z SB. W związku z tym, chcąc naprawić relacje, uznano za konieczne, żeby z abp. Gulbinowiczem spotkał się funkcjonariusz, który pierwszy nawiązał z nim kontakt. Do rozmowy z ppłk. Majem doszło 3 czerwca 1983 r., a więc krótko przed rozpoczęciem drugiej pielgrzymki Jana Pawła II do ojczyzny. Głównym zadaniem oficera Deptartamentu IV było przekonanie metropolity, by wrocławski etap papieskiej wizyty odbył się bez „politycznych" akcentów i w pełnej współpracy z władzami wojewódzkimi. Arcybiskup Gulbinowicz zadeklarował, że zrobi wszystko, by spotkanie z papieżem we Wrocławiu przebiegało „spokojnie i uroczyście".

Kontakty hierarchy z funkcjonariuszami MSW, jak wynika z dokumentacji SB, zakończyły się ostatecznie w październiku 1985 r. Kardynał Gulbinowicz uznał już wtedy, że nie osiągnie z nich żadnych korzyści, a po drugie, ze względu na nominację kardynalską uważał prawdopodobnie, że jego rozmówcy to już zbyt niska dla niego ranga. Upewniały go w tym listy gratulacyjne, które otrzymał od Wojciecha Jaruzelskiego i szefa Urzędu ds. Wyznań, z których wyrażał zadowolenie. Pokazują to także wnioski ppłk. Maja, który tak pisał o swojej ostatniej rozmowie z hierarchą:

„1. »Henryk« w moim przekonaniu chce unikać kontaktów typu operacyjnego, gdyż mają one posmak konfidencjonalny.

2. Na skutek 15-letniej znajomości między nami jak dotychczas »Henryk« nie zdobył się na postawienie przede mną tej sprawy wręcz. Jednak jego pytanie, czy mam delegację do rozmów z nim i kogo reprezentuję, wskazują, iż w dalszych kontaktach przedstawicieli władz z nim pragnąłby mieć partnera politycznego mogącego podejmować decyzje w sprawach o szerokim wymiarze, a nawet w kwestiach polityki […].

3. W związku z powyższym proponuję rozważenie celowości doboru osoby ze szczebla centralnego administracji państwowej jako rozmówcy z »Henrykiem«".

Szesnastoletnie rozmowy H. Gulbinowicza z SB przyniosły mu określone korzyści. Dzięki nim był w stanie pozytywnie układać swoje kontakty z władzami wojewódzkimi w Białymstoku i we Wrocławiu. W tajemnicy pozostały jego moralne słabości. Największą jednakże korzyścią z dialogu operacyjnego była zgoda komunistów na jego nominację na metropolitę wrocławskiego. Bez wcześniejszych spotkań z funkcjonariuszami aparatu bezpieczeństwa by do niej nie doszło. SB z kolei na wiele lat zapewniła sobie lojalną wobec władz postawę hierarchy. Nie sprawiał on jej problemów aż do rewolucji Solidarności w 1980 r., a i wtedy wbrew powszechnemu przekonaniu nie popierał nowego ruchu społecznego w sposób jednoznaczny. Grał raczej na dwa fronty, zachowując i z władzami, i z działaczami opozycji dobre relacje. Kontakty z SB przerwał dopiero wtedy, gdy nie mógł już odnieść z nich żadnych korzyści, a jako kardynał widział już się w zupełnie innej roli.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

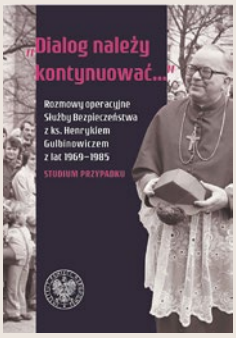

Autor jest historykiem, doktorem habilitowanym, pracownikiem BBH IPN.

Tekst powstał na podstawie książki: „»Dialog należy kontynuować…«. Rozmowy operacyjne Służby Bezpieczeństwa z ks. Henrykiem Gulbinowiczem z lat 1969–1985. Studium przypadku". Rafał Łatka, Filip Musiał, IPN, 2020

eprasa.pl 993d4bce60

FOT. MARK LEECH/OFFSIDE/GETTY IMAGES

Tomasz Zbigniew Zapert

Umarł najlepszy piłkarz wszech czasów? Na pewno najbardziej kontrowersyjny

Serce na boisku

Umiejętnościami bił konkurencję na głowę. Tego nikt nie kwestionuje. Wątpliwości, by nie rzec – zażenowanie, powodowały głównie zachowania pozastadionowe. Przytłoczyło go ciśnienie sławy. Był za pan brat z camorrą, chełpił się przyjaźnią z Fidelem Castro, propagował mit Ernesta Che Guevary. Skądinąd sam został obiektem kultu. To nie żart. W Argentynie powstał kościół Maradony. Wprawdzie zawsze eksponował pobożność, na każdym kroku towarzyszył mu wizerunek Matki Boskiej z Gwadelupy, której opiece się oddał za młodu, lecz z przyjemnością spotykał się z wyznawcami „Iglesia Maradoniana". Fenomen niebywałej popularności zmarłego potwierdza trzydniowa żałoba narodowa ogłoszona w Argentynie. I stos kondolencji napływających zewsząd do Buenos Aires.

DZIECIŃSTWO W SLUMSACH

Świat poznał go w roku 1979, gdy poprowadził narodową młodzieżówkę do błyskotliwego triumfu w rozgrywanym w Japonii Pucharze Coca-Coli, jak definiowano wówczas mistrzostwa świata piłkarskiego narybku (czwartą lokatę wywalczyli tam wtedy biało-czerwoni). Rok wcześniej znalazł się w szerokiej kadrze seniorskiej reprezentacji Argentyny przygotowywanej do organizowanego u siebie mundialu. Niemal w ostatniej chwili selekcjoner César Luis Menotti uznał jednak, że piłkarz jest zbyt młody – miał niespełna 18 lat – by wytrzymać trudy tak wyczerpujących zawodów. Za usunięcie z ekipy zawodnika, który dał się poznać z jak najlepszej strony w lidze, na trenera spadła fala krytyki. I to ze strony zarówno mediów, jak i kibiców. Jedni i drudzy zmienili zdanie, gdy drużyna wygrała imprezę. Z decyzją szkoleniowca Maradona nigdy się jednak nie pogodził. Trudno się dziwić, bo gdyby nie ona, miałby w dorobku dwa czempionaty globu.

Jak na futbolistę ekstraordynaryjnego prestiżowych laurów wcale nie zdobył aż tak wiele. Wynikało to w dużej mierze z faktu, że karierę związał z Napoli, skutecznie rywalizującym w Serie A, ale w Pucharze Europy, poprzedniku Champions League, grającym bez powodzenia. Ten brak osiągnięć międzynarodowych w piłce klubowej rekompensowała miłość – to chyba adekwatne określenie – jaką darzyli go neapolitańczycy. Neapolitanki zresztą także traktowały go con amore, a ponieważ nierzadko zwykł korzystać z ich wdzięków, toteż nad życiem rodzinnym Maradony i jego żony, Claudii, sympatii od dzieciństwa, raz po raz gromadziły się ciemne chmury. W końcu – po 20 latach – małżeństwo zakończył rozwód. Polubowny. Zaciekłe walki sądowe wiódł sportsmen za to w sprawach o ojcostwo. Miał dwie córki małżeńskie oraz sześcioro dzieci z nieprawego łoża.

Kto wie, czy więcej trofeów nie przysporzyłaby mu gra w Barcelonie, gdzie trafił jako 21-latek. Zapewne na opuszczenie klubu z Katalonii zaledwie po dwóch sezonach wydatnie wpły-

eprasa.pl 993d4bce60

nęło złamanie nogi, de facto jedyna poważna kontuzja, jakiej nabawił się podczas ponad 20-letniej przygody piłkarskiej. A z racji iście prestidigitatorskiej techniki, dzięki której ośmieszał rywali, poniewierany był nader często. I wyjątkowo brutalnie. W końcu władze futbolowe nakazały arbitrom, by wzięli go pod szczególną opiekę. Niewątpliwie ograniczyło to liczbę kontuzji. Chociaż – jak sugerują eksperci medyczni – miał też niepospolicie silny organizm. Bez wątpienia ten niewysoki, krępy, krzepki, wygimnastykowany, umięśniony, zawzięty, pyszałkowaty, narcystyczny i impulsywny mężczyzna odporności i hartu ducha nabrał w dzieciństwie. Spędzonym w slumsach.

Śmiem twierdzić, że bożyszczem – od Seulu do Santiago – stał się za sprawą legendy self-made mana, którą uosabiał. Do majątku i zaszczytów doszedł, startując może nie ze skrajnego, ale jednak ubóstwa. Pokonywał kolejne stopnie sportowego wtajemniczenia, sukcesywnie wdrapując się na futbolowy Mount Everest. Osiągnął go latam 1986 r., podczas mundialu w Meksyku. Zanim w finale Maradona et consortes zwyciężyli RFN, pokonali m.in. Anglię. Ta potyczka miała wymiar polityczny, skrzętnie podgrzewany przez media. Ledwie cztery lata wcześniej oba państwa toczyły przecież wojnę o Falklandy – jak mawiają Brytyjczycy – alias Malwiny (nazewnictwo hiszpańskojęzyczne), atlantycki archipelag o znaczeniu strategicznym, położony u wschodniego wybrzeża Ameryki Południowej. Batalię, okupioną zabitymi i rannymi, wygrali Anglicy. Argentyńscy piłkarze byli więc żądni rewanżu. Kiedy Maradona wyprowadził zespół na prowadzenie, kierując futbolówkę do siatki ręką – czego nie zauważyli sędziowie (systemu VAR jeszcze wtedy nie wynaleziono), ale o czym jednoznacznie przekonywały telewizyjne powtórki, zwłaszcza te w zwolnionym tempie – temperatura meczu zdecydowanie wzrosła. Niebawem ponownie przejął piłkę, przebiegł ponad połowę boiska, efektownie dryblując kolejnych przeciwników, po czym zwiódł bramkarza i padając – faulowany przez defensora – zdołał kopnąć ją do pustej bramki. Ten gol, pokazywany do znudzenia na szklanych ekranach niezależnie od szerokości geograficznej, został uznany przez FIFA za najpiękniejszy w dziejach piłki nożnej XX stulecia. A strzelca uhonorowano mianem jednego z dwu – obok Pelego – najwybitniejszych piłkarzy ubiegłego wieku.

DYSKWALIFIKACJA, ODWYK I LEKOMANIA

Pele triumfował w mundialach trzykrotnie, Argentyńczyk miał szansę powtórzyć ten wyczyn. O przyczynach jego absencji w mundialu A.D. 1978 już wspominałem, cztery lata później występ zakończył z czerwoną kartką na koncie, ale w roku 1990 do obrony Pucharu Jules'a Rimeta Maradonie zabrakło doprawdy bardzo niewiele. Najpewniej wsparcia w kolegach. Skład reprezentacji uległ zmianie. Na niekorzyść. Trener Carlos Bilardo zdawał sobie sprawę, że od podwładnych nie może oczekiwać tak finezyjnej gry jak cztery lata wcześniej. Postawił więc na piłkarskie wyrachowanie, realizowane przez podopiecznych niezwykle konsekwentnie i skutecznie. Czego dowodem nie tylko pokonanie wyraźnie przeważającej Brazylii, po genialnym podaniu Maradony do Claudia Caniggii, lecz także wygrane serie rzutów karnych w konfrontacjach z Jugosławią i Włochami. „Wapno" przesądziło też o fiasku marzenia Maradony. Niemcy – konkretnie Andreas Brehme – wykorzystali „jedenastkę", a po kilku minutach i ostatnim gwizdku arbitra miliony kibiców oglądały swego argentyńskiego idola płaczącego. Bynajmniej nie ze szczęścia.

Zanim w 1994 r. po raz czwarty pojawił się na mundialu – tym razem w Stanach Zjednoczonych – udowodniono mu zażywanie narkotyków. Podejrzenia o to padały od dawna. Dawał im zresztą asumpt, szokując ekstrawaganckim zachowaniem, bulwersując wypowiedziami, o „oryginalnych" kreacjach, biżuterii i tatuażach nie wspominając. Zazwyczaj dopatrywano się w tym naiwności, braku kindersztuby i poczucia estetyki. Pewnie słusznie, niemniej używki również zrobiły swoje. Dyskwalifikacja, odwyk, skrucha... Kibice wybaczyli, licząc niecierpliwie dni do powrotu gwiazdora na plac gry.

Formę odzyskał w Sevilli. Wydawało się, że mimo wieku chrystusowego jest na najlepszej drodze, aby sportową jesień zwieńczyć kolejnym medalem. Nadzieje rozwiała dopingowa recydywa. Geniusz futbolu żegnał się z nim w aurze bodaj największego skandalu w historii finałów mistrzostw świata. To wówczas admirator sportowca, Mario Vargas Llosa, entuzjasta futbolu (nawiasem mówiąc, mecz Peru-Polska 1:5 na mundialu w Hiszpanii oglądał z trybun, jak wspominał, „szklanym wzrokiem"), zasygnalizował napisanie książki o Maradonie. Czy teraz przyszła na to pora? Biografii futbolisty mamy pod dostatkiem, ale tom pióra noblisty literackiego z pewnością byłby hitem. A może wcześniej doczekamy się filmu? Fabularnego. Dokument o Maradonie powstał niejeden. Choćby ten sprzed roku – świetny – zatytułowany po prostu „Diego".

Po kolejnej karencji gracz próbował jeszcze zaistnieć w lidze argentyńskiej, lecz zmieniając kluby głównie w zależności od stanu ich kasy, podpadł fanom, a praw biologii oszukać mu się nie udało. Musiał w końcu ustąpić pola młodszym. Selekcjonerem został wyłącznie z uwagi na nazwisko. Nie ukończył stosownych kursów, doświadczenie trenerskie miał rachityczne, a jednak poprowadził „albicelestes" na mundialu w RPA przed dekadą. Blamażu zdołał uniknąć, chociaż klęska z Niemcami (0:4 w ćwierćfinale) nader jaskrawo obnażyła jego brak kwalifikacji szkoleniowych. Ekipa tworzona przez takie tuzy jak Lionel Messi, Carlos Tevez, Angel di Maria czy Sergio Aguero – że wspomnę tylko formację ofensywną – przypominała na tle zintegrowanych taktycznie przeciwników kolektyw podwórkowy. Od tej chwili jego rola w futbolu była już wyłącznie dekoracyjna. Ograniczyła się do zasiadania w stadionowych lożach vipowskich, uczestnictwa w jubileuszach, benefisach i ceremoniach losowań grup eliminacyjnych. Tudzież komentowania meczów dla mediów.

Coraz bardziej szwankowała jednak kondycja. Zmagał się z nadwagą, lekomanią, cukrzycą, chorobą wieńcową… „Lekarze mi mówią, iż w kolanach mam wodę, w nerkach piasek, w kościach wapno, więc może powinienem zacząć się budować?" – żartował po kolejnym konsylium medycznych autorytetów. Kilka tygodni temu przeszedł operację usunięcia krwiaka mózgu. Śmiertelny zawał dopadł go w trakcie rekonwalescencji. W ostatnim wywiadzie krytykował organizację mundialu 2022 w Katarze. „Ma odbyć się w grudniu, co wywróci do góry nogami globalny kalendarz piłkarski. Na ten turniej się nie wybieram" – deklarował. Serce 60-latka przestało bić 25 listopada. Ale wcześniej je już pozostawił – na boisku.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 993d4bce60

PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Między Azją a Europą

Wiele było w historii świata imperiów. Budowane przez wielkich wodzów i wizjonerów, trwały przez stulecia, aby potem powoli chylić się ku upadkowi i wreszcie obrócić się w gruzy. Żadna z tych potęg nie była jednak tak olbrzymia jak niegdyś imperium brytyjskie.

Jego zasięg terytorialny zapiera dech. Brytania nie tylko „rządziła morzami", lecz także opanowała jedną czwartą stałych lądów. 35 mln km kw.! Tam rzeczywiście nigdy nie zachodziło słońce. Tego kolosalnego podboju dokonało kilka pokoleń ludzi wywodzących się z wyspy znacznie mniejszej niż Polska. I to w naszych obecnych, kadłubowych granicach.

Imperium brytyjskie było fenomenem, który nie miał sobie równego – i zapewne już nigdy nie będzie miał – w dziejach świata. O fenomenie tym piszą autorzy ciekawego zbioru „Imperium Brytyjskie" wydanego przez Wydawnictwo Uniwersytetu Łódzkiego pod redakcją Krystyny Kujawińskiej-Courtney i Zbigniewa Bednarka.

Polskich czytelników zapewne bardzo zainteresuje artykuł Przemysława Delesa o Brytyjczykach podróżujących po ziemiach Księstwa Warszawskiego i Królestwa Polskiego w latach 1813–1915. Tytuł mówi wszystko: „Na obrzeżach imperium barbarzyńców?".

„W kwestii polskiej geografii – pisał w latach 60. XIX w. William Henry Hall – byłem zaznajomiony z nazwami dwóch miast, Warszawy i Krakowa, oraz jednej rzeki: Wisły, ale w kwestii, czy jedno z wymienionych czy obydwa miasta były położone nad tą rzeką, nie byłem całkiem pewny. O ile więcej nazw byłbyś w stanie wymienić, czytelniku, po całym tym rozgłosie towarzyszącym Polsce?".

Ówczesny brytyjski czytelnik zapewne nie byłby w stanie powiedzieć o Polsce wiele więcej. Zresztą tak jak współczesny brytyjski czytelnik, nie mówiąc już o amerykańskim.

„Przyjezdni w większości wypadków nie mieli szerszej wiedzy na temat ziem polskich i nie mieli często skąd jej czerpać – pisze autor. – Dla wielu z nich ta część kontynentu była półorientalnym obszarem położonym między Europą a Azją, co w czasach usankcjonowanego rasizmu oznaczało, że nie traktowali tzw. rosyjskiej Polski jako pełnoprawnego członka wspólnoty narodów cywilizowanych".

Wbrew polonocentrycznym wyobrażeniom wielu współczesnych Polaków w postrzeganiu naszego kraju przez Anglosasów od XIX w. niewiele się zmieniło. ©℗

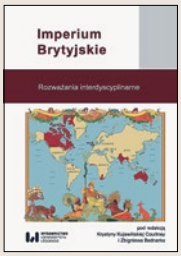

★★★★★

KRYSTYNA KUJAWIŃSKA-COURTNEY I ZBIGNIEW BEDNAREK (RED.) „IMPERIUM BRYTYJSKIE" WYDAWNICTWO UNIWERSYTETU ŁÓDZKIEGO

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

W dawnym Gdańsku

Podstawowym problemem Rzeczypospolitej na wybrzeżu Bałtyku był Gdańsk. Potężne i bogate portowe miasto przez większość swoich dziejów cieszyło się autonomią. Wprawdzie na mocy pokoju toruńskiego powróciło w 1466 r. do Polski, ale tak naprawdę nigdy się nie zintegrowało.

Inna sprawa, że mieszkańcy Gdańska nie należeli do świętoszków

Gdańsk nie przystąpił nawet do unii lubelskiej, a kiedy w 1575 r. Stefan Batory został wybrany na władcę Polski, mieszczanie odmówili jego uznania. Opowiedzieli się za rywalem Węgra, cesarzem Maksymilianem II, oferującym im znaczne korzyści handlowe. Upartych gdańszczan nie przeraziła nawet wizja wojny i Batoremu odmówiono hołdu także po śmierci cesarza. Król nie potrafił jednak zdobyć miasta i 12 grudnia 1577 r. zawarto ugodę. Miasto oficjalnie przeprosiło władcę i zobowiązało się do zapłaty 200 tys. guldenów, a jego władze wcale nie uważały, że zapłacono zbyt dużo za swoją niezależność.

W tych czasach Gdańsk był nie tylko największym portem na Bałtyku, lecz także jednym z najwspanialszych miast w Europie. Magistrat dbał o mieszkańców, oferując rozwiązania bytowe nieznane w innych częściach kontynentu. Jeszcze w połowie XIV w. powstał pierwszy wodociąg doprowadzający wodę pitną do miasta, a system drewnianych rur rozprowadzał ją następnie do miejskich studni. Niebawem standardem na mieszczańskich działkach stała się kloaka w postaci wielopiętrowego wychodka na tyłach kamieniczek.

Inna sprawa, że mieszkańcy Gdańska nie należeli do świętoszków. Wydatki na zakup piwa stanowiły prawie połowę wydatków na żywność i miejscowe karczmy nie narzekały na brak klienteli. Wódki jeszcze nie znano, wino było drogie, nic zatem dziwnego, że już w 1416 r. naliczono w mieście 378 mniejszych i większych browarów, z czego aż 73 mieściły się przy jednej ulicy Hundegasse (dzisiejsza Ogarna). Miejscowy trunek cieszył się zresztą znakomitą renomą, a jeden z jego gatunków – piwo jopejskie – eksportowano nawet do Anglii. Wprawdzie nie znano jeszcze procesu pasteryzacji, ale beczki z napojem odpowiednio zabezpieczano, a poza tym piwo jopejskie było bardzo gęste i nie psuło się zbyt łatwo. Trunek podawano nawet w łaźniach miejskich i zapewne dlatego ich obsługa była przeszkolona w opatrywaniu ran swoich klientów. Większość mieszkańców Gdańska korzystała jednak z łaźni w dość umiarkowanym zakresie, ale przecież jak twierdził Jan Długosz, kąpiel cieszyła się największym uznaniem wśród ludzi, którzy chcieli „wypędzić z ciała skutki opilstwa z poprzedniego dnia i przedłużyć życie". ©℗

eprasa.pl 993d4bce60

MECENAS KONCERTU

PGNiG

eprasa.pl 993d4bce60

Gorzki smak zwycięstwa

Piotr Włoczyk

Ostatnie wybory pokazały, jak bardzo Partia Demokratyczna przesunęła się w lewo. Umiarkowani demokraci winią rewolucyjne skrzydło za przylepienie partii łatki radykałów, co uniemożliwiło zapowiadane od miesięcy zmiecenie republikanów

Posiadanie metamfetaminy, LSD, a nawet heroiny nie będzie już wiązało się z problemami z wymiarem sprawiedliwości. Oregon stał się pierwszym stanem w USA, który zdekryminalizował posiadanie wszystkich, nawet najbardziej zabójczych narkotyków. Wyborcy z tej twierdzy Partii Demokratycznej przegłosowali w listopadowych wyborach propozycję, do której od lat przekonywali tamtejsi demokratyczni politycy (za dekryminalizacją opowiedziało się 55,6 proc. wyborców). Tym samym Oregon po raz drugi stał się polem eksperymentalnym dla skrajnie lewicowych postulatów. Pierwszy raz stan ten zasłynął w 1994 r., gdy demokratom udało się przekonać wyborców do legalizacji eutanazji. Dzisiaj tzw. dobra śmierć jest legalna w siedmiu amerykańskich stanach (wszystkie, rzecz jasna, niebieskie) i stolicy USA.

Rzeczywistość pokazuje jednak, że efekty narkotykowych eksperymentów demokratów nijak się mają do wizji roztaczanych przed wyborcami. Każda liberalizacja prawa antynarkotykowego tłumaczona jest przez amerykańską lewicę nieskutecznością angażowania w te sprawy organów ścigania. Liberalizacja ma sprawić, że największe problemy społeczne związane z handlem i konsumpcją narkotyków nagle znikną. Za każdym razem okazywało się jednak, że rzeczywistość tak nie działa.

RADYKALIZM NIE POPŁACA

Pokazała to już legalizacja marihuany. W 2019 r. sprzedano w Kalifornii (największy na świecie legalny rynek marihuany) tego narkotyku za kwotę ok. 12 mld dol. Tyle tylko, że zgodnie z prawem sprzedano tam zaledwie co czwartego jointa. Reszta – ok. 9 mld dol. – to transakcje dokonane na czarnym rynku. Legalizacja marihuany nie zlikwidowała narkopodziemia i przestępczości z tym związanej w żadnym z 11 stanów USA, które zdecydowały się na taki krok, ale nigdzie ten problem nie jest tak palący jak właśnie w Kalifornii. Czarny rynek w oczywisty sposób jest w stanie dostarczyć tańszy narkotyk, więc przestępczość narkotykowa nie znika. Efektem jest tylko oswojenie w świadomości społecznej narkotyków.

eprasa.pl 993d4bce60

Partię Demokratyczną na lewo przeciąga Alexandria Ocasio-Cortez

FOT. SCOTT EISEN/GETTY IMAGES

Partię Demokratyczną na lewo przeciąga w tej sprawie Alexandria Ocasio-Cortez (nazywana powszechnie AOC), gwiazda jej skrajnego skrzydła, przymierzana już powoli przez największe lewicowo-liberalne media do najwyższych amerykańskich urzędów. „Marihuana powinna być legalna, a używanie narkotyków powinno być zdekryminalizowane. To wszystko kwestie zdrowotne" – twierdzi AOC, nie pierwszy raz uciekając się w absurdalny sposób do argumentów zdrowotnych.

Ta niezwykle energiczna kongresmenka z Nowego Jorku, z dumą nazywająca się „socjalistyczną demokratką", znalazła się jednak w ostatnich tygodniach na celowniku umiarkowanych demokratów, którzy właśnie w jej środowisku upatrują problemów demokratów w ostatnich wyborach. Wbrew hurraoptymizmowi wynikającemu z „napompowanych" sondaży demokratom nie udało się bowiem odbić Senatu, w Izbie Reprezentantów zmniejszyli oni, a nie zwiększyli stan posiadania (choć wciąż sprawują nad nią kontrolę), a prezydenturę udało im się zdobyć z największym trudem.

„Wtorek [dzień wyborów w USA – przyp. red.], z punktu widzenia Kongresu, był porażką – to nie był sukces" – powiedziała Abigail Spanberger na zamkniętym spotkaniu demokratów, podczas którego omawiano wyniki wyborów. Nagranie ze spotkania wyciekło do mediów. Spanberger zwracała uwagę, że szczególnie zaszkodziło demokratom w oczach wyborców wzywanie do zabierania pieniędzy policji i pojawiające się opowieści o socjalizmie. „Nigdy już nie możemy używać słów »socjalista« i »socjalizm«. Straciliśmy z tego powodu mandaty w Kongresie" – przekonywała w czasie spotkania Spanberger.

ZANIEPOKOJONE CNN

„Nowy Zielony Ład", oznaczający bardzo kosztowną rewolucję w amerykańskiej energetyce, zniesienie sankcji karnych za nielegalne przekraczanie granicy, promocja ultraliberalnej polityki narkotykowej, wzywanie – na fali protestów ruchu Black Lives Matter – do odbierania funduszy policji. Wszystkie te postulaty formułowane były przez skrajnie lewicowych kandydatów Partii Demokratycznej, dla których punktem odniesienia stała się AOC. Republikanie powinni być jej dozgonnie wdzięczni za radykalizowanie w oczach opinii publicznej wizerunku Partii Demokratycznej. Widać to już zresztą w sondażach.

Z badań Quinnipiac University wynika, że aż połowa Amerykanów uważa, iż Partia Demokratyczna przesunęła się za bardzo w lewo. CNN, omawiając wyniki tego sondażu, skomentowało, że to „bardzo poważny sygnał" dla kierownictwa partii.

„Chociaż z temperamentu Joe Biden jest centrystą, to Partia Demokratyczna przesunęła się wyraźnie w lewo, przynajmniej jak na standardy amerykańskie" – napisał w „Project Syndicate" Dani Rodrik, ekonomista z Uniwersytetu Harvarda. I tłumaczył: „Wiele osób, które zagłosowały na Trumpa, potraktowało udzielenie przez demokratów poparcia ulicznym protestom przeciwko brutalności policji jako popieranie przez nich przemocy. Ci wyborcy uznali to również za szkalowanie Ameryki jako kraju powszechnego rasizmu. O ile sam Biden zachował ostrożność i wypowiadał się przeciwko przemocy, o tyle demokraci jako cały obóz polityczny wystawili się na zarzuty ostentacyjnego grania pod publiczkę w kwestiach moralności oraz niszczenia wartości ważnych dla kulturowego »centrum«".

Problem z kierunkiem, w którym podąża Partia Demokratyczna, dobrze uwidoczniony został we wrześniu, podczas pierwszej debaty Trump-Biden. Amerykański prezydent przekonywał wówczas widzów, że Partia Demokratyczna chce rozbroić policję i zniszczyć amerykańską energetykę, wdrażając promowany przez AOC „Nowy Zielony Ład". „To ja jestem Partią Demokratyczną" – odpowiedział wówczas dobitnie Biden, dystansując się od pomysłów zabrania pieniędzy policji i wdrażania „Nowego Zielonego Ładu". O ile w sprawie rozbrajania policji Biden faktycznie nie wspierał lewackich postulatów, o tyle już w tej drugiej kwestii, której pojawienie się zaniepokoiło miliony amerykańskich wyborców żyjących z wydobycia ropy i gazu, Biden raz mówi, że to dobry pomysł, a innym razem twierdzi, że nie podpisuje się pod takim postulatem. Co ciekawe, na jego oficjalnej stronie internetowej napisano, że Biden uważa, iż „»Nowy Zielony Ład« to kluczowy plan dla zmierzenia się ze stojącymi przed nami wyzwaniami klimatycznymi".

Joe Biden przedstawia się jako rozsądny polityk z centrum, ale radykalne skrzydło jego partii ma wobec jego prezydentury wielkie plany. Pramila Jayapal, demokratyczna kongresmenka ze stanu Waszyngton, wiceszefowa Kongresowego Klubu Progresywnego, grupującego najbardziej lewicowych polityków Partii Demokratycznej, zupełnie otwarcie ogłosiła w sierpniu, że „[…] gdy tylko zasiądzie w Białym Domu, będziemy w stanie kierować Joe Bidena w stronę postulatów, których dziś jeszcze nie wspiera".

Jaka przyszłość czeka demokratów? „Partia Bidena już mierzy się ze swoją porażką – komentował wyniki ostatnich wyborów w USA tygodnik »The Economist«. – Posiniaczeni członkowie centrolewicowej frakcji – do której zaliczają się niemal wszyscy kandydaci partii ze stanów, w których toczyły się najbardziej zacięte walki – oskarżają lewicowych aktywistów o przypięcie im wszystkim łatki radykałów, którym nie można zaufać. Lewica, szczególnie 31-letnia guru Alexandria Ocasio-Cortez, przystępuje jednak do kontrataku".

Wygląda więc na to, że czeka nas bardzo ciekawa rozgrywka o kierunek, w którym będzie podążała Partia Demokratyczna: na lewo czy skrajnie na lewo.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 993d4bce60

Tomasz Rowiński

KGB umiejętnym szantażem nieraz rekrutowało skompromitowanych polityków, urzędników państwowych i duchownych. Czy jednym z nich był Theodore McCarrick?

Theodore McCarrick w grze wywiadów

FOT. PIER PAOLO CITO/AP/EAST NEWS

Nie ma wątpliwości, że raport ws. McCarricka jest fascynującym źródłem dokumentów watykańskich. Dokumentów wydobytych i połączonych w ciąg zdarzeń przypominających thriller. I to niezależnie od tego – a wiele na to wskazuje – że jest on nie tyle pokazaniem całej prawdy, ile raczej watykańską „grą w grze". Na przykład w obronie Franciszka, a przeciw abp. Vigano, pośrednio przeciw Janowi Pawłowi II i Benedyktowi XVI. Jeśli jednak ktoś jest ciekaw niespójności, które udało się w raporcie znaleźć publicystom, to łatwo do nich dotrzeć. Sam chciałbym zwrócić uwagę na wątek poruszony na portalu magazynu „Crisis". Ukazała się tam ciekawa analiza jednego tylko przypisu z raportu. Autorką tekstu jest Elizabeth Yore, specjalistka od prawa międzynarodowego. Yore stawia pytanie warte rozważenia i wręcz narzucające się po lekturze wspomnianego przypisu. Czy Theodore McCarrick był rosyjskim szpiegiem?

Znamy to już dobrze z polskiej historii czasów komunizmu. Podobnie jak agenci służb, ludzie uwikłani w seksualne słabości, które nieraz przechodziły w drapieżnictwo, byli mistrzami oszustwa i podstępu. Działali w tajemnicy, utrwalali historię przykrywkową, manipulowali ofiarami za pomocą kłamstw, a jednocześnie bardzo dbali – często skutecznie – o zachowanie pozorów szacunku. Jednocześnie jednak stawali się łatwym celem osób i instytucji od nich sprytniejszych. Głównie dlatego byli podatni na szantaż. Elizabeth Yore zauważa, że z powodu pewnych wspólnych zdolności ukrywania prawdziwego życia pod „legendą" wybitni drapieżcy seksualni mogą stać się wybitnymi szpiegami.

MIĘDZY FBI A KGB

Co mówi nam przypis 127? Na początku lat 80. kontakt z Theodore'em McCarrickiem nawiązał agent KGB, który pracował pod dyplomatyczną przykrywką jako zastępca szefa misji sowieckiej przy ONZ. Według raportu McCarrick nie zdawał sobie sprawy, że dyplomata był również agentem KGB. Po pewnym czasie z duchownym skontaktowali się też agenci FBI, którzy poprosili go, aby służył jako narzędzie kontrwywiadu wobec KGB. Jak jest napisane w raporcie, „chociaż McCarrick uważał, że najlepiej będzie odmówić takiego zaangażowania (szczególnie dlatego, że był pogrążony w organizacji nowej diecezji Metuchen), FBI nalegało [...], zachęcając go do rozwoju relacji z agentem KGB".

McCarrick, jak czytamy dalej w przypisie, sprawę kontaktów z FBI przekazał nuncjuszowi Laghiemu w styczniu 1985 r. Poprosił wtedy o radę co do dalszego postępowania. Laghi uważał, że McCarrick nie powinien „mieć negatywnego nastawienia" w sprawie możliwości współdziałania z FBI. Nuncjusz w związku ze sprawą opisał McCarricka w wewnętrznej notatce jako kogoś, kto „wie, jak postępować z tymi ludźmi i być ostrożnym". Nie jest jednak jasne – kontynuuje autor raportu – czy McCarrick ostatecznie przyjął propozycję FBI, a żadne zapiski nie wskazują na dalsze jego kontakty z agentem KGB.

Jednak były dyrektor FBI Louis Freeh, choć nie był osobiście zaznajomiony z incydentem, stwierdził, że McCarrick byłby „bardzo wartościowym celem dla

eprasa.pl 993d4bce60

wszystkich służb [wywiadowczych], ale zwłaszcza dla Rosjan w tamtym czasie".

Yore zwraca uwagę, że w raportach takich jak ten ws. McCarricka ważną rolę odgrywają przypisy, szczególnie jeśli chce się coś ukryć. Porównuje ich używanie do metod operacyjnych. „Znana jest taktyka szpiegowska zwana martwą kroplą, kiedy szpiedzy pozostawiają tajne informacje w miejscu, w którym inna strona może je odzyskać bez spotkania twarzą w twarz. Przypisy to literackie martwe krople – kontynuuje Yore – zakopane na dole strony drobnym drukiem, często używane do ukrycia głębszego wyjaśnienia". Wyjaśnienia te mogą okazać się łatwo dostępne, jeśli tylko odpowiedni przypis zostanie przeczytany i przeanalizowany.

„Prawników przestrzega się, aby zawsze czytać przypisy – kontynuuje Yore. – W nich może tkwić tajemnica, ukryty klucz do zrozumienia sprawy, a może nawet celowo ukryta subtelna bomba". I rzeczywiście, w kontekście kontrowersji dotyczącej komunii dla rozwiedzionych, którzy zawarli nowe świeckie związki małżeńskie, „ukrytej" w przypisie 351 w adhortacji apostolskiej „Amoris laetitia", możemy też nieco bardziej podejrzliwie spojrzeć na przypis 127 raportu. W przypadku adhortacji mieliśmy do czynienia zapewne nie tyle z ukryciem, ile z celowym psychologicznym osłabieniem krytyki dokumentu. Wszak nie ma tradycji, by papieże próbowali dokonywać rewolucji w nauczaniu kościelnym za pomocą nieco zagmatwanego przypisu. Jeśli taki był cel konstrukcji „AL", to został on osiągnięty. Wielu komentatorów nie mogło uwierzyć, że właśnie przypis może mieć w tekście centralne znaczenie.

Z WIZYTAMI U KOMUNISTÓW

To najprawdopodobniej wybitny profil osobowy McCarricka i jego lubieżne upodobania zwróciły uwagę KGB. KGB umiejętnym szantażem nieraz rekrutowało skompromitowanych polityków, urzędników państwowych i duchownych. Sowiecka misja ONZ stanowiła historycznie jaskinię radzieckich agentów, których zadaniem była rekrutacja cennych aktywów, obserwowanie wysoko postawionych celów oraz kradzież ściśle tajnych dokumentów i danych wywiadowczych. Poza tym KGB bardzo dobrze płaciło swojej sieci szpiegów za tajny wywiad.

Kiedy KGB zwróciło się do McCarricka na początku lat 80., zimna wojna osiągnęła swój szczyt. Sowieci wyraźnie postrzegali biskupa McCarricka jako ważny cel i potencjalne źródło, które może dostarczyć cennych informacji, a także wpływów zarówno w Watykanie, jak i w Stanach Zjednoczonych. Theodore McCarrick mógł przedstawiać się jako idealny kandydat na agresywnego szpiega KGB. Nie było bardziej skompromitowanego i jednocześnie bezwzględnego prałata niż McCarrick. KGB z pewnością miało sposoby, by zweryfikować krążące plotki o jego stylu życia w stopniu wystarczającym do podjęcia działań operacyjnych. Trudno się z tą weryfikacją nie zgodzić dziś, gdy wiemy o jego kościelnej karierze tak wiele.

Wartość dodana, jaką dla KGB mógł przedstawiać biskup Metuchen, była znaczna. Spędzał on więcej czasu w Watykanie i podróżując po świecie niż w swojej diecezji w New Jersey. Łatwo też sobie wyobrazić prostotę, z jaką KGB mogło wykorzystywać i szantażować McCarricka. Z wiedzą o jego obsesji na punkcie młodych mężczyzn i pieniędzy gra nie musiała być skomplikowana. Można tylko domniemywać, czy KGB miało dowody, takie jak zdjęcia McCarricka w kompromitujących sytuacjach.

Można sobie również wyobrazić, jakie wrażenie zrobiła na McCarricku informacja, że FBI śledzi jego spotkania z zastępcą szefa radzieckiej misji ONZ. Wtedy to FBI zwróciło się do niego z prośbą, by służył jako podwójny agent Stanów Zjednoczonych. Chociaż McCarrick ostatecznie omówił, to raport stwierdza, co już wiemy, że „nie jest jednak jasne, czy McCarrick ostatecznie przyjął propozycję FBI, a żadne zapiski nie odzwierciedlają dalszego kontaktu z agentem KGB".

„To jedno z tych prawniczych stwierdzeń, które pozwalają wyciszyć problem. W tajnych archiwach nie ma nic więcej na ten temat, ludzie. Nie ma nic więcej do oglądania" – ironizuje Yore. Pyta jednak: „Gdzie leżały sympatie McCarricka? Z FBI czy KGB?".

Być może odpowiedź znajduje się w samym raporcie. Po tym, jak McCarrick w końcu powiedział nuncjuszowi papieskiemu – dopiero w 1985 r. – o interwencjach KGB i FBI, udał się do ZSRS w 1987 r. i ponownie w 1988 r. Ponadto wybrał się na Kubę w 1988 r., aby odwiedzić reżim Fidela Castro. Przez lata McCarrick kilkanaście razy podróżował do komunistycznych Chin, a nawet odwiedzał komunistycznego przywódcę Jianga Zemina.

Pewne dodatkowe pytania pojawiają się w sposób nieunikniony. Czy McCarrick spotykał się z oficerami prowadzącymi i dzielił się danymi wywiadowczymi podczas wizyt w tych komunistycznych krajach? Czy KGB dostarczało McCarrickowi chłopców i młodych mężczyzn jako zapłatę za współpracę z Sowietami? Czy źródłem ogromnego bogactwa McCarricka były płatności dokonywane przez jego komunistycznych opiekunów? Czy kontakty z KGB wynikały z sympatii McCarricka do komunistów?

WIĘCEJ PYTAŃ

Przypis 127 podsuwa znacznie więcej pytań. Jaka była natura lojalności McCarricka wobec sowieckiego reżimu komunistycznego? Jak daleko posunęła się komunikacja McCarricka z KGB? Czy FBI śledziło McCarricka jako potencjalnego szpiega KGB? Czy obawiali się, że jego osobiste i seksualne upodobania uczyniły go bezbronną ofiarą KGB? Czy FBI obawiało się, że McCarrick był sowieckim szpiegiem lojalnym wobec komunizmu?

Być może przypis 127 wyjaśnia, dlaczego papież Franciszek wysłał McCarricka w celu rozpoczęcia tajnych negocjacji z komunistycznymi Chinami i ten co najmniej trzykrotnie podróżował do Chin w imieniu papieża. Być może przypis wyjaśnia również, dlaczego Obama i Biden zwrócili się do kard. McCarricka o pomoc w negocjowaniu ściśle tajnego porozumienia z komunistyczną Kubą w imieniu administracji Obamy.

Czy niejasny status wywiadowczy McCarricka nie miał wpływu na to, że umowa Watykanu z Chinami okazała się tak zła? A może było odwrotnie? Czy podróże do Rosji w latach 80. po zrelacjonowaniu nuncjuszowi sprawy kontaktów z agentami nie oznaczają, że Stolica Apostolska podjęła za pomocą McCarricka jakąś własną grę? Czy długotrwała niezatapialność byłego kardynała – wyglądająca na syndrom Jamesa Bonda – nie wiązała się z jego pozycją „dyplomatyczną", i to zarówno w latach 1999, 2006, jak i 2013 r., gdy abp Vigano przyszedł z jego sprawą do papieża Franciszka. Trudno sądzić, byśmy w tych sprawach uzyskali kiedykolwiek pewną informację. Z jakiegoś jednak powodu w raporcie przypis 127 się znalazł, choć przecież wcale nie musiał.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 993d4bce60

Z Judit Vargą, minister sprawiedliwości Węgier, laureatką nagrody Strażnik Wartości Instytutu im. Wacława Felczaka
rozmawia Jacek Przybylski

Nie róbmy z Unii Związku Sowieckiego

JACEK PRZYBYLSKI: „Jeśli ten akt prawny, który wypracowały wspólnie PE i niemiecka prezydencja, rzeczywiście zostanie przyjęty, to zrobimy z UE Związek Sowiecki" – przekonuje premier Węgier. Przed tyranią UE, która może zastąpić dekady tyranii komunistycznej, ostrzega też eurodeputowany Tamás Deutsch. Pani również się boi, że Unia zmierza w kierunku Związku Sowieckiego?

JUDIT VARGA: Najpierw wyjaśnijmy, o czym dokładnie mówimy. Przywódcy europejscy usiedli przy jednym stole i podczas długiej, żarliwej narady doszli do porozumienia. Porozumienie to zostało zerwane 5 listopada w Brukseli przez przywódców, którzy wiedzieli, że jest ono jednoznaczne ze złamaniem danego słowa, i zdawali sobie sprawę z jego konsekwencji.

Nasze karty cały czas leżały na stole: teraz mówimy to samo, co mówiliśmy latem. Parlament wyznaczył ramy, zgodnie z którymi Węgry uznały budżet unijny i wymuszone pandemią zaciąganie kredytu za możliwe do zaakceptowania – i dotychczas ich przestrzegaliśmy.

Jeśli przepis, który powiązałby wypłatę środków unijnych z praworządnością, rzeczywiście zostanie przyjęty większością dwóch trzecich głosów (podczas gdy tak istotne kwestie należy przegłosować jednogłośnie, a przecież przywódcy wszystkich 27 państw członkowskich już latem zawarli porozumienie), to w przyszłości może posłużyć on jako narzędzie szantażu politycznego.

Naprawdę zrobimy z UE Związek Sowiecki, jeśli zgodzimy się na wprowadzenie kar za nieprzestrzeganie panującej ideologii. Taka zasada panowała w dobie komunizmu i także Polacy walczyli o to, żeby to już nigdy się nie powtórzyło. Ponadto kara oparta na ideologii przeczy traktatom i wartościom europejskim.

Nie ma ogólnie przyjętej definicji praworządności, która mogłaby stanowić

eprasa.pl 993d4bce60

Doktor Judit Varga otrzymała nagrodę Strażnik Wartości, Custos Virtutum, ustanowioną przez Instytut Współpracy Polsko-Węgierskiej im. Wacława Felczaka FOT. MATERIAŁY PRASOWE RZĄDU WĘGIER

podstawę jakiejkolwiek unijnej procedury, również dlatego, że struktura ustawy zasadniczej każdego państwa członkowskiego UE jest odmienna. Z punktu widzenia prawa nie da się tego zdefiniować, a czasy komunizmu dodatkowo przywołuje to, że „doświadczamy podstawowych nieścisłości" i że „niesie to ze sobą ryzyko", jak określiły to na początku jesieni niektóre kraje Europy Zachodniej. Brakuje jasno określonych kryteriów, które mogłyby dostarczyć Komisji obiektywnej oceny – jak to było w przypadku raportu Komisji dotyczącego praworządności, który ukazał się we wrześniu.

Mówi pani o próbie unijnego szantażu Węgier i Polski. A jednocześnie ostatnie działania rządów Węgier i Polski nie są jeszcze formalnie wetem, bo podjęte zostały na poziomie Komitetu Stałych Przedstawicieli. Wierzy pani, że unijni przywódcy ostatecznie dadzą się przekonać i w ostatniej chwili uda się przyjąć budżet na lata 2021–2027?

Wierzymy, że problemy wywoływane przez ludzi zawsze można rozwiązywać za pomocą szczerego dialogu. Węgrzy popierają wzmocnienie ochrony finansowej budżetu unijnego, ale negocjacje w sprawie rzeczywistych warunków podziału powinny opierać się na porozumieniu Rady Europejskiej z lipca tego roku. Takie porozumienie mogłoby zostać zawarte już jutro, bez debaty, tak byśmy mogli dzięki niemu jak najszybciej pomóc krajom najbardziej potrzebującym.

Łatwo jest wskazywać na Węgry i Polskę, nawet bez jakiegoś ważnego powodu. Niestety przyzwyczailiśmy się do tego w ostatnich latach. Jednakże to nie my utrudniamy funkcjonowanie UE w zakresie ustanawiania budżetu czy planu odbudowy Next Generation EU. Czynią to ci, którzy dogadują się w kuluarach i zrywają pierwotne porozumienie w imię swoich politycznych interesów i ideologicznych intencji. Właśnie dlatego odpowiedzialność spoczywa na nich. To oni muszą spojrzeć w oczy liderom państw południowych i powiedzieć im, że walka ideologiczna jest ważniejsza niż niesienie pomocy.

Przepis, który powiązałby wypłatę środków unijnych z praworządnością, w przyszłości mógłby posłużyć jako narzędzie szantażu politycznego

Zdołamy się porozumieć, jeśli prawdą jest, że każdy chciałby pomóc krajom, które mają kłopoty. Jeśli to nie jest prawda, to czeka nas długa zima.

Budapeszt i Warszawa zostały jednak na placu boju praktycznie same. Czy nie łatwiej byłoby zrezygnować z oporu, przyjąć niewielkie grupy uchodźców i jak najszybciej dostać pieniądze z pakietu pomocowego bez tej całej awantury?

Zarówno Polska, jak i Węgry są stabilne gospodarczo, na co ciężko zapracowaliśmy. To nie my potrzebujemy pakietu pomocowego, bo jeśli gospodarka będzie tego potrzebowała, to jesteśmy w stanie zaciągnąć kredyt na rynku na korzystnych warunkach.

Naturalnie zawsze można pójść prostszą drogą. Znacznie łatwiej byłoby uprawiać politykę bez nieustannych ataków w globalnych mediach liberalnych, bez zatrzymywania się z powodu analiz, list czy klasyfikacji sporządzanych przez organizacje pozarządowe, kto wie przez kogo finansowane.

Polacy i Węgrzy wielokrotnie wypowiadali się już na temat nielegalnej migracji czy w kwestiach dotyczących wielokulturowości i otwartego społeczeństwa. Sami pragniemy decydować o tym, z kim chcemy żyć, i nie chcielibyśmy, by jakiś centralny mechanizm decydował o tym, kto zostanie przesiedlony do naszych krajów. Pragniemy chronić naszą kulturę, nasze tradycje, zwyczaje i naszą wiarę, a jednocześnie pomagać uchodźcom i osobom znajdującym się w potrzebie, wykorzystując do tego środki przewidziane w naszym ustawodawstwie. Co więcej, Węgry w ramach programu Hungary Helps pomagają ludziom w wielu krajach, z których ludzie masowo emigrują.

Podważanie kwestii określanych mianem praworządności jest dobrze skonstruowaną bronią polityczną, której można użyć w dowolnym momencie przeciwko któremukolwiek krajowi. O różnorodności mediów, skuteczności czy stopniu niezależności różnych instytucji prawnych można dyskutować kiedykolwiek i z każdym. Jeśli te debaty toczą się w drodze rozstrząsania kontrowersyjnych kwestii w globalnych mediach liberalnych i w organizacjach pozarządowych finansowanych z niejasnych źródeł, to przeciętny odbiorca może rzeczywiście pomyśleć, że prawdziwym problemem nie jest terroryzm, nielegalna imigracja czy ożywienie gospodarcze, lecz to, jak różnorodne są media węgierskie czy polskie.

Szwedzcy politycy poszli jeszcze dalej i ostro krytykując postawę Budapesztu oraz Warszawy, zagrozili, że w UE powinna rozpocząć się debata, czy Węgry i Polska powinny pozostać we Wspólnocie. Hunexit i polexit nagle stały się bardziej realne?

Co więcej, w niemieckiej telewizji publicznej wycięto z unijnej flagi gwiazdę symbolizującą Polskę oraz Węgry i nazwano nas głupcami. Niech to jednak nie zmyli nikogo, to też jest część procesu wywierania na nas presji. Zawsze bardziej agresywna jest ta strona, której

eprasa.pl 993d4bce60

brakuje już rozsądnych argumentów i atutów.

Szczęśliwym zwrotem akcji nazwałabym także to, że George Soros wydaje teraz swoje instrukcje otwarcie, nie zawracając sobie głowy tym, by o przyszłości Europy dyskutować osobiście z przywódcami Europy za zamkniętymi drzwiami. Dzięki temu wyraźnie widzimy, kto postępuje zgodnie z tymi instrukcjami.

Każdy człowiek rodzi się z matki, która jest kobietą, i ojca, który jest mężczyzną. Żyjemy w dziwnym świecie, jeśli możemy spotkać się z krytyką za głoszenie rzeczy oczywistych

Na szczęście w Unii Europejskiej rządzą na razie jasne reguły prawne wynikające z podpisanych przez nas traktatów. Naturalnie można fantazjować i wyobrażać sobie wszystko, ale prawo chroni nas wszystkich w tych procesach. Znalezienie rozwiązania sprzecznego z prawem europejskim i niezgodnego z traktatami stworzy nową sytuację w funkcjonowaniu Unii.

Politycy polscy i węgierscy, tacy jak Ryszard Czarnecki czy Tamás Deutsch, coraz częściej mówią jednak, że nie do takiej Unii wchodzili, i nie kryją rozczarowania niemiecką prezydencją. Chodzi o rozwiązania dotyczące nie tylko polityki imigracyjnej, lecz także lewicowych wartości kulturowych. Analitycy duńskiego Saxo Banku już w grudniu zeszłego roku przedstawili prognozy mówiące, że Unię Europejską mogą wkrótce opuścić także Węgry. Może więc warto rozważyć scenariusz, w którym Węgry i Polska wychodzą z UE lub np. w ramach UE zacieśniają sojusz z krajami Trójmorza?

Kiedy 16 lat temu przystąpiliśmy do Unii Europejskiej, przyjęliśmy wiążące dla nas ramy wskazane w traktatach, ramy, w których wyraźnie rozróżnia się kwestie wchodzące w zakres suwerenności wspólnotowej i narodowej. Na przykład polityka rodzinna i imigracyjna, nasz stosunek do wiary i religii nie należą do obszarów wspólnych, definiowanych w Brukseli. O tym mogą decydować tylko Węgrzy.

Teraz natomiast widzimy, że ponieważ nie możemy dojść do porozumienia w tych kwestiach (na przykład nie chcemy przyjąć imigrantów), próbują nas do tego zmusić wszelkimi sposobami, łamiąc traktaty. Przecież – jak podkreśliłam wcześniej – ten zestaw warunków, który w swym obecnym kształcie wiąże wypłatę pieniędzy unijnych z praworządnością, zapewnia możliwość zmuszania niektórych krajów do rezygnacji z ich stanowiska z powodów czysto ideologicznych i przy braku zasady pewności prawa. Dzisiaj nasza kolej, jutro może to dotyczyć innego kraju.

Węgry są krajem silnie proeuropejskim, od stuleci udowadniamy, że tu należymy. Chociaż widzimy także, że Europa Środkowo-Wschodnia i region bałtycki bardzo silnie się rozwijają, pod wielomą względami region ten zaczyna być motorem napędowym Europy, również dzięki wspomnianym sojuszom, dlatego kładziemy duży nacisk na utrzymywanie tych kontaktów – niezależnie od aktualnej polityki międzynarodowej.

Na Zachodzie ideologia LGBT już zwyciężyła. Pani wierzy jeszcze, że Węgry czy Polska mogą jeszcze obronić wartości chrześcijańskie?

Ta kwestia będzie jednym z najważniejszych pytań przyszłości. Czy można narzucić państwom członkowskim jednolite reguły ideologiczne? Czy będzie działał taki mechanizm szantażu powiązany z instrumentami finansowymi, który stłumi różnorodność kulturową, polityczną i ideologiczną oraz globalistyczną ideę liberalizmu uzna za obowiązkową w Unii? Zaskakujące jest widzieć, że Europa nie koncentruje się na tym, jak mogłaby odbudować swoją potęgę gospodarczą i wzmocnić swoje wpływy na świecie. Nie zajmuje się pomaganiem ludziom, wspieraniem ich w walce z codziennością. Z jakiegoś powodu postawiła sobie za cel uczynienie z Unii ideologicznie homogenicznego organu. Na szczęście i my jesteśmy częścią Unii, dzięki czemu możemy od wewnątrz kształtować te procesy i bronić się przed zamiarami ujednolicenia.

George Soros wydaje teraz swoje instrukcje otwarcie, nie zawracając sobie głowy tym, by o przyszłości Europy dyskutować osobiście z przywódcami Europy za zamkniętymi drzwiami. Dzięki temu wyraźnie widzimy, kto postępuje zgodnie z tymi instrukcjami

„Matka jest kobietą, a ojciec jest mężczyzną" – taki zapis ma według pani zapowiedzi znaleźć się w węgierskiej konstytucji. Jego przyjęcie z pewnością wywoła kolejną burzę w Brukseli. Jako kobiecie, matce i laureatce nagrody Strażnik Wartości nie wydaje się pani dziwne, że w ogóle trzeba takie zapisy formułować?

Propozycja nowelizacji ustawy zasadniczej ujmuje to, co jest oczywiste. Węgry uznawały i uznają rejestrację związków partnerskich osób tej samej płci, czego proponowana nowelizacja nie zamierza zmieniać. Jasno określa jedynie to, że rodzicielstwo jest determinowane przez pewne fakty biologiczne. Każdy człowiek rodzi się z matki, która jest kobietą, i ojca, który jest mężczyzną. Żyjemy w dziwnym świecie, jeśli możemy spotkać się z krytyką za głoszenie rzeczy oczywistych.

Feministki w Polsce wmawiają kobietom, by porzuciły tradycyjne role i skupiły się głównie na robieniu kariery. Również konwencja stambulska na tradycję zrzuca winę za przemoc wobec kobiet. Co sądzi pani o rolach, które do odegrania mają kobiety we współczesnej Europie? Czy jednak państwa nie powinny pozwolić tym kobietom, które chcą skupić się na wychowywaniu dzieci, na kontynuowaniu tej tradycyjnej roli?

Jako matka trojga dzieci, żona, kobieta pracująca i minister mogę powiedzieć, że dzisiejsza nowoczesna kobieta, dzięki Bogu, ma niezliczone możliwości spełnienia, osiągnięcia szczęścia, bez względu na to, jak chciałaby przeżyć swoje życie. Chociaż sądzę, że – mimo iż przedstawicielki „słabszej płci" mogą dziś zrobić zawrotne kariery – bycie matką jest najwspanialszym zadaniem w życiu, z którego żadna kobieta nie powinna rezygnować. Wierzę, że każdy może rozwijać swój talent najlepiej, jak potrafi – niezależnie od tego, czy jest kobietą czy mężczyzną, ale wierzę też w siłę rodziny, która jest filarem naszego społeczeństwa. I choć wymaga to zastosowania wielu rozwiązań logistycznych, warto skoordynować te dwa bardzo ważne obszary.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 993d4bce60

FOT. DAINA LE LARDIC/EP/EU

EURODYSKUSJA O NICZYM

Parlament Europejski zajął się najpoważniejszym wyzwaniem XXI w. podczas pandemii – debatował nad osobami LGBT. W tej debacie nie zabrakło polskiego wątku fantastycznego. Holenderska eurodeputowana Sophie in 't Veld (na zdjęciu) zauważyła, że PE bardzo dużo już mówił „na temat stref wolnych od LGBT, czy to w Polsce, czy na Węgrzech". I że to, „co robi polski rząd", nie jest reprezentatywne dla innych. Ciekawe, kiedy europosłanka się dowie, że „strefy LGBT" były artystycznym happeningiem? Może musi podebatować tam kolejną, szóstą kadencję?

JAK TRUDEAU POGADAŁ Z „GRETĄ"

Ujawniono, że rosyjscy dowcipnisie dodzwonili się do premiera Kanady jako aktywistka klimatyczna Greta Thunberg. Udawana Greta radziła mu, by „opuścił NATO, złożył broń, zbierał kwiaty i cieszył się przyrodą", a on z powagą odpowiadał na jej brednie. Że jest nabierany, zorientował się dopiero, gdy „Greta" poprosiła go o ułatwienie kontaktu z… postacią z amerykańskiej kreskówki „South Park".

PASTOR SKAZANY ZA SŁOWA

Niemiecki pastor protestanckiej kongregacji St. Martini wygłosił na YouTube wykład dotyczący małżeństw. Pozwolił sobie powiedzieć m.in., że „cały brud gender jest atakiem na Boży porządek stworzenia, jest głęboko diaboliczny i szatański" i że „przestępcy biegają wszędzie na Christopher Street Day". Sędzia Ellen Best z Bremy uznała, że duchowny podżegał do nienawiści wobec homoseksualistów, i skazała go na trzy miesiące więzienia (wyrok zamieniono na grzywnę).

FRUWAJĄCE OSZCZĘDNOŚCI

Starsza kobieta z Ostrawy ułożyła swoje oszczędności na łóżku (w sumie – w przeliczeniu – ok. 17 tys. zł), a potem postanowiła wywietrzyć pościel w oknie. Gdy się zorientowała, było już za późno. Ktoś pozbierał banknoty lecące z nieba. Lokalna policja grozi, że ma nagrania monitoringu, i namawia do dobrowolnego odniesienia oszczędności należących do nieostrożnej emerytki.

MALARIA, DENGA, COVID I KOBRA

W sprawie Brytyjczyka Iana Jonesa trudno rozstrzygnąć, czy ma się do czynienia z pechowcem czy jednak wybitnym szczęściarzem. Ten były pracownik brytyjskiej służby zdrowia do tej pory przechorował już malarię i dengę. Niedawno dopadł go też COVID-19, któremu także dał radę. A całkiem niedawno, w magazynie, w którym chwilowo mieszkał, dwukrotnie ukąsiła go w rękę kobra. I znów, dzięki szybkiemu transportowi do szpitala, wyszedł z tego cało. ©℗

Łukasz Zboralski

JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Nowa (stara) era Bidena

Nie sprawdziły się ostrzeżenia radykałów. Chociaż Donald Trump nadal nie wierzy, że jego rywal uczciwie wygrał wybory, to nie zorganizował puczu. I dał sygnał do rozpoczęcia procesu przekazywania władzy.

Znamy też kandydatów na kluczowe urzędy w administracji Bidena. Szefem dyplomacji ma zostać Tony Blinken, znany z czasów poprzedniego prezydenta jako były zastępca sekretarza stanu i gorący zwolennik zawarcia pokojowej umowy z Iranem. Blinken nazywany „dyplomatą dyplomatów" powinien umiejętnie równoważyć gafy prezydenta Bidena. Może jednak powtórzyć błędy swoich dawnych szefów i powrócić do naiwnej polityki USA (próba „resetu" z Rosją).

Były szef Blinkena, sekretarz stanu za czasów Obamy John Kerry, ma w Białym Domu objąć funkcję specjalnego wysłannika ds. klimatu. U Obamy pracowały także Linda Thomas-Greenfield, która ma zostać ambasadorem USA przy ONZ, oraz Avril Haines, która ma być pierwszą kobietą na stanowisku dyrektora wywiadu narodowego nadzorującego wszystkie służby w USA. W Gabinecie Owalnym bywał także Jake Sullivan, kandydat na doradcę ds. bezpieczeństwa narodowego, który również – jak określił to obecny szef dyplomacji Mike Pompeo – żyje w „świecie fantazji". Jest też dobra wiadomość. Departamentem Skarbu ma pokierować Janet Yellen, prezes Rezerwy Federalnej w latach 2014–2018. Na wieść o jej możliwej nominacji rynki zareagowały niemal tak pozytywnie jak na szczepionkę na koronawirusa.

Pierwsze nominacje pokazują kierunek, w którym zmierzać będzie polityka 46. prezydenta USA. W wielu przypadkach zapowiadany od kilku lat przez opozycję „powrót do normalności" oznacza po prostu powrót do ludzi z czasów rządów Baracka Obamy. ©℗

eprasa.pl 993d4bce60

Olivier Bault

Budżet Unii zakładnikiem ideologii

Już po lipcowym szczycie liderów unijnych pojawiły się wątpliwości co do interpretacji uzgodnień dotyczących mechanizmu uzależniającego wypłaty z budżetu unijnego i funduszu odbudowy od przestrzegania zasad praworządności

FOT. POOL/REUTERS/FORUM

Premierzy Mateusz Morawiecki i Viktor Orbán zapewniali, że do zawieszenia wypłat z UE potrzebna będzie jednomyślność w Radzie Europejskiej. Zwolennicy tego mechanizmu byli ze swojej strony pewni, że ostateczny mechanizm i decyzje o zawieszeniu funduszy najbardziej krnąbrnym państwom członkowskim będą odtąd zależały od decyzji Komisji i Rady Unii Europejskiej – a tam są podejmowane większością kwalifikowaną głosów. Prezydencja niemiecka najwyraźniej poparła to drugie stanowisko. Dodatkowo zgodziła się też na początku listopada – po długich negocjacjach z Parlamentem Europejskim – na rozszerzenie stosowania mechanizmu na sytuację, gdy stwierdza się ryzyko naruszenia interesów finansowych Unii z powodu braku przestrzegania zasad praworządności oraz wartości wymienionych w sposób bardzo ogólnikowy w art. 2 Traktatu o Unii Europejskiej.

Dla rządów w Warszawie i Budapeszcie tak sformułowany mechanizm ma charakter zbyt uznaniowy. Polska i Węgry obawiają się, że Komisja Europejska może w krótkim czasie zawiesić fundusze i uzyskać większość w Radzie Unii Europejskiej na bazie kryteriów czysto politycznych lub ideologicznych. Wśród krajów najbardziej naciskających na wprowadzenie tego mechanizmu – oprócz tzw. grupy skąpców – znalazła się Francja. Zaraz po uzgodnieniach lipcowych francuski sekretarz stanu ds. europejskich, Clément Beaune, miał pomysł, jak wykorzystać nowo przyjęty mechanizm wobec Polski. W rozmowie z publicznym radiem France Inter 29 lipca Beaune stwierdził, że nowy mechanizm mógłby posłużyć do zawieszenia wypłaty funduszy dla Polski, gdyby władze w Warszawie zdecydowały się wypowiedzieć Konwencję Rady Europy o zapobieganiu i zwalczaniu przemocy wobec kobiet i przemocy domowej (tzw. konwencję stambulską). Beaune'owi nie przeszkadza, że prawo unijne nie nakłada obowiązku ratyfikowania tejże konwencji i że kilkanaście krajów należących do Rady Europy, w tym kilka będących członkami Unii, tej konwencji nie ratyfikowało lub wręcz ją odrzuciło.

CZERWONA LINIA

Po porozumieniu z prezydencją niemiecką na stronie grupy liberałów w Parlamencie Europejskim można było przeczytać, że nowy mechanizm praworządności „jest krokiem milowym w procesie integracji europejskiej". „Koniec przytulania się z Orbánem i Kaczyńskim. Nie będzie więcej odstępstw od wartości unijnych". Szef tej grupy, Rumun Dacian Cioloș, podał własną wykładnię mechanizmu praworządności w opinii opublikowanej 11 listopada na portalu EUobserver: „Pluralizm, brak dyskryminacji, tolerancja, niezależność sądownictwa, solidarność oraz równość mężczyzn i kobiet: prawa te tworzą naszą tożsamość. Czy polskiemu

eprasa.pl 993d4bce60

rządowi się to podoba czy nie, czy chce założyć kaganiec sędziom, czy też zakazać aborcji, wszystkie kraje UE podpisały się pod tymi zasadami. […] Czerwona linia jest teraz jasna: nie będzie ani jednego euro dla tych sił, które chcą zniszczyć nasze najbardziej podstawowe zasady".

Po zapowiedzi polsko-węgierskiego weta na spotkaniu ambasadorów 16 listopada szef centroprawicowej grupy EPL, Niemiec Manfred Weber, zapewniał, że cokolwiek 27 państw uzgodni w Radzie, Parlament Europejski nie ugnie się i nie zrezygnuje z uzgodnionej wersji mechanizmu praworządności. Według niego bowiem „Parlament Europejski […] w końcu uzyskał mechanizm, aby bronić naszych europejskich wartości".

Z kolei autor rezolucji przeciwko Polsce przyjętej przez Parlament Europejski we wrześniu tego roku w ramach procedury z art. 7, Hiszpan Juan Fernando López Aguilar z grupy socjalistów, stwierdził we włoskim Radio24, że „kiedy mówimy o praworządności, mówimy nie tylko o podziale władzy, nie tylko o nadrzędności prawa. Mówimy także o wspólnych wartościach, które zostały sformułowane w art. 2". O tym, jak szeroko interpretuje na bazie art. 2 prawa instytucji UE do ingerencji w życie obywateli krajów członkowskich, można się przekonać, czytając jego raport, w którym potępia Polskę nie tylko za reformy sądownictwa, lecz także np. za prawo aborcyjne i za samorządy, które przyjęły Samorządową Kartę Praw Rodzin. Mechanizm praworządności nie będzie niczym innym jak wcieleniem w życie zawartego w raporcie i rezolucji postulatu rozszerzenia pojęcia praworządności w taki sposób, aby władze unijne mogły podjąć działanie przeciw danemu krajowi także w przypadku istnienia „wyraźnego ryzyka poważnego naruszenia innych podstawowych wartości Unii, zwłaszcza demokracji i praw człowieka" (do których Aguilar zalicza aborcję i „homomałżeństwa").

NOWA ERA WALKI O „RÓWNOŚĆ"

Również w Komisji Europejskiej dominuje dość szeroka wizja zastosowania mechanizmu praworządności. Zaraz po ogłoszeniu porozumienia w tej sprawie komisarz ds. równości Helena Dalli, laburzystka z Malty, w rozmowie z portalem Politico na temat nowo przyjętej „strategii LGBTQI" Komisji Europejskiej cieszyła się: „Weszliśmy w nową erę, jeśli chodzi o walkę o równość. […] Równość to wartość Unii Europejskiej. Jeśli działasz przeciw

W grę wchodzą już nie tylko pieniądze i gospodarcze interesy, lecz także kwestie związane z suwerennością

tej wartości, to Unia nie powinna ci dawać pieniędzy". Pani Dalli, za przyczyną której Malta stała się w 2015 r. pierwszym krajem na świecie z ustawą chroniącą prawa już nie tylko osób „transgenderowych", lecz także „interseksualnych", stała się sławna w Polsce pod koniec lipca tego roku. Wówczas ogłosiła, że odmawia przyznania subwencji polskim samorządom, które ogłosiły się „wolne od ideologii LGBT" lub przyjęły Samorządową Kartę Praw Rodzin opracowaną przez Ordo Iuris.

Propozycje padające m.in. ze strony Komisji Europejskiej, aby dołączyć do mechanizmu praworządności deklarację gwarantującą bezstronne i obiektywne wykorzystywanie tego mechanizmu w przyszłości, raczej nie przekonają rządów w Warszawie i Budapeszcie. Zwłaszcza że elementem gwarantującym bezstronność ma być dla Komisji np. publikacja raportu na temat przestrzegania praworządności we wszystkich krajach członkowskich. W oczach Polski i Węgier pierwsze wydanie raportu Komisji tylko potwierdziło, że przykłada się podwójną miarę do podobnych sytuacji w zależności od tego, którego kraju one dotyczą.

– Dzisiaj praworządność to może być cokolwiek, co nie podoba im się na Węgrzech lub w Polsce – stwierdziła węgierska minister sprawiedliwości Judith Warga, podczas gdy w Polsce minister Zbigniew Ziobro przestrzegał, że brak weta ze strony Polski doprowadziłby do utraty zaufania do premiera Morawieckiego.

– Jak interpretować fakt, że jest duże państwo, gdzie minister sprawiedliwości decyduje, kto ma być sędzią, a politycy mogą być sędziami, i nikt nie mówi w Komisji Europejskiej, że to narusza praworządność? – pytał premier Mateusz Morawiecki 18 listopada w Sejmie.

Gdy w październiku trwały jeszcze negocjacje z Parlamentem Europejskim, Jarosław Kaczyński przestrzegał: – Jeśli groźby i szantaże będą utrzymane, to my będziemy twardo bronić żywotnego interesu Polski. Weto. Non possumus. I tak będziemy działać wobec każdego, kto będzie stosował wobec nas jakieś wymuszenia.

Premier Węgier 13 listopada zapowiadał zablokowanie wieloletniego budżetu i planu odbudowy i ostrzegał: „Jeśli ten akt prawny, który wypracowały wspólnie PE i niemiecka prezydencja, rzeczywiście zostanie przyjęty, to zrobimy z UE Związek Sowiecki. Bo w Związku Sowieckim był zwyczaj, że stawiano warunek pozbawiony obiektywnych kryteriów".

Premier Holandii Mark Rutte zapowiedział natomiast 17 listopada możliwość wypracowania planu odbudowy (którego sam wcześniej nie chciał) bez udziału Polski i Węgier, gdyż – jak miał powiedzieć w parlamencie – brakuje mu już cierpliwości do obu tych krajów. Podobny pomysł wysunął francuski sekretarz stanu ds. europejskich Clément Beaune.

Tak naprawdę nie wiadomo, ile krajów chciałoby przystąpić do tej nowej wersji planu Next Generation EU. Poza tym pozostałaby nierozwiązana kwestia najważniejsza, czyli sprawa budżetu Unii na lata 2021–2027.

Zarówno Beaune, jak i jego odpowiednik w niemieckim ministerstwie spraw zagranicznych Michael Roth wyrazili przekonanie, że znalezienie kompromisu jest kwestią kilku tygodni, podczas gdy Angela Merkel uznała, iż „istnieje konsensus w sprawie budżetu UE, ale nie w sprawie mechanizmu praworządności" oraz że „jest to bardzo poważny problem, z którym musimy się uporać". Zastrzegła przy tym, że należy szukać wspólnego rozwiązania, a nie używać gróźb.

Znalezienie rozwiązania może okazać się jednak bardzo trudne, gdyż w grę wchodzą już nie tylko pieniądze i gospodarcze interesy poszczególnych państw, lecz także kwestie związane z suwerennością i tożsamością narodów.

Następny szczyt unijnych przywódców ma się odbyć w dniach 10–11 grudnia w Brukseli. Nawet gdyby Polska i Węgry miały wtedy pójść na jakiś pozorny kompromis i zgodzić się na przyjęcie mechanizmu praworządności, jak to wstępnie zrobiły w lipcu, oznaczać to będzie zakończenie tylko pierwszego z serii niekończących się kryzysów. Jak to słusznie zauważył słoweński premier Janez Janša: „Dzięki temu instrumentowi większość w Radzie Europejskiej zdecyduje, czy praworządność jest przestrzegana, czy też nie. A więc będzie to zależeć od większości politycznej. Jeśli tak się stanie, to będzie to koniec Unii Europejskiej".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 993d4bce60

FOT. JAKUB KAMIŃSKI/EAST NEWS

Ugotowani

Radosław Wojtas

Co najmniej do 27 grudnia lokale gastronomiczne mogą serwować posiłki jedynie na wynos oraz na dowóz. Wiele restauracji drzwi raz zatrzaśniętych przed klientami nie otworzy już nigdy

Nawet jeśli październikowej decyzji rządu o ponownym zamknięciu restauracji można się było spodziewać w sytuacji rosnącej gwałtownie liczby zakażeń, to restauratorzy zostali zaskoczeni tym, że muszą to zrobić z dnia na dzień. W piątek 23 października Mateusz Morawiecki oznajmił, że od soboty cały kraj znajdzie się w czerwonej strefie. Dla branży gastronomicznej oznaczało to, że natychmiast musi przestawić się na sprzedaż wyłącznie na wynos oraz na dowóz. Taki stan rzeczy miał potrwać co najmniej dwa tygodnie. Teraz, po ogłoszeniu planu na „100 dni solidarności w walce z COVID-19", wiadomo, że restrykcje potrwają co najmniej do 27 grudnia. Dla wielu firm oznacza to bankructwo.

– Sytuacja jest bezprecedensowo trudna, absolutnie niespotykana i bardzo dla nas niesprawiedliwa. W pełni rozumiem kwestię pandemii, ochrony ludzi przed rozprzestrzenianiem się epidemii i rozumiem też decyzję zamknięcia restauracji. Szanuję ją i wykonuję. Dochodzi jednak do sytuacji, w której zakazuje się nam działalności, natomiast sprawy większości naszych zobowiązań nie są w żaden sposób rozwiązane – mówi w rozmowie z „Do Rzeczy" Artur Jarczyński, restaurator działający w branży od 30 lat, prowadzący lokale m.in. w Warszawie i Krakowie.

POŻEGNANIA PO LATACH

Wiele lokali zmuszonych w tym roku do zamknięcia przed klientami drzwi nie otworzy ich już nigdy. Są wśród nich restauracje obecne na rynku od lat. „Zawsze warto wspierać lokalną przedsiębiorczość" – czytamy na stronie internetowej należącej do niedawna do restauracji Dom Polski, a teraz przekształconej w listę lokali z okolicy. „Na Saskiej Kępie znajduje się dużo ciekawych lokali gastronomicznych, restauracji, kawiarni, pizzerii… które oferują dania na wynos i/lub dostawę bez konieczności korzystania z takich serwisów jak UBER Eats, Wolt czy Pyszne.pl" – zachęca opis na stronie.

eprasa.pl 993d4bce60

Pod szyldem Dom Polski prowadzono w Warszawie dwie restauracje. Pierwszy z lokali przy ul. Francuskiej działał od ponad 20 lat. Drugi, przy ul. Belwederskiej, funkcjonował od lat kilku. Dom Polski pożegnał się z klientami krótkim komunikatem na Facebooku: „Szanowni Goście, spółka prowadząca restauracje »Dom Polski« złożyła wniosek o ogłoszenie upadłości. Oczekujemy na termin posiedzenia wyznaczony przez sąd. Dziękujemy za wspólne chwile w naszych restauracjach". Pod nim, obok słów żalu z powodu zniknięcia lokali, także cierpkie komentarze. „Przykre to bardzo. Ale może warto pożegnać się z klasą, napisać do klientów, zwrócić pieniądze z zaliczek?" – napisała jedna z klientek. „Wpłaciłam 1000 zł zaliczki za obiad rodzinny... I co będzie?" – dodawała niżej. „Wpłaciłam… 2500 zł zaliczki!! Za obiad z okazji ślubu mojego syna!!!" – pisała inna kobieta. Ktoś radził: „Przy ogłoszeniu upadłości zajmuje się takimi sprawami wyznaczony przez sąd syndyk. Dawni właściciele nie mogą nic zrobić, konta bankowe są zablokowane. Tak działa każda upadłość".

Także wiosną o zakończeniu działalności informował właściciel żoliborskiej restauracji Spotkanie. Lokal działał od 1953 r. Niemal przez 70 lat, w czasach lepszej i gorszej koniunktury, radził sobie z konkurencją lokalną i sieciową, jednak obostrzenia wprowadzone w związku z pandemią zmusiły obecnych właścicieli do pozbycia się biznesu. – Wysoki czynsz, koszty pracownicze i brak dochodów spowodowały, że nie mieliśmy innego wyjścia – mówił „Gazecie Żoliborza" właściciel Spotkania. Lokal postanowili dalej poprowadzić nowi właściciele, którzy zachowali nawet starą nazwę. Zamknięte wiosną Spotkanie otworzyli dla gości w lipcu, by w październiku znów musieć je zamknąć. Obecnie posiłki można zamawiać na wynos. Oferta obejmuje m.in. słoiki z jedzeniem przygotowywanym przez kucharzy Spotkania.

Na coraz dłuższą listę zamkniętych na stałe lokali wpisują się w każdym mieście i eleganckie restauracje, i fastfoodowe jadłodajnie; bistra, pizzerie, puby i kawiarnie. – Ja się z tego nie podniosę. Sytuacja jest nieciekawa, w tej chwili moje dwa pozostałe lokale jeszcze się bronią, ale nie wiem, jak długo to potrwa. Być może będę musiał je też zamknąć. Mało kto zdaje sobie sprawę, że muszę płacić aż 27 podmiotom. Wchodzą w to m.in. koszty za koncesję, za czynsz, za miejsca parkingowe, za prąd. Na czas epidemii wszyscy mieli odpuścić, a ciągle dostaję faktury. Pracę straci pięcioro pracowników – mówił w rozmowie z portalem Olsztyn.com.pl właściciel zamykanego w maju pubu Qźnia Muzycznych Klimatów. We wrześniu koniec działalności ogłosiła funkcjonująca w tym mieście od 62 lat restauracja Staromiejska.

W maju media donosiły o poważnych kłopotach sieci Olimp prowadzącej ponad sto punktów gastronomicznych (głównie w galeriach handlowych i biurowcach) i zatrudniającej kilkaset osób. Przez zamknięcie galerii i przejście firm w tryb pracy zdalnej sieć straciła zdecydowaną większość przychodów. Niewypłacalność ogłosiła niemiecka sieć Vapiano. Pod tym szyldem lokale w Polsce nadal działają, prowadzone przez niezależnego franczyzobiorcę. Do kłopotów przyznaje się sieć Sphinx, która zdecydowała się na zamknięcie nierentownych lokali. Głównie w galeriach handlowych, ale nie tylko. Restaurację z tym szyldem zamknięto m.in. na toruńskiej starówce. „Próbowaliśmy się podnieść po pierwszym zamknięciu, odbudowując sprzedaż, by w ten sposób nadrabiać straty notowane wiosną, i coraz lepsze wyniki dobrze rokowały na przyszłość. Jeszcze wyniki sprzedażowe września nie wskazywały na taki rozwój sytuacji – mówił pod koniec października w rozmowie z »Rzeczpospolitą« Sylwester Cacek, prezes spółki Sfinks Polska, do której należą m.in. marki Sphinx, Chłopskie Jadło i Piwiarnia. – Zostaliśmy znów niemal całkowicie pozbawieni przychodów, gdyż wpływy z delivery stanowią niecałe 12 proc. sprzedaży i nie są w stanie zrekompensować zamknięcia restauracji. Jednocześnie cały czas ponosimy koszty działalności, starając się utrzymać struktury operacyjne i miejsca pracy".

„WYNOS" NIE RATUJE

„Wpływy z delivery" restauratorzy starają się zwiększyć na różne sposoby. W Krakowie chciał pomóc samorząd, który przygotował stronę internetową z interaktywną mapą lokali serwujących jedzenie na wynos. Jeśli jednak nie znajdzie się do niej bezpośredniego linku, to wrócić tam ciężko. Spamiętanie adresu mapy – gastronomia-umkrakow.hub.arcgis.com – to wyzwanie dla najbardziej ambitnych i wiernych klientów. Ci naprawdę głodni skorzystają zapewne z jednej z popularnych aplikacji pobierających prowizje pośredników. A te sięgają czasem kilkudziesięciu procent.

Artur Jarczyński mówi, że – niezależnie od starań – zamówienia na wynos czy z dowozem nie są w stanie zrekompensować strat spowodowanych zamknięciem restauracji. – Zamknięcie lokali i zezwolenie na sprzedaż jedynie na wynos czy z dowozem redukuje nasze obroty o dziewięćdziesiąt kilka procent, a przychody, które teraz osiągamy, nie są w stanie pokryć kosztów zatrudnienia pracowników przy tej operacji, nie mówiąc już o kosztach za energię elektryczną, wodę, gaz, ogrzewanie i oczywiście koszt czynszu – mówi. – Jeśli kwestia ponoszenia tych kosztów, zwłaszcza opłat za czynsz, nie zostanie rozwiązana jakimś rozporządzeniem, to prawdziwa fala bankructw dopiero przed nami – dodaje.

Projekt tzw. antykryzysowej tarczy branżowej, który został przyjęty przez Sejm 20 listopada (pod koniec ubiegłego tygodnia zajmował się nim Senat), zakłada m.in. zwolnienie ze składek ZUS za listopad; ustanowienie jednorazowego dodatkowego świadczenia postojowego w wysokości 2080 zł; dopłatę dla przedsiębiorców w wysokości 2 tys. zł do każdego miejsca pracy, w tym umowy-zlecenia; dotację w wysokości do 5 tys. zł.

„NAJLEPSI ODCHODZĄ"

Rządowy plan 100 dni solidarności zakłada, że restauracje mogłyby zostać otwarte dla klientów w tzw. etapie stabilizacji, czyli w czasie, gdy Polska znów będzie dzielona na strefy w zależności od liczby zakażeń. Wtedy w strefach żółtych (dzienna liczba zachorowań z siedmiu dni poniżej ok. 9,4 tys.) lokale gastronomiczne mogłyby być otwarte dla klientów w godz. 6–21. Możliwe byłoby również organizowanie wesel, przyjęć komunijnych i konsolacji do 50 osób. Zmiana strefy na czerwoną oznacza konieczność ponownego zamknięcia lokali.

Artur Jarczyński zaznacza, że branża potrzebuje planu i stabilizacji, bo otwieranie restauracji po kilkutygodniowym lub kilkumiesięcznym przestoju to skomplikowany proces, związany często z koniecznością przeprowadzenia rekrutacji. – Już w momencie pierwszego lockdownu, gdy nie było pracy, najlepsze osoby znalazły zatrudnienie w innych branżach i nie ma mowy o ich powrocie. A przecież restauracja nie składa się wyłącznie z pomieszczenia, mebli i dekoracji, ale przede wszystkim z pracującego tam zespołu. Po pierwszym lockdownie bardzo trudno było nam skompletować odpowiedni personel – mówi restaurator.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 993d4bce60

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Czyje pieniądze rozdaje rząd?

Niezależnie od tego, co kto myśli o socjalnych programach tego czy owego rządu, a także co kto myśli o zadłużających nas na kolejne setki miliardów złotych tarczach antykryzysowych fundowanych z powodu dziwnej walki z COVID-19 – w tym o Funduszu Wsparcia Kultury (FWK), to właśnie przy okazji dyskusji o 400 mln zł z tego Funduszu na pomoc dla artystów poszkodowanych w czasie batalii z COVID-19 pojawiło się kilka głosów, które warto nie tylko przytoczyć, lecz także zapamiętać.

Kazik Staszewski i Kult: „Rząd w końcu przyznał 400 mln artystom, którzy o to go poprosili. […] Rząd nie może ci dać żadnych pieniędzy, bo ich nie ma. Jeśli jednak komuś daje, to znaczy, że przedtem komuś zabrał. Zabrał setkom tysięcy uczciwie pracujących ludzi, którym teraz na dodatek zamyka interesy. Nie chcemy tych ukradzionych Wam pieniędzy".

Grzegorz Markowski: „Całe życie graliśmy, koncertowaliśmy. Niemoralnym byłoby w naszej ocenie ubieganie się o tak wielkie pieniądze, gdy w Polsce jest obecnie tak strasznie dużo ludzi, którzy potrzebują ich sto razy bardziej. Dlatego bardzo prosimy o niełączenie nas z tą listą".

Artur Barciś: „Tu nie chodzi o to, żeby ktoś dostał rekompensatę za to, że nie zarobił tyle, ile zarobił w zeszłym roku, tylko chodzi o to, żeby pomóc im przetrwać. […] Ja się nie zgłaszałem, bo po to pracowałem 40 lat, żeby przetrwać jakoś tę pandemię. Pamiętajmy też, że rząd nie ma swoich pieniędzy. Ma nasze, podatników, i powinien dysponować tymi pieniędzmi sprawiedliwie".

Tak, nigdy dość przypominania tej oczywistej prawdy, która z takim trudem się przebija: jeśli rząd mówi, że komuś daje – on, czyli rząd – pieniądze, to tak naprawdę nie daje pieniędzy, lecz jedynie przekazuje nie swoje pieniądze. Rząd przekazuje jednym pieniądze zabrane innym – przekazuje pieniądze zabrane wcześniej w formie podatków albo pieniądze, które dopiero zabierze innym – też w formie podatków, bo te rozdawane dziś pieniądze pochodzą z kredytu, który podatnicy będą musieli dopiero spłacić. Tak samo jest również z setkami miliardów złotych, tak ochoczo wydawanymi przez rządzących – poprzez mechanizm tarcz antykryzysowych – na pomoc pracodawcom i pracobiorcom, którzy cierpią wskutek takiego, a nie innego – czyli dziwacznego, chaotycznego – sposobu prowadzenia przez rząd walki z COVID-19. Polscy podatnicy – pani, pan, ja – będziemy musieli je spłacić – i to z odsetkami – do ostatniego grosza. A jeśli nie damy rady my, to będą to musiały za nas zrobić nasze dzieci i wnuki. ©℗

ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Rozpacz przedsiębiorców

Piszą do mnie przedsiębiorcy – najwyraźniej uważają mnie za kogoś w rodzaju swojego trybuna ludowego w mediach, co mi pochlebia, choć chyba moją siłę oddziaływania przeceniają.

Ostatnio dostałem wiadomości od grupy właścicieli prywatnych kwater, którzy nie mogą działać (przynajmniej oficjalnie), podobnie jak hotele. Przy czym te ostatnie przynajmniej mają podróżujących służbowo. Właściciele kwater… cóż, w tej sprawie balansują na granicy prawa. No i w przeciwieństwie do hotelarzy nie mają mocnych pleców w rządzie, więc i w zapowiedziach pomocy nie są uwzględniani. Zapowiedziach, bo na razie na tym się kończy, choć różne biznesy są pozamykane od ponad miesiąca.

Rząd twierdzi, że otworzyć tych wszystkich miejsc nie może

Napisali do mnie również szefowie aquaparków, w większości własności samorządów, którzy pod wpływem sytuacji powołali nawet pierwsze branżowe stowarzyszenie: Polskie Aquaparki i Pływalnie. Przedstawiciele branży twierdzą, że nie ma żadnych dowodów na to, by baseny (których definicji ustawowej, żeby było śmieszniej, nie ma) były rozsadnikami wirusa. I mają rację. Mimo to aquaparki i baseny pozostają zamknięte.

O konającej branży gastronomicznej nawet nie chce mi się pisać, bo liczba zaoranych biznesów, na które ludzie pracowali latami, a które teraz padają jeden za drugim, sprawia, że chce się płakać.

Tymczasem rząd twierdzi, że otworzyć tych wszystkich miejsc nie może, a na dowód pokazuje za plecami pana premiera na konferencji prasowej piękny wykres, na którym pozaznaczano, do jak intensywnej transmisji wirusa dochodzi w różnych miejscach: w siłowniach, na basenach, w kawiarniach, restauracjach itd. Jako źródło wykresu podany jest portal prestiżowego magazynu „Nature". Problem polega na tym, że gdy sprawdzimy, na co naprawdę powołuje się rząd, okaże się, że to badanie na podstawie danych z telefonów komórkowych z 10 największych aglomeracji w USA. A więc całkiem inne nawyki ludzi, inne wymogi sanitarne, inna aktywność. Przekładanie tego na polskie warunki ma znikomy, by nie rzec: zerowy sens.

Oczywiście rynek nie znosi próżni. To nie jest tak, że po epidemii nie będzie w Polsce restauracji ani pensjonatów. Będą, choć będzie ich mniej. No i w jakiejś, prawdopodobnie niestety dużej, części nie będą już własnością polskich drobnych przedsiębiorców, których skutecznie dobiją rządowe restrykcje, ale dużych zagranicznych sieci, które zrobią sobie zakupy za grosze. Czy naprawdę o to chodzi? ©℗

eprasa.pl 993d4bce60

TEST „DO RZECZY": ROUTER TP-LINK M7000

Niezły czas pracy na baterii, dobra wydajność sieci LTE i atrakcyjna cena – to największe zalety przenośnego hotspota chińskiej firmy TP-Link.

Jako sprzęt będący znacząco mniejszy niż większość tradycyjnych portfeli router TP-LINK M7000 działa zaskakująco dobrze. Jest też banalnie prosty w obsłudze (zarówno bezpośrednio z poziomu urządzenia, jak i poprzez aplikację tpMiFi).

Dzięki zastosowaniu technologii 4G FDD/TDD LTE mobilny router powinien działać w większości państw świata. Urządzenie potrafi pobierać pliki z prędkością do 150 Mb/s i wysyłać z prędkością do 50 Mb/s. Mobilny router pozwala udostępniać Internet 10 urządzeniom: jednocześnie można więc korzystać z sieci w komputerze, na smartfonie czy tablecie.

Po stronie plusów można też wpisać akumulator o pojemności 2000 mAh, dzięki której testowany router staje się naprawdę mobilny. Urządzenie odłączone od prądu według producenta działa do 8 godzin. W naszych testach czas pracy na jednym ładowaniu był krótszy (ok. 6 godzin), ale w tej cenie i tak jest nieźle.

Plusem jest też opcja filtrowania adresów MAC oraz ukrywania nazwy sieci SSID, co przynajmniej w teorii powinno zwiększyć bezpieczeństwo surfowania w miejscach, gdzie do danej sieci chciałby się podłączyć nieproszony gość.

Wady? Dość uciążliwe jest również pierwsze montowanie karty SIM. Brakuje także zwykłej ładowarki – w zestawie jest tylko kabel USB/microUSB (w 2020 r. wypadałoby, aby był kabel do USB C). Poza tym router oferuje możliwość pracy tylko w częstotliwości 2,4 Ghz (przydałaby się opcja przełączania również na 5 Ghz).

Mimo tych wad w czasach pracy zdalnej mobilne routery pozwalają na pozostawanie w kontakcie z szefem i z naturą jednocześnie. Wideokonferencję można bowiem odbyć w dowolnej chatce na Mazurach czy w Borach Tucholskich. Gadżet może być przydatny również tym, którzy mieszkają w dużych miastach, a i tak co jakiś czas ich pracę przerywają awarie w dostawach prądu. Router TP-LINK M7000 może być także przydatny osobom, które pracując w domu, muszą dzielić łącze internetowe z dziećmi odbywającymi lekcje on-line. Aby nie tracić szybkości przesyłu plików, wystarczy na jakiś czas przełożyć kartę SIM z telefonu dziecka do routera i problem rozwiązany.

Cena: 229 zł. ©℗

Jacek Przybylski

OBUDOWA DLA NURKÓW

Nurkowanie to fantastyczny sport. Wydawanie pieniędzy na osprzęt może już jednak nie być tak zabawne. Poza maską, rurką czy pianką trzeba zainwestować także w gadżety takie jak komputer nurkowy czy – aby pochwalić się rekinami znajomym – w podwodną kamerę. Twórcy gadżetu o nazwie Hot Dive Pro twierdzą, że opracowali sposób, aby zmniejszyć ostatnie wydatki. Ich produkt to wyprodukowana z jednego stopu aluminium oraz przezroczystego poliwęglanu wodoszczelna obudowa, która pasuje ponoć do smartfonów z systemami Android i iOS. Gadżet ma wbudowaną lampę LED, a specjalna aplikacja daje też możliwość używania smartfona w trybie komputera nurkowego. Hot Dive Pro kosztuje 199 dol. (równowartość 750 zł).

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

SMARTWATCH DLA BOGACZY

Jak drogi może być inteligentny zegarek? Apple Watch Gold Diamond Edition wyprodukowany przez Caviar kosztuje 45 tys. dol. (równowartość 170 tys. zł), oczywiście bez cła i lokalnych podatków. Koperta została wykonana z 18-karatowego złota, ramkę ozdobiono 109 diamentami. Całość dopełnia pasek ze skóry krokodyla. Edycja została ograniczona zaledwie do pięciu sztuk. Dla osób, które lubią błyskotki, ale nie stać ich na flagowy model, Caviar przygotował wersję za marne 4 tys. dol. (15,2 tys. zł). W tym przypadku edycja została ograniczona do 99 sztuk. ©℗

Jacek Przybylski

eprasa.pl 993d4bce60

W 2020 r. obchodziliśmy 40. rocznicę strajków, które doprowadziły do powstania Solidarności. Historia Solidarności należy do najistotniejszych wydarzeń w powojennych dziejach Polski

INSTYTUT PAMIĘCI NARODOWEJ

Polecamy nowości wydawnicze IPN!

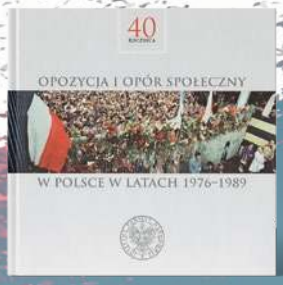

MONOGRAFIE

Łukasz Szkwarek
NSZZ „Solidarność"
Podregion Miastko w latach 1980–1981
Warszawa 2020, 224 s.
Publikacja jest syntetycznym, przekrojowym ujęciem dziejów NSZZ „Solidarność" Podregionu Miastko (Region Słupsk) w latach 1980–1981.
ISBN: 978-83-8098-958-0 **35 zł**

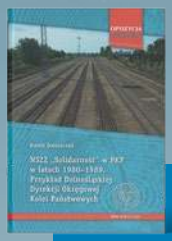

Kamil Dworaczek
NSZZ „Solidarność" w PKP w latach 1980–1989. Przykład Dolnośląskiej Dyrekcji Okręgowej Kolei Państwowych
Wrocław–Warszawa 2020, 144 s. + 16 s. wkł. ilustr. (seria „Opozycja w Polsce")
W książce opisane są przede wszystkim dzieje NSZZ „Solidarność" w Polskich Kolejach Państwowych na Dolnym Śląsku i Opolszczyźnie w latach 1980–1989.
ISBN: 978-83-8098-900-9 **20 zł**

Szczepan Kowalik, Arkadiusz Kutkowski
Śmierć nieosądzona.
Sprawa księdza Romana Kotlarza
Lublin–Warszawa 2019, 400 s. + 56 s. wkł. ilustr.
Książka przybliża sylwetkę duchownego, który brał udział w manifestacjach 25 czerwca 1976 r., a następnie w kilku kazaniach upomniał się o osoby represjonowane po tych wydarzeniach i w rezultacie sam stał się ofiarą bezprawnych działań ze strony bezpieki zakończonych jego śmiercią 18 sierpnia 1976 r.
ISBN: 978-83-8098-787-6 **40 zł**

Tytus Jaskułowski
Szczecin. Miasto, którego nie było. Dyplomacja RFN i polskie przełomy 1970–1989
Szczecin–Warszawa 2020, 200 s. (seria szczecińska „Świat wobec Szczecina")
Z okazji okrągłej rocznicy Grudnia '70 oddział IPN w Szczecinie zainicjował serię wydawniczą poświęconą międzynarodowej recepcji tego i dwóch pozostałych przełomów (1980 oraz 1989), ze szczególnym uwzględnieniem roli, którą odgrywało w nim wspomniane miasto. Publikacja poświęcona jest ocenom RFN.
ISBN: 978-83-8098-831-6 **20 zł**

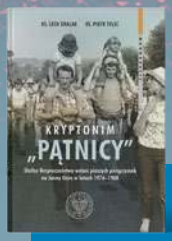

ks. Lech Gralak Lech, ks. Piotr Tylec **[WKRÓTCE]**
Kryptonim „Pątnicy". Służba Bezpieczeństwa wobec pieszych pielgrzymek na Jasną Górę w latach 1976–1988
Warszawa 2020, 488 s.
Publikacja ukazuje przestępcze działania Służby Bezpieczeństwa i jej agentury oraz Milicji Obywatelskiej podejmowane w latach 1976–1988 wobec osób zaangażowanych w ruch pątniczy oraz nieugiętą postawę przytłaczającej większości uczestników pielgrzymek na Jasną Górę, zarówno duchownych, jak i świeckich.
ISBN: 978-83-8229-042-4 **45 zł**

Krzysztof Sychowicz **[WKRÓTCE]**
Niezależny Samorządny Związek Zawodowy „Solidarność" w województwie łomżyńskim (1980–1981)
Białystok–Warszawa 2020, 356 s. (seria wydawnicza Oddziału IPN w Białymstoku, t. 50)
Publikacja, będąca pierwszą częścią historii NSZZ „Solidarność" i oporu społecznego w województwie łomżyńskim, jest podsumowaniem dotychczasowej wiedzy na ten temat.
ISBN:978-83-8229-036-3 **40 zł**

STUDIA I MATERIAŁY

Po stronie dobra. Księga dedykowana Zofii i Zbigniewowi Romaszewskim
redakcja naukowa Cecylia Kuta i Mariusz Krzysztofiński, Warszawa 2020, 752 s.
Księga poświęcona Zofii i Zbigniewowi Romaszewskim, którzy mieli odwagę upominania się o prawa krzywdzonych przez reżim komunistyczny.
ISBN: 978-83-8098-311-3 **60 zł**

Księża dla władzy groźni. Duchowni współpracujący z opozycją (1976–1989), t. 2 **[WKRÓTCE]**
red. nauk. Rafał Łatka, Warszawa 2020, 336 s.
W publikacji znalazły się teksty w różnorodny sposób ujmujące zagadnienie współpracy duchowieństwa z opozycją. Zaprezentowano w niej sylwetki poszczególnych kapłanów, opisy parafii, a także portrety zbiorowe.
ISBN: 978-83-8229-026-4 **40 zł**

#ZostańWDomu i kup na **ipn.poczytaj.pl** | **#ZostańWDomu** i kup na **ipn.poczytaj.pl** | **#ZostańWDomu** i kup na **ipn.poczytaj.pl**

eprasa.pl 993d4bce60

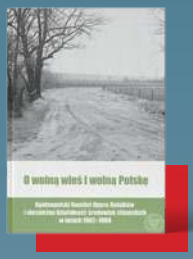

O wolną wieś i wolną Polskę. Ogólnopolski Komitet Oporu Rolników i niezależna działalność środowisk chłopskich w latach 1982–1989 [WKRÓTCE]
red. nauk. Cecylia Kuta, Michał Wenklar,
Kraków 2020, 208 s.
Zebranie i upowszechnienie dotychczasowego stanu wiedzy na temat tej najważniejszej konspiracyjnej organizacji środowisk rolniczych stanowi główny cel publikacji.
ISBN: 978-83-8229-049-3 **35 zł**

SŁOWNIKI, LEKSYKONY

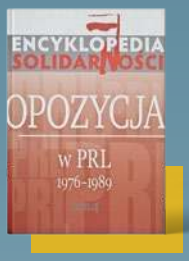

Encyklopedia Solidarności. Opozycja w PRL 1976–1989, t. 4
redakcja naukowa Jan Olaszek (redaktor naczelny), Tomasz Kozłowski (zastępca redaktora naczelnego), Grzegorz Wołk (sekretarz redakcji), Kamil Dworaczek, Przemysław Zwiernik, Instytut Pamięci Narodowej – Stowarzyszenie „Pokolenie",
Warszawa 2020, 592 s.
Wydawnictwo ma na celu możliwie wszechstronne przedstawienie ludzi, struktur organizacyjnych, wydawnictw oraz wydarzeń towarzyszących genezie i działalności wielkiego ruchu społecznego aż do chwili załamania się dyktatury komunistycznej w 1989 r. Tom 4 wersji książkowej zawiera 881 biogramów i 326 haseł rzeczowych.
ISBN: 978-83-8098-964-1 **99 zł**

Michał Guć, Henryk Mruk [WKRÓTCE]
Znaczki szczecińskiego podziemia autorstwa Jana Tarnowskiego 1981–1989
Warszawa 2020, 256 s.
Kompletne dzieło dotyczące polskiej poczty podziemnej, opracowane w sposób naukowy. Wyznacza ono zupełnie nowy kierunek i postrzeganie tych dowodów oporu społecznego w okresie lat 1981–1989 w PRL.
ISBN: 978-83-8229-019-6 **35 zł**

DOKUMENTY

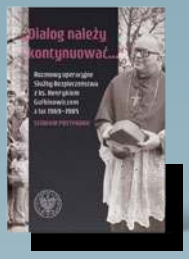

„Dialog należy kontynuować…" Rozmowy operacyjne Służby Bezpieczeństwa z ks. Henrykiem Gulbinowiczem z lat 1969–1985. Studium przypadku
wybór, wstęp i opracowanie Rafał Łatka i Filip Musiał,
Kraków–Warszawa 2020, 264 s. (seria „Biskupi w realiach komunistycznego państwa")
Edycja źródeł dokumentujących trwający 16 lat dialog operacyjny księdza, później biskupa i kardynała Henryka Gulbinowicza ze Służbą Bezpieczeństwa. Zebrane dokumenty uzupełniają wiedzę o biografii duchownego wspierającego „Solidarność" w latach 80.
ISBN: 978-83-8098-339-7 **35 zł**

Przemysław Benken, Magdalena Dźwigał, Marcin Stefaniak
Franciszka Skwierczyńskiego „tajna kronika" Szczecińskiej „Solidarności" w latach 1980–1982
Szczecin–Warszawa 2020, 728 s.
Edycja dokumentów Franciszka Skwierczyńskiego, który – jako członek prezydium szczecińskiego MKR, a następnie ZR Pomorze Zachodnie i zarazem tajny współpracownik SB – odgrywał w latach 1980–1982 niezwykle istotną rolę w rozpracowywaniu regionalnych struktur opozycyjnych.
ISBN: 978-83-8098-863-7 **50 zł**

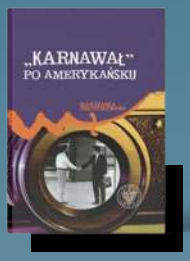

Patryk Pleskot
„Karnawał" po amerykańsku. Ambasada USA w Warszawie wobec wydarzeń w Polsce od sierpnia 1980 r. do grudnia 1981 r.
Warszawa 2020, 736 s. (seria „Warszawa nie?pokonana", t. 22)
Edycja zawiera, poprzedzone wprowadzeniem merytorycznym, dokumenty ambasady USA w Warszawie z lat 1980–1981, przechwycone i przetłumaczone przez kontrwywiad PRL.
ISBN: 978-83-8098-928-3 **50 zł**

Przemysław Benken, Robert Borucki
Wojewódzki Komitet Obywatelski „Solidarność" w Koszalinie w 1989 roku. Edycja źródłowa
Koszalin–Szczecin 2020, 328 s. + 80 s. wkł.
Edycja źródłowa, poprzedzona wstępem merytorycznym, poświęcona działalności Wojewódzkiego Komitetu Obywatelskiego „Solidarność" w Koszalinie w kampanii wyborczej do Sejmu i Senatu w 1989 r.
ISBN: 978-83-61066-15-6, **45 zł**

Tytus Jaskułowski, Filip Gańczak, Konrad Knoch, Piotr Abryszeński, Ewa Pejaś
Raporty polskie Stasi 1981–1989, t. 1: W przededniu stanu wojennego: czerwiec–grudzień 1981
Szczecin–Warszawa 2020, 584 s.
(seria „Raporty Polskie Stasi")
Pierwszy tom nowej serii źródłoznawczej dotyczącej postrzegania ostatniej dekady PRL przez służby specjalne NRD.
ISBN: 978-83-8098-922-1 **45 zł**

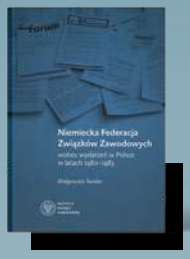

Małgorzata Świder [WKRÓTCE]
Niemiecka Federacja Związków Zawodowych wobec wydarzeń w Polsce w latach 1980–1983
Katowice–Warszawa 2020, 584 s.
Publikacja o charakterze źródłowym, poprzedzona obszernym wstępem dotycząca relacji między Niemiecką Federacją Związków Zawodowych (Deutscher Gewerkschaftsbund) a NSZZ „Solidarność" w latach 1980–1983.
ISBN: 978-83-8098-221-5 **50 zł**

RELACJE I WSPOMNIENIA

Krzysztof Brożek, Grzegorz Surdy
Solidarność Walcząca
Warszawa 2020, 296 s.
Biogramy i doświadczenia członków Solidarności Walczącej wykraczają poza historię samej SW. Opublikowane wspomnienia mogą być pomocne dla badaczy, a dla pozostałych czytelników – po prostu interesujące jako całkiem nieodległe w czasie, a niezwykłe ludzkie historie.
ISBN: 978-83-8098-944-3 **35 zł**

#ZostańWDomu i kup na **ipn.poczytaj.pl** | **#ZostańWDomu** i kup na **ipn.poczytaj.pl** | **#ZostańWDomu** i kup na **ipn.poczytaj.pl**
eprasa.pl 993d4bce60

ALBUMY

Jadwiga Kowalczyk **[WKRÓTCE]**
Egzamin studenta i obywatela. Rzecz o strajku studentów łódzkich w 1981 r.
wstęp i redakcja naukowa Sebastian Pilarski, 360 s.
Publikacja jest relacją ze strajku studenckiego w Łodzi, zorganizowanego w styczniu i lutym 1981 r. Prezentowane wydawnictwo jest portretem pokolenia kształcącego się na początku ostatniej dekady PRL, zdającego egzamin „studenta i obywatela" w okresie szesnastu miesięcy legalnego funkcjonowania NSZZ „Solidarność".
ISBN: 978-83-8229-013-4, 59 zł

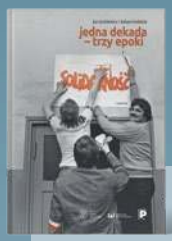

Jan Jurkiewicz, Łukasz Kobiela **[WKRÓTCE]**
Jedna dekada – trzy epoki. NSZZ Solidarność na Górnym Śląsku i Zagłębiu Dąbrowskim w latach 1980–1989
Instytut Pamięci Narodowej – Stowarzyszenie „Pokolenie" – Śląskie Centrum Wolności i Solidarności, Katowice–Warszawa 2020, 576 s.
Album upamiętniający powstanie i działalność NSZZ „Solidarność" regionu śląsko-dąbrowskiego w latach 1980–1989. Publikacja prezentuje bardzo bogaty materiał fotograficzny, dokumentujący działalność związkową, zarówno legalną, jak i podziemną.
ISBN: 978-83-8098-210-9, **69 zł**

AUDIOBOOKI

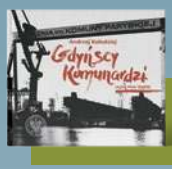

Andrzej Kołodziej
Gdyńscy komunardzi
czyta Piotr Bajtlik,
Warszawa 2020 (cykl „Pamiętniki do słuchania")
Unikatowa opowieść o strajku w Stoczni Komuny Paryskiej w Gdyni z sierpnia 1980 r. Niewiele jest pamiętników, które tak jak Gdyńscy komunardzi oddają ducha tamtych wydarzeń i ukazują, jak dzień po dniu rodziła się „Solidarność".
ISBN audiobook: 978-83-8098-963-4
ISBN książka: 978-83-8098-962-7, 32 zł

PUBLIKACJE POPULARNONAUKOWE

Marzena Grosicka, Ryszard Śmietanka-Kruszelnicki
„Zrodził nas sierpniowy bunt Robotników Wybrzeża". Region Świętokrzyski NSZZ Solidarność 1980–1981
Kielce 2020, 112 s.
Broszura przedstawia proces powstawania opozycji politycznej na Kielecczyźnie, pierwsze strajki oraz początki działalności niezależnych związków zawodowych.
Publikacja dostępna w formie PDF.

Marcin Antonowicz 1966–1985
opracowanie Renata Gieszczyńska,
Białystok 2020, 200 s. (seria „Wydarzenia 1980–1989. Warmia i Mazury")
Zatrzymanie Marcina Antonowicza 19 października 1985 r. przez patrol ZOMO skończyło się jego przedwczesną, do dziś niewyjaśnioną śmiercią.
Publikacja nie jest przeznaczona do sprzedaży.

Maciej Zakrzewski
Niezależne Zrzeszenie Studentów (1980–1989)
Kraków 2020, 40 s.
Niezależne Zrzeszenie Studentów powstało we wrześniu 1980 r., równolegle z NSZZ „Solidarność", jako forma buntu studentów wobec komunizmu i włączenia się w nurt solidarnościowych zmian. W latach 80. NZS był jednym z najbardziej rozpoznawalnych środowisk opozycyjnych wobec reżimu.
Publikacja dostępna w formie PDF.

Szczeciński Sierpień '80
opracowanie Michał Siedziako – tekst, Paweł Miedziński – wybór i opisy fotografii,
Szczecin 2020, 64 s.
W publikacji w syntetyczny sposób przedstawiono genezę wybuchu społecznego, który nastąpił w PRL latem 1980 r. oraz przebieg ówczesnych strajków w stolicy Pomorza Zachodniego na tle kraju.
Publikacja dostępna w formie PDF.

„Bohaterowie Niepodległej"

#ZostańWDomu i kup na **ipn.poczytaj.pl** | **#ZostańWDomu** i kup na **ipn.poczytaj.pl** | **#ZostańWDomu** i kup na **ipn.poczytaj.pl**

eprasa.pl 993d4bce60

I Wirtualny Kiermasz Książki IPN

30 listopada – 6 grudnia 2020

Zapraszamy do udziału w I Wirtualnym Kiermaszu Książki IPN.
Czekają na Państwa nowości, bestsellery, książki, albumy, komiksy, gry

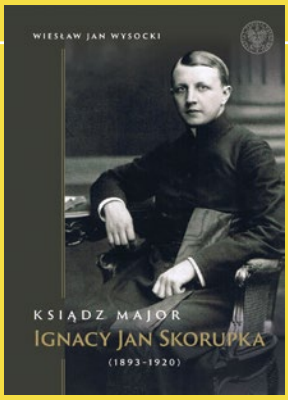

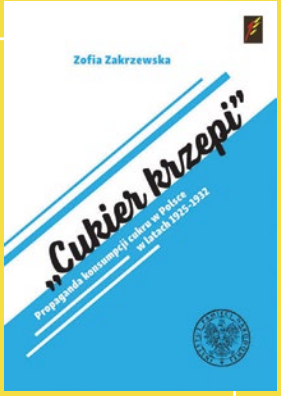

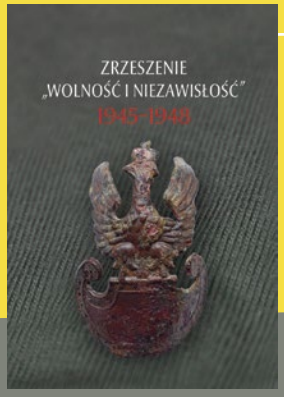

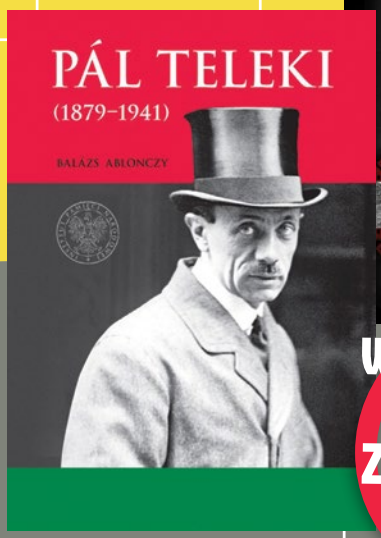

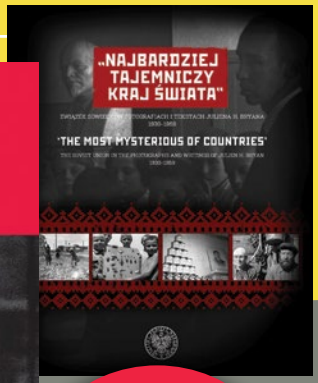

wszystko z 30% rabatem!

Jak wziąć udział w kiermaszu?
W dniach 30 listopada – 6 grudnia
wejdź na ipn.poczytaj.pl

Do zobaczenia!

eprasa.pl 993d4bce60

Raka płuca można leczyć skuteczniej

Katarzyna Pinkosz

Ten rok miał być w Polsce rokiem poprawy leczenia raka płuca. Epidemia COVID-19 krzyżuje te plany, jednak eksperci mają nadzieję na zmiany, dzięki którym już teraz można ocalić życie chociaż części Polaków, którzy umierają z powodu tego nowotworu

Co roku ok. 23 tys. osób w Polsce dowiaduje się o diagnozie raka płuca, mniej więcej tyle samo z tego powodu umiera. Epidemia COVID-19 może jeszcze tę sytuację pogorszyć z powodu opóźnień w diagnostyce i leczeniu. – W dobie pandemii większość oddziałów pulmonologicznych została zamieniona na „covidowe", dlatego w dużej mierze przestaliśmy diagnozować nowych chorych onkologicznie. Gdy ci chorzy zostaną zdiagnozowani dopiero w przyszłym roku, będziemy ich mogli co najwyżej kierować do hospicjum – alarmuje prof. Tadeusz Orłowski, kierownik Kliniki Chirurgii Instytutu Gruźlicy i Chorób Płuc. – W kwietniu–maju liczba nowych pacjentów i wydawanych kart DILO była dramatycznie niska. Latem pacjentów było więcej, jednak dziś znów przychodzi do szpitala mniej w porównaniu z ubiegłym rokiem – potwierdza prof. Maciej Krzakowski, krajowy konsultant w dziedzinie onkologii, kierownik Kliniki Nowotworów Płuca i Klatki Piersiowej Narodowego Instytutu Onkologii.

Nowotwory nie mogą czekać na koniec pandemii – przypominają eksperci, a hasło „#zostanwdomu" nie dotyczy pacjentów onkologicznych. Opóźnianie diagnozy powoduje, że pacjent traci szansę na skuteczne leczenie. W raku płuca to szczególnie niebezpieczne, gdyż jeszcze przed epidemią był on wykrywany bardzo późno. W efekcie tylko 15 proc. osób w Polsce przeżywa z tym nowotworem pięć lat i dłużej. Dla porównania: w przypadku czerniaka jest to 65 proc., a raka piersi – 77 proc. Co zrobić, by te statystyki zmienić?

ZAPOBIEGAĆ... I SZYBKO DIAGNOZOWAĆ

W ponad 90 proc. przypadków przyczyną raka płuca jest wieloletnie palenie papierosów, niestety Polska przoduje w UE pod względem liczby palaczy.

eprasa.pl 993d4bce60

FOT. ADOBE STOCK

Podczas gdy papierosy pali ok. 15 proc. Szwedów czy Brytyjczyków, wśród Polaków odsetek ten wynosi 26 proc. Niepokoi to, że nie maleje liczba palących młodych kobiet. Brakuje dobrych kampanii edukacyjnych zniechęcających do wchodzenia w nałóg, edukacji w szkołach, a eksperci od lat zwracają uwagę, że z powodu złego finansowania przestały funkcjonować poradnie wspomagające palaczy w rzucaniu nałogu – w całym kraju jest ich zaledwie kilka.

Drugą kwestią jest późne wykrywanie raka płuca. Sami palacze często bagatelizują najczęstszy objaw, jakim jest kaszel. – Osoba paląca papierosy przez wiele lat kaszle rano, odkrztuszając wydzielinę. Jeśli jednak kaszel staje się suchy, męczący, wybudza w nocy, to trzeba zgłosić się do lekarza. Podobnie jeśli nie ustępuje po podaniu antybiotyku – mówi dr Izabela Chmielewska z Katedry i Kliniki Pneumonologii, Onkologii i Alergologii UM w Lublinie. Niepokojące objawy to też duszność, nawracające zapalenia płuc, trudności w połykaniu, krwioplucie, a także objawy ogólne, takie jak zmęczenie, spadek apetytu, chudnięcie, przewlekła chrypka.

Gdy pacjent z takimi objawami zgłasza się do lekarza, nie zawsze od razu podejrzewa on raka płuca. Duszność i kaszel mogą być też objawami przewlekłej obturacyjnej choroby płuc (POChP), a zapalenie płuc – osłabieniem odporności. Rozpoczyna się diagnostyka, która niekiedy trwa wiele tygodni. – Średni czas od pierwszych niepokojących objawów do rozpoznania raka płuca to ok. 2,5 miesiąca, a zdarzają się przypadki, że nawet sześć miesięcy – zaznacza prof. Maciej Krzakowski. To dane sprzed pandemii COVID-19, która na pewno czas diagnostyki jeszcze bardziej wydłużyła z powodu pogorszenia dostępności do lekarzy, badań diagnostycznych, a także unikania przez pacjentów wizyt u lekarzy. Tymczasem każdy tydzień zwłoki powoduje, że pacjent traci szanse na optymalne leczenie i życie.

Raka płuca można byłoby wykryć wcześniej dzięki wykonaniu niskodawkowej tomografii komputerowej. Program takich badań przesiewowych w Polsce co prawda już ruszył, jednak korzysta z niego niewiele osób. Powody: brak wiedzy pacjentów, skierowań od lekarzy, błędne przekonanie, że z powodu epidemii COVID-19 lepiej zostać w domu, mała liczba ośrodków, gdzie badania można wykonać. Z bezpłatnego przesiewu mogą skorzystać osoby w wieku 55–64 lata, które co najmniej przez 20 lat paliły paczkę papierosów dziennie (lub rzuciły palenie nie dawniej niż 15 lat temu), a także młodsze (powyżej 50. roku życia), jeśli dodatkowo chorują na POChP lub włóknienie płuc, są zawodowo narażone na wdychanie substancji rakotwórczych (m.in. beryl, nikiel, chrom, kadm, azbest, związki arsenu) lub w ich rodzinach występowały zachorowania na raka płuca. – Dzięki niskodawkowej tomografii jesteśmy w stanie wykryć raka we wcześniejszym stadium. Na pewno przełożyłoby się to na wyniki leczenia, jednak cały program musi być połączony z edukacją zdrowotną i pomaganiem w rzucaniu palenia – mówi prof. Maciej Krzakowski.

LEPSZE ROZPOZNAWANIE PODTYPÓW

– Osoba z podejrzeniem raka płuca powinna trafić na „szybką ścieżkę" diagnostyczną: mieć wykonaną tomografię komputerową z kontrastem, bronchofiberoskopię z USG i pobraniem wycinka do dalszych badań – dodaje prof. Dariusz Kowalski, kierownik Oddziału Zachowawczego Kliniki Nowotworów Płuca

eprasa.pl 993d4bce60

i Klatki Piersiowej Narodowego Instytutu Onkologii, prezes Polskiej Grupy Raka Płuca.

W przypadku zaawansowanego (rozsianego) raka płuca szanse na życie zależą m.in. od tego, jaki to podtyp nowotworu. Zanim rozpocznie się leczenie, trzeba określić, czy jest to rak drobnokomórkowy, czy niedrobnokomórkowy, a w tym drugim przypadku także podtyp (płaskonabłonkowy, niepłaskonabłonkowy). W przypadku raka niepłaskonabłonkowego, głównie gruczołowego, wykonuje się kolejne badania molekularne, sprawdzające, czy w tkance nowotworowej nie ma określonych mutacji, np. w genach EGFR, ALK, ROS1 lub innych. Jeśli są, to chory jest kandydatem do otrzymania leków ukierunkowanych molekularnie. Jeśli ich nie ma (lub to podtyp płaskonabłonkowy raka), to sprawdza się, czy pacjent ma wysoką ekspresję receptorów PD-1 i PDL-1 (jeżeli tak, może otrzymać tzw. leki immunokompetentne, mobilizujące do działania układ odpornościowy).

– Niestety, diagnostyka raka płuca nie jest wykonywana kompleksowo we wszystkich ośrodkach. Niektóre nie wykonują części badań albo wykonują je po kolei, sekwencyjnie, a w pewnym momencie okazuje się, że nie ma już materiału, by sprawdzać kolejne markery. Często też jakość wykonywanych badań budzi wątpliwości, czy na podstawie ich wyników można podejmować decyzje dotyczące terapii – mówi prof. Joanna Chorostowska-Wynimko, kierownik Zakładu Genetyki i Immunologii Klinicznej Instytutu Gruźlicy i Chorób Płuc. Zdarza się, że badania muszą być powtórzone, co jeszcze bardziej wydłuża czas do rozpoczęcia leczenia.

LEKI WYDŁUŻAJĄCE ŻYCIE

Od dobrze wykonanej diagnostyki zależy skuteczne leczenie, tu w ostatnich latach dokonała się rewolucja. – Dzięki nowym opcjom za trzy–cztery lata jesteśmy w stanie zmienić niekorzystne statystyki dotyczące śmiertelności. Kiedyś w zaawansowanym raku mogliśmy zastosować jedynie chemioterapię i radioterapię, chorzy żyli najwyżej rok. Dzisiaj część z nich przychodzi do nas latami – mówi prof. Dariusz M. Kowalski. Eksperci podkreślają, że wiele zmieniło się na lepsze, jeśli chodzi o dostęp do innowacyjnych terapii w Polsce. Wyniki kolejnych badań klinicznych pokazują skuteczność kolejnych opcji, które warto jak najszybciej udostępniać chorym.

LCU, czyli kompleksowość

Eksperci od kilku lat apelują o tworzenie w Polsce ośrodków kompleksowej diagnostyki i terapii raka płuca, tzw. Lung Cancer Units, gdzie pacjent byłby pod opieką zespołu złożonego z wielu specjalistów: chirurga, onkologa, radioterapeuty, diagnostów, rehabilitantów. W takim ośrodku powinna być możliwość przeprowadzenia kompleksowej diagnostyki, skierowania chorego w razie potrzeby na jednoczesną radiochemioterapię, dobrania odpowiedniego leczenia molekularnego czy immunologicznego. – Taki ośrodek musi leczyć kompleksowo, koordynować proces diagnostyki i terapii, jak również monitorować wyniki leczenia – dodaje prof. Krzakowski. Z LCU powinny współpracować mniejsze ośrodki zajmujące się diagnostyką i leczeniem raka płuca.

– Jeśli jednak chcemy zapanować nad rakiem płuca w Polsce, to trzeba położyć nacisk na walkę z nałogiem palenia, również papierosów elektronicznych. Dzięki zmniejszeniu liczby zachorowań łatwiej będzie znaleźć pieniądze na leczenie osób, które zachorują na raka płuca – zaznacza prof. Tadeusz Orłowski.

W onkologii jednak nowych terapii jest wiele w różnych nowotworach, a możliwości finansowania w Polsce są wciąż ograniczone. Z tego powodu ważne jest określenie, które z terapii są najpotrzebniejsze. To jeden z powodów powstania listy najbardziej oczekiwanych terapii onkologicznych – tzw. TOP 10 ONKO. Została ona ułożona na podstawie opinii kilkunastu ekspertów, m.in. konsultanta krajowego i konsultantów wojewódzkich w dziedzinie onkologii oraz prezesa Polskiego Towarzystwa Onkologicznego. W wybranej dziesiątce aż trzy leki są stosowane w raku płuca (kryteriami były m.in. częstość występowania nowotworu oraz wartość kliniczna mierzona czasem całkowitego przeżycia).

Dzisiaj tylko 15 proc. osób w Polsce przeżywa z rakiem płuca pięć lat i dłużej. W przypadku czerniaka – 65 proc., a raka piersi – 77 proc.

Pierwszym z „trójki" jest durwalumab: stosowany u chorych z miejscowo zaawansowanym rakiem płuca (niemających przerzutów odległych). – Podaje się go chorym po zastosowaniu jednoczasowej radiochemioterapii. W badaniu rejestracyjnym takie postępowanie powodowało wydłużenie czasu wolnego od progresji o ok. 11 miesięcy, a to bardzo dużo jak na miejscowo zaawansowanego raka płuca. Po czterech latach żyło ponad dwukrotnie więcej chorych, w porównaniu z grupą, która otrzymała wyłącznie radio- i chemioterapię – mówi prof. Krzakowski. U części z nich rak już nie wróci: można mieć nadzieję, że zostali wyleczeni z zaawansowanego nowotworu płuca, co do niedawna było nie do pomyślenia.

Drugim lekiem na liście TOP 10 jest pembrolizumab (dziś refundowany w Polsce pierwszej linii tylko u chorych, którzy mają wysoką ekspresję receptora PDL-1 na komórkach nowotworowych). Nowe wyniki badań pokazują, że zastosowany łącznie z chemioterapią jest skuteczny także u chorych z niską ekspresją tego receptora. Trzecim lekiem jest ozymertynib: to lek trzeciej generacji dla chorych z mutacją w genie EGFR, dużo skuteczniejszy od wcześniejszych terapii dla tej grupy chorych. – W onkologii widać, jak ważne jest wprowadzanie skutecznych metod leczenia systemowego na jak najwcześniejszym etapie. Na poprawę efektów leczenia ma wpływ też jednoczasowa radiochemioterapia w miejscowo zaawansowanym niedrobnokomórkowym raku płuca, która powinna być poparta immunoterapią. To dobry przykład łączenia leczenia miejscowego z nowymi metodami terapii systemowej; dzięki temu część chorych będziemy mogli wyleczyć – mówi prof. Krzakowski.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Adresy placówek wykonujących tomografię niskodawkową w ramach programu profilaktyki raka płuca można znaleźć na stronie:
www.pacjent.gov.pl/programy-profilaktyczne/profilaktyka-raka-pluca

eprasa.pl 993d4bce60

Ratujmy gospodarkę, póki czas!

Oddajemy do państwa rąk kolejny numer miesięcznika „Forum Polskiej Gospodarki". Tym razem tematem numeru jest ratowanie polskiej gospodarki. Trudno, abyśmy pisali o czymś innym, kiedy tysiące firm stają w obliczu plajty w związku z lockdownem i pandemią.

Piotr Hofman, prezes Rady Gospodarczej Strefy Wolnego Słowa

W numerze m.in. wywiad z rzecznikiem MŚP Adamem Abramowiczem poświęcony 10 propozycjom, które zgłasza rzecznik (tzw. dziesiątce rzecznika), jeśli chodzi o wsparcie polskich przedsiębiorców w trakcie kryzysu. „Chcemy i będziemy o to apelować, aby na ten temat została przeprowadzona merytoryczna dyskusja. Dyskusja, która będzie całkowicie abstrahować od sporów politycznych. Nie ma już bowiem czasu na to, żeby gospodarka była ofiarą walki politycznej" – mówi Adam Abramowicz. I trudno nie przyznać mu racji.

O gospodarce mówi także w innym wywiadzie poseł PiS Bartłomiej Wróblewski. Za spójną z poglądem rzecznika uznać trzeba m.in. tę wypowiedź posła Wróblewskiego: „Nie ma wątpliwości, że z jednej strony potrzeba uproszczenia prawa, w tym prawa podatkowego i gospodarczego, a z drugiej jego stabilizacji, a w przypadku zmian ustanawianie długiego vacatio legis". Tak, stabilność i pewność regulacji to jedna z głównych próśb przedsiębiorców do rządu. Mniej zmian, a jeśli już jakieś mają wejść w życie, to pozwólmy się firmom do tego przygotować, dajmy im czas, nie zaskakujmy ich nowinkami z dnia na dzień. Szczególnie teraz, kiedy warunki do prowadzenia działalności gospodarczej są tak trudne.

Warto sięgnąć także do tekstu Tomasza Cukiernika poświęconego europejskiej płacy minimalnej. Tak, jest taki pomysł i sprowadza się on do tego, że Unia Europejska ustalać ma warunki, od których zależeć będzie wysokość najniższego wynagrodzenia w państwach członkowskich. „Eurokraci twierdzą, że projekt dyrektywy oparty jest na Traktacie o funkcjonowaniu UE w punkcie dotyczącym warunków pracy. Ale zdaniem polskich pracodawców Unia w ogóle nie ma kompetencji do regulowania kwestii wynagrodzeń, w tym także ustalania wiążących zasad jej kształtowania" – czytamy w tym artykule. Który to już raz, ktoś zapyta, potężne grupy interesu operujące na szczeblu unijnym wykorzystują stanowione tam regulacje do niszczenia konkurencji w takich krajach jak Polska?

Obniżki podatków w czasie kryzysu idą opornie – taki z kolei wniosek wyciągnąć można po artykule Marka Kutarby pt. „Obciążenia fiskalne w czasie pandemii". Wbrew temu, czego można by oczekiwać, wiele państw członkowskich OECD nie zdecydowało się na cięcia danin publicznych, aby stymulować gospodarkę. „Na obniżenie podatków dochodowych zdecydował się tylko jeden kraj – Austria obniżyła stawkę dla najniższego progu podatkowego z 25 do 20 proc. Ta obniżka ma charakter stały, warto jednak zauważyć, że była planowana już wcześniej, trudno zatem uznać, że ma ona związek z pandemią. Żaden kraj nie obniżył natomiast stawki CIT" – wskazuje red. Kutarba. Szkoda, że przywódcom największych gospodarek świata brakuje odwagi w tym obszarze, wszak więcej pieniędzy w portfelach firm to większa szansa na przetrwanie trudnego czasu pandemii i rozwój w przyszłości.

Jeszcze raz gorąco zachęcam do lektury tych i wielu innych ciekawych tekstów z najnowszego „Forum Polskiej Gospodarki". Tematów ważnych wszak mamy pod dostatkiem, warto zatem wiedzieć, co w trawie piszczy. Zapraszamy również do dowiedzenia naszej strony: www.fpg24.pl.

Autor jest prezesem Rady Gospodarczej Strefy Wolnego Słowa
www.radagospodarcza-sws.pl
www.fpg24.pl.

ARTYKUŁ POWSTAŁ WE WSPÓŁPRACY Z RADĄ GOSPODARCZĄ STREFY WOLNEGO SŁOWA

Rada Gospodarcza STREFY WOLNEGO SŁOWA

eprasa.pl 993d4bce60

JACEK KOMUDA

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Bajdakami do porohów

Przez całe wieki porohy na Dnieprze były symbolem i znakiem rozpoznawczym Ukrainy, okruchem jej dzikiego piękna, wabiącym swawolą i bezkresną przestrzenią leżących obok Dzikich Pól. Były to skalne progi przegradzające rzekę w dolnym biegu, od ich nazwy kraina, w której mieszkała część Kozaków, zwana była właśnie „Zaporożem".

FOT. DOMENA PUBLICZNA

Porohy zaczynały się już od ujścia rzeki Samary. Jako jeden z pierwszych nadawał im nazwy Konstantyn VII Porfirogeneta, potem opisywali je liczni podróżnicy i żołnierze, spośród których wymienić należy dwóch: Eryka Lassotę von Steblau, który był posłem cesarskim do Kozaków w 1594 r., i Wilhelma Beauplana, francuskiego inżyniera na służbie króla Władysława IV, który pokonał je, płynąc w górę rzeki. Poświęcił im sporo miejsca w swoim „Opisaniu Ukrainy", pisząc: „Niektóre z nich wystają nad powierzchnię od 8 do 10 stóp, a wszystkie są wielkie jak domostwa i stoją tak blisko siebie, że zdają się być groblą albo drogą zatrzymującą bieg rzeki, która spada następnie z wysokości 5 do 6 stóp, w jednych miejscach, w innych zaś od 6 do 7, w zależności od tego, jak Dniepr wezbrany jest wodami".

Liczba porohów od dawna budziła spory wśród geografów i historyków. Działo się tak dlatego, że część z nich była rzeczywiście skalnymi groblami przegradzającymi całe koryto rzeki, część zaś tzw. zaborami, które ograniczały Dniepr tylko częściowo i nie utrudniały żeglugi. Poza tym niektóre leżały tak blisko siebie, że traktowano je jako jeden obiekt. Patrząc zatem od północy, od Krzemieńczuku, na południe, napotkać można było przeszkody. Pierwszy poroh zwany był Kudackim (Konstantyn Porfirogeneta określał go jako Essupe lub Nessupe, co znaczy „nie śpij"). Kolejny znano jako Surski, potem: Łochański, Strzelczy, gdzie wody rzeki oblewały niedostępną wyspę. Piątym porohem był Dzwoniec, następnie rzeka rozchodziła się na dwie odnogi, opływając wyspę Książęcy Ostrów, przy czym z jednej strony znajdował się kolejny – Tehiński.

Najgorszym, owianym złą sławą, był siódmy – zwany Dziadem lub Nienasytcem. Było to 12 ław skalnych o długości prawie kilometra, które w zasadzie nie pozwalały przedostać się tędy łodzią ani bajdakiem. Poniżej znajdowała się Woronowa Zawora, poroh, a właściwie spadek wód, który nie wyglądał groźnie, ale bywał zdradliwy. Jako dziewiątego liczono Wołnika – drugiego pod względem zagrożenia, jak pisze Władysław A. Serczyk: „Co wynikało z dużego spadku wód na niewielkiej przestrzeni (prawie 2 m na 200 m długości). Następnym była Krzywa Zapora, nie przez wszystkich historyków wliczana w poczet porohów. Później szedł Budziło, dalej Dniepr zwężał się bardzo i przelewał przez Tawołżański, mijał tak samo nazywaną wyspę i docierał do porohu Lisznego. A następnie do ostatniego, 13. zwanego Wolnym albo Wężowym, ze względu na kształt drogi między skałami. Dalej był już dnieprowy Niż, labirynt wysepek, zatok, półwyspów, którymi przemykali się Kozacy i którędy przeprawiali się Tatarzy.

Porohy zalewane były wodą jedynie na wiosnę w czasie przyboru Dniepru. Przez resztę roku stanowiły dużą przeszkodę w handlu pomiędzy Ukrainą i Chanatem, gdyż w Krzemieńczuku trzeba było przeładowywać towary i przeciągać lądem ciężkie łodzie. Co było dalej na południe? Przede wszystkim Sicz Zaporoska, ale to temat na inny felieton i oczywiście niedługo będę o niej pisał.

Dzisiaj skalnych, dnieprzańskich porohów już się nie zobaczy. Spoczywają na dnie Dnieprzańskiego Zbiornika Wodnego powstałego po spiętrzeniu wód w latach 30. ubiegłego stulecia, w czasach stalinowskiego uprzemysłowienia ZSRS. Również Dniepr nie wygląda tak jak w XVII w., bo prawie na całej długości rzeki znajdują się – jeden za drugim – kolejne zapory i zbiorniki wodne. Zatem porohy można ujrzeć tylko na starych fotografiach z początku zeszłego wieku, a nawet na nielicznych ocalałych filmach, które znajdują się w sieci.

Czy jest jednak jakieś miejsce, w którym można zobaczyć, jak wyglądał Dniepr 100 czy 200 lat temu? Tak, ale powyżej Kijowa, na przykład w okolicy miasta Sławutycz. Rzeka płynie tutaj zakolami, zataczając szerokie łuki, tworząc rozgałęzione starorzecza, meandrując i rozchodząc się na liczne odnogi. Niestety jest o wiele mniejsza niż na dawnym Zaporożu. ©℗

eprasa.pl 993d4bce60

„DŻAWOR" PIECZE DOSKONAŁĄ ŁOPATKĘ

Nie jestem mistrzem kuchni, ale miałem okazję poznać i pana Karola Okrasę, i pana Pascala Brodnickiego, uścisnąłem im dłonie, więc choćby przez to mam tytuł do tego, żeby mówić o kulinariach ;) Moim popisowym daniem jest pieczona łopatka. Przygotowuję ją od lat. Udało mi się wypracować proces pieczenia, dzięki któremu mięso rozpływa się w ustach i, co ciekawe (jest to moje odkrycie!), taki proces obróbki termicznej sprawia, że bez względu na to, jak słona będzie mieszanka użytych przypraw, gotowe mięso nie będzie przesolone.

Składniki:

- 2–3 kg łopatki wieprzowej
- cebula
- ziemniaki
- olej
- suszone grzyby
- przyprawy

Przygotowanie:

Najpierw przygotowujemy marynatę. Do żeliwnej brytfanki (z pokrywką), w której będziemy piec łopatkę, wlewamy olej. Sporo, żeby mięso w nim pływało. Dodajemy do niego przyprawy. Kiedyś używałem bardzo fajnych kostek rosołowych, w których były m.in.: czosnek, pietruszka, cebula. Kostki te rozkruszałem do oleju. Możemy dodać podobne kostki i inne przyprawy, np. suszoną pietruszkę, pieprz, paprykę, czosnek, cokolwiek tylko podkreśli smak, na cokolwiek tylko mamy ochotę. Ilości przypraw są znaczne, ja wszystko robię na oko i często modyfikuję recepturę. Po wymieszaniu powinna nam wyjść gęsta breja. Nie dodaję do niej soli, ponieważ dodawane wcześniej przyprawy zawierają w sobie sporą jej ilość.

Umytą łopatkę (2–3 kg) wkładamy do marynaty, obracamy w niej mięso bardzo dokładnie, dorzucamy suszony grzyb dla aromatu i kroimy dużo cebuli, którą szczelnie zakrywamy mięso. Wokół mięsa możemy dołożyć obrane ziemniaki. Przykrywamy i odstawiamy na 48 godzin do lodówki.

Cały proces pieczenia trwa tyle godzin, ile kilogramów mięsa jest w brytfance. Są trzy etapy obróbki termicznej. W pierwszym nagrzewamy piekarnik do 220–240 st. C i dajemy taki pierwszy strzał na 20–30 min, w zależności od ilości mięsa. Potem zmniejszamy temperaturę do 200, a nawet 180 st. C, i trzymamy mięso przez ok. 2,5 godz. Nie podlewajmy go wodą. Przed samym końcem tego procesu zdejmujemy przykrycie, rozsuwamy cebulkę i włączamy opiekanie z góry na jakieś 15 min, żeby zbrązowić ziemniaki i przypiec mięso. Na koniec z powrotem przykrywamy mięso cebulą, przykrywamy brytfankę i wyłączamy piekarnik. Mięso stoi w nim jeszcze 2–3 godz., dzięki czemu staje się kruche i będzie rozpływało się w ustach.

Wspaniale smakuje z marynowanymi grzybami i zimną lufką. ©℗

FOT. ARTUR SZCZEPAŃSKI/REPORTER

oprac. raw Krzysztof Jaworski
„Dżawor" jest gitarzystą, kompozytorem, współzałożycielem zespołu Harlem.

JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Pierzgoterapia

FOT. ADOBE STOCK

Do niedawna słowo „pierzga" znałam tylko z doniesień o dyktandach ortograficznych, gdzie musiało mierzyć się z inną pułapką językową: piegżą. Teraz już wiem, że piegża to ptak wędrowny z rodziny pokrzewek (Wikipedia); natomiast moje wiadomości na temat pierzgi istotnie się pogłębiły, a nawet wzbogaciły o doświadczenia organoleptyczne.

Ale do rzeczy. Jak wszystkim wiadomo, najmodniejszym słowem sezonu jest „odporność". Wszyscy o niej mówią, zwłaszcza reklamy, zachęcające a to do suplementów, a to do kuracji tlenowej, a to do szczepionek. Działy poradnicze gazet oraz Internet prześcigają się w doniesieniach, jak suchą nogą przejść przez zarazę.

Na naszym lokalnym targu nikt nie pozostał na ten trend obojętny. Na stoisku z miodem, które co sobota otwiera właściciel nieodległej pasieki, uwagę mego męża zwróciły małe torebki z czerwonawymi kuleczkami wielkości mniej więcej ziarenek pieprzu. – Co to takiego? – spytaliśmy. – Jak to? Państwo nie wiedzą? To przecież pierzga! – odpowiedział. Jak mogliśmy tego nie wiedzieć, co za wstyd. W celu uzupełnienia tych kompromitujących braków Pan Miodowy wręczył nam ulotkę. Treść cytuję, bo a nuż państwo też nie są au courant tajemnej wiedzy, jaką jest apiterapia: „Pyłek kwiatowy zebrany przez pszczoły, a następnie przez nie zmagazynowany i zakonserwowany w komórkach plastra, powstały w wyniku fermentacji mlekowej. Pierzga stanowi pokarm białkowy rodziny pszczelej. Jest łatwiej i szybciej przyswajalna niż »surowy« pyłek oraz zawiera więcej związków bioaktywnych, na przykład witaminę K i enzymy. Pierzga ma podobne właściwości do pyłku, ale ma korzystniejsze oddziaływanie na organizm, ponieważ jest mieszaniną pyłków z różnych roślin".

Na co pomaga? Na wszystko. Przede wszystkim, co nas najbardziej w tej chwili interesuje, wspomaga odporność. Polecana jest przy rekonwalescencji, w stanach zmęczenia, niedoborach witamin i składników mineralnych, reguluje funkcjonowanie systemu trawiennego. Działa ochronnie, odtruwająco, antydepresyjnie. Zabija drobnoustroje, działa przeciwzapalnie, powoduje odnowę komórek i tkanek, zwiększenie czerwonych krwinek i poziomu żelaza…

No cóż. Więcej nie trzeba. Sama od trzech dni jestem na pierzgoterapii – parę ziarenek na łyżeczce miodu, całkiem smaczne, rezultatów jeszcze nie zauważyłam, ale spodziewam się, że nieuchronnie grozi mi życie wieczne. Obiecuję, że będę nadawać komunikaty z dalszych postępów kuracji. ©℗

eprasa.pl 993d4bce60

IGOR ZALEWSKI

POD WĄS

Kropka nienawiści

Mam się za człowieka, który ma niezły kontakt z młodymi. Z córką studentką chyba się dogaduję (aczkolwiek to może być złudzenie). Co więcej, z licealistami i studentami stykam się podczas konkursów retorycznych, które organizuje moja fundacja.

I właśnie podczas eliminacji do Akademickiego Konkursu Retorycznego dowiedziałem się, że istnieje coś takiego jak kropka nienawiści. Ci, którzy wiedzą, co to takiego, zapewne uznają mnie za cymbała i ignoranta. Liczę jednak na to, że większość czytelników tego tekstu będzie równie zaskoczona jak ja.

– Badania socjologiczne pokazały, że to samo zdanie z kropką na końcu i bez kropki jest odbierane zupełnie inaczej – powiedziała młoda mówczyni i zabiła mi ćwieka. Zacząłem rozkminiać (to chyba młodzieżowy termin, a może był młodzieżowy dekadę temu?) tę kwestię i okazało się, że wielu młodych ludzi ma mnie za antypatycznego buca. Wszystko dlatego, że używam znaków przestankowych w komunikacji.

– Ale jak to? – dopytywałem Maję, która pracuje u nas w Fundacji Akademia Retoryki. – No wiesz. Kiedy ja cię o coś pytam w SMS-ie, a ty odpowiadasz „Tak" i stawiasz kropę, to sprawiasz wrażenie, jakbyś był zły. Kropki są uznawane za agresywne – tłumaczyła mi Maja jak dziecku. Okazało się, że moja żona, która często w pośpiechu nie kończy zdań kropkami, uchodzi w związku z tym za mniej wymagającą i łagodniejszą ode mnie (chociaż jest dokładnie odwrotnie!).

Swoje trzy grosze dorzucił też Kuba, młody mistrz debat oksfordzkich, z którym razem sędziowaliśmy eliminacje. Po obradach jury wysłał mi SMS-a, w którym napisał: „Dobry werdykt.". Kropka – jak mi wyłuszczył – zmieniała sens zdania. Ktoś w jego wieku odebrałby to zdanie jako przekąs i złośliwość. Czyli ja, każdorazowo kończąc zdanie po bożemu, jak mnie w szkole uczyli, zachowywałem się w sposób niemiły i opresyjny. A ludzie zastanawiali się: Dlaczego ten dziaders się mnie czepia?

Co gorsza, zdarzało mi się kończyć komunikat uśmiechniętą buźką. Kolejny błąd. Uśmiechnięta buźka wcale nie oznacza sympatycznego uśmiechu, tylko kwaśne poczucie wyższości. Czyli „Dobry werdykt" z kropką i jeszcze buźką na koniec oznacza całą furę agresji. Chcesz być człowieku miły i przy okazji uszanować znaki interpunkcyjne, ale wychodzi na to, że jesteś antypatycznym, bezwzględnym brutalem, miażdżącym delikatnych młodych ludzi kropkami nienawiści i wdeptującym ich w ziemię uśmiechniętymi buźkami.

I co mam teraz począć? Raczej na stare lata nie wyplenię interpunkcyjnych nawyków. Chyba muszę się pogodzić z tym, że jestem postrzegany nie jako dobrotliwy mentor, lecz jako złośliwy złamas dręczący ludzi kropkami. Nienawistnymi. ©℗

MARCIN MAKOWSKI

JAK MAKIEM ZASIAŁ

Eurorealizm zamiast polexitu

Pieniądze, przeznaczone dla Polski w ramach Wieloletnich Ram Finansowych (WRF) oraz Funduszu Next Generation Unii Europejskiej, to ponad 157 mld euro. W latach 2021–2027 niespełna 95 mld zostanie wydanych na politykę spójnościową oraz wspólną politykę rolną, reszta to dotacje i pożyczki z koronawirusowego funduszu odbudowy oraz Funduszu Sprawiedliwej Transformacji. Gdyby przyjrzeć się naszemu saldu wpłat i wypłat w obrębie unijnego budżetu, od 2004 r. Polska jest średnio od 5 do 13 mld euro „na plusie". Pod koniec ubiegłego roku nasze wpłaty wyniosły 4, a dotacje 13 mld euro. Od dnia akcesji do dzisiaj to dokładnie 66,2 mld euro, które zasiliło Skarb Państwa. Oczywiście im szybciej będziemy się bogacić, tym szybciej dojdziemy do statusu płatnika netto, co może nastąpić już od kolejnych WRF, czyli 2028 r.

Niemniej znacznie większe korzyści płyną równolegle z funkcjonowania na wspólnym unijnym rynku, który gwarantuje swobodny przepływ usług, towarów i osób – bez barier fiskalnych oraz celnych. Wbrew pierwotnym obawom na otwarciu rynku skorzystały również polski eksport – w zdecydowanej większości płynący do państw Unii – oraz rolnictwo. Tylko na tym odcinku wartość polskiego eksportu rolno-spożywczego zwiększyła się od 2005 r. o prawie 25 mld euro – z 7,2 do 31,8, a dodatnie saldo – z 1,7 mld do 10,5. Równocześnie konsekwentnie we wszystkich przeprowadzanych sondażach Polacy plasują się wśród najbardziej euroentuzjastycznych państw Wspólnoty – w najnowszym badaniu IBRiS dla „Rzeczpospolitej" w hipotetycznym referendum za pozostaniem w Unii odpowiedziałoby się 81,1 proc. ankietowanych, za wyjściem głosowałoby 11 proc., a 7,9 proc. osób nie ma zdania. Jeśli ktoś zatem pyta o możliwy polexit, to zastanawiam się, z kim i o czym chce w ogóle rozmawiać.

Nie oznacza to, że obecność w jakiejkolwiek organizacji międzynarodowej jest bezalternatywna albo że należy ją wpisać na stałe do konstytucji. Unia Europejska nie jest klubem altruistów, ale miejscem, w którym w sposób pragmatyczny ścierają się interesy narodowe państw członkowskich. Dlatego naturalnym odruchem jest dokonywanie bilansu zysków i strat oraz wskazywanie na podwójne standardy, które uderzają w polski rynek (vide: brak solidarności wobec blokady gazociągu Nord Stream 2). Czym innym jest jednak próba zmiany Unii od środka, np. w kwestii polityki światopoglądowej oraz definicji praworządności powiązanej z budżetem, czym innym twierdzenie, że „miarka się przebrała" i należy z niej wyjść. Polexit w żadnym z możliwych obecnie wariantów nie leży w polskim interesie narodowym, jego zwolennicy nie przedstawiają również realnych alternatyw. I podobnie jak w Wielkiej Brytanii nie będą w stanie wziąć na swoje barki jego nieprzewidywalnych konsekwencji. Warto o tym pamiętać. ©℗

eprasa.pl 993d4bce60

WOJCIECH ROSZKOWSKI

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Racja stanu

W trakcie debaty sejmowej na temat polskiego weta wobec unijnego rozporządzenia budżetowego przywódcy opozycji zachowywali się strasznie nerwowo. Jeden z tych mężów stanu zakrzyknął, że rząd gwałci polską rację stanu, drugi zaś, że rząd rozkłada Unię Europejską. Można oczywiście ironizować, że nadgorliwość jest gorsza niż sabotaż oraz że w ten sposób dżentelmeni owi tracą wiarygodność. Zastanawiam się jednak, co nimi kierowało poza chęcią wywołania u „swoich" dreszczyku gniewu i nienawiści. Rozumowo rzecz biorąc, rząd pogwałcił rację stanu, tyle że nie polską, lecz niemiecką. Jeśli oczywiście założyć, że gnębienie sąsiadów leży w niemieckiej racji stanu.

RYSUJE: ANDRZEJ KRAUZE

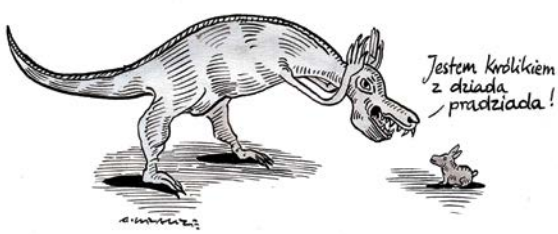

I tu dochodzimy do najważniejszego. Stanowisko rządu Republiki Federalnej w sprawie warunkowości wypłat unijnych jest, po pierwsze, pogwałceniem ustaleń szczytu lipcowego w sprawie budżetu Unii na kolejne siedem lat, a także jej zasad traktatowych, po drugie – wyrazem ideologicznego szaleństwa kół rządzących w Niemczech, a po trzecie – próbą politycznego opanowania Unii przez Berlin. Mimo ogromnych problemów wewnętrznych Niemcy spróbowały narzucić swoją kontrolę polityczną Unii, nie zważając na jej podstawy instytucjonalne.

Z polskiej perspektywy usiłowania te mają dodatkowy aspekt historyczny. Wiem, że są Niemcy, którzy zachowali jeszcze poczucie wstydu i nie utożsamiają się z tym swoim rodakiem, przedsiębiorcą działającym w Polsce, który niedawno publicznie wyrażał swoją pogardę wobec Polaków i przyznawał się do chęci ich mordowania, a nawet domagał się przeprosin za nagranie swoich wynurzeń. Przypomnijmy europosłankę niemiecką, która chciała nieposłusznych członków Unii, w tym Polskę, głodzić, a zupełnie ostatnio widzieliśmy wiceprzewodniczącą Bundestagu z tablicą Strajku Kobiet i napisem „To jest wojna". Być może obie panie nie chodziły do szkoły, a może w ich szkole nie wspominano o niemieckim napadzie na Polskę w 1939 r., wymordowaniu 6 mln obywateli Polski oraz potwornych zniszczeniach materialnych. Jeśli Niemcy jeżdżą do Polski, by odnaleźć tu swój skradziony samochód, to możemy jeździć do Niemiec, by odnajdywać tam skradzione nam podczas wojny dzieła sztuki. W Polsce jeszcze o tym wszystkim pamiętamy, także dlatego, że niektórzy Niemcy nie dają nam zapomnieć.

Dlatego między innymi Polska powinna żądać od Niemiec odszkodowań za drugą wojnę światową. Nawet jeśli tysiące niemieckich prawników udowodnią przed swoimi sądami, że odszkodowania te się Polsce nie należą, bo przecież obozy koncentracyjne były „nazistowskie" i „polskie", to hałas, który wywołamy, może przypomnieć wielu Niemcom, że istnieje jeszcze przyzwoitość i że naprawdę wobec Polski i Polaków Niemcom wolno mniej.

Pozostaje jednak problem, co zrobić z naszymi mężami (i żonami) stanu, którzy perorują o racji stanu. Niech powiedzą wprost, o czyją rację stanu walczą w Gdańsku, na sejmowej mównicy i na ulicach polskich miast, zarażając postronne osoby koronawirusem i organizując malownicze sceny dla niemieckich mediów, bo nie sądzę, żeby tego nie wiedzieli.

Ciekawe, co o tym myślą „swoi" tych polityków. Czy może do nich dotrzeć jeszcze jakaś myśl? Czy uważają, że istnieje polska racja stanu? To wielkie słowo, od którego często oganiają się ludzie mieniący się inteligentami, podobnie jak od słowa „prawda", co do której miał wątpliwości znany prokurator Judei. Fakt, że racja stanu jest pojęciem skomplikowanym przez trudności w jego ucieleśnieniu, nie oznacza, że każda zbiorowość – nawet jeśli unika się określenia „wspólnota" – nie posiada swojej racji stanu, czyli warunków istnienia i powodzenia. W wątpliwościach co do polskiej racji stanu przebijają kompleksy Polaków. Czy jakiś Amerykanin pyta się o amerykańską rację stanu? On po prostu wie, że ona istnieje. Polak zaś często unika odpowiedzi, jakby wstydząc się tak postawionego pytania. Pyta, jak można debatować o polskiej racji stanu, skoro nie da się jej zrealizować. Otóż nie da się zrealizować ideału czy absolutu. Nie oznacza to jednak, że racja stanu nie składa się z elementów stopniowalnych. Idealna wolność to mrzonka, ale wiemy, kiedy czujemy się bardziej wolni, a kiedy mniej. Bezpieczeństwo to poczucie względne, ale istnieją jego miary i uwarunkowania, na które możemy do pewnego stopnia wpływać. Dlatego dyktatu niemieckiego w sprawie budżetu nie wolno nam przyjąć. Sprawiedliwość to także wielkie słowo, którego unikają mędrcy kwestionujący prawdę, ale wystarczy, by ktoś ich skrzywdził, a od razu wiedzą, o czym mowa. Byle stosowali tę prawdę do wszystkich. Bez tego nie ma wspólnoty i nie ma racji stanu. ©℗

eprasa.pl 993d4bce60

FOT. W. CEJROWSKI LTD/B. MROZOWSKI

WARP SPEED

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Największa operacja logistyczna w historii świata jest przygotowana w najdrobniejszych szczegółach. Armia czeka na rozkaz. Rozkazy zostały rozpisane na milion ludzi, którzy wezmą w tym udział. To wojskowi oraz służby cywilne. Operacja ma swoje warianty przewidujące wszystko, co może się zdarzyć – jeżeli spadnie śnieg, to operacja będzie wyglądała inaczej, a jeżeli w chwili wydania pierwszego rozkazu będą upały, to scenariusz zostanie uruchomiony w trochę innym wariancie, ale ten wariant – każdy! – jest już gotowy od miesięcy. Operacja WARP SPEED.

***

Prędkość nadświetlna – to określenie pojawiło się po raz pierwszy w książkach SF Isaaca Asimova oraz w serialu „Star Trek". Chodzi o takie zakrzywienie przestrzeni, które pozwala przemieszczać się z prędkością większą niż prędkość światła. W teorii Einsteina rzecz niemożliwa, bo aby rozpędzić nawet najmniejszą cząsteczkę materii do prędkości światła, potrzebna jest nieskończona ilość energii kinetycznej. Chyba że… zakrzywimy przestrzeń i zaczniemy skakać na ukos, pokonując ograniczenia konwencjonalnej fizyki.

To właśnie postanowił zrobić Donald Trump, gdy pojawił się COVID-19 – doprowadzić do wyprodukowania szczepionki w czasie, który pokona konwencjonalne działania i terminy. Zniósł ograniczenia formalne, załatwił finansowanie, kogo się dało – zachęcił do działania, kto był oporny, tego przymusił za pomocą rządowych lewarów i dokonał cudu. Teraz wszyscy eksperci powinni się podać do dymisji, bo wszyscy co do jednego mówili, że to, co Trump obiecał w marcu, jest NIEMOŻLIWE do wykonania. Kiedy Trump usłyszał to ich „niemożliwe", nazwał swą operację WARP SPEED – prędkością nadświetlną.

***

Pierwszy etap został dokonany. W USA mamy pięć różnych szczepionek, a kolejne w drodze. Każda z tych pięciu jest na końcowym etapie testów. Testy są prowadzone na największą w historii ludzkości skalę. Przy poprzednich szczepionkach nie było takiego pośpiechu, a zatem grupy testowe, grupy kontrolne i inne naukowe działania nie były podejmowane z takim rozmachem. Przy poprzednich szczepionkach grupy interesu miały czas wywierać naciski na polityków i instytucje dopuszczające leki – wolały wydawać pieniądze na lobbing niż na ogromne badania kliniczne. Teraz kierownikiem operacji jest Trump, a prędkość działań nad-świetlna.

***

Wyprodukować szczepionkę to jedno, ale potem trzeba ją jeszcze podać. I tu zacznie się drugi etap WARP SPEED. Trump wyznaczył do tej operacji generała armii – specjalistę od logistyki. Najlepszego, jakiego zna świat. I ten generał ustawił to tak jak największą operację wojskową w historii ludzkości.

Nie wiemy jeszcze, które ze szczepionek zostaną ostatecznie dopuszczone na rynek, a które nie. Dlatego każda z nich jest już teraz produkowana na zapas w dziesiątkach milionów dawek – na wypadek, gdyby to ona przeszła testy. Każda z nich trafia do magazynów, każda jest gotowa do dystrybucji. Być może niektóre z nich ostatecznie trafią do śmietnika, ale dziś tego nie wiemy, więc produkowane są wszystkie.

Dystrybucja rozpocznie się w chwili, gdy którakolwiek z nich dostanie certyfikat. Jeżeli dopuszczone zostaną dwie – to te dwie będzie się dostarczać pacjentom. Jeżeli pięć, to pięć. Generał od logistyki przygotowany jest na każdy możliwy wariant.

W ciągu 24 godzin od zatwierdzenia którejkolwiek szczepionki pierwsze 20 mln dawek dotrze pod wszystkie kody pocztowe w USA – nawet na wyspy Samoa.

Amerykanów jest ponad 300 mln i każdy chętny dostanie szczepionkę. Pierwsza transza trafi do służb medycznych oraz do grupy społecznej, która na COVID umiera najczęściej – do osób starszych. Kolejne miliony dawek rozprowadzane będą w takim tempie, w jakim odbywać się będzie produkcja.

Wojskowe samoloty, lotniska, sprzęt personel – to nie wszystko. Te szczepionki wymagają odpowiedniego przechowywania. Dlatego w ramach operacji WARP trwa produkcja odpowiednich lodówek – do składowania zapasów oraz do transportu. Uruchomiono w tym celu nowe linie produkcyjne lodówek.

Generał od logistyki zadbał też o takie rzeczy jak strzykawki, igły i jednorazowe waciki do dezynfekcji, które będą dostarczane tym samym transportem co lodówki ze szczepionką. Wszystko czeka w gotowości. Jeden rozkaz uruchomi ogromną machinę.

***

A reszta świata? Polska wybrała złą drogę – po pierwsze, kupujemy szczepionkę u pośrednika, którym jest Unia Europejska. Jesteśmy skazani na szczepionkę z tej jednej konkretnej fabryki, z którą Unia się dogadała lub dopiero się dogada. Po drugie, nie słyszałem nic na temat milionów strzykawek, igieł i wacików, na temat miliona lodówek i transportu. Słyszałem za to, że Polska dostanie 16 mln dawek i to jest liczba maksymalna. A co z resztą chętnych, gdyby ich było więcej?

Premier powiedział w listopadzie, że „od pierwszej szczepionki dzieli nas 100 dni". Hm. To który z nich mówi prawdę? Bo minister zdrowa stwierdził, że „pierwsze szczepionki POWINNY być przed końcem roku". Nie powiedział, że będą na pewno. Wiemy natomiast na pewno, że do końca roku 2020 w USA rządzić będzie Trump i jego doktryna America First, czyli, że firma Pfizer może sobie zawierać umowy z Unią Europejską na dowolne dostawy, ale najpierw musi nasycić rynek amerykański, a dopiero potem Trump zezwoli na eksport szczepionek do Unii lub Polski. ©℗

eprasa.pl 993d4bce60

UWAGA – OD LISTOPADA NOWE CENY PRENUMERATY

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

ROCZNA PRENUMERATA TYGODNIKA „DO RZECZY"

W PREZENCIE

WYJĄTKOWY ZESTAW:

RAFAŁ ZIEMKIEWICZ
„CHAM NIEZBUNTOWANY" + KOSZULKA
ORAZ DOSTĘP DO E-WYDAŃ W APLIKACJI

~~734 ZŁ~~

274,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 460 ZŁ

PRZY SKŁADANIU ZAMÓWIENIA PROSIMY O PODANIE ROZMIARU KOSZULKI

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

- Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%)
- Nie przegapisz żadnego wydania
- Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami
- Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat
- W cenie dostęp do e-wydania w aplikacji, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WEJDŹ NA PRENUMERATA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NR 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: PRENUMERATA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631** INTERNET: **prenumerata.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 993d4bce60

50th Anniversary of Titanium Technology

SUPER TITANIUM

Eco-Drive

CITIZEN®

BETTER STARTS NOW

citizen.pl

eprasa.pl 993d4bce60

16 **Inwestycje** w sportową przyszłość

20 **Minimalna europłaca,** czyli jak wyrugować konkurencję

34 **Co dalej z zasobami węgla** i polskim górnictwem?

Konserwatywny magazyn ekonomiczno-społeczny

Forum Polskiej gospodarki

Nr 6 (6) listopad 2020

12 **Rzecznik MŚP:** Odmrozić zamrożone branże i porzucić myśli o całkowitym lockdownie!

30 **B. Wróblewski:** Uproszczenie prawa podatkowego powinno być celem strategicznym naszego państwa

40 **Producenci chcą zorganizować** wydajny system gospodarowania odpadami

Felietony: **Gniadek SVD** **Palutkiewicz** **Hofman**

6 **Jak ocalić przedsiębiorców** i gospodarkę?

ISSN 2719-6291

eprasa.pl 993d4bce60

SPIS TREŚCI

08 JAK OCALIĆ PRZEDSIĘBIORCÓW I GOSPODARKĘ?
Pilnie potrzebujemy konkretnych działań przywracających gospodarkę na właściwe tory. Precyzyjnie wymierzonych oraz efektywnych. Jest na to sporo dobrych pomysłów i idei. Warto po nie sięgać.

12 ODMROZIĆ WSZYSTKIE BRANŻE I PORZUCIĆ MYŚL O LOCKDOWNIE
Rzecznik MŚP Adam Abramowicz nie ma wątpliwości, co trzeba zrobić, by do minimum zmniejszyć skutki koronakryzysu.

15 ZEROEMISYJNA STRATEGIA GRUPY PGE
PGE Polska Grupa Energetyczna jako pierwsza polska spółka energetyczna przedstawiła plan transformacji i drogę do dekarbonizacji wytwarzania oraz ogłosiła cel osiągnięcia neutralności klimatycznej do 2050 r.

16 INWESTYCJE W SPORTOWĄ PRZYSZŁOŚĆ
Zaangażowanie w sport buduje rozpoznawalność marki, a w połączeniu z jakością często stanowi klucz do sukcesu.

20 MINIMALNA EUROPŁACA, CZYLI JAK WYRUGOWAĆ KONKURENCJĘ
Po przewidywanych skutkach nowych przepisów możemy się tylko domyślać, że za pomysłem regulowania płacy minimalnej na poziomie unijnym stoją potężne grupy interesu.

24 OBCIĄŻENIA FISKALNE W CZASIE PANDEMII
Szkoda, że tak niewiele państw zdecydowało się na krok, który wydatnie może pomóc gospodarce i obywatelom w czasie pandemii, czyli na obniżenie podatków.

30 CEL STRATEGICZNY, CZYLI UPROSZCZENIE PRAWA PODATKOWEGO
Nadzwyczajne sytuacje czasami ułatwiają podejmowanie decyzji, które w innym wypadku nie byłyby możliwe – mówi poseł PiS Bartłomiej Wróblewski.

34 CO DALEJ Z POLSKIM GÓRNICTWEM?
Zwijanie górnictwa w Polsce to nic nowego. Przez ostanie 30 lat kopalnie likwidowane są praktycznie cały czas, choć w różnym tempie.

38 WYZWANIA DLA POLSKI NA NAJBLIŻSZĄ DEKADĘ
Rozpoczęliśmy cykl debat. Chcemy, by projekt ten stanowił forum dyskusji o najważniejszych kwestiach dotyczących polskiej gospodarki w możliwie najszerszym kręgu interesariuszy.

Forum Polskiej gospodarki

Wydawca:
Forum Polskiej Gospodarki Sp. z o.o.
ul. Srebrna 16 lok. 18
00-810 Warszawa
REGON: 386-226-015
NIP: 527-292-86-29
KRS: 0000844719

Redaktor naczelny:
Krzysztof Budka

Zespół redakcyjny:
Robert Azembski,
Tomasz Cukiernik,
Kamil Goral,
Marek Kutarba

Felietoniści:
ks. Jacek Gniadek SVD
Piotr Palutkiewicz (Związek Przedsiębiorców i Pracodawców)
Piotr Hofman

Skład i opracowanie graficzne:
Przemysław Banasiewicz

Korekta:
Anna Zakrzewska

Reklama:
reklama@fpg24.pl

Redakcja Forum Polskiej Gospodarki nie ponosi odpowiedzialności za treść reklam i ogłoszeń.

eprasa.pl 993d4bce60

Przedsiębiorcy potrzebują spokoju legislacyjnego

Walka ze skutkami pandemii – zamrażanie branż, pełzające lockdowny, zamykanie granic, testowanie przyjeżdżających obywateli – na całym świecie przypomina poszukiwanie skutecznych rozwiązań metodą prób i błędów. Nie inaczej jest w Polsce. Rząd przyjął u nas taktykę oblężonej twierdzy i pozostając głuchy na głosy z zewnątrz, sam w gronie własnych, „sprawdzonych" doradców próbuje uporać się z niezwykle trudną i skomplikowaną materią. Co prawda od czasu do czasu informuje opinię publiczną, że coś tam konsultuje z organizacjami zrzeszającymi przedsiębiorców, ale konsultacje te polegają raczej na tym, że przedsiębiorcy – zamiast brać udział w wypracowywaniu najlepszych rozwiązań – informowani są przez premiera lub któregoś z ministrów o wprowadzeniu w życie kolejnego rządowego pomysłu. Krótko mówiąc, rząd – jeśli faktycznie się konsultuje – to raczej sam ze sobą.

Warto, by jednak zapoznał się z tym, co organizacje zrzeszające przedsiębiorców mają do powiedzenia w sprawie koronakryzysu. Okazuje się bowiem, że wysuwają dużo pomysłów na to, jak złagodzić skutki pandemii, jak ocalić tysiące firm i miliony miejsc pracy. Pomysły są różne, ale bez zapoznania się z nimi nadal będziemy działać po omacku, przyjmując – wzorem nieocenionego Wojciecha Łazarka – taktykę „na udo". Albo się udo, albo się nie udo... A tu chodzi o to, że nie może się „nie udoć", bo przecież w ratowaniu gospodarki chodzi o coś więcej niż mecz.

Jedna z organizacji proponuje nawet gospodarczy okrągły stół. Nam, ludziom o prawicowych poglądach, okrągły stół nie kojarzy się zbyt pozytywnie (nawet w wersji online). Niemniej rzeczywiście dobrze by się stało, gdyby rząd „podzielił" się odpowiedzialnością za gospodarczą strategię walki z kryzysem z przedsiębiorcami i organizacjami zrzeszającymi tych przedsiębiorców. A w pierwszej kolejności wysłuchał najważniejszej propozycji – wstrzymania wdrażania przepisów, które obciążą przedsiębiorców nowymi podatkami i obowiązkami prawnymi. Przedsiębiorcy, by przetrwać ten niesłychanie trudny czas, potrzebują spokoju legislacyjnego. To jest warunek, od którego każdą pomoc należałoby zacząć.

Tymczasem minister finansów, Tadeusz Kościński, stwierdził, że nie może wykluczyć zwiększenia obciążeń fiskalnych w przyszłym roku. Powód? Fatalna kondycja budżetu państwa, wynikająca m.in. ze skutków pandemii COVID-19. Bardzo źle by się stało, gdyby rząd poszedł tą drogą. Zdecydowanie lepszą byłaby ta, którą na naszych łamach proponuje inny polityk obozu rządzącego, poseł Bartłomiej Wróblewski: – Nadzwyczajne sytuacje czasami ułatwiają podejmowanie decyzji, które w innym wypadku nie byłyby możliwe. Być może więc paradoksalnie to właśnie moment, aby upraszczać system podatkowy i obniżać podatki. Jako wolnościowiec chciałbym, żebyśmy szli w tym kierunku...

Ja również.

Krzysztof Budka

eprasa.pl 993d4bce60

9 mld zł na pierwszy etap realizacji CPK

Na budowę Centralnego Portu Komunikacyjnego popłynie maksymalnie 9 mld 230 mln zł do 2023 r. - wynika z uchwały rządu opublikowanej w Monitorze Polskim. Co istotne, program nie obejmuje środków z budżetu państwa. Chodzi o uchwałę, którą przedłożył Marcin Horała, pełnomocnik ds. Centralnego Postu Komunikacyjnego. Podano wówczas, że łączne koszty finansowania I etapu CPK szacuje się na ok. 12,8 mld zł. Podkreślono także, że w latach 2020-2023 program nie wymaga zaangażowania funduszy z budżetu państwa. Środki na budowę będą pozyskane z wyemitowanych na ten cel skarbowych papierów wartościowych. To właśnie zdobyte pieniądze w ten sposób sfinansują realizację inwestycji w tym zakresie.

Dług rośnie w błyskawicznym tempie

Światowy dług na koniec roku może sięgnąć nawet 277 bln dol. To efekt zadłużania się firm i rządów w czasie walki z gospodarczymi skutkami koronawirusa – wynika z dokumentu opublikowanego przez Instytut Finansów Międzynarodowych. Za niemal połowę wzrostu zadłużenia odpowiadają przede wszystkim rządy krajów rozwiniętych. Dług USA może zamknąć się na koniec roku kwotą 80 bln dol., co będzie oznaczało wzrost o 9 bln dol. w porównaniu z końcem 2019 r. Wzrost zadłużenia w strefie euro wyniesie 1,5 bln dol. do poziomu 53 bln dol.

Ponad 3/5 Polaków ograniczyło wydatki

61 proc. Polaków ograniczyło wydatki w pandemii – wynika z badania „Barometr oszczędności" przeprowadzonego przez IMAS International dla Krajowego Rejestru Długów (KRD). Ponad 43 proc. robi to z powodu wzrostu cen produktów i usług, a 35 proc. ze względu na spodziewane podwyżki. – Pandemia niewątpliwie przewartościowała nasze życie. Jak pokazuje badanie, z jednej strony zmobilizowała Polaków do racjonalnego gospodarowania pieniędzmi, ale sprawiła też, że mimo dużych zmian w codziennej rzeczywistości i braku pewności co do przyszłości ludzie nie chcą się ograniczać. Jest grupa, która nie mogąc żyć jak dotąd, czyli np. jeździć na egzotyczne wakacje lub chodzić na masowe koncerty, rekompensuje sobie to innymi przyjemnościami. Zmienia wystrój mieszkania czy kupuje sprzęt elektroniczny z wyższej półki. Ludzie szukają namiastki normalności w tych trudnych realiach – analizuje prezes KRD Adam Łącki.

5458,88 zł

- tyle wyniosło przeciętne wynagrodzenie brutto w sektorze przedsiębiorstw w październiku. Oznacza to wzrost o 4,7 proc. rdr - podał Główny Urząd Statystyczny. Odczyt jest zgodny z przewidywaniami ekonomistów. Zatrudnienie w tym sektorze rdr spadło o 1,0 proc., co jest wynikiem lepszym od oczekiwań.

eprasa.pl 993d4bce60

I nowoczesną bankowość.

Dowód? Konto zakłada się u nas na selfie, a bankować mogą nawet 6-letnie dzieci.
Bo najważniejsze jest dostarczanie rozwiązań, które pomagają naszym klientom brać życie za rogi.
Każdego dnia.

Banka Pekao S.A.
Pełne informacje o naszych usługach znajdziesz na **pekao.com.pl**.

eprasa.pl 993d4bce60

Jacek **Gniadek SVD**

Bezpieczeństwo sanitarne

Z badań Instytutu Onkologicznego w Mediolanie i uniwersytetu w Sienie wynika, że koronawirus we Włoszech pojawił się już we wrześniu ubiegłego roku. Tak donosi Polska Agencja Prasowa. O podejrzanych zapaleniach płuc w północnych Włoszech czytałem już w marcu w mediach społecznościowych. Wtedy taka informacja uważana była za teorię spiskową.

Teza, że lockdown nie jest skuteczny i zamiast chronić nas przed wirusem, raczej pogrąża gospodarkę, nie jest dziś mile widziana w informacyjnych kręgach głównego nurtu. „Gość Niedzielny" za pośrednictwem PAP opublikował niedawno rozmowę z ministrem zdrowia. Informacje o możliwym lockdownie na Boże Narodzenie są bezkrytycznie podawane dalej.

Nie jestem zaskoczony, ponieważ w prasie katolickiej nie widziałem wcześniej odpowiedniej moralnej oceny działań rządu. Nie było krytycznej analizy programu 500+. Nigdy nie pisano, że podatki są za wysokie. „Gość Niedzielny" drukuje teksty o bankowości, które pochodzą z projektu edukacyjnego Narodowego Banku Polskiego. Moralnej oceny bankowości opartej na systemie rezerwy cząstkowej raczej w tym czasopiśmie nie zobaczymy.

– Dlaczego powinny być inne (teksty), krytyczne wobec lockdownu? – zapytał mnie ktoś w komentarzu w Internecie. Dlaczego? Ponieważ nie ma jednego tylko rozwiązania. Są tysiące argumentów przeciwko lockdownowi, które są poddawane rządowej cenzurze. Kościół katolicki powinien być oazą wolności w poszukiwaniu prawdy. Pokazywanie innych punktów widzenia uczy krytycznego myślenia i rozwija.

Nie czytam tylko Ojców Kościoła, by zrozumieć świat. André Comte-Sponvill, francuski filozof i ateista, ostrzega nas, że „życie, które całkowicie poświęca się ochronie przed śmiercią, byłoby siłą rzeczy chorobliwe i bez smaku". Jeffery A. Tucker, wolnorynkowy ekonomista i nawrócony katolik, napisał na Twitterze: „Jeśli wierzysz w lockdown, zamknij się sam w domu. A wszystkich innych zostaw w spokoju".

Benedykt XVI w encyklice „Spe salvi" nauczał, że doskonałość nie przynależy naturze ludzkiej, gdyż „moc grzechu pozostaje ciągle straszną teraźniejszością". Życie to nie tylko brak wirusa i ujemny test. Bezpieczeństwo socjalne, a teraz bezpieczeństwo sanitarne, nie jest i nie może być celem człowieka.

Brak prawdziwych wyzwań w państwie opiekuńczym jest przyczyną wszelkich kryzysów. Pokazał to w latach 60. ubiegłego wieku amerykański etolog John B. Calhoun w eksperymencie zwanym mysią utopią. Warunki, w których wszystko jest w zasięgu ręki, bez żadnych kosztów i zobowiązań, prowadzą do zaniku odpowiedzialności i społecznej współzależności, a w konsekwencji do samozagłady.

Niszowa austriacka szkoła ekonomii podpowiada, że wykreślenie z codziennego słownika słowa ryzyko stwarza świat, który nie będzie mógł długo istnieć. To ryzyko i niepewność powodują pojawienie się przedsiębiorcy, a przedsiębiorczość, czyli pokonywanie niepewnej przyszłości, jest atrybutem każdego ludzkiego działania. Zakłamywanie rzeczywistości prowadzi do katastrofy.

„Statek w porcie jest bezpieczny, ale nie po to buduje się statki, by stały w portach" (John A. Shedd).

eprasa.pl 993d4bce60

PGE Polska Grupa Energetyczna

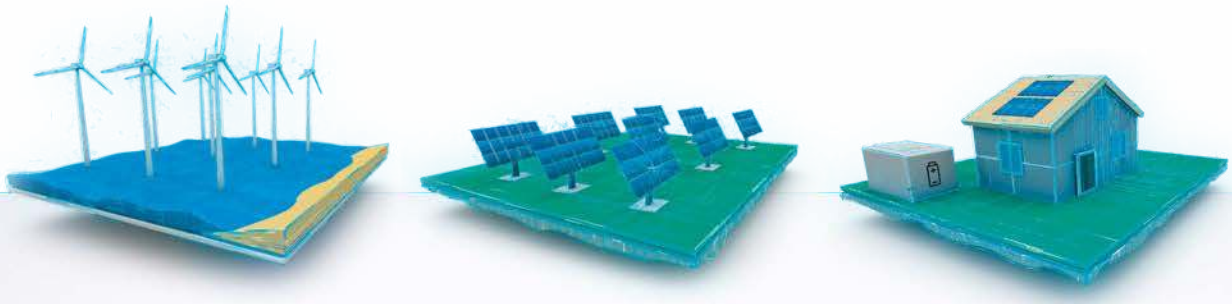

#PGE2050

to neutralność klimatyczna
oraz 100 proc. zielonej energii dla Klientów

www.gkpge.pl

eprasa.pl 993d4bce60

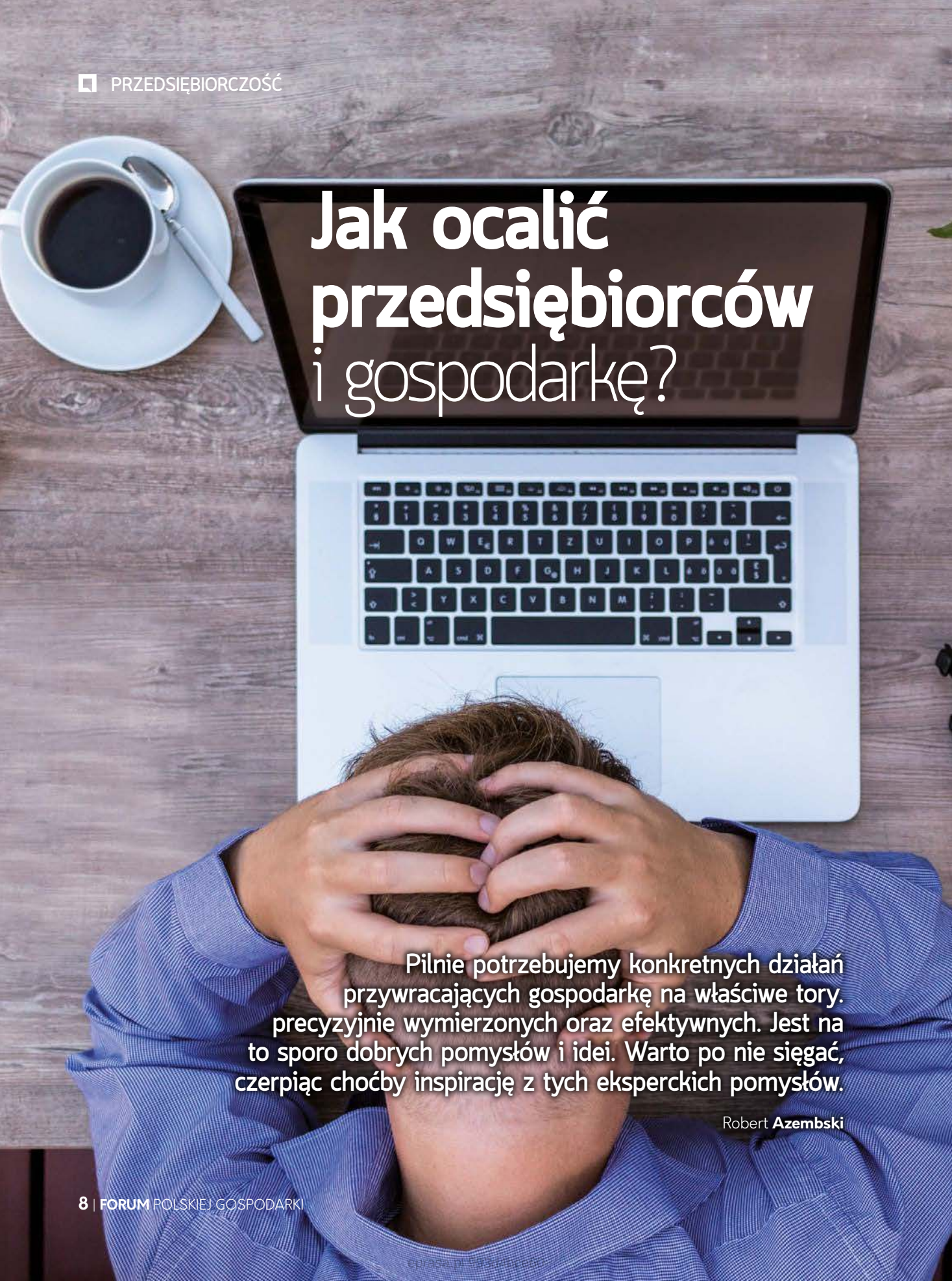

Jak ocalić przedsiębiorców i gospodarkę?

Pilnie potrzebujemy konkretnych działań przywracających gospodarkę na właściwe tory. precyzyjnie wymierzonych oraz efektywnych. Jest na to sporo dobrych pomysłów i idei. Warto po nie sięgać, czerpiąc choćby inspirację z tych eksperckich pomysłów.

Robert **Azembski**

Z naszych danych wynika, że firmy funkcjonują dzięki zasobom, które wygenerowały wcześniej, takich jak oszczędności. Tylko 2-3 proc. z nich zwalniało pracowników, połowa skorzystała z tarczy antykryzysowej. Jednak nawet jeśli w tym momencie znaczna grupa przedsiębiorców radzi sobie w nowej sytuacji, to jednak boją się nie tylko drugiego rzutu choroby, ale przede wszystkim głębszego kryzysu gospodarczego – przekonuje Bożena Lublińska-Kasprzak, ekspert Business Centre Club (BCC).

Jeszcze bardziej niepokojąco brzmi niezależny głos Jakuba Borowskiego, głównego ekonomisty Credit Agricole, jednego z ekspertów trafniej opisujących zjawiska gospodarcze: „Będziemy musieli dławić gospodarkę restrykcjami do I kwartału 2021 r. włącznie" – przewiduje, odnosząc się do możliwej strategii rządu. Zdaniem eksperta taki właśnie pełzający lockdown jest wciąż bardziej prawdopodobny niż ten pełny. – Ostry lockdown byłby już pewną pułapką dla rządów – dodaje Borowski.

Diagnoza „choroby drugiej fali"

Nie tylko Polska ugina się pod ciężarem koronakryzysu. Uwzględniając tzw. drugą falę zakażeń, w całej Europie ekonomiści obniżyli prognozy gospodarcze. Dla naszego kraju były one jeszcze do niedawna krzepiące. PKB miało spaść w 2020 r. od 3 do 5 proc., a w przyszłym roku o co najmniej tyle samo się odbić.

Teraz nie jest to już takie pewne. Profesorowie zasiadający w Radzie Polityki Pieniężnej (RPP) uważają, że skala ożywienia aktywności gospodarczej w Polsce może być ograniczana przez niepewność dotyczącą dalszego przebiegu i skutków pandemii. To zaś z pewnością będzie oddziaływać negatywnie na konsumpcję, inwestycje oraz na akcję kredytową. Z tzw. centralnej ścieżki lipcowej projekcji NBP wynikało też, że PKB „zdołuje" w tym roku 5,4 proc., a następnie odbije się na 4,9 proc. w 2021 r. i 3,7 proc. w 2022 r. Czy jednak tak się stanie?

> *Gospodarce potrzebna jest teraz kroplówka niekoniecznie nowych pieniędzy, ale rozsądnych pomysłów.*

Tych celów nie uda się osiągnąć bez wdrożenia działań naprowadzających gospodarkę z powrotem na właściwe tory. Precyzyjne, spójne wewnętrznie i skoordynowane oraz oczywiście efektywne. Działania, rozpisane być może w postaci nowego, transparentnego, a zarazem realistycznego i obliczonego na etapy realizacji planu gospodarczego. Czy to jest możliwe?

Proponowane terapie

Organizacje przedsiębiorców proponują swoje terapie gospodarcze. Zdaniem Łukasza Bernatowicza, wiceprezesa BCC, rząd powinien wprowadzić znaczące zmiany w prawie i podatkach. Ten obecny rząd, bo z tymi zmianami nie ma co czekać do nowego politycznego rozdania. – Wcześniejsze wybory w tym momencie nie są pożądane, tym bardziej że mamy kryzys wywołany COVID-em, ogromny deficyt i stale rosnący dług – zauważa Bernatowicz.

Tak czy inaczej, gospodarce potrzebna jest teraz kroplówka niekoniecznie nowych pieniędzy, ale jak najbardziej rozsądnych pomysłów. Na pewno nie dożynanie jej politycznymi przepychankami, przynoszącymi jeszcze większą niepewność i chaos.

Z kolei Sławomir Dudek, główny ekonomista Pracodawców RP, zaznacza, że jeśli w wyniku tej zawieruchy po-

eprasa.pl 993d4bce60

wstałby rząd mniejszościowy albo rząd ekspertów, to mógłby to być efekt pożądany dla gospodarki i przedsiębiorców. Być może wreszcie powstawałyby ustawy mocno skonsultowane i nieszkodzące firmom. – Może byłaby też szansa na uzdrowienie finansów publicznych, a przynajmniej na rzetelną diagnozę dotyczącą tego, na czym stoimy? – rzuca pytanie ekonomista. W jego odczuciu przedsiębiorcy oczekują spokoju legislacyjnego i deregulacji. Choćby po to, aby przygotować się na kolejne fale pandemii.

Aktywny w proponowaniu rozwiązań gospodarczych, Związek Przedsiębiorców i Pracodawców (ZPP) demonstruje swój „Plan odbudowy gospodarki po kryzysie COVID-19". Przedstawia w nim rozwiązania o charakterze „quick-win", w kilkunastu punktach. A zatem:

- Zasada generalna – zapewnienie stabilności i przewidywalności prawa.
- Zamrożenie planów dotyczących podwyżki płacy minimalnej.
- Zaniechanie rozwiązań mających na celu regulację cen rynkowych.
- Wycofanie się ze zmian w zakresie pozaodsetkowych kosztów kredytów konsumenckich.
- Powszechne wdrożenie metody kasowej.
- Zawieszenie naliczania i poboru podatków: od wydobycia niektórych kopalin oraz bankowego. Ograniczenie stosowania innych podatków sektorowych.
- Uchylenie ustawy dotyczącej ograniczenia handlu w niedziele i święta oraz w niektóre inne dni.
- Zwiększenie kwoty wolnej od podatku.
- Zmiany w zakresie podatku akcyzowego.
- Skrócenie czasu wydawania decyzji administracyjnych.
- Umożliwienie sprzedaży na odległość leków na receptę.
- Wprowadzenie przepisów dotyczących ochrony środowiska w zakresie „dyrektywy plastikowej".
- Dostęp do baz danych i rozwój informatyzacji administracji publicznej.
- Zniesienie opodatkowania dochodów kapitałowych z tytułu finansowania długu państwa.
- Usprawnienie infrastruktury prawnej i technicznej służącej obrotowi instrumentami dłużnymi.
- Zmiany w zakresie odpowiedzialności karnej menadżerów.

Sporo tego. Ale wielu tym postulatom nie można odmówić nie tylko słuszności, ale i możliwości prostego, a nawet „bezbolesnego" dla budżetu wdrożenia.

eprasa.pl 993d4bce60

Musi zostać odrobiona lekcja z solidnych antykryzysowych działań.

Centrum im. Adama Smitha (CAS) przygotowało z kolei pakiet rozwiązań dla sektora MŚP. „Utrzymanie w ruchu mikro-, małych i średnich przedsiębiorstw, czyli ponad 1,3 mln tzw. samozatrudnionych oraz 700 tys. firm, w których pracuje 6,7 mln osób, jest na wagę kondycji społecznej i ekonomicznej Polaków" – napisali eksperci CAS.

Dziesiątka Rzecznika

Propozycje dotyczące ratowania gospodarki zgłosiło również Biuro Rzecznika Małych i Średnich Przedsiębiorców. Z firmującym je ministrem Adamem Abramowiczem przeczytacie Państwo wywiad na dalszych stronach naszego magazynu, tutaj więc tylko Dziesiątka Rzecznika w telegraficznym skrócie:

- Reforma ZUS dla przedsiębiorców polegająca na wykreśleniu z ustawy Mały ZUS Plus limitu przychodowego (nie wyższego niż 120 tys. zł) lub – alternatywnie – wprowadzenie dobrowolnego ubezpieczenia społecznego na wzór niemiecki; każdy przedsiębiorca mógłby sam zadecydować o tym, czy chce opłacić składkę, czy też woli oszczędzać na przyszłą emeryturę samodzielnie.
- Płaca minimalna na poziomie połowy średniego wynagrodzenia w każdym powiecie.
- Zakaz nakładania przez ustawodawcę nowych obowiązków biurokratycznych dla mikroprzedsiębiorców oraz redukcja obecnie istniejących.
- Minimum półroczne wyprzedzenie w nakładaniu nowych obowiązków na przedsiębiorców (sześciomiesięczne vacatio legis).
- Rozliczanie się ryczałtem od przychodów bez ograniczeń wraz z dostosowaniem stawek do możliwości w poszczególnych branżach.
- Brak możliwości zawieszenia biegu terminu zobowiązania podatkowego.
- Powołanie nowego organu – rady odwoławczej przy Ministrze Finansów..
- Wprowadzenie realnej odpowiedzialności dyscyplinarnej i majątkowej urzędników.
- Skrócenie maksymalnej długości tymczasowego aresztowania podejrzanego o dokonanie przestępstwa przedsiębiorcy do 9 miesięcy.
- Skrócenie czasu trwania postępowań gospodarczych tak, by rozstrzygnięcie w sprawie zapadło nie później niż 6 miesięcy od dnia złożenia odpowiedzi na pozew.

Remedium

Jak szybko byśmy nie spadali, to jednak – nie da się ukryć – spadamy. Zaklęcia, apele, dobre samopoczucie decydentów i najbardziej nawet optymistyczne symulacje już nie wystarczą. Musi zostać odrobiona lekcja z solidnych antykryzysowych działań oraz z pilnego odregulowywania gospodarki. Ostateczne wycofanie się z lockdownu, dalsze i konsekwentne, pomimo krytyki, finansowanie przez agendy rządowe dużych projektów inwestycyjno–infrastrukturalnych w rodzaju przekopu Mierzei Wiślanej, CPK, czy rozsądna modernizacja energetyki są – patrząc z obecnej perspektywy – koniecznością. Właściwym i pożądanym byłoby także mądre wsparcie dla niezbędnych inwestycji samorządowych.

eprasa.pl 993d4bce60

Trzeba odmrozić gospodarkę i porzucić myśl o całkowitym lockdownie

Trzeba w tej chwili zawiesić dalsze obciążenia gospodarki. Jeżeli już nie możemy jej odciążyć, bo potrzebne są pieniądze do budżetu, to nie dociążajmy przedsiębiorców - mówi Adam Abramowicz, rzecznik małych i średnich przedsiębiorców.

Rozmawiał Krzysztof **Budka**

Co zrobić, żeby ocalić gospodarkę? Dziś jej los już nie leży w rękach przedsiębiorców, ale w ogromnej mierze zależy tak naprawdę od rządu i decyzji władz.

Są dwie drogi. Pierwsza to jak najszybciej odmrozić te branże, które zostały zamrożone, i porzucić myśl o całkowitym lockdownie. Druga natomiast

eprasa.pl 993d4bce60

fot. PAP / Roman Jocher

to wprowadzić takie zmiany w otoczeniu gospodarczym dla firm, które pozwolą Polakom prowadzić działalność gospodarczą w takich samych warunkach, w jakich konkurencja europejska, czyli wprowadzić Dziesiątkę Rzecznika.

No właśnie, co z tą Dziesiątką Rzecznika? Bo przygotowaliście propozycje, które, jak Pan mówi, są praktycznie bezkosztowe. I jest jakaś reakcja rządu na nie?
Wicepremier Jarosław Gowin na ostatniej Radzie Przedsiębiorców poparł Dziesiątkę i obiecał, że będzie przekonywał kolegów w rządzie do jej wprowadzenia. Natomiast ten pakiet rozwiązań jest skierowany nie tylko do rządu – on jest propozycją do dyskusji dla całej klasy politycznej. Dziesiątkę Rzecznika dostały wszystkie opcje parlamentarne. Chcemy i będziemy o to apelować, aby na ten temat została przeprowadzona merytoryczna dyskusja. Dyskusja, która będzie całkowicie abstrahować od sporów politycznych. Nie ma już bowiem czasu na to, żeby gospodarka była ofiarą walki politycznej. Dlatego liczymy na to, że nie tylko premier Morawiecki czy wicepremier Gowin, który odpowiada w rządzie za gospodarkę, taką dyskusję przeprowadzą, ale także na to, że włączą się w nią wszystkie ugrupowania parlamentarne. Tylko takim sposobem będziemy w stanie wyjść z kryzysu, który został wywołany COVID-em. Ale oczywiście ten drugi warunek, o którym mówiłem, czyli nieciągnięcie tej blokady zbyt długo w tej chwili, też musi być spełniony.

A nie myśleliście, żeby zamiast takiego apelu, który przypomina ta Dziesiątka, przygotować konkretne projekty ustaw i zebrać pod nimi odpowiednią liczbę podpisów? Może wówczas przekaz byłby mocniejszy? No i Sejm musiałby się wtedy nimi zająć.
Punkty w tej Dziesiątce są sformułowane w taki sposób, by nie zamykać możliwości ministrom czy posłom znalezienia najlepszych rozwiązań. Na przykład mamy taki punkt, jak skrócenie terminu prowadzenia spraw gospodarczych w sądach do sześciu miesięcy. To w tej chwili termin instruktażowy, który zresztą dzięki pracy pana ministra Ziobry znalazł się w kodeksie, ale jest on tylko instruktażowy. Jakie narzędzia wprowadzić do pracy sądu, żeby ten termin był realny, wie najlepiej Ministerstwo Sprawiedliwości i środowisko sędziowskie. My proponujemy informatyzację jako jedno z takich głównych narzędzi, ale nie chcieliśmy za to środowisko wykonywać całej pracy. Nie chcemy, by był to projekt obcy. I takich punktów niezamkniętych jest w Dziesiątce dużo więcej.

Myśli Pan, że dziś jesteśmy w stanie rzeczywiście ponad podziałami politycznymi rozmawiać o gospodarce? Jest to w ogóle realne, patrząc na to, co się od pewnego czasu dzieje na ulicach...
W sferze gospodarczej jest to konieczność. Owszem, opozycja może działać na zasadzie „im gorzej, tym lepiej", ale to nie jest dobry sposób na działalność polityczną. Kiedy obejmie władzę, będzie miała te same problemy lub gorsze, jeżeli teraz nie wprowadzimy rozwiązań przeciwdziałających kryzysowi. W związku z tym wszystkim nam powinno zależeć, żeby akurat gospodarka została wyłączona ze sporu politycznego. To propozycje, które trzeba przedyskutować. I ja chcę taką dyskusję wywołać.

Mówił Pan, że sposobem na to, by ocalić gospodarkę, jest odmrożenie tych branż, które są zamrożone i porzucenie pomysłu o lockdownie. Oczywiście zgadzamy się tutaj w stu procentach. Pytanie tylko, jak przekonać do tego tę część społeczeństwa, która cały czas jest rozhisteryzowana tym, co się dzieje w związku z koronawirusem?
Spokojną i rzeczową dyskusją oraz pokazywaniem skutków blokady. Polska służba zdrowia jest finansowana z budżetu. Jeżeli ktoś tego nie rozumie, że jak w budżecie zabraknie pieniędzy, to nie będzie ich na nic (na służbę zdrowia przede wszystkim), to trzeba mu to pokazać. Poza tym dzisiaj społeczeństwo jeszcze nie czuje skutków tego kryzysu, bo 140 mld zł, które zostało przekazane do gospodarki wiosną, pozwoliło przenieść substancję firm przez ten trudny okres i ocalić miejsca pracy. Tyle że teraz już nie ma takich pieniędzy. Rząd mówi o 2 mld zł na miesiąc, a to jest kilkanaście razy mniej niż było wiosną. Niestety, za chwilę zaczną się zwolnienia, ludzie będą tracić pracę, a wtedy nastroje społeczne zdecydowanie się zmienią.

Jak ocenia Pan ostatnie zmiany podatkowe? Zamach

eprasa.pl 993d4bce60

na spółki komandytowe, likwidacja ulgi abolicyjnej... Absolutnie fatalny moment na wprowadzanie takich rozwiązań.
Pomysły, które były przygotowywane przed pandemią, są realizowane w dobie niezwykle trudnej dla całej gospodarki. I co gorsza, padają nowe, jak na przykład sprawa Piątki dla zwierząt. Oczywiście, że to nie jest dobry czas na te wszystkie zmiany. Trzeba w tej chwili zawiesić dalsze obciążenia gospodarki. Jeżeli już nie możemy jej odciążyć, bo potrzebne są pieniądze do budżetu, to nie dociążajmy przedsiębiorców. Bo jaki jest sens najpierw dociskać firmy, żeby teraz zapłaciły więcej, żeby za chwilę wyciągać te pieniądze z budżetu i przekazywać je z powrotem tym firmom? Sensu żadnego w tym nie ma, mam więc nadzieję, że nastąpi odpowiednia refleksja wśród polityków i od takich rzeczy odstąpią.

Jak ich do tego przekonać?
Będziemy rozmawiać. Widać pewien upór, jeśli chodzi na przykład o spółki komandytowe. Jeżeli nie uda nam się przekonać rządzących do rezygnacji z samej tej idei, to chociaż powalczymy o dłuższe, przynajmniej dwuletnie, vacatio legis. Firmy, które wyliczały swoje projekty na podstawie tego, że będą je realizować w postaci spółki komandytowej, muszą te projekty dokończyć. Wywracanie wszystkiego do góry nogami w trakcie ich realizacji to nie jest dobry pomysł i jeden z punktów naszej Dziesiątki mówi właśnie o tym, że zmiany, które powodują nakładanie nowych obowiązków

na przedsiębiorców, powinny mieć dłuższe vacatio legis. Na tyle długie, by dało przedsiębiorcom możliwość dostosowania się do zmian prawnych.

Jak wyglądają działania Biura Rzecznika MŚP w czasie pandemii? Jak pomagacie przedsiębiorcom, szczególnie działającym w branżach najbardziej poszkodowanych?
Co ciekawe, od pewnego czasu przestały trafiać do naszego biura wnioski dotyczące podatków. Najprawdopodobniej urzędy skarbowe dostały (i słusznie) taką dyspozycję, żeby w tej chwili nie chodzić na kontrole i nie dobijać przedsiębiorców. Najwięcej wniosków trafia teraz od firm, które zostały wyłączone z pomocy. Tu jest też niesamowicie ważna sprawa – znaleźliśmy już ponad 40 branż, które nie mieszczą się w PKD, jakie zaproponował do pomocy rząd, bo polskie PKD nie pozwala na uszczegółowienie ich działalności. Na przykład sklepiki szkolne czy sklepiki na uczelniach są w PKD wpisane jako „sklepy". A sklepy poza galeriami działają i rząd ich nie wpisał do grupy przeznaczonej do wsparcia. Tyle tylko, że sklepiki szkolne czy te na uczelniach są zamknięte i nie mają z czego opłacić kosztów stałych. To jeden przykład. Drugi dotyczy agencji reklamowych. Te, które zajmują się reklamowaniem sprzedaży w Internecie, teraz kwitną i żadnej pomocy nie potrzebują. Z kolei takie, które działają wyłącznie w branży konferencyjnej, niestety nie mają żadnego przychodu. I spis tych ponad 40 branż przekazaliśmy Ministerstwu Rozwoju. Mam nadzieję, że ministerstwo znajdzie sposób, aby dać rekompensatę wszystkim, których działalność rząd wprost bądź pośrednio zamknął.

eprasa.pl 993d4bce60

Zeroemisyjna strategia GRUPY PGE

Transformacja energetyczna to nie tylko wymóg związany z Europejskim Zielonym Ładem. To również, a może przede wszystkim, efekt dążenia polskich konsumentów do dbania o środowisko naturalne i chęć korzystania z zielonej i niskoemisyjnej energii. To także ogromna szansa dla polskich firm na dynamiczny rozwój poprzez inwestycje w najnowocześniejsze rozwiązania.

PGE Polska Grupa Energetyczna jako pierwsza polska spółka energetyczna przedstawiła plan transformacji i drogę do dekarbonizacji wytwarzania oraz ogłosiła cel osiągnięcia neutralności klimatycznej do 2050 r. – Przyspieszamy proces zmian. Już w ciągu dekady Grupa PGE stanie się zupełnie innym przedsiębiorstwem – zapowiedział prezes zarządu PGE, Wojciech Dąbrowski.

Obecny na prezentacji nowej strategii Grupy PGE minister klimatu i środowiska Michał Kurtyka przypomniał, że Polityka Energetyczna Polski oparta jest na trzech filarach. – Pierwszym z nich jest sprawiedliwa transformacja, czyli stanowisko i przekonanie do tego stanowiska naszych partnerów z Unii Europejskiej, że Polska potrzebuje więcej solidarności w drodze do osiągnięcia neutralności klimatycznej. Drugi filar to rewolucja paradygmatu energetycznego: od centralnie sterowanego do oddolnego. Wreszcie trzeci to wyzwanie dotyczące radykalnego podniesienia jakości powietrza – stwierdził minister.

W zgodzie z tymi założeniami Grupa PGE zaprezentowała nową strategię. Ma ona być realizowana w trzech kluczowych obszarach: wytwarzanie energii przyjaznej dla środowiska, świadczenie nowoczesnych usług energetycznych oraz sprawna i efektywna organizacja spółki. Celem jest dojście w 2050 r. do neutralności klimatycznej.

Jednym z najistotniejszych kroków w dążeniu do tego celu ma być dekarbonizacja portfela aktywów wytwórczych PGE, który dziś oparty jest w ponad 80 proc. na węglu kamiennym i brunatnym. To proces, który wymagać będzie potężnych inwestycji. Grupa PGE zamierza wzmocnić portfel odnawialnych źródeł wytwórczych, a w obszarze ciepłownictwa przeprowadzi proces wymiany paliwa węglowego na niskoemisyjny gaz. Jak podkreśla prezes Wojciech Dąbrowski, należy jednak pamiętać, że gaz ziemny jest paliwem przejściowym i jego wykorzystanie będzie możliwe jeszcze przez ok. 20 lat.

Do 2030 r. powstaną dwie morskie farmy Grupy PGE o łącznej mocy 2,5 GW oraz kolejny 1 GW po 2030 r. Grupa zapowiedziała również rozpoczęcie programu budowy magazynów energii o łącznej mocy 800 MW, które mają zapewnić elastyczną pracę systemu elektroenergetycznego i pozwolić na większe wykorzystanie mocy źródeł odnawialnych. Plan inwestycyjny związany z nową strategią dotyczyć będzie także rozbudowy infrastruktury sieciowej – chodzi o linie, transformatory, łączność cyfrową, magazyny energii oraz nowoczesne opomiarowanie stanowiące elementy inteligentnej sieci.

Cele zawarte w nowej strategii PGE zostały określone w dwóch horyzontach czasowych. Do 2030 r. ma nastąpić zwiększenie udziału energetyki odnawialnej w portfelu Grupy do poziomu 50 proc., natomiast do 2050 r. Grupa ma w pełni osiągnąć neutralność klimatyczną i zapewniać swoim klientom 100 proc. zielonej energii.

fot. PGE S.A.

eprasa.pl 993d4bce60

PARTNER DODATKU

Inwestycje w sportową przyszłość

Co się składa na sukces w sporcie? Talent, lata ciężkiej pracy i zapewne odrobina szczęścia. Nie zapominajmy jednak, że jest jeszcze jeden bardzo ważny element, bez którego o jakimkolwiek sukcesie w sporcie nie może być mowy. To wsparcie finansowe.

eprasa.pl 993d4bce60

fot. PKN ORLEN

Największe polskie firmy z roku na rok przeznaczają coraz większe środki na rozwój zarówno sportu profesjonalnego, którym pasjonują się miliony polskich kibiców, jak i amatorskiego, promującego wśród Polaków zdrowy i aktywny tryb życia. Zaangażowanie w sport buduje rozpoznawalność marki, a w połączeniu z jakością stanowi często klucz do sukcesu. W przypadku takich firm jak PKN ORLEN to również odpowiedź na wyzwanie, jakie przed narodowymi czempionami stawia społeczna odpowiedzialność biznesu.

PKN ORLEN od wielu lat wspiera polski sport i sportowców. Szczególnie te dyscypliny, które najlepiej oddają charakter firmy: lekkoatletyka, siatkówka i sporty motorowe. I – co najważniejsze – robi to z sukcesami.

ORLEN Team

Od początku sezonu 2020 firma jest sponsorem tytularnym zespołu Alfa Romeo Racing ORLEN w Formule 1. W ramach współpracy jeden z liderów ORLEN Team – Robert Kubica – dołączył do zespołu, a logotyp ORLEN stał się głównym elementem malowania bolidu i kombinezonów. Nazwa koncernu pojawiła się również w nazwie zespołu. Zupełnie nowym obszarem współpracy pomiędzy polskim koncernem a Alfą Romeo jest szkolenie młodzieży, które odbywa się w ramach ORLEN Akademii Kartingowej, prowadzonej przez Sauber Motorsport.

To kolejny sezon, w którym największy polski koncern paliwowy obecny jest w Formule 1. W 2019 r. PKN ORLEN wsparł wracającego do najbardziej prestiżowych międzynarodowych wyścigów samochodowych Roberta Kubicę, podpisując umowę z firmą Williams Racing, w barwach której startował Polak.

Ostatnio ORLEN zaangażowany był w serię wyścigów samochodowych DTM, w której barwach ORLEN Team Art startuje Kubica. Projekt ten wynika m.in. z ogromnej popularności tych wydarzeń sportowych w Niemczech, gdzie Koncern obecny jest poprzez spółkę zależną Orlen Deutschland, zarządzającą siecią stacji paliwowych. Zważywszy na to, że realizowana jest strategia ujednolicania wizerunku stacji paliw z Grupy ORLEN na zagranicznych rynkach, w przypadku rynku niemieckiego strategia została „wzmocniona aktywnością sportową".

Sporty motorowe wpisują się

fot. PKN ORLEN

eprasa.pl 993d4bce60

niejako w charakter koncernu paliwowego, jakim jest PKN ORLEN. Nic więc dziwnego, że w lipcu 2019 r. Koncern został sponsorem żużlowej reprezentacji Polski, by – jak poinformowali jej przedstawiciele – przyczynić się nie tylko do istotnego wsparcia polskiego speedwaya, ale też do upowszechniania tej dyscypliny w Polsce.

Wsparcie dla polskiego żużla było naturalną konsekwencją zaangażowania spółki w motorsport. „Pod skrzydłami koncernu już od 20 lat funkcjonuje zespół ORLEN Team, którego członkowie odnoszą spektakularne sukcesy w wielu dyscyplinach motoryzacyjnych, m.in. rajdach terenowych i szosowych czy zawodach driftowych. Od 2019 r. logo koncernu jest widoczne na torach Formuły 1 na całym świecie" – przypomniała spółka.

ORLEN Team to najlepszy, profesjonalny zespół rajdowy cross – country w Polsce. Funkcjonuje nieprzerwanie, choć w różnym składzie osobowym, od 1999 r.. Zespół startuje w trakcie sezonu w rajdach rangi Mistrzostw Świata i Pucharu Świata, które są równocześnie przygotowaniem do kluczowego i najbardziej prestiżowego rajdu na świecie, jakim jest Dakar.

W skład ORLEN Teamu wchodzą obecnie m.in.: Robert Kubica (pierwszy Polak w F1), Kuba Przygoński (kierowca rajdowy, wicemistrz świata i zdobywca Pucharu Świata w Cross Country FIA), motocykliści Maciej Giemza i Adam Tomiczek, żużlowy mistrz świata Bartosz Zmarzlik, jeżdżący na quadzie Kamil Wiśniewski, czy załoga Kacper Wróblewski i Jakub Wróbel.

W styczniu tego roku team wzmocnił pierwszy w historii Polak startujący w wodnej Formule 1, najbardziej prestiżowej i widowiskowej klasie wyścigów motorowodnych na świecie, Bartłomiej Marszałek. – Jestem dumny, że mogłem dołączyć do ORLEN Teamu, w barwach którego występują znakomici sportowcy. To dla mnie duże wyróżnienie, a także odpowiedzialność, by jak najlepiej reprezentować zespół na międzynarodowych zawodach. Jestem zdeterminowany, by przy wsparciu PKN ORLEN rozwijać się i stworzyć sobie warunki do tego, aby realnie myśleć o sięgnięciu po tytuł mistrza świata – przyznał syn legendarnego Waldemara Marszałka, najbardziej utytułowanego motorowodniaka w historii.

Złote wsparcie siatkarzy

Gdy lata temu reprezentacja polskich siatkarzy przygotowywała się na zgrupowaniu w Spale do występów w Lidze Światowej, w mediach pojawiła się informacja, że w ciągu kilku najbliższych dni jednym z głównych sponsorów tej drużyny zostanie PKN ORLEN. Tak się stało.

Nikt wtedy nie przypuszczał, że Biało-Czerwoni wkraczają na ścieżkę największych sukcesów w historii. Zwycięstwo w Lidze Światowej, dwukrotny z rzędu złoty medal w mistrzostwach świata, brązowy medal mistrzostw Europy... Oczywiście bardzo dużym uproszczeniem byłoby twierdzenie, że sprawiło to wsparcie, jakie zaczął udzielać polskiej siatkówce PKN ORLEN, ale trzeba przyznać, że od kiedy firma została sponsorem drużyny, ta nieprzerwanie należy do ścisłej światowej czołówki i przed każdym turniejem rangi mistrzowskiej wymieniania jest w gronie najpoważniejszych kandydatów do złota.

Nic zresztą dziwnego, bo wciąż przecież doskonale pamiętamy ostatni czempionat globu rozgrywany dwa lata temu na parkietach w Bułgarii i Włoszech, gdzie zespół prowadzony przez Vitala Heynena powtórzył sukces drużyny Stephane'a Antigi i w kapitalnym stylu wywalczył złoto. Półfina-

fot. PKN ORLEN

eprasa.pl 993d4bce60

łowe spotkanie z USA, wygrane przez Biało-Czerwonych 3:2, przeszło do historii jako jeden z najwspanialszych i najbardziej dramatycznych meczów w dziejach siatkarskich mundiali. Finał z Brazylią 3:0 stanowił piękne podsumowanie turnieju. Polscy siatkarze po raz kolejny udowodnili, że nie mają sobie równych, nic więc dziwnego, że po powrocie do kraju złotych medalistów witały tłumy kibiców.

Ogromne zainteresowanie Polaków siatkówką nie pojawiło się znikąd. To sport, w którym odnosimy największe sukcesy. Nic więc dziwnego, że sponsorzy chętnie wspierają tę dyscyplinę. PKN ORLEN z dumą ogłosił przedłużenie umowy sponsorskiej z Polskim Związkiem Piłki Siatkowej do 2022 r. Łatwo policzyć, że ORLEN będzie stanowił istotne wsparcie dla biało-czerwonej siatkówki pełną dekadę. Przedstawiciele koncernu podkreślają, że zaangażowanie w piłkę siatkową, która po sportach motorowych i lekkiej atletyce jest trzecim filarem marketingowym PKN ORLEN, traktują również jako dobrą inwestycję.

Warto dodać, że ORLEN jest też sponsorem reprezentacji Polski w siatkówce plażowej we wszystkich kategoriach wiekowych. – Jestem bardzo dumny, że partnerem polskiej siatkówki pozostaje największy w Polsce i wiodący w Europie koncern paliwowy. Wiem, że wspólnie możemy zrobić jeszcze wiele dobrego dla naszej dyscypliny – przyznaje prezes PZPS Jacek Kasprzyk.

Szybciej, dalej, wyżej, mocniej...

Jeszcze dłużej niż siatkarzy PKN ORLEN wspiera najlepszych polskich lekkoatletów. Koncern wiele lat temu został Sponsorem Generalnym Polskiego Związku Lekkiej Atletyki. Pod egidą sponsorską firmy polska reprezentacja po raz pierwszy wystartowała na Mistrzostwach Europy w Lekkiej Atletyce w Barcelonie. Od tego czasu polscy lekkoatleci przywieźli 82 medale (31 złotych – 22 srebrne – 29 brązowych) z imprez rangi mistrzowskiej (Igrzysk Olimpijskich, Mistrzostw Świata i Mistrzostw Europy), a PKN ORLEN stał się nie tylko Sponsorem Generalnym PZLA, ale także mecenasem wielu wydarzeń promujących tę dyscyplinę.

Jednym z pierwszych zawodników, który trafił pod skrzydła PKN ORLEN, był dyskobol Piotr Małachowski, wicemistrz olimpijski z Pekinu (2008 r.) i Rio de Janeiro (2016 r.). Do dziś jest członkiem Grupy Sportowej ORLEN, która na przestrzeni ostatnich lat znacząco powiększyła skład. – Mogę się o tej współpracy wypowiadać tylko w pozytywnych słowach. Układa się po prostu bardzo dobrze, a wsparcie, szczególnie w takich czasach, jakie mamy obecnie, jest nieocenione – przyznaje Małachowski.

PKN ORLEN wspiera blisko 40 zawodników z wielu dyscyplin sportu. Trzon tej grupy stanowią lekkoatleci multimedaliści, jak wspomniany Małachowski, Anita Włodarczyk, czy Paweł Fajdek. Marka ORLEN od lat występuje także w nazwach ważnych imprez lekkoatletycznych organizowanych w kraju. Od 2018 r. firma jest sponsorem tytularnym Memoriału Janusza Kusocińskiego – jednego z najstarszych na świecie mityngów lekkoatletycznych, należącego do grona najlepszych imprez w rankingu światowej federacji – World Athletic.

Inicjatywa nie tylko lokalna

Wymieniając aktywności sportowe PKN ORLEN, trudno pominąć zaangażowanie koncernu w budowę jednej z najlepszych polskich drużyn w piłce ręcznej mężczyzn. Spółka od lat jest finansowym fundamentem SPR ORLEN Wisły Płock – Generalnym Sponsorem zespołu, który jest dziesięciokrotnym zdobywcą Pucharu Polski, siedmiokrotnym mistrzem Polski, dziewiętnastokrotnym wicemistrzem oraz pięciokrotnym brązowym medalistą. Rywalizację płockich szczypiornistów w Lidze Mistrzów, jak i w krajowych rozgrywkach każdorazowo oglądają na żywo w hali ORLEN Arena tysiące fanów.

Od sezonu 2016/17 PKN ORLEN powrócił jako sponsor strategiczny do wspierania piłkarzy nożnych Wisły Płock, od tego czasu nieprzerwanie występujących w najwyższej klasie rozgrywkowej, czyli w PKO BP Ekstraklasie. Władze spółki, przy okazji przedłużenia umowy przed rozpoczęciem tego sezonu, przypomniały, że decyzja dotycząca wspierania piłkarzy popularnie nazywanych „Nafciarzami" to kolejny przejaw troski, jaką Koncern przywiązuje do spraw Płocka i regionu poprzez wsłuchiwanie się w potrzeby lokalnej społeczności.

MATERIAŁ PRZYGOTOWANY WE WSPÓŁPRACY Z PKN ORLEN

eprasa.pl 993d4bce60

Minimalna europłaca, czyli jak wyrugować konkurencję

Po przewidywanych skutkach nowych przepisów możemy się tylko domyślać, że za pomysłem regulowania płacy minimalnej na poziomie unijnym stoją potężne grupy interesu, których celem jest uderzenie w konkurencję z krajów tzw. nowej Unii za pomocą interwencji Brukseli.

Tomasz **Cukiernik**

Nawet w czasie koronawirusowego kryzysu Unia Europejska nie zwalnia tempa. Cała masa biurokratów musi się wykazać. 28 października br. Komisja Europejska przedstawiła projekt dyrektywy o płacy minimalnej. Nie idzie on aż tak daleko, jak wcześniej zapowiadano – że pensja minimalna za pracę ma stanowić 50 proc. średniego wynagrodzenia czy też 60 proc. mediany wynagrodzeń, ale i tak budzi wiele wątpliwości.

Sprawiedliwa płaca?

Jak wyjaśniał socjalista Nicolas Schmit, unijny komisarz ds. pracy i praw socjalnych, płaca minimalna ma być „adekwatna" i każdemu pracownikowi ma zapewnić życie na przyzwoitym poziomie. Wydaje się, że to nic złego. – Wniosek dotyczący odpowiednich minimalnych wynagrodzeń jest ważnym sygnałem, że nawet w czasach kryzysu nie należy zapominać o godnej pracy. Jest dla nas jasne, że dla zbyt wielu osób praca nie jest już opłacalna. Pracownicy powinni otrzymywać odpowiednie minimalne wynagrodzenie i prowadzić życie na godnym poziomie – powiedziała z kolei Ursula von der Leyen, przewodnicząca Komisji Europejskiej, która już na początku swojej kadencji zobowiązała się do przedstawienia instrumentu prawnego zapewnia-

eprasa.pl 993d4bce60

jącego unijnym pracownikom sprawiedliwą płacę minimalną.

Jak ma to zostać osiągnięte? Zajmujący się polityką unijną portal euractiv tłumaczy, że KE proponuje, by kraje członkowskie „ustaliły reguły pozwalające na uaktualnianie poziomu płac minimalnych i negocjowanie ich przez związki zawodowe i innych partnerów społecznych. Chodzi o ustawowe umocowanie takich wskaźników, jak siła nabywcza płacy minimalnej w danym kraju, średnie tempo wzrostu płac, ich ogólny średni poziom oraz zmiany w średniej wydajności pracy. Dzięki tym kryteriom krajowe przepisy wymuszałyby wzrost płacy minimalnej nadążający m.in. za zmianami w produktywności gospodarki oraz za ogólnym wzrostem płac".

Projekt dyrektywy przewiduje, że państwa Unii, w których pokrycie zbiorowymi układami pracy jest poniżej 70 proc. (np. Polska), będą musiały przygotować plany działań w kierunku zwiększenia roli tych układów. Oznacza to usztywnienie relacji pomiędzy pracownikiem a pracodawcą.

Eurokraci twierdzą, że projekt dyrektywy oparty jest na Traktacie o funkcjonowaniu UE w punkcie dotyczącym warunków pracy. Ale zdaniem polskich pracodawców Unia w ogóle nie ma kompetencji do regulowania kwestii wynagrodzeń, w tym także ustalania wiążących zasad jej kształtowania. – Kompetencje koordynacyjne Unii nie obejmują płacy minimalnej, choć zaproponowane w projekcie kryteria ustanawiania wynagrodzenia minimalnego mają słuszny cel, jakim jest zapewnienie adekwatności wynagrodzeń – uważa Katarzyna Siemienkiewicz, ekspert Pracodawców RP ds. prawa pracy. – Ponadto postanowienia dyrektywy stoją w sprzeczności z autonomią partnerów społecznych, a konieczność określania przez rządy państw ram negocjacji zbiorowych narusza swobodę partnerów społecznych, która wynika właśnie z zasady ich autonomii – podkreśla.

Co więcej, według oświadczenia Konfederacji Lewiatan „nowe przepisy w praktyce przyznałyby Trybunałowi Sprawiedliwości UE uprawnienie do rozstrzygania w przyszłości kwestii, czy minimalne wynagrodzenie jest ustalone na odpowiednim poziomie".

O co tak naprawdę chodzi unijnym decydentom? Mieliśmy na forum unijnym burzę, kiedy przygotowywano pakiet mobilny i regulacje dotyczące delegowania pracowników, co było odejściem od unijnej – i tak nie do końca obowiązującej – zasady swobody świadczenia usług na jednolitym rynku. Aktualnie pakiet mobilny został zaskarżony do Trybunału Sprawiedliwości UE. Celem tych działań było uderzenie w firmy z krajów tzw. nowej Unii, w tym przede wszystkim z Polski, które zbyt dobrze zaczęły sobie radzić na zachodnioeuropejskim rynku, przejmując coraz większy kawałek tortu w różnych branżach, w tym przede wszystkim w transporcie.

Celem tych działań było uderzenie w firmy z krajów tzw. nowej Unii, w tym przede wszystkim z Polski.

Pomysł jeszcze gorszy

Omawiana propozycja Komisji Europejskiej ma... dokładnie ten sam cel! Wyższe płace w Polsce oznaczają, że polskie firmy stają się mniej konkurencyjne wobec firm z zachodu Europy. Równocześnie wzrost kosztów pracowniczych to mniej pieniędzy na inwestycje, a tym samym na rozwój przedsiębiorstw i całego kraju. Jednym słowem, w nowej unijnej regulacji chodzi o ograniczenie przewagi konkurencyjnej, jaką jeszcze teraz cieszą się polskie firmy w różnych branżach na wspólnym rynku, m.in. dzięki wykorzystywaniu tańszej siły roboczej.

Ingerencja krajowego biurokraty w relacje pomiędzy pracownikiem a pracodawcą jest złym rozwiązaniem. Ingerencja biurokraty unijnego w te stosunki będzie posunięciem jeszcze gorszym. Jeśli natomiast zdamy sobie sprawę z tego, że ingerencja eurokraty ma swoje drugie dno – i bynajmniej nie takie, by poprawić los źle wynagradzanego pracownika, bo tłumaczenie takie jest tylko dymną zasłoną – to widzimy, na czym polega problem.

Wiemy o tym nie od dziś. Warto sięgnąć do klasyków. Jak pisze Ludwig von Mises, „autorytarna regulacja wynagrodzeń powoduje stałe bezrobocie poważnej części siły

eprasa.pl 993d4bce60

roboczej", a „podnoszenie wynagrodzeń ponad poziom ustalony przez rynek musi prowadzić do redukcji zatrudnienia". A to dlatego, że płace również są zjawiskiem rynkowym. Co gorsze, wymuszanie na przedsiębiorcach, by na siłę płacili pracownikom więcej, niż to wynika ze stawek rynkowych, spowoduje zmniejszenie inwestycji, a nawet może doprowadzić do konsumpcji kapitału, z negatywnym wpływem na przyszły rozwój.

Przedwojenny polski ekonomista ze szkoły krakowskiej prof. Adam Heydel wyjaśnia wprost, że „ustawowe minimum płac – które musi być oczywiście wyższe od płacy, jaka się ustaliła w sposób naturalny – prowadzi do zmniejszenia rentowności, ograniczenia produkcji i raz jeszcze zwiększenia bezrobocia". Czy o to chodzi konkurentom polskich firm, którzy nakłonili KE do przedłożenia tej dyrektywy?

Bo gdyby pogrzebać głębiej i dotrzeć do tego, kto stoi za nową regulacją unijną, to z dużym prawdopodobieństwem okazałoby się, że jest to lobby przemysłowe z Niemiec i Francji. Jeśli nie potrafi się uczciwie konkurować na wspólnym rynku, to najprościej jest zniszczyć konkurencję za pomocą nowych przepisów. A światu powiedzieć, że to dla dobra uciskanych pracowników. Podobnie jak w przypadku unijnego pakietu energetyczno-klimatycznego nie chodzi o żaden klimat, a tym bardziej o ochronę środowiska. To są bajki dla publiczności. Bo dlaczego Bruksela tak chętnie zgadza się na pakiet mobilności, którego jednym ze skutków będzie ZWIĘKSZENIE emisji CO_2 do atmosfery, ponieważ w pewnych sytuacjach ciężarówki będą zmuszone do pustych przebiegów?

Twarda walka na śmierć i życie

Musimy sobie w końcu uświadomić i przyjąć do wiadomości, że unijne forum to nie święty Mikołaj z worem pełnym dotacji do rozdawania na lewo i prawo, a twarda walka na śmierć i życie o wielkie pieniądze, jakie można – mniej czy bardziej legalnie i mniej czy bardziej uczciwie – zarobić na wspólnym rynku. Jeśli Niemcom i Francuzom bardziej opłaci się otworzyć rynek – zrobią to, a jeśli zamknąć – też nie zawahają się przed podjęciem takiej decyzji, jednocześnie za każdym razem opowiadając bajki, że na tym polega wspólny rynek.

eprasa.pl 993d4bce60

Piotr **Palutkiewicz**

Rządzie:
Górali czy Ci nie żal?

Jeżeli liczba zakażeń koronawirusem nie spadnie poniżej 10 tys. przypadków dziennie, to rząd może zablokować start sezonu narciarskiego w Polsce – takie groźby doszły do nas w mijającym miesiącu. Póki co właściciele stoków narciarskich oraz hoteli szykują się do sezonu. Hotelarze w ośrodkach górskich liczą, że dzięki sezonowi zimowemu uda im się odrobić straty. Natomiast stanowisko rządu jest na dziś niejasne.

Niedobrze, bo zimowa turystyka górska i narciarska to potężna gałąź gospodarki i źródło utrzymania setek tysięcy osób. Ewentualne zakazanie działalności stoków i wyciągów narciarskich byłoby dla nich potężnym ciosem. Sektor sportów i rekreacji zimowej został już doświadczony przez epidemię w okresie wiosennego lockdownu, który przypadł na zakończenie sezonu zimowego 2019/2020.

Sam sektor generuje pozytywny efekt mnożnikowy dla szeregu branż powiązanych (turystyka, hotelarstwo, gastronomia, producenci sprzętu i infrastruktury sportowej, wypożyczalnie, ubezpieczenia, transport, lokalni producenci upominków, branża spożywcza). Całość wydatków Polaków na wyjazdy narciarskie i sprzęt szacowany był w 2018 r. na ok. 3 mld zł. Może poza producentami sprzętu i infrastruktury do sportów zimowych to rynek w zasadzie w całości z polskim kapitałem. I stale rosnący.

Sektor jest niezwykle istotny dla górskich miejscowości turystycznych i ich mieszkańców. Wiele z tych terenów to obszary o mniejszym poziomie generowanego PKB czy wyższego poziomu bezrobocia. Sezon zimowy jest dla nich okresem, który pozwala wygenerować zysk na cały rok.

Sporty i rekreacja zimowa ma także pozytywny wpływ na zdrowie Polaków. W okresie zimowym narciarstwo czy jazda na łyżwach często są jedyną formą aktywności fizycznej obywateli, co stanowi dla wielu kluczowy czynnik profilaktyki zdrowotnej.

Jak zatem sprawić, by polskie stacje narciarskie nie były zimowym ogniskiem koronawirusa? Wdrożyć i przestrzegać wytycznych sanitarnych. Ze swojej natury sporty zimowe są mało kontaktowe. Wszyscy noszą rękawiczki, wielu maski kominiarki, gogle. Zachowany jest dystans między pracownikami stacji, a turystami. Zwiększmy tam dystans, postawmy na większy reżim sanitarny. Warto też rozważyć wydłużenie sezonu ferii zimowych. Rozłożymy tłok na stokach i w hotelach, a branży damy dłuższy sezon.

Uważni czytelnicy przytoczą za chwilę, że stacje narciarskie były pierwszym miejscem, gdzie rozprzestrzenił się koronawirus w Europie zimą 2020 r.. Tak, ale to z innych powodów. Weźmy np. austriacki Ischgl, gdzie wszystko się zaczęło. Rozniesienie epidemii spowodowane było źle przeprowadzoną akcją komunikacyjną, ewakuacyjną oraz izolacyjną osób zarażonych. Ognisko było jednym z pierwszych w Europie, u samych początków epidemii, gdy na kontynencie nie znano jeszcze środków radzenia sobie z epidemią. Jakiekolwiek analogie odnośnie rozprzestrzeniania się wirusa z ognisk w ośrodkach narciarskich południa Europy zimą 2020 r. nie znajdą swojego odzwierciedlenia przy dzisiejszym doświadczeniu oraz stosowaniu sprawdzonych zaleceń i procedur.

eprasa.pl 993d4bce60

Obciążenia fiskalne w czasie pandemii

Tylko dziesięć państw OECD zredukowało stawki VAT na produkty (przede wszystkim środki medyczne) służące walce z koronawirusem. Szkoda, że większość rządów, mimo trwającej pandemii, nie decyduje się na krok, który mógłby pomóc gospodarce i obywatelom, czyli na obniżanie podatków.

Marek **Kutarba**

Wśród państw, które zdecydowały się na obniżki stawek VAT, znalazły się: Austria, Czechy, Dania, Hiszpania, Korea Południowa, Niemcy, Norwegia, Turcja i Wielka Brytania. W większości przypadków obniżki te dotyczą branż szczególnie dotkniętych skutkami pandemii (m.in. gastronomii, kultury, rozrywki). W tej grupie jedynie Niemcy zdecydowały się na czasowe obniżenie stawek VAT dla wszystkich podatników: stawki podatkowej z 19 do 16 proc. oraz stawki obniżonej z 7 do 5 proc. Obniżka obowiązuje do końca 2020 r.

Z kolei 13 państw (Austria, Belgia, Czechy, Estonia, Francja, Grecja, Hiszpania, Holandia, Irlandia, Polska, Portugalia, Słowenia i Włochy) zdecydowało się na tymczasowe obniżenie stawki VAT na produkty służące walce z pandemią, przede wszystkim na środki medyczne.

Na obniżenie podatków dochodowych zdecydował się tylko jeden kraj – Austria obniżyła stawkę dla najniższego progu podatkowego z 25 do 20 proc. Ta obniżka ma charakter stały, warto jednak zauważyć, że była planowana już wcześniej, trudno zatem uznać, że ma ona związek z pandemią. Żaden kraj nie obniżył natomiast stawki CIT.

Wydawać by się zatem mogło, że Polska nie odbiega w tym zakresie od innych kra-

eprasa.pl 993d4bce60

jów europejskich, a nawet ma się czym pochwalić. Planowane zmiany w limicie przychodów, do którego płacony jest niższy, bo 9-proc. CIT (normalna stawka to 19 proc.) spowoduje, że wielu przedsiębiorców zapłaci w 2021 r. niższe podatki niż obecnie. A Polska i tak ma jedne z najniższych stawek CIT w UE. Jednocześnie w przyszłym roku miałby zacząć obowiązywać także tzw. estoński CIT, umożliwiający (pod warunkiem dokonywania odpowiednich inwestycji) zapłatę CIT dopiero w momencie wyprowadzenia zysków z firmy.

W obszarze podatków dochodowych warto także pamiętać o obniżeniu niektórych stawek ryczałtowych oraz znacznym poszerzeniu zakresu opodatkowania w tej właśnie formie. Raz – poprzez podniesienie limitu przychodów, dwa – poprzez rozszerzenie kręgu podmiotów uprawnionych do korzystania z tej uproszczonej formy opodatkowania.

Kolejne obciążenia

Jest to jednak tylko jedna strona medalu. Trzeba bowiem pamiętać, że równocześnie (niemal – bo w ostatecznym rozrachunku nie od stycznia, ale od maja 2021 r.) podatnikami staną się spółki jawne, co w praktyce oznacza gwałtowny wzrost opodatkowania dla blisko 400 tys. podmiotów, i to nawet po uwzględnieniu wprowadzonego ostatecznie częściowego zwolnienia dla wspólników tych spółek (zwolniony ma być dochód do 65 tys. zł rocznie).

W praktyce dyskusyjne jest też, czy od strony fiskalnej atrakcyjne będzie dla podatników przechodzenie na formę zryczałtowaną opodatkowania. Co prawda umożliwia ona m.in. uniknięcie niekończących się sporów z fiskusem o to, co jest, a co nie jest kosztem podatkowym, z drugiej jednak strony ekonomicznie opłacalna jest wyłącznie dla podatników, którzy mają niskie koszty prowadzenia biznesu. Na pewno za to opłaca się ona fiskusowi. Chociażby tylko dlatego, że w przeciwieństwie do PIT fiskus ryczałtem nie musi dzielić się z gminami.

Ciekawie na tym tle przedstawiają się także decyzje dotyczące VAT. Rok 2020, jako kolejny, miał być ostatnim, w którym stosowane miały być podniesione, początkowo tylko na trzy lata, podwyższone (23 i 8 proc.) stawki VAT. Rozwiązanie takie wprowadzono w 2011 r. Wyższe stawki miały obowiązywać jedynie przez trzy lata, a później automatycznie wrócić do punktu wyjścia. Tak się jednak nie stało. Za każdym razem, gdy zbliżał się koniec okresu, na który ich stosowanie przedłużano, kolejne rządy podtrzymywały stosowanie tych stawek. Nie inaczej stało się i tym razem. I to mimo że jeszcze w trakcie kampanii wyborczej w 2015 r. PiS obiecywał powrót do niższych stawek. Najpierw przedłużono ich obowiązywanie do końca 2018 r., później do końca 2020 r. Ale stawki i tak nie spadną.

W październiku prezydent podpisał ustawę, która przedłużyła okres obowiązywania wyższych stawek na czas... bliżej nieokreślony. Obniżenie VAT miałoby być bowiem możliwe dopiero po spełnieniu konkretnych warunków budżetowych i uzyskaniu określonych w przepisach wskaźników ekonomicznych. A na to się w najbliższym czasie raczej nie zanosi.

Ważne są nie tylko stawki

Nie tylko jednak bezpośrednie działania związane z wprowadzaniem nowych limitów czy stawek podatkowych warte są uwagi w kontekście rozwiązań fiskalnych wprowadzanych w okresie pandemii. Warto także pamiętać o przyjętym w ramach regulacji tarczy antykryzysowej obowiązku rejestrowania w ZUS wszystkich umów zleceń. To doskonałe narzędzie do weryfikacji takich umów oraz ich ewentualnej reklasyfikacji, czyli uznaniu, że faktycznie zawarta umowa nie ma charakteru umowy o dzieło, lecz jest zleceniem. Da to podstawy do domagania się przez ZUS zapłaty składek od takich umów wstecznie. Tym samym wprowadzenie tego rozwiązania niekoniecznie musi służyć wyłącznie zapowiadanemu oskładkowaniu umów o dzieło.

W ostatnim czasie pojawiło się zresztą więcej nowych narzędzi, dzięki którym fiskus zyska możliwość łatwiejszej kontroli podatników oraz narzędzi do łatwiejszego egzekwowania podatków. To nie tylko nowy JPK_VAT, który pozwala na bieżąco wychwytywać każdą, nawet niezamierzoną pomyłkę podatnika i za nią karać. Chociaż tu nastąpiła pewna pozytywna zmiana. Fiskus będzie mógł ukarać kwotą 500 zł za każdy błąd, ale nie musi tego robić. Wcześniej przepisy zakładały, że kara będzie nakładana z automatu.

eprasa.pl 993d4bce60

Wzrasta Zielone
Zagłębie Miedziowe

Energetyka, w tym niekonwencjonalna, uzyskała ważne miejsce w rozpisanej na lata 2019-2023 strategii KGHM Polska Miedź SA. Do 2030 r. połowę zapotrzebowania na energię spółka zamierza pokryć z własnych źródeł, w tym z OZE. Szczególnie mocno rozwijana jest fotowoltaika, ale koncern chce oprzeć się też na energetyce wiatrowej oraz gazowej. Zainicjowana została także współpraca z samorządami lokalnymi.

eprasa.pl 993d4bce60

KGHM Polska Miedź SA nie zasypia gruszek w popiele. Chcąc spotęgować efekt ekologiczny, koncern do współpracy zaprosił samorządy lokalne. Niedawno pierwsze 15 samorządów z Zagłębia Miedziowego podpisało się pod listem intencyjnym dotyczącym wzajemnej współpracy na rzecz rozwoju Odnawialnych Źródeł Energii na terenie Zagłębia Miedziowego.

Sygnatariusze listu zapowiedzieli współpracę m.in. przy określaniu potencjalnych gruntów pod instalacje OZE oraz przy wypracowaniu bardzo konkretnych rozwiązań administracyjno-organizacyjnych sprzyjających zero- lub niskoemisyjnej gospodarce energetycznej. Będą prowadzić dialog, wzajemne się informując o nowych inicjatywach, a także działać na rzecz integrowania środowisk zainteresowanych rozwojem zrównoważonej niskoemisyjnej gospodarki.

Ogólnoświatowe wyzwanie

List intencyjny został uroczyście podpisany podczas specjalnie zorganizowanej przez KGHM Polska Miedź SA oraz Związek Pracodawców Polska Miedź konferencji online pod nazwą „Zielone Zagłębie Miedziowe – Odnawialne Źródła Energii (fotowoltaika)".

– Zielona energia stała się ogólnoświatowym wyzwaniem, już nie tylko w sensie ideologicznym, ale właśnie biznesowym. KGHM bada zdolność firmy do produkcji w oparciu o zieloną energię i aktualnie opieramy się głównie na fotowoltaice i źródłach wiatrowych. Co więcej, już z powodzeniem realizujemy takie projekty, które sprawią, że będziemy jeszcze bardziej efektywni energetycznie. Wszystko w oparciu o dobrą współpracę z samorządem województwa i gminami Za-

Fot. KGHM Polska Miedź SA

Fot. KGHM Polska Miedź SA

eprasa.pl 993d4bce60

Fot. KGHM Polska Miedź SA

1000 kWh energii rocznie z **1kW instalacji**

głębia Miedziowego – mówi Marcin Chludziński, Prezes Zarządu KGHM Polska Miedź SA.

Po pierwsze: fotowoltaika!

Ekologia to jeden z podstawowych filarów Strategii KGHM na lata 2019–2023, w której z kolei jednym z istotnych priorytetów jest energetyka. Do 2030 r. spółka planuje połowę zapotrzebowania na energię elektryczną pokryć z własnych źródeł, w tym z OZE. Wpisana w nią Strategia 4E oznacza bardzo precyzyjnie wyznaczone kierunki rozwoju, czyli zmierzanie do elastyczności, efektywności, ekologii oraz e-przemysłu. W każdym z tych kierunków celem jest osiągnięcie niezależności energetycznej, w tym dzięki odnawialnym źródłom energii.

Wśród kluczowych elementów Programu Rozwoju Energetyki KGHM znalazła się fotowoltaika. Jeszcze we wrześniu br. KGHM ZANAM rozpoczął w Legnicy budowę jedynej w Polsce elektrowni fotowoltaicznej opartej na technologii 4.0. Oprócz inwestycji KGHM ZANAM koncern prowadzi także projekty fotowoltaiczne – na terenie Oddziału Zakład Hydrotechniczny oraz przy Hucie Miedzi Głogów.

W ciągu najbliższych 24 miesięcy, w ramach GK KGHM Polska Miedź SA, planowane jest oddanie do użytku elektrowni fotowoltaicznych o mocy ponad 10 MW. Pozwoli to uniknąć emisji CO_2 i innych związków azotów, siarki oraz pyłów do atmosfery.

Ekoelektrownie dużych mocy

Wykorzystanie paneli o mocy aż 400 Wp zakłada przyjęta przez spółkę w projektach elektrowni fotowoltaicznych (EPV) Koncepcja Programowo-Przestrzenna. Chodzi o zwiększenie potencjału zainstalowanej mocy z 9,5 do 14,5 MW. Będzie to możliwe m.in. dzięki optymalnemu wykorzystaniu działek przeznaczonych pod inwestycję oraz użyciu paneli fotowoltaicznych o dużej mocy.

– Rozwój fotowoltaiki jest kluczowy w naszym dążeniu do produkcji zielonej miedzi z wykorzystaniem zielonej energii – deklaruje prezes Marcin Chludziński.

Ważne są tu szczególnie dwa nowe projekty fotowoltaiczne: Elektrownia Fotowoltaiczna Piaskownia Obora oraz Zespół EPV HMG I-III.

Pierwsza powstanie na terenie Kopalni „Piaskownia Obora", przyczyniając się jednocześnie do zmiany kierunku rekultywacji tego terenu. Przyjęta koncepcja zakłada zainstalowanie paneli o dużej mocy 8 MW i na obszarze

eprasa.pl 993d4bce60

aż ok. 16 ha. Umożliwi to wyprodukowanie 8,5 GWh czystej energii elektrycznej dla Zakładów Górniczych Lubin, Zakładów Wzbogacania Rud i Zakładu Hydrotechnicznego.

Z kolei Zespół EPV HMG I-III to aż trzy odrębne lokalizacje na terenie Huty Miedzi Głogów. W nowej elektrowni zostaną zainstalowane panele o mocy 6,5 MW, na obszarze ok. 12 ha, co pozwoli wyprodukować 6,9 GWh czystej energii elektrycznej.

Te nowe projekty fotowoltaiczne są elementami strategicznego programu firmy pod nazwą „Rozwój Energetyki, w tym OZE". Jego założeniem jest m.in. pozyskanie czystej energii z elektrowni wiatrowych, zwiększenie produkcji z własnych źródeł gazowych oraz rozwój elektrowni fotowoltaicznych na terenach należących do KGHM. Realizacja EPV przez KGHM Polska Miedź S.A. pozwoli przy tym każdego roku na redukcję emisji szkodliwych substancji do środowiska: ponad dziesięciu tysięcy ton CO_2, ponad dziewięciu ton związków siarki, ponad dziewięciu ton związków azotu, niemal czterech ton tlenków siarki oraz blisko 0,5 ton pyłów.

Polska w europejskim ekotrendzie

Pozyskiwanie energii z tzw. dużej fotowoltaiki to proces, który staje się w naszym kraju coraz powszechniejszy. W Polsce jest coraz więcej słonecznych dni w roku. Klimat zmienia się niemal z dnia na dzień. Pory letnie są coraz gorętsze, a zimy – może nie tyle cieplejsze, ile z większą liczbą słonecznych dni. Energia ze słońca staje się coraz bardziej opłacalna, bo nie tylko rośnie sprawność paneli fotowoltaicznych, ale także – dzięki budowie magazynów energii – lepsze będzie nią gospodarowanie i korzystniejsze jej rozliczenie. Już obecnie z 1kW instalacji w naszym kraju można wyprodukować 1000 kWh energii rocznie.

Pozyskiwanie energii z tzw. dużej fotowoltaiki to proces, który staje się w naszym kraju coraz powszechniejszy.

Odchodząc stopniowo od wykorzystania węgla jako podstawowego surowca energetycznego, Polska wpisuje się nie tylko w założenia Europejskiego Zielonego Ładu. Nasze największe spółki energetyczne szybko nadrabiają pod tym względem dystans do zachodnioeuropejskich koncernów. Dystans, który wynikał ze specyfiki systemu energetycznego Polski utrwalonego od wielu pokoleń.

– Rozmawiamy z naszymi europejskimi partnerami, wskazując na nasze uwarunkowania w energetyce, na fakt posiadania silnego górnictwa, wskazujemy na to, że Polska powinna być traktowana nieco inaczej niż pozostałe kraje europejskie – tłumaczy wicepremier Jacek Sasin, minister aktywów państwowych, zwracając jednocześnie uwagę, że w dzisiejszych warunkach wysokich opłat za emisje CO_2 produkcja energii jest bardzo droga i niekonkurencyjna w zestawieniu z innymi źródłami energii.

OZE elementem odbudowy gospodarek

Zielony zwrot stał się w Polsce faktem. Nie tylko dzięki wzrostowi świadomości prosumentów indywidualnych i pomocy niesionej przez państwo, ale także w coraz większym stopniu dzięki włączeniu się naszych gospodarczych czempionów w szeroki nurt budowy czystych źródeł energii. – Aktywnie opowiadamy się za sprawiedliwą transformacją, aby potrzeby krajów, w których udział paliw kopalnych jest znaczący, były należycie uwzględniane i nikt nie został w tyle – mówił Michał Kurtyka, minister klimatu i środowiska, pod koniec października na 2. Światowej Ministerialnej Konferencji Międzynarodowej Agencji Energetycznej.

Według ministra, również w kontekście pandemii COVID-19 i wynikającego z niej ponadgranicznego kryzysu gospodarczego, Polska postrzega dalszy rozwój OZE jako ważne narzędzie europejskiej naprawy gospodarczej.

– Budowanie nowych, solidnych łańcuchów wartości w zakresie odnawialnych źródeł energii powinno stać się nieodłączną częścią strategii wyjścia z kryzysu gospodarczego Unii Europejskiej – dodał minister Michał Kurtyka.

MATERIAŁ POWSTAŁ WE WSPÓŁPRACY Z KGHM POLSKA MIEDŹ S.A.

eprasa.pl 993d4bce60

Uproszczenie prawa podatkowego

powinno być celem strategicznym naszego państwa

Nadzwyczajne sytuacje czasami ułatwiają podejmowanie decyzji, które w innym wypadku nie byłyby możliwe. Być może więc paradoksalnie to właśnie moment, aby upraszczać system podatkowy i obniżać podatki. Jako wolnościowiec chciałbym, żebyśmy szli w tym kierunku - mówi Bartłomiej Wróblewski, poseł Prawa i Sprawiedliwości.

Rozmawiał Kamil **Goral**

Jesteśmy w trakcie jednego z najpoważniejszych kryzysów gospodarczych ostatnich lat, żeby nie powiedzieć dekad. Jak ocenia Pan działania rządu wobec tego kryzysu COVID-owego, z którym obecnie zmaga się Polska i nie tylko Polska?

Musimy wyjść od tego, że epidemia objęła praktycznie cały świat. A więc jest to zjawisko, z którym rzeczywiście boryka się nie tylko Polska, ale wszystkie państwa, także te gospodarczo najlepiej rozwinięte. Dlatego sytuacja naszego kraju musi być siłą rzeczy porównywana do sytuacji, w jakiej znajdują się inne kraje, szczególnie nam najbliższe w Europie Zachodniej i Ameryce. W czasie pierwszej fali pandemii, tak pod względem epidemiologicznym, jak i gospodarczym, Polska radziła sobie zdecydowanie lepiej niż większość państw Zachodu. Lepiej niż Francja, Włochy, Hiszpania czy Wielka Brytania. Natomiast druga fala pandemii będzie dla nas wyraźnie trudniejsza, co widzimy w statystykach dotyczących liczby zachorowań, ale czego też doświadczamy osobiście. Wszyscy znamy bowiem osoby, które chorują na koronawirusa, co wiosną nie było aż tak częste.

Zaczynają protestować kolejne branże, mamy do czy-

eprasa.pl 993d4bce60

fot. PAP / Leszek Szymański

nienia z protestem sektora gastronomicznego, którego przedstawiciele przygotowali rządowi czarną polewkę. Ci ludzie, którzy teraz protestują, mają rację? Mają powody do tego, żeby wyjść na ulicę i wyrażać swoje niezadowolenie z działań rządu?

Napięcie jest rzeczywiście duże i zrozumiałe. Jesteśmy konfrontowani z sytuacją, której nikt z nas nie doświadczył. Od czasów pandemii hiszpanki zaraz po I wojnie światowej nie było takiej sytuacji. Napięcie jest szczególne tam, gdzie w związku z ograniczeniami pojawiają się ograniczone możliwości zarobkowania. Można i trzeba dyskutować na temat kwestii szczegółowych, co należałoby zrobić lepiej. Ale trzeba też rozumieć obiektywne uwarunkowania. Decyzje polskiego rządu, ale i rządów innych państw europejskich, zapadają w związku z sytuacją, za którą nikt personalnie nie jest odpowiedzialny. Wsparcie rządowe dla przedsiębiorców, w tym tarcze antykryzysowa i finansowa, jest duże i wyniosło od wiosny łącznie około 150 mld zł.. Wśród 10 działań antykryzysowych dla firm w czasie drugiej fali pandemii, ogłoszonych przez premiera Mateusza Morawieckiego, są subwencje w ramach tarczy finansowej PFR w wysokości do 70 proc. niepokrytych przychodami kosztów stałych, dofinansowanie kosztów stałych dla MŚP z branż najbardziej dotkniętych restrykcjami oraz wydłużenie tarczy finansowej dla dużych firm do wiosny 2021 r. Będą też zwolnienia ze składek ZUS, przyznanie postojowego dla firm, dofinansowanie zmiany zakresu działalności, pożyczki długoterminowe. Szczególne wsparcie otrzymają branże, które najbardziej ucierpiały oraz strategiczne dla polskiej gospodarki. Sytuacja jest trudna, ale ostatnie prognozy gospodarcze Komisji Europejskiej wskazują, że Polska ma szansę wyjść ze spadku gospodarczego w znacznie lepszej sytuacji niż większość unijnych gospodarek. Goldman Sachs prognozuje wzrost polskiej gospodarki o 6,1 proc. w 2021 r.

Czekamy w dalszym ciągu na realną wymierną pomoc ze strony Unii Europej-

reklama

skiej, szczególnie w ramach tzw. Funduszu Odbudowy. Póki co, uruchomienie tego funduszu utknęło. Czy Pańskim zdaniem w najbliższym czasie może nastąpić jego odblokowanie? A jeżeli tak, to czy Polska jest gotowa na ustępstwa w kontekście sporu o tzw. praworządność i połączenia wypłaty tych funduszy z przestrzeganiem praworządności, za którą tak naprawdę nie wiadomo do końca, co się kryje?
Przekonujemy naszych partnerów z Unii Europejskiej, że trzeba bezzwłocznie uruchomić wszystkie możliwe instrumenty wsparcia gospodarczego, zarówno z Funduszu Odbudowy, jak i z nowego budżetu UE, nie uzależniając ich od żadnych nowych i nadzwyczajnych warunków. Z dwóch powodów. Po pierwsze, bo wymaga tego obiektywnie trudna sytuacja gospodarcza wywołana pandemią. Jej wykorzystywanie do zmian ustroju Unii Europejskiej odbije się na wiarygodności Unii. To byłoby bardzo krótkowzroczne. Po drugie, i co niezależne od sytuacji epidemicznej, nie ma podstaw w traktatach europejskich do tworzenia takich mechanizmów. Jeśli ktoś chciałby je wprowadzić, może to zrobić, ale tylko poprzez zmianę traktatów, a nie ponad głowami społeczeństw europejskich. To państwa są panami traktatów, określają ramy i granice integracji. Nie wolno wymuszać dalej idącej integracji niż ta, na którą wyraziły zgodę europejskie społeczeństwa przyjmując kolejne traktaty. Mam nadzieję, że zwycięży odpowiedzialność i zdrowy rozsądek.

Sejm przyjął ustawę o opodatkowaniu spółki komandytowej. Jak Pan ocenia to rozwiązanie?
Moje stanowisko było następujące i do niego przekonywałem: są racje za nowym opodatkowaniem spółek komandytowych, ale wiąże się to także z pewnym ryzykiem. Przede wszystkim dlatego, że może dotknąć polskie małe i średnie firmy, które potrzebowałyby jeszcze czasu na rozwój. Dlatego być może lepiej byłoby opodatkować spółki komandytowe prowadzące działalność w większej skali, tj. na przykład, gdy ich przychód przekracza 100 mln zł. Ponadto, jak w innych sprawach dotyczących podatków, należałoby zagwarantować odpowiednie vacatio legis, które powinno wynosić przynajmniej rok.

Z jednej strony potrzeba uproszczenia prawa, w tym prawa podatkowego i gospodarczego, a z drugiej jego stabilizacji.

Ale jako Prawo i Sprawiedliwość głosowaliście inaczej. Rozumiem, że była dyscyplina klubowa?
To prawda, ale decydujące było coś innego. Mamy skomplikowaną sytuację COVID-ową i gospodarczą, więc niezależnie od tego, jakie mamy poglądy, musimy wspierać rząd. Tym bardziej że – jak mówiłem – są racje za zmianą, racje związane z koniecznością ujednolicania i uszczelniania systemu podatkowego. W innej sytuacji możliwe i konieczne byłoby niuansowanie tych rozwiązań. W tym jednak momencie kluczową sprawą jest przeprowadzenie kraju przez pandemię.

W programie Prawa i Sprawiedliwości z 2019 r. zapowiedziana była wielka reforma prawa podatkowego. Czy w obecnych okolicznościach, mając też na uwadze kontekst związany z pandemią, taka reforma jest w ogóle możliwa?
Nie ma wątpliwości, że z jednej strony potrzeba uproszczenia prawa, w tym prawa podatkowego i gospodarczego, a z drugiej jego stabilizacji, a w przypadku zmian ustanawianie długiego vacatio legis. Ograniczyłoby to ryzyko inwestowania dla przedsiębiorców. Gdyby udało się trwale przyjąć taki model stanowienia prawa, stałoby się to przewagą konkurencyjną polskiej gospodarki. Powinien więc być to cel strategiczny naszego państwa. Oczywiście, że czas epidemii, napięcia społecznego i spowolnienia gospodarczego nie sprzyja podejmowaniu szerszych, bardziej ambitnych wyzwań. Choć z drugiej strony nadzwyczajne sytuacje czasami ułatwiają podejmowanie decyzji, które w innym wypadku nie byłyby możliwe. Być może więc paradoksalnie to właśnie moment, aby upraszczać system podatkowy i obniżać podatki. Jako wolnościowiec chciałbym, żebyśmy szli w tym kierunku.

eprasa.pl 993d4bce60

Piotr **Hofman**

Potrzebny plan odbudowy gospodarki

Polska gospodarka radzi sobie z kryzysem spowodowanym pandemią lepiej niż większość państw Unii Europejskiej. Nie jesteśmy w tak trudnej sytuacji jak Hiszpanie czy Włosi. Nie oznacza to jednak, że jest na tyle dobrze, byśmy mogli z założonymi rękami spokojnie czekać na zakończenie pandemii. Trzeba sobie jasno uświadomić, że dotknął nas największy od dziesięcioleci kryzys gospodarczy. I niezależnie od tego, czy jest na kogo zrzucić winę za taki stan rzeczy, czy nie, potrzebujemy konkretnego i skutecznego planu odbudowy gospodarki. Na wzór powojennego Planu Marshalla czy Nowego Ładu z lat 30. ubiegłego wieku. Potrzebujemy jasnej i merytorycznej dyskusji na temat priorytetów polityki gospodarczej i fiskalnej. Ponad podziałami politycznymi.

Szczególnie teraz, gdy zewsząd zalewa nas propaganda „darmowych" pieniędzy z Unii Europejskiej i straszenie Polaków, że bez tych pieniędzy nastąpi Armagedon, a po nim koniec świata. Otóż nic takiego się nie stanie. Warto sobie uświadomić, że Unia Europejska nic nie dawała nam za darmo i dawać nie zamierza. Te wszystkie dotacje i pieniądze z unijnych funduszy to zimny, skalkulowany biznes, za który od lat płacimy. Otworzyliśmy przed zagranicznymi firmami nasz rynek, podlegamy unijnym (często bezsensownym) przepisom, kolejne unijne regulacje uderzają w polskie przedsiębiorstwa. To są realne koszty uczestnictwa Polski w UE, o których bardzo rzadko się wspomina. Teraz także środki zarówno z Funduszu Odbudowy, jak i w ramach wieloletnich ram finansowych, będą pieniędzmi, których nie będziemy mogli wydać na dowolny cel, bo te cele narzuci nam Komisja Europejska. Część z nich – jak na przykład Europejski Zielony Ład – stoją w jawnej sprzeczności z naszym interesem gospodarczym.

Tym bardziej potrzebujemy więc skutecznego planu odbudowy gospodarki, który nie będzie uzależniony od pieniędzy z UE. Tak, byśmy w razie ich braku, bez ingerencji z zewnątrz w spokoju mogli uratować jak najwięcej polskich firm, a całą naszą gospodarkę przywrócić na tory szybkiego rozwoju.

Jest na to wiele pomysłów i większość z nich warto rozważyć. Nie miejsce tu, by je wszystkie omówić, dlatego wspomnę o jednym. Do zagospodarowania na odbudowę polskiej gospodarki mamy 1,3 bln zł. Tyle bowiem wynoszą dziś oszczędności prywatne Polaków na różnych bankowych kontach czy funduszach. Państwo powinno stworzyć swoim obywatelom możliwość zainwestowania tych środków w projekty o strategicznym znaczeniu. Tak, by to Polacy czuli się odpowiedzialni za powodzenie tych projektów i by mogli na nich zarobić. Mowa tu m.in. o inwestycjach dotyczących CPK, Trójmorza czy przekopu Mierzei Wiślanej, ale też o tych mniejszych, lokalnych, związanych chociażby z budownictwem. Od 1 stycznia 2021 r. wchodzi w życie nowa ustawa Prawo Zamówień Publicznych, która w swoim założeniu ma sprawić, by jak największa część pieniędzy z publicznych inwestycji została w polskich firmach, by na tych inwestycjach zarabiali polscy przedsiębiorcy. Koniecznie trzeba z tego skorzystać. Na Brukseli świat się na pewno nie kończy.

eprasa.pl 993d4bce60

Co dalej z polskim górnictwem?

Na początku lat 90. funkcjonowało w Polsce ponad 70 kopalni węgla kamiennego. Pozostało ich 20.

Tomasz **Cukiernik**

Zwijanie górnictwa w Polsce to nic nowego. Przez ostatnie 30 lat kopalnie likwidowane są praktycznie cały czas, choć w różnym tempie. Zamknięto m.in. wszystkie kopalnie Dolnośląskiego Zagłębia Węglowego oraz Zagłębia Dąbrowskiego. Według GUS w 1990 r. polskie kopalnie łącznie wydobywały 148 mln ton węgla kamiennego (w rekordowym roku 1980 – 193 mln ton), a w 2019 r. – już tylko 61,9 mln ton.

Kogo reprezentuje rząd?

Po tym, gdy na początku sierpnia wicepremier i minister aktywów państwowych

eprasa.pl 993d4bce60

Jacek Sasin zapowiedział konieczność likwidacji górnictwa węgla kamiennego, w 13 kopalniach nastąpił oddolny protest kilkuset górników. Wtedy związkowcy – żeby wyjść z twarzą – musieli się dogadać z rządem. I rzeczywiście pomiędzy delegacją rządową a Międzyzwiązkowym Komitetem Protestacyjno-Strajkowym doszło do porozumienia, na które jednak musi zgodzić się Komisja Europejska. Zdaniem niektórych związkowców nie ma na to szans, ponieważ na dotowanie z polskiego budżetu bieżącego funkcjonowania kopalni nie ma unijnych podstaw prawnych. No, ale wtedy rząd będzie mógł wszystko zrzucić na UE.

Wrześniowe porozumienie dotyczące stopniowej likwidacji górnictwa dotyczy ośmiu (wszystkich) kopalni należących do Polskiej Grupy Górniczej oraz KWK „Bobrek". Jednak mimo tego, że ostatnia kopalnia ma przestać wydobywać w Polsce węgiel w roku 2049, to w umowie pominięto trzy kopalnie wchodzące w skład spółki Tauron Wydobycie, lubelską kopalnię Bogdanka należącą do Enei oraz będącą w czeskich rękach PG „Silesia", które jednak według ministerialnych planów też idą pod nóż. Nie ma natomiast mowy o likwidacji czterech kopalni Jastrzębskiej Spółki Węglowej (w których wydobywa się głównie nie węgiel energetyczny, ale koksowy do produkcji stali) oraz prywatnych ZG Siltech w Zabrzu i ZG Eko-Plus w Bytomiu.

Związkowcy wynegocjowali gwarancje zatrudnienia aktualnym górnikom do emerytury. To działanie na zasadzie „a po nas choćby potop", bo nie interesuje ich, co się stanie po 2049 roku. Ale czyje interesy w negocjacjach reprezentował rząd? Nie górników – bo był po drugiej stronie barykady. Nie branży ani polskiej gospodarki (m.in. firm kooperujących z górnictwem), ani mieszkańców terenów górniczych, bo stał na stanowisku konieczności likwidacji sektora, a nie jego uzdrowienia. Nie podatników – bo zgodził się na dotowanie nierentownych zakładów (ze strony internetowej Ministerstwa Aktywów Państwowych wynika, że już teraz jest to kwota rzędu 2 mld zł rocznie) i wypłatę świadczeń przedemerytalnych oraz jednorazowych odpraw. Wygląda na to, że rząd, domagając się likwidacji kopalń, reprezentował interesy... Unii Europejskiej, która w swoim szalonym planie walki z tzw. globalnym ociepleniem dąży do urojonej neutralności klimatycznej w 2050 roku.

Rozwiązaniem prywatyzacja

Nie da się ukryć, że będące w rękach państwa górnictwo węgla kamiennego ma wiele problemów: przeregulowanie branży przez państwo i UE, nadmierne opodatkowanie, zbyt duża władza związków zawodowych, nadmierna liczba pracowników szczególnie na powierzchni, a przede wszystkim to, że jest ono państwowe, co powoduje, że nie funkcjonuje w sposób optymalny i najbardziej wydajny.

Ale polskiemu górnictwu nie jest potrzebna likwidacja, bo mogłoby jeszcze wie-

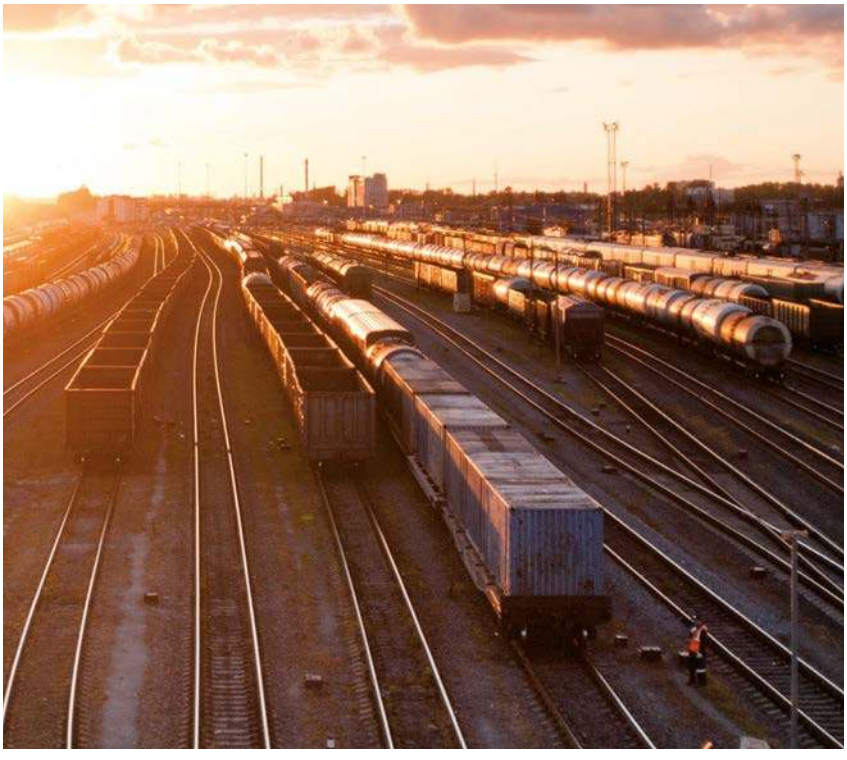

eprasa.pl 993d4bce60

le dekad zaopatrywać w węgiel polską energetykę, ale jego prywatyzacja oraz uwolnienie od nadmiernych regulacji i związków zawodowych. Wraz z prywatyzacją odszedłby problem braku realnego właściciela i nadmiernej liczby pracowników, poprawiłoby się także zarządzanie, a tym samym zmniejszyłyby się koszty funkcjonowania kopalni. Być może niektóre kopalnie zostałyby kupione przez państwowe spółki energetyczne, niektóre przez inwestorów zagranicznych, a inne przez inwestorów polskich, może też w postaci spółek pracowniczych. Zysk byłby podwójny. Po pierwsze, podatnicy przestaliby dokładać się do branży, a budżet zyskałby nowe wpływy najpierw ze sprzedaży, a potem z podatków. Po drugie, w rękach prywatnych kopalnie prawdopodobnie przynosiłyby zysk, a nawet jeśli nie, to prywatny właściciel, biorąc pod uwagę wyłącznie rachunek ekonomiczny, decydowałby o dalszym funkcjonowaniu lub likwidacji kopalni. Państwo, zamykając branżę, kieruje się jedynie naciskiem politycznym z Brukseli, uniemożliwiając nawet próby uzdrowienia jej poprzez zmianę właściciela.

Prywatyzacja (nawet taka spóźniona o 30 lat) ma sens, nawet jeśli udałoby się sprzedać choćby tylko połowę istniejących kopalni. Potencjalnych chętnych do kupienia polskich kopalni nie brakuje. Szkoda, że władze stoją okoniem wobec prywatyzacji. W 2017 r. nic nie wyszło z prób przejęcia majątku likwidowanych kopalni przez związkowców. Z kolei kilka lat temu australijska spółka Prairie Mining planowała budowę dwóch kopalni w Polsce, ale projekty inwestycyjne zostały zablokowane przez... polskich urzędników. Także niemiecka firma HMS Bergbau myśli o budowie kopalni w Polsce. Już w 2016 r. składała ofertę wydzierżawienia lub odkupienia kopalni „Krupiński", ale ówczesne Ministerstwo Energii nie wyraziło na to zgody.

Polsce Bruksela nakazała **zlikwidować górnictwo**

Na świecie, np. w Rosji, Chinach czy Australii, rośnie wydobycie węgla. Szacuje się, że za 10 lat światowa produkcja tego surowca będzie wyższa o 150 proc. od obecnej. W Chinach czy Japonii buduje się nowe elektrownie węglowe. I w Polsce węgla nie brakuje. Według najnowszego „Bilansu zasobów złóż kopalin w Polsce" przygotowanego przez Państwowy Instytut Geologiczny – Państwowy Instytut Badawczy, na koniec 2019 roku udokumentowane zasoby bilansowe złóż węgla kamiennego wynosiły 64,3 mld ton. Czy Arabia Saudyjska albo Zjednoczone Emiraty Arabskie z własnej inicjatywy likwidują wydobycie ropy naftowej? Czy Katar rezygnuje z zarabiania miliardów na gazie? Nie! Nie muszą, bo państwa te nie są członkami UE. Polsce Bruksela nakazała zlikwidować górnictwo i energetykę węglową. Zresztą gdzie tu logika? Górnictwo nie było prywatyzowane jako branża strategiczna, a teraz okazuje się, że jest aż tak bardzo strategiczna, że trzeba je zamknąć!

Skutki polityki klimatycznej

Sprzeczny z polskim interesem narodowym plan jest

eprasa.pl 993d4bce60

taki, by porzucić te olbrzymie zasoby, a jednocześnie odchodzić od energetyki węglowej na rzecz energii atomowej i budowy wiatraków na Morzu Bałtyckim. Mają być też wykorzystywane siłownie gazowe, ale tylko przejściowo, ponieważ są zwalczane przez Brukselę z taką samą zapalczywością jak węglowe. Jednak wygląda na to, że kopalnie zostaną zamknięte szybciej niż zlikwidowane elektrownie węglowe. Oznacza to konieczność uzupełnienia tych braków importem surowca.

Jak w serwisie cire.pl pisze prof. dr hab. inż. Władysław Mielczarski z Politechniki Łódzkiej, uruchomione w Polsce po 2000 roku elektrownie węglowe będą działać jeszcze po roku 2070. „Zapotrzebowanie na węgiel z importu (po likwidacji własnych kopalń) wyniesie 35 mln ton rocznie dla elektrowni, dodatkowo trzeba uwzględnić import około 15 mln ton węgla rocznie dla elektrociepłowni i ciepłowni i około 15 mln ton rocznie na potrzeby indywidualne i małej energetyki. W sumie należy liczyć się z koniecznością importu około 65 mln ton węgla rocznie" – wylicza prof. Mielczarski.

Oznacza to, że – globalnie patrząc – wpływ na środowisko czy też klimat będzie... większy, bo trzeba będzie doliczyć emisję CO_2 powstałego w związku z transportem węgla do Polski z drugiego końca świata – z Australii, Kolumbii, a przede wszystkim z Syberii. Krótko mówiąc, polityka zgodna z unijnymi oczekiwaniami to polityka prorosyjska, bo to z Rosji znacznie zwiększy się import węgla.

W efekcie wzrosną ceny towarów i usług oraz obniży się konkurencyjność polskiej gospodarki.

Polski rząd, który obiecuje, że do końca roku przedstawi projekt transformacji polskiej energetyki, wraz z górniczymi związkami zawodowymi pod naciskiem Brukseli przypieczętowują likwidację polskiego górnictwa, czego rezultatem będzie m.in. utrata niezależności energetycznej państwa. Tymczasem należy się spodziewać, że UE w międzyczasie zaostrzy swoją politykę energetyczno-klimatyczną, co jeszcze bardziej podniesie m.in. koszty funkcjonowania energetyki węglowej. To przełoży się na rachunki za energię elektryczną płacone i przez firmy, i przez gospodarstwa domowe. W efekcie wzrosną ceny wszystkich towarów i usług oraz obniży się konkurencyjność polskiej gospodarki. Czy właśnie o to chodzi Brukseli?

Dlaczego i w imię czego rząd, nie oglądając się na polską rację stanu, spełnia antypolskie fanaberie UE? Jeszcze kilka lat temu politycy PiS obiecywali ratować polskie górnictwo. Polska powinna wycofać się z unijnej polityki energetyczno-klimatycznej. Państwowe kopalnie są nierentowne nie dlatego, że nie opłaca się wydobywać węgla, tylko dlatego, że są państwowe. Bo państwowa własność z reguły oznacza niegospodarność i marnotrawstwo. To rynek, a nie państwo, a tym bardziej UE, powinien decydować, z czego będzie produkowana energia. Wtedy będzie to optymalne i najbardziej efektywne rozwiązanie.

Wydobycie węgla kamiennego i brunatnego w Polsce w latach 1990-2019 w mln ton. Opracowanie własne na podstawie danych GUS.

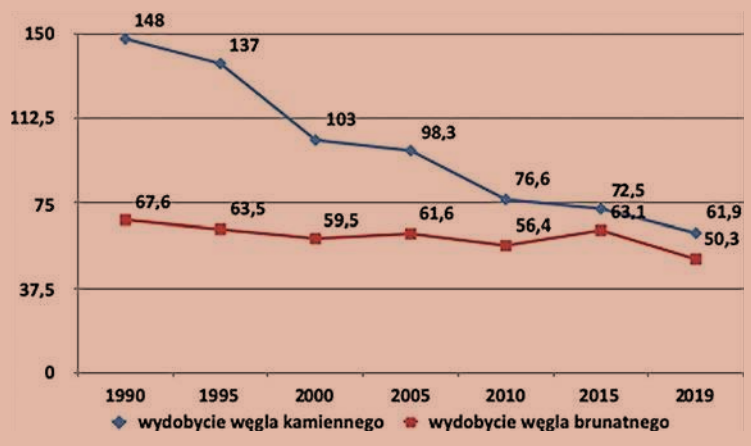

eprasa.pl 993d4bce60

Wyzwania dla Polski
na najbliższą dekadę

„Gospodarka - inwestycje - innowacje. Wyzwania dla Polski na najbliższą dekadę" - to cykl debat organizowany od 26 października przez „Forum Polskiej Gospodarki". Chcemy, by projekt ten stanowił forum dyskusji o najważniejszych kwestiach dotyczących polskiej gospodarki w możliwie najszerszym kręgu interesariuszy. Partnerem Głównym cyklu został KGHM Polska Miedź SA.

Krzysztof **Budka**

Do udziału w projekcie w roli uczestników zaprosiliśmy przedstawicieli najwyższych władz państwowych, ekonomistów, naukowców oraz przedsiębiorców. Partnerem Głównym cyklu został KGHM Polska Miedź SA, a patronatu nad wydarzeniem udzieliły: Ministerstwo Rozwoju, Pracy i Technologii, Narodowy Bank Polski oraz Giełda Papierów Wartościowych.

Debata I

Za nami dwie debaty. W dyskusji inaugurującej cykl pod hasłem „W poszukiwaniu trwałych mechanizmów rozwoju polskiej gospodarki" udział wzięli: Adam Abramowicz – rzecznik małych i średnich przedsiębiorców, Janusz Kowalski – wiceminister aktywów państwowych, Marek Dietl – prezes Giełdy Papierów Wartościowych oraz Łukasz Czernicki – główny ekonomista Ministerstwa Finansów.

Kryzys związany z pandemią miał ogromny wpływ na dynamicznie rozwijającą się w ostatnich latach polską gospodarkę. Jak słusznie zauważył minister Kowalski, dziś w Polsce potrzebna jest bardzo jasna i twarda dyskusja na temat imponderabiliów polityki gospodarczej. Dlatego chcemy inicjować część tej dyskusji i być jej aktywnym uczestnikiem.

Rozmawialiśmy więc o tym, gdzie szukać największych i najskuteczniejszych impulsów mających pomóc w jej odbudowie, co należy zrobić, aby planowane inwestycje publiczne były realizowane przez polskie podmioty z polskim kapitałem, nie zaś przez zagraniczne korpo-

eprasa.pl 993d4bce60

racje, czy nie jest to odpowiedni czas na odregulowanie gospodarki i podatkowe luzowanie, gdzie sektor MŚP – stanowiący przecież krwioobieg gospodarki – powinien szukać kapitału na rozwój, i jaką rolę w tym rozwoju powinny odgrywać spółki z udziałem Skarbu Państwa.

– W jaki sposób zachęcić kapitał prywatny do inwestowania? Są dwa podstawowe narzędzia. Jedno to obligacje rozwojowe, a drugie to tzw. estoński CIT, który ja bym lekko przetworzył Chodzi mi o to, by była to jednorazowa amortyzacja wszystkich nakładów inwestycyjnych. Czyli powiedzieć firmom w Polsce: „Jeśli w ciągu najbliższych trzech lat zainwestujecie, to możecie odliczyć całość tego nakładu inwestycyjnego od podstawy opodatkowania – proponował Marek Dietl.

– Przez najbliższy okres potrzebujemy trzy wielkie nazwiska dla inwestycji prywatnych: po pierwsze Michał Kalecki, po drugie Mariana Mazzucato, po trzecie Milton Friedman – dodał Łukasz Czernicki.

Dlaczego? Warto obejrzeć całą debatę na naszej stronie internetowej fpg24.pl.

Debata II

Druga debata cyklu poświęcona była wyzwaniom – nie tylko regulacyjnym – dotyczącym czwartej rewolucji przemysłowej. W dyskusji uczestniczyli: Robert Tomanek – wiceminister rozwoju, pracy i technologii, Andrzej Soldaty – prezes Fundacji Platforma Przemysłu Przyszłości oraz Piotr Palutkiewicz – zastępca dyrektora Departamentu Prawa i Legislacji Związku Przedsiębiorców i Pracodawców.

– Rewolucja przemysłowa w Polsce już się rozpoczęła. Mało tego, okres pandemii spowodował, że w niektórych sektorach gospodarki ten proces jeszcze przyśpieszył. Siłą rzeczy wykorzystujemy coraz częściej nowoczesne narzędzia IT, wprowadzane są do firm systemy inteligentne. A zatem proces trwa, co nie zmienia faktu, że pełna wizja Przemysłu 4.0 jeszcze przed nami – zauważył minister Tomanek.

– Przemysł 4.0 to jest w zasadzie wielka integracja i usieciowienie interesariuszy. Tutaj chodzi o gotowość do działania w kompetycji. Czyli z jednej strony konkurowanie ze sobą, ale z drugiej łączenie się dla stworzenia większej wartości – tłumaczył Andrzej Soldaty.

Dlatego tak bardzo istotna w kwestii wdrażania czwartej rewolucji przemysłowej jest mentalność przedsiębiorców, na co również zwrócił uwagę prezes Fundacji Platforma Przemysłu Przyszłości. – I tutaj mamy potężny problem. Bo jeśli chodzi o poziom tzw. zaufania społecznego, to Polska nie plasuje się w czołowych miejscach w Europie, a jest wręcz odwrotnie – dodał Andrzej Soldaty.

– Jeśli chodzi o skłonność do ryzyka, to polscy przedsiębiorcy na tle kolegów z innych europejskich państw uchodzą za tych, którzy się nie boją i bardzo szybko potrafią się przystosować do zmian i nowej rzeczywistości. Problemem jest rzeczywiście niski poziom zaufania społecznego. I dlatego bardzo dużą rolę powinno odgrywać sądownictwo. Warto skonstruować taki system sądowniczy, który w przypadku sporu zapewni przedsiębiorcy szybką ścieżkę sprawiedliwego rozwiązania tego sporu – podkreślił Piotr Palutkiewicz.

Barier dotyczących wdrażania Przemysłu 4.0 w Polsce jest oczywiście więcej. Są na szczęście bardzo konkretne pomysły na to, jak sukcesywnie je pokonywać i rozwijać polską gospodarkę, wprowadzając ją na tory innowacyjności i cyfryzacji.

Zachęcamy do obejrzenia obu debat. Dostępne są na serwisie fpg24.pl.

PARTNER GŁÓWNY CYKLU:

KGHM POLSKA MIEDŹ

eprasa.pl 993d4bce60

Producenci chcą zorganizować

wydajny system gospodarowania odpadami

Wdrożenie nowych unijnych przepisów dotyczących rozszerzonej odpowiedzialności producenta wpłynie na funkcjonowanie polskiego rynku odpadów.

Zgodnie z zasadami ROP producenci są zobligowani do pokrycia co najmniej 80 proc. kosztów selektywnej zbiórki odpadów opakowaniowych, ich transportu i przetwarzania (przygotowania do recyklingu) po odjęciu przychodów ze sprzedaży surowców, edukacji mieszkańców oraz utrzymania systemu sprawozdawczego w zakresie gospodarki odpadami opakowaniowymi. To również na podmiotach produkujących i sprzedających towary na terytorium Polski spocznie obowiązek osiągnięcia wskazanych przez UE poziomów recyklingu i udziału surowców wtórnych w niektórych opakowaniach.

Producenci, mając na uwadze perspektywę tak szerokiej odpowiedzialności, chcą sami zorganizować i zarządzać systemem zajmującym się zbiórką i przygotowaniem do recyklingu odpadów opakowaniowych. Ich zdaniem takie rozwiązanie będzie najbardziej efektywne, jeśli chodzi o uzyskanie wysokiego poziomu odzysku odpadów, jak również kosztów. Producenci uważają także, że dzięki takim rozwiązaniom jak sprawozdawczość czy regularne audyty zapewnią transparentność nowego systemu gospodarowania odpadami.

Za pełnym udziałem producentów (i organizacji ich reprezentujących) opowiadają się również browary zrzeszone w Związku Pracodawców Przemysłu Piwowarskiego – Browary Polskie.

– Z uwagi na to, że producenci wezmą na swoje barki ciężary związane z osiągnięciem określonych poziomów zbiórki i recyklingu odpadów opakowaniowych, a w przypadku ich niespełnienia zapłacą kary, powinni zachować pełną kontrolę nad realizacją zadań określonych w nowym systemie rozszerzonej odpowiedzialności producenta – wyjaśnia Bartłomiej Morzycki, dyrektor generalny Związku Browary Polskie. – Za systemem zarządzanym przez producentów przemawia również konieczność spełnienia takich wymogów unijnej dyrektywy, jak transparentność i ekonomiczna zasadność ponoszonych przez przedsiębiorców kosztów – uzupełnia.

System kaucyjny

O wadach obecnego systemu słyszymy od dawna – mieszkańcy skarżą się na wysokie koszty odbioru odpadów, a poziom segregacji i recyklingu w Polsce – w porównaniu z innymi krajami UE – jest wciąż niski. Tymczasem właśnie maksymalizacja zbiórki i recyklingu ma odróżniać nowy system od dotychczasowego. Powinno to przynieść przede wszystkim pozytywny efekt dla środowiska – opakowania znikną z prze-

eprasa.pl 993d4bce60

strzeni publicznej, składowisk czy nielegalnych wysypisk. Beneficjentami będą również mieszkańcy, którzy poniosą niższe opłaty za odbiór śmieci.

Poza stworzeniem systemu selektywnej zbiórki odpadów z gospodarstw domowych, producenci chcą na swój koszt wdrożyć w Polsce system kaucyjny, oparty na dwóch filarach: systemie depozytowym dla jednorazowych opakowań po napojach i systemie kaucyjnym dla opakowań wielokrotnego użytku. Założenia obu rozwiązań zostały szczegółowo omówione w raporcie pn. „Reforma systemu zagospodarowania odpadów", opracowanym przez ekspertów Polskiej Federacji Producentów Żywności oraz Związku Pracodawców Przemysłu Piwowarskiego – Browary Polskie. System depozytowy, dobrze znany w Danii, Holandii, Szwecji, Norwegii czy w krajach bałtyckich, w Polsce będzie wymagał stworzenia od podstaw. Przy jego tworzeniu należy wziąć pod uwagę lokalne uwarunkowania, takie jak przyzwyczajenia i świadomość ekologiczna konsumentów, dotychczasowe rozwiązania prawne czy rodzaje i pojemność opakowań. W opinii producentów polski system depozytowy musi uwzględniać zarówno te czynniki, jak i czerpać z najlepszych europejskich wzorców. Postulują więc, aby był to system powszechny, obowiązkowy, obejmujący większość jednorazowych opakowań na napoje i zarządzany przez centralnego administratora powołanego przez producentów, działającego w formule non-for-profit.

Butelka zwrotna

Wspomniany system kaucyjny dla opakowań wielokrotnego użytku funkcjonuje już Polsce, w największej skali w przemyśle piwowarskim, dla butelki zwrotnej do piwa. Okazuje się, że ten rodzaj opakowania jest najbardziej przyjazny dla środowiska, bo po wykorzystaniu przez konsumenta zachowuje ono pełną wartość i wraca do producenta w celu ponownego napełnienia i wprowadzenia do sprzedaży. Eliminuje się w ten sposób konieczność wyprodukowania nowego opakowania, a opakowanie wielokrotnego użytku może wracać na rynek nawet 20 razy – jak w przypadku butelek zwrotnych do piwa. Niemal połowa sprzedawanego w Polsce piwa dostępna jest w opakowaniach zwrotnych – szklanych butelkach i beczkach, tzw. KEG. To około 3,4 mld szklanych butelek, których 90-92 proc. udaje się odzyskać i włączyć do ponownego obiegu. Wszystko to odbywa się na zasadzie dobrowolnego i nieformalnego porozumienia między uczestnikami rynku – producentami, hurtownikami i klientami.

– Dla naszych producentów, którzy stworzyli i w całości finansują systemy opakowań wielokrotnego użytku w Polsce, ważne jest ugruntowanie tego systemu poprzez zapewnienie wsparcia legislacyjnego i wprowadzenie preferencji dla stosowania tego rodzaju opakowań. Uważamy, że przyjęcie odpowiednich rozwiązań może pomóc we wdrożeniu opakowań wielokrotnego użytku także przez inne branże – mówi Bartłomiej Morzycki.

Producenci podkreślają, że oba systemy – depozytowy dla opakowań jednorazowych i kaucyjny dla zwrotnych – powinny być rozwijane równolegle, z uwzględnieniem specyfiki każdego z opakowań. Bo opakowanie wielokrotnego użytku po użyciu nadal jest opakowaniem, które można wykorzystać, a opakowanie jednorazowe surowcem, który należy poddać recyklingowi. Stąd zupełnie inna droga, jaką jedno i drugie przechodzą po tym, gdy zostaną wykorzystane przez konsumentów, i potrzeba odrębności systemu opakowań wielokrotnego użytku. Producenci wykorzystujący ten rodzaj opakowań muszą zapewnić i sfinansować cały spójny system, w ramach którego opakowanie wraca z rynku, jest myte w specjalnych maszynach i ponownie napełniane. Dodatkowo ten rodzaj opakowania wymaga też opakowań transportowych – w przypadku butelek do piwa – skrzynek. To duże koszty, których znaczną część trzeba ponieść w momencie wdrażania rozwiązania. Stąd – zdaniem browarów – upowszechnienie opakowań wielokrotnego użytku wymaga stworzenia preferencji, które zachęcą innych producentów do wykorzystywania tego rodzaju opakowań. A że warto z nich korzystać – to nie podlega dyskusji. Jak obliczyła branża piwowarska, wykorzystywanie przez nią butelek zwrotnych pozwala rocznie zmniejszyć ilość stłuczki szklanej w Polsce o około 1 mln ton. To prawie tyle, ile poddaje się rocznie w Polsce recyklingowi.

MATERIAŁ PRZYGOTOWANY WE WSPÓŁPRACY Z RADĄ GOSPODARCZĄ STREFY WOLNEGO SŁOWA

eprasa.pl 993d4bce60

fot. PAP/Maciej Kulczyński

Franczyza
biznesem na każde czasy

Obecna sytuacja na rynku wywołana pandemią koronawirusa pokazała, że model franczyzowy sprawdza się nawet w tak trudnym dla gospodarki czasie i pozwala na kontynuowanie biznesu tysiącom przedsiębiorców.

eprasa.pl 993d4bce60

Wielu z przedsiębiorców prowadzących drobną, lokalną działalność nie miałoby szans utrzymać się na rynku bez wsparcia stabilnego partnera. Przykładem takiej franczyzy jest Żabka. Sieć od początku roku otworzyła kilkaset sklepów i obecnie zrzesza ponad 5000 franczyzobiorców, którzy prowadzą w całej Polsce ponad 6600 placówek. Sieć wspiera swoich przedsiębiorców niemal w każdym obszarze ich działalności.

W obliczu pandemii wiele osób straciło zatrudnienie, zetknęło się z wizją spadku zarobków czy zostało zmuszonych do zamknięcia nieprosperującego biznesu. Między innymi do nich kierowana jest oferta franczyzowa Żabki, która daje możliwość prowadzenia stabilnego biznesu oraz oferuje współpracującym z nią przedsiębiorcom wsparcie w trudnym dla gospodarki momencie.

Poczucie bezpieczeństwa

Sieć Żabka pokrywa koszt inwestycji w placówkę wartą ok. 300 tys. zł. Franczyzobiorca otrzymuje gotowy do prowadzenia sklep w atrakcyjnej lokalizacji, umeblowany i zatowarowany. Każdy nowy przedsiębiorca może dokonać wyboru spośród kilku proponowanych punktów, których potencjał sprzedażowy oraz szacunkowa liczba klientów analizowane są dzięki sztucznej inteligencji. Ponadto decydując się na współpracę w ramach franczyzy, przedsiębiorca zyskuje możliwość działania pod znanym i rozpoznawalnym szyldem, sprawdzony know-how, pakiet szkoleń i wsparcie partnera

na wielu płaszczyznach. Żabka oferuje obecnie wszystkim nowym franczyzobiorcom dodatkowo gwarantowany przychód podstawowy w wysokości 16 tys. zł miesięcznie przez pierwszy rok działalności. Taka gwarancja niewątpliwie wpływa na ich poczucie bezpieczeństwa, zwłaszcza w obecnych czasach.

Silne wsparcie ze strony franczyzodawcy odczuwają nie tylko nowi przedsiębiorcy w sieci, ale wszyscy działający w niej franczyzobiorcy – wyjątkowo mogli przekonać się o jego znaczeniu od początku epidemii koronawirusa. Szeroka pomoc ze strony partnera, możliwa dzięki elastyczności sieci i posiadanym zasobom finansowym czy logistycznym, pomogła złagodzić odczuwane w biznesie skutki kryzysu. Sieć zapewniła swoim przedsiębiorcom nie tylko środki ochrony osobistej (m.in. pleksi, płyny do dezynfekcji, rękawice) i pomogła wdrożyć im wszystkie wymagane standardy bezpieczeństwa, ale także podjęła dodatkowe działania, by lockdown nie odbił się negatywnie na rentowności ich biznesów. Na podobne wsparcie franczyzobiorcy mogą nadal liczyć w jesiennej fazie pandemii.

Rozwój lokalnego biznesu

Żabka stawia także na innowacyjne narzędzia technologiczne, dzięki którym zarządzanie biznesem przez franczyzobiorców jest jeszcze łatwiejsze. Przykładem takiego rozwiązania jest aplikacja mobilna frappka, stanowiąca swoiste centrum zarządzania sklepem z poziomu smartfona. Z kolei jeśli w codziennym zarządzaniu sklepem franczyzobiorcy napotkają jakiekolwiek trudności, zawsze mogą zwrócić się do Centrum Wsparcia Franczyzobiorców, którego zadaniem jest reagowanie na tego typu zgłoszenia, lub bezpośrednio do partnerów ds. sprzedaży, którzy zawsze służą im bezpośrednią poradą.

Zaufanie, jakim Żabkę obdarzyło już ponad 5000 franczyzobiorców, pokazuje, że podejmowane przez sieć działania przynoszą dobre efekty i pozwalają tysiącom przedsiębiorców rozwijać dalej swoje lokalne biznesy, niezależnie od zewnętrznych okoliczności.

Więcej informacji na: www.franczyza.zabka.pl oraz www.5000powodow.pl

MATERIAŁ PRZYGOTOWANY WE WSPÓŁPRACY Z RADĄ GOSPODARCZĄ STREFY WOLNEGO SŁOWA

eprasa.pl 993d4bce60

Zbudujemy dla Ciebie instalację fotowoltaiczną

Oferta dla domu i firmy

DOWIEDZ SIĘ WIĘCEJ NA

energa.pl/fotowoltaika

- Od projektu do wykonania
- Bezpłatna wizja lokalna
- Dofinasowanie do 5000 zł z rządowego programu "Mój Prąd"

Usługa dedykowana jest klientom indywidualnym ENERGA-OBRÓT S.A. będących właścicielami wolnostojących domów jednorodzinnych lub klientom prowadzącym działalność gospodarczą z tytułem prawnym do obiektu, na którym ma być zamontowana instalacja PV. Montaż instalacji PV realizowany jest przez certyfikowanych partnerów technologicznych ENERGA-OBRÓT S.A. Materiał nie stanowi oferty w rozumieniu art. 66 Kodeksu cywilnego.

Energa Obrót

eprasa.pl 993d4bce60